1989

Turniej tenisowy Wojtka Fibaka



Lunch podczas turnieju. Maria Ginter, Wojciech Fibak, Ilie Nastase. Tom C

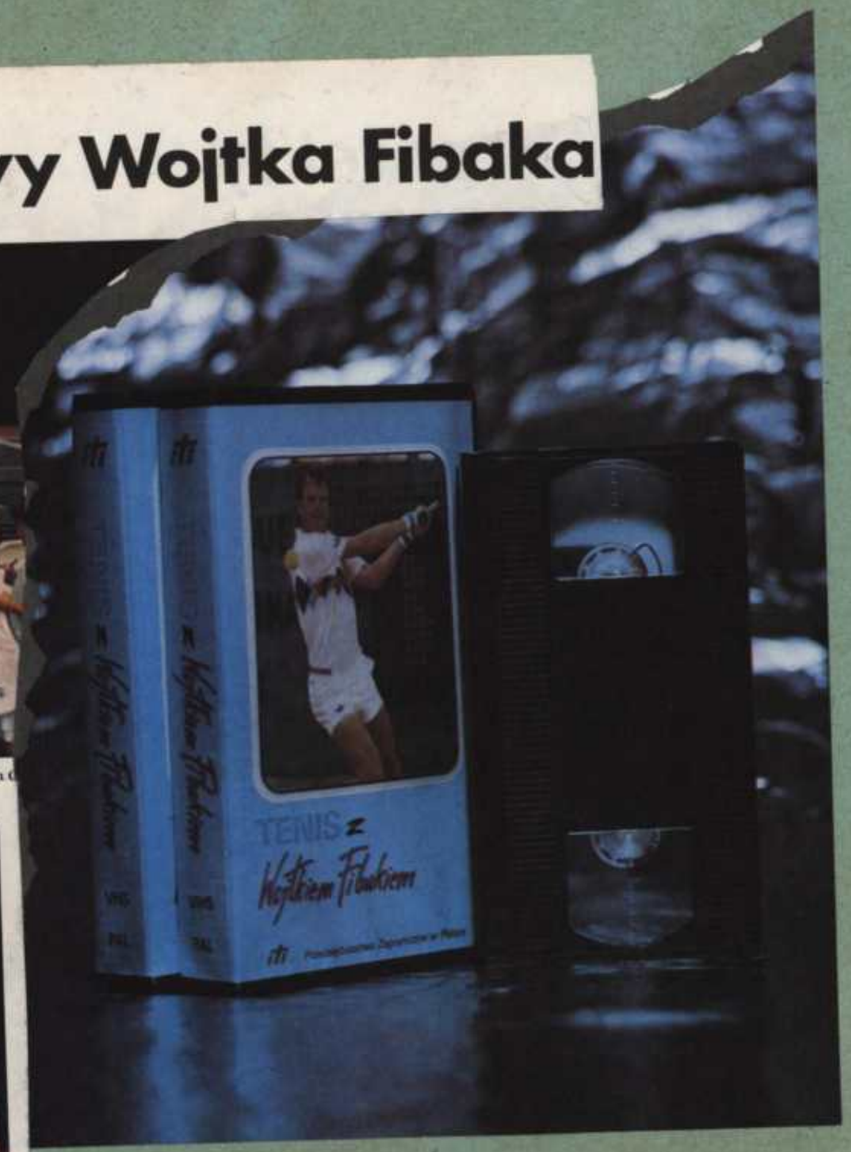

Przed zamkową kolekcją. Wojciech Fibak tym razem w roli kustosza.



DANIEL PASSENT **(9)**



BEZCZELNA ŁATWOŚĆ WYGRYWANIA

– Cofnijmy się teraz od Lendla do Twojej młodości w Poznaniu, wróćmy tam, na korty AZS, koło torów kolejowych.

– Było trzech chłopców, którzy mnie ogrywali: Wojtek i Andrzej Krzyszkowscy z Gdyni i Janusz Gąsior z Gliwic, mile ich wspominam. Wojtek był młodszy, przerzucał takie lobiki.

– Widocznie skutecznie, musiał mieć talent.

– Co to jest talent? Talent trudno zdefiniować. Czy ten jest utalentowany kto gra ładnie, płynnie, elegancko, czy ten kto umie wygrywać? Nastase, McEnroe grają pięknie, ale najlepsi byli Chris Evert Lloyd i Borg, bo mieli naturalne predyspozycje do wygrywania.

– Domyślam się, że Wojtek Krzyszkowski miał talent do wygrywania.

– Właśnie. Nie robił niczego specjalnego i wygrywał. Tam, na korty przychodzili różni faceci, krótko strzyżeni i zarośnięci, dwa razy wyżsi albo potężniejsi od niego, zdrowi, opaleni, a ten najmniejszy, bladziutki Wojtek ogrywał wszystkich do zera.

– Czy to był tenis wyczynowy czy rekreacyjny?

– To była dziatwa tenisowa, powiedzmy do trzynastu lat, turnieje, treningi, na poważnie. Ja w tym wieku startowałem bardzo mało, ale chyba w kategorii do trzynastu lat to już w Poznaniu wszystko wygrałem. Potem byłem trzeci w Polsce, nie pamiętam w której kategorii – do czternastu czy piętnastu lat.

– Ludzie w Polsce o tym nie pamiętają lub nie wiedzą, gdyż po raz pierwszy usłyszeli twoje nazwisko, gdy byłeś już graczem formatu krajowego. Mówi się, że zacząłeś bardzo późno grać, a ty tymczasem przeszedłeś całą drogę młodego polskiego tenisisty, którą idą teraz setki chłopców i dziewcząt. Niestety, droga ta często prowadzi na stałe za granicę.

– Nie wiem czy niestety, w każdym razie bracia Krzyszkowscy obaj uczą teraz tenisa w RFN, w Hamburgu. Kiedy tam grałem, przychodzili mnie dopingować. Więc do 15 lat Wojtek był najlepszy, Janusz Gąsior był drugi – uczy teraz w Monachium.

– Polski sport się systematycznie, od lat wykrwawia.

– Nie tylko sport. Cały kraj się wykrwawia. Ojcowie oddawali życie, by nie być pod Niemcami, a synowie dobrowolnie się germanizują, mnie chyba Zbonikowski, ładnie grał, trochę atakował, ale nie atakował dużo, to nawet ja z nim wygrywałem. To była moja grupa wiekowa. Rok starsi ode mnie byli Jacek Niedźwiedzki i Bogdan Rogulski. To były autorytety. Rogulski, w okularach, z Warszawy, pokazywał ciekawy, poprawny tenis. Dalej Jacek Niedźwiedzki, na polskie stosunki to był wielki talent – mój późniejszy dobry kolega, dzielny towarzysz wielu ciężkich wypraw. Bardzo wcześnie dojrzały fizycznie i na swój sposób poważny – męski, zawsze opalony, zarośnięty, ciągle gdzieś jeździł wysyłany na turnieje, chodził często do siatki, głośno się śmiał i głośno bekał, wszyscy się go bali. W Sopocie za parę groszy skakał z mola do zimnego morza, miał dziewczyny, grał lewą ręką, nikt nie umiał odebrać jego serwisu, był naszym postrachem. Dwa dni temu zadzwonił do mnie z Monachium, że ma utalentowanego ucznia i prosi o poradę, jak ma się dogadać na kontrakt z jego rodzicami. Wojtuś – mówi – Wojteczku, Wojtula mój kochany – bardzo koleżeńsko, a kiedyś baliśmy się go. Doradziłem mu trochę, niech chłopiec dużo jeździ na rowerku, podnosi ciężarki, gra rano i wieczorem, nie przejmować się, że jest młody, teraz wszyscy dużo trenują, zaczynają wcześniej niż my – żeby nie stracili tych lat, które na przykład mnie umknęły. – Podpisz z rodzicami umowę, że na razie opiekujesz się nim za darmo, ale dostajesz tzw. opcje, że gdy ukończy 18 lat, to np. przez 5 lat ty będziesz nim kierował, podpiszesz dla niego umowę z agentem, McCormickiem czy innym itd.

Teraz mu doradziłem, a wtedy chodziłem na wszystkie jego mecze i patrzyłem jak każdego ogrywa. Miał bezczelną łatwość wygrywania. Pierwszego seta wygrywał 6:0, a w drugim przy stanie 5:0 dawał jednego gema na otarcie łez, serwował drugi serwis na asa lub dawał takie drop szoty, które miały wrócić z powrotem i wszyscy wiedzieli, że teraz „Niedźwiedź" daje prezent, a później kończył i było 6:0, 6:1. Ja też tak z nim przegrałem gdy miałem 14–15 lat, dał mi gema, a drugiego może sam mu urwałem. Trochę starszy był Meres, z 1950 roku.

– Do niedawna był trenerem kadry seniorów.

– I ja tak z nimi grałem, ale mniej więcej do piętnastego roku życia nie mogłem znaleźć lekarstwa na tych cykaczy, którzy grali na przerzut. Krzyszkowski grał pod górę. Gąsior grał pod górę, to znaczy sprawiał wrażenie, że gra płasko, ale przy stanie po cztery zaczynał grać pod górę, i przegrywałem. Wtedy podobno zobaczył mnie Zbigniew Bełdowski, trener na skalę krajową. On załatwił, że będę dołączony jako najmłodszy, do starszych kolegów, Niedźwiedzkiego, Rogulskiego i innych, którzy jeździli za granicę.

– A szkoła? Przecież ty byłeś jeszcze uczniem.

– Wtedy akurat poszedłem do Liceum nr 1 im. Marcinkowskiego – najlepszej szkoły średniej w Poznaniu, to była szkoła dla chłopców. Ewa (żona Fibaka), która jest o rok młodsza, była o klasę niżej – był to pierwszy rocznik dziewcząt, jaki przyjęto do tego liceum.

Gdy byłem w pierwszej klasie liceum, wyjechałem na pierwsze zgrupowanie do Soczi. To było wtedy wielkie przeżycie, chyba większe niż późniejszy wyjazd do Nowego Jorku.

– To był twój pierwszy wyjazd tenisowy za granicę?

– Przedtem raz byłem w NRD, mamy takie zdjęcie grupowe na tle Bramy Brandenburskiej i muru, który tamtędy przechodzi. Dla mnie to było wtedy jak wyjazd do Paryża.

– Pytam o to nie dlatego, żeby odtworzyć każdy szczegół twojego życia, bo to w końcu nie jest takie ważne, ale żeby porównać twoje warunki startu z warunkami dzisiejszej młodzieży tenisowej w Polsce. Wydają mi się one podobne, pod względem bazy technicznej nie gorsze (w Poznaniu nie było ani jednego krytego kortu i później jeździłeś zimą na weekend do Warszawy, żeby trenować), a pod względem wyjazdów zagranicznych jest dziś lepiej. Młodej czołówce nikt dziś wyjazdu nie utrudnia, poza uciążliwymi formalnościami biurokratycznymi, a jak można to i pomaga. Chociaż, kiedy teraz rozmawiamy, w kwietniu 1987, w Polsce trwa akurat akcja oszczędzania na wyjazdach zagranicznych, m.in. kolejny wątpliwy pokaz ze strony władz jak ograniczać liczbę telefonów, samochodów i wyjazdów. W oficjalnych wystąpieniach członków rządu pojawiła się myśl, że sportowcy jeżdżą za dużo i za wcześnie, że powinni jeździć po sukcesy, a nie wracać z niczym. Niepokoi mnie to, gdyż uważam, że nie będzie sukcesów, jeśli nie będzie wyjazdów, a co do telefonów to istotnie są one niepotrzebne, jeśli się na nie nie odpowiada. W domu można dźwigać ciężary, ale grać – wszystko jedno w szachy, piłkę wodną czy w tenisa – trzeba tam, gdzie grają dobrze. Nie można dogonić czołówki na kursach korespondencyjnych. Wyjazdy tenisistów powinny być przemyślane, zgoda, ale nie ograniczane. Ale wracajmy do Soczi.

– W Soczi poznałem Navratilową. Już dobrze grała. Nawet trochę zakolegowaliśmy się. To był 1966 rok. Tam był Piasecki – bardzo dobry tenisista czeski, Węgier Taroczy, Emmerich – bardzo dobry tenisista NRD, który potem przygasł, gdyż nie miał możliwości wyjeżdżania na Zachód (był jeden raz), fajny chłopak, dalej tenisiści radzieccy, słowem tenisowy Wschód. Przegrałem tam chyba w I rundzie, byłem kompletnie nie przygotowany, ale przez 10 dni graliśmy w tenisa. To był pierwszy wyjazd, kiedy naprawdę mogłem porządnie pograć. W maju było zgrupowanie przed meczem młodzieżowego pucharu Galea, na kortach Legii w Warszawie. Tak wielkie dla mnie wówczas nazwiska – Meres, Niedźwiedzki, Rogulski, Dobrowolski, Niestrój – syn starego Niestroja z Katowic, taki cykacz nie do ogrania, to była wielka piątka. Trener Bełdowski wymyślił, żeby do tej starszej grupy dobrać młodszych, którzy wygrywali do 15 lat – Krzyszkowskich, Gąsiora, Zbonikowskiego i mnie. Kazali nam grać między sobą, wybrać najlepszego z najmłodszych, który dołączyłby do starszych. Wyobraź sobie, że ze wszystkimi wygrałem łatwo, chyba 6:1, 6:0. Małe crossy, skróty, serwis ścięty, czasem rotacyjny, przyspieszenia – atak pośredni i wolejem rozrzucałem ich po korcie i nagle okazało się, że to jest moja gra, że ta ich regularność, te półloby, które grali, to już nie miało znaczenia, nastąpił przełom. Dołączono mnie do czwórki „galeowców" – Dobrowolski, Meres, Niedźwiedzki i Rogulski. „Kuluś" Bełdowski nie lubił Niestroja, bo ten grał na przerzut, a „Kuluś" był zwolennikiem gry ofensywnej, z fantazją, uwielbiał Niedźwiedzkiego, a we mnie widział podobne możliwości, gdyż moim najlepszym uderzeniem był zawsze wolej. Na naszą grę patrzył wielki świat: Nowicki, Rybarczyk, Mincberg, Lewandowski – ta cała grupa, która kręciła się na Legii. Może zostawiłem jakiś pierwszy ślad po sobie. W stolicy, na Legii coś wygrałem, uciekłem z tej młodszej grupy nieciekawie grających, bez perspektyw, dołączyłem do 17-18-latków, byłem od nich o rok młodszy.

W następnym sezonie na kortach Olimpii w Poznaniu wygrałem z Niestrojem, Dobrowolskim i z Niedźwiedzkim, a nieznacznie przegrałem z Meresem. Nagle zacząłem liczyć się wśród pełnoletnich, chociaż to, że wygrałem z Niedźwiedzkim, nie znaczyło że już gram lepiej od niego – on grał lepiej. Gdy ja miałem 17 lat, a on 18 – to wygrał ze mną w finale mistrzostw Polski juniorów we Wrocławiu 6:4, 6:4. Po roku, kiedy ja miałem osiemnaście lat – zostałem pierwszy raz mistrzem Polski juniorów. W tym charakterze wyjechałem na mistrzostwa Francji i do Wimbledonu. Gąsiorek wynalazł najtańszy hotel w Paryżu. Z Nowickim i Rybarczykiem spali we trójkę w jednym pokoju, na jednym dużym łóżku. Najlepsza wtedy juniorka i ja spaliśmy przy recepcji za parawanem na jakiejś kanapce. Były oczywiście puszki, jedzenie przytaszczone z Polski, niesamowite sprawy. Głównym celem wyjazdu niektórych osób był handel naciągami, kupić jakiś ortalionowy płaszcz, takie były czasy.

– W każdym razie na Roland Garros wygrałem z dwoma dobrymi graczami, w tym z najlepszym juniorem Francji, i w ćwierćfinale przegrałem ze zwycięzcą turnieju Hiszpanem Herrerą. W Wimbledonie wygrałem z najlepszym Rosjaninem i z tenisistą z Jamajki Russelem, następnie przegrałem z Kimem Warwickiem z Australii. W osiem lat później wygrałem z nim Mistrzostwo Australii w debla. Wtedy, w Paryżu i w Anglii zobaczyłem najlepszych tenisistów, Newcombe'a, Rosewalla i starałem się ich naśladować. Wróciłem do kraju, dużo wygrywałem, ale również przegrywałem. Zacząłem ćwiczyć lift z backhandu. Z forehandu umiałem już grać liftem, jeśli nie grałem, to dlatego, że to nie była moja gra – stać w głębi kortu i liftować w górę. Ja chciałem od razu coś rozwiązać, przyspieszyć ryzykownie po linii, pójść do siatki, uderzyć płasko i szybko, coś z piłką zrobić, pogonić przeciwnika, a nie liftować po to, żeby przebić dwadzieścia razy wysoko nad siatką. Ale technicznie potrafiłem już zagrać z forehandu np. liftowanego loba z rotacją awansującą, który wypuszczony z rakiety wydaje się lecieć daleko w trybuny, by nagle zaskoczyć widzów i spaść przed linią końcową. Jednak po powrocie z Wimbledonu, gdzie widziałem jak inni liftują, zacząłem pracować nad swoim liftowanym backhandem. Wtedy przegrywałem, więc Golimowski i inni mieli do mnie pretensje – dlaczego bez sensu gram tego lifta i nie chcę wygrać? A ja mówiłem, że chcę wygrać, tylko chcę się nauczyć. Narzuciłem sobie samemu to, co później narzuciłem Lendlowi – mniejsza o wynik, naucz się, żeby wygrać później. Przez ten upór przegrałem na przykład z Jamrozem w ligowym meczu w Gdyni, z którym mogłem wygrać. Byłem też trochę zepsuty przez starty na Zachodzie i ważne było to, co sam postanowiłem, a nie co mówili inni. Może nawet to się wydawało trochę aroganckie, bo nie tłumaczyłem dokładnie o co mi chodzi, ale robiłem swoje.

Przełomowe znaczenie miało dla mnie zwycięstwo w turnieju na Targach Poznańskich. To był wówczas jeden z najpoważniejszych turniejów w Polsce, miał tradycje, grał w nim Skonecki, Hrebec, Taroczy. To był dla mnie tak ważny turniej jak dla innych byłby np. turniej w Rotterdamie. W finale wygrałem z Rybarczykiem w pięciu setach. Jako osiemnastoletni junior, uczeń klasy maturalnej, wygrałem ten turniej, było to dla mnie wielkie wydarzenie. Jesienią tego roku wygrałem w Warszawie halowe mistrzostwa Polski seniorów, znowu po dramatycznym pięciosetowym meczu z Rybarczykiem.

Miałem osiemnaście lat i stanąłem wobec ważnych decyzji życiowych. Zaczęło mieć sens inwestowanie w tenisa. Do tego czasu myślałem, że będę w przyszłości studiował reżyserię filmową, to mnie interesowało, to mi się podobało, dużo pisałem i dużo czytałem – mówi Fibak, chociaż wszystko jest względne, bo jak można dużo pisać i czytać będąc czynnym sportowcem, tego nie wiem, a obserwując i znając młodzież tenisową i jej obciążenie – nie bardzo to sobie wyobrażam.

Jak każdy mężczyzna w średnim wieku, Fibak wspomina z rozrzewnieniem i nostalgią. Na przykład, Liceum im. Marcinkowskiego w Poznaniu, do którego uczęszczał. Tam poznał nie tylko Ewę, swoją przyszłą żonę, ale zdobył podstawy wykształcenia, które następnie uzupełniał głównie sam i nadal to czyni, bo umysł ma nieprzeciętnie chłonny i otwarty. Zapowiadał się na humanistę, był ulubieńcem polonistki, pani Stoińskiej i historyczki, pani Mąkówny. Dobra, solidna polska szkoła, potwierdzała wartości wpajane przez państwa Fibaków



W BARWACH NARODOWYCH – TADEUSZ NOWICKI, WOJCIECH FIBAK I HENRYK DRZYMALSKI.

w domu. Po dziś dzień Fibak chętnie odwiedza szkołę, a do jego przyjaciół należą ówcześni koledzy – Rysio Kabaciński i Michał Strzyżowski (niestety, też za granicą, instruktor firmy Audi oraz laryngolog w RFN), oraz Marek Gaul i Marek Ruciński – dwaj ostatni na szczęście w Poznaniu – dodaje z ulgą.

Polskie liceum nie bardzo go jednak przygotowało do życia na Zachodzie, nie taki jest jego cel. Z tamtej perspektywy wydaje się zbyt akademickie, za mało praktyczne. Szkoła polska z niezmiennym uporem obciąża uczniów milionem niepotrzebnych później informacji, kosztem pielęgnowania i rozwijania ich uzdolnień i przygotowania do życia.

Zdał maturę i stanął wobec koniecznej decyzji – co dalej? Co prawda chodziły mu jeszcze po głowie dawne plany studiów na reżyserii filmowej, jego ideałem był Polański, ale sukcesy tenisowe były bardziej pociągające i realne. W rezultacie Fibak poszedł na studia prawnicze. Nie dlatego, że marzyła mu się przyszłość sędziego lub adwokata, ale ponieważ sądził, że te studia można pogodzić z częstą nieobecnością i rozjazdami. Studia te zarzucił jednak na II roku i nigdy nie miał czasu ani powodu do nich powrócić. Zastanawiali się z ojcem, sprawdzali ile ugrał setny gracz rankingu ATP, Jeff Borowiak (tenisista amerykański) i mówili sobie tak: jeżeli będziesz kiedyś setny na świecie, co wydawało się nierealnym marzeniem, to zarobisz rocznie osiem tysięcy dolarów. A więc wcale nieźle jak na stosunki polskie, czego można więcej chcieć? Za te pieniądze można w Polsce żyć lepiej niż pięciu prawników. Ojciec, który początkowo miał nadzieję, że syn zostanie lekarzem, co by mu dawało pewną niezależność polityczną i materialną, był jednak na tyle pragmatyczny, iż nie przeciwstawiał się tenisowym planom syna. Jan Fibak wydźwignął swoją rodzinę na przyzwoity poziom kulturalny i materialny – kupił samochód, pół domu, jeździli na wakacje za granicę, nadchodził czas, kiedy coraz więcej dla rodziny miał zrobić syn i – jak się później okazało – zrobił, gdyż dziś za jego sprawą znalazła się w Ameryce żona Ewa, córki oraz siostra Barbara, szwagier Mariusz, a nawet ich malutki synek zwany pieszczotliwie Tuptusiem.

Wybór drogi życiowej po maturze nie był łatwy i jak zwykle u sportowców, nie następował z dnia na dzień. Był to pewien przyspieszony proces, trwający około dwóch lat. W tamtym okresie, ponad 15 lat temu, coś takiego jak kariera zawodowego sportowca jeszcze w Polsce nie istniało, narciarz Bachleda i piłkarz Lubański stawiali pierwsze kroki na gruncie zawodowym. Wtedy zawód lekarza, adwokata czy reżysera wyglądał o wiele bardziej solidnie i prestiżowo niż bliżej nieokreślona i niepewna kariera tenisisty. Sportowiec był jeszcze człowiekiem zależnym, wyjeżdżał na cudzy koszt, dostawał bilety, najwyżej kilka diet i wracał z pustymi rękoma lub z drobnymi zakupami na handelek – tak jak większość sportowców do dziś. Mama Fibakowa nie była więc zachwycona, ale nie protestowała, a rodzina była i jest solidna, zwarta, syn bardzo liczył się ze zdaniem rodziców i do dziś uważa, że wszystko im zawdzięcza, telefonuje do Poznania co kilka dni, śledzi stan zdrowia ojca i samopoczucie matki, pomaga Basi i Mariuszowi, tworzy zgrane małżeństwo z Ewą, która ma wiele do powiedzenia i jest nie tylko ozdobą, ale i podporą.

Nie wybiegajmy jednak za daleko w przód. Wtedy jeszcze w domu nie myślano, że Wojtek zarobi fortunę, raczej traktowano tenis jako formę awansu, możliwości wyjazdu, poznania świata, poszerzenia horyzontów, Włochy, Francja, Krym, Anglia i i do tego jeszcze parę groszy – dlaczego nie? To mogło tylko pomóc w rozwoju, ale raczej jako składnik niż cała treść życia. Jeszcze po kilku latach nauczycielka Stońska, babcia i inne osoby miały nadzieję, że zobaczą Wojtka jak z teczką wsiada do tramwaju i dziewiątką jedzie na uniwersytet, a później „będę wychowywał dzieci między Mickiewiczem a Norwidem".

– Mając 18 lat, wspomina Fibak, zdawałem sobie sprawę, że na stosunki polskie jestem mocny, może nawet bardzo mocny, ale na stosunki międzynarodowe jestem zerem. Niczym, zupełnie niczym. Czasem coś wygrałem, ale to bez znaczenia. Trwało cztery lata zanim podciągnąłem się do czołówki światowej. Gdybym mając 18 lat zagrał z Gottfriedem na trawie, to bym nie wygrał gema. Z Solomonem, który jest z mojego rocznika, na ziemi nie wygrałbym gema. Podobnie w hali lub na cemencie z Connorsem. Kiedy oni mieli po 18 lat, to już nie grywali w turniejach juniorów, dlatego nie trafiałem na nich. Connors – rocznik 1952, Gottfried 1952, Dibbs 1951, Tanner 1951, Sandy Mayer 1951, Gerulaitis 1954, oni by mnie ograli do zera, taka była między nami różnica. Jak dzisiaj między twoją Agatką a Steffi Graf, no może Sabatini. Mając 18 lat uwziąłem się, zacząłem pracować nad sobą, chciałem częściej grać, więcej grać. Wiedziałem, że muszę przebić na drugą stronę siatki dziesiątki, setki tysięcy piłek – tych samych piłek, które moi rówieśnicy na Zachodzie już przebili na drugą stronę. Zacząłem ocierać się o rezerwy polskiej drużyny w Pucharze Davisa. W następnym roku byłem miesiąc na południu Włoch i Francji, znowu się podciągnąłem, chciałem się poprawić. Tadzio Nowicki odniósł swój, jak się później okazało, życiowy sukces pokonując wschodzącą gwiazdę Bjoerna Borga na kortach ziemnych w Nicei. Zamęczył taktycznym skrótem i lobem z backhandu monotonnie przerzucającego Szweda. Gąsiorek jak zwykle coś wygrał swoim poświęceniem i solidnością. Jak widać, Gąsiorek, Rybarczyk, Nowicki, Niedźwiedzki byli graczami na dobrym europejskim poziomie, ale nie mieli potencjału światowego, nie mieli siły przebicia, nie byli zorganizowani, każdy z nich miał jakieś słabości, np.







PUCHAR DAVISA W POZNANIU
FIBAK Z NIEDŹWIEDZKIM PO ZWYCIĘSTWIE NAD PARĄ NORWESKĄ

CAF (repr. Andrzej Szozda)

Nowicki w obronie z backhandu, Gąsiorek w ataku przy siatce, Rybarczyk wszystko robił dość dobrze, ale nie bardzo dobrze, nie był ani za dość ofensywny, ani za dość defensywny – z takim tenisem nie można było wejść na same szczyty. Owszem, Rybarczyk miał dużo sprytu, był dzieckiem ulicy, miał tę chytrość na korcie, ale ile można wygrać sprytem, jeśli przeciwnik goni cię jak psa. Niedźwiedzki pięknie atakował, grał słabiej w obronie, taktycznie trochę szablonowo, mimo że dużo potrafił technicznie. Niestety, mimo że bardzo silny i wspaniale zbudowany, muskularny, często łapały go kurcze i nie wytrzymywał długich meczy. Ja sam słabo serwowałem i smeczowałem, brakowało mi ciągle ogrania meczowego. Nie były to łatwe lata, bo jeszcze usiłowałem studiować, w Poznaniu nie było sali tenisowej. Tu nie mogłem jechać, tam mnie nie puścili, tu nie miałem pieniędzy, gdzie indziej było za daleko, więc nie szło łatwo.

Właściwie mając dopiero 22 lata zacząłem grać na stałe z najlepszymi. Jeszcze nie wygrywałem, ale już grałem. W wieku 24 lat byłem już jednym z nich – wygrałem z Borgiem, Nastase, Okkerem, byłem w finale Monte Carlo, wygrałem duży turniej zawodowy w Sztokholmie i tak już poszło. Gdybym w latach 1975-77 skupił się wyłącznie na tenisie i miał starszego gracza-trenera jako doradcę, doszedłbym i wyżej. Wtedy zabrakło kogoś, kto by mi pomógł, pokierował mną i dopilnował, żebym skoncentrował się tylko na tenisie. Ja tymczasem układałem sobie życie w Polsce, ożeniłem się, urodziła się Agnieszka, wyjeżdżałem na kilka miesięcy do Stanów, był to mój pierwszy długi wyjazd do Ameryki na cykl turniejów trwający 4 miesiące. Grali w nich Gerulaitis, Tanner, Nastase, Connors, a ja byłem zaproszony jako młody zdolny ze Wschodu, razem z jednym Czechem. Nawet nieźle tam grałem, dwa sety wygrałem z Connorsem, dwukrotnie przegrałem z nim w trzech setach.

– Czy w tym czasie kiedy już wyrosłeś z klubu i z trenera Golimowskiego, ktoś opiekował się twoim tenisem, ktoś cię uczył?

– Na pewno mogę wymienić Zbigniewa Bełdowskiego, „Kulusia". Bełdowski jako trener to było najlepsze co mogło zdarzyć się w polskim tenisie. Człowiek na poziomie, entuzjasta i fachowiec zarazem. Pomógł mi przede wszystkim dlatego, że kiedy mnie zobaczył, stwierdził, że podobno mam talent w ręku i w nogach. Nie grałem wtedy tak efektownie i widowiskowo jak np. Niedźwiedzki, ale Bełdowski dostrzegł, że mogę mieć przyszłość. Wzorowałem się wtedy na Piątku, bo nie mogłem grać jak Gąsiorek. Ci dwaj reprezentanci Polski dominowali wówczas w Poznaniu, przez dwadzieścia lat grali ze sobą w parze debla i zwracali się do siebie per pan, „ależ panie, jak pan gra, pan serwuje, ależ pan zagrywa...". Piątek miał technicznie świetnie ustawiony tenis, ładnie grał, choć trochę szarpał, miał dobrego dropszota, loba, niczego mu nie można zarzucić jak na Poznań. Moim idolem był wtedy Orlikowski, ten grał pięknie, elegancko, ale przyjeżdżał do Poznania rzadko i ja niezbyt miałem się na kim wzorować. Trochę na Golimowskim, trochę na Piątku i tyle. Na tym między innymi polega różnica między Polską a Czechosłowacją czy Ameryką, że tam grają lepiej na średnim poziomie i młodzi mają lepsze wzory, jest na kogo patrzeć i od kogo się uczyć. Pamiętam, że przegrywałem z Czechami, którzy następnie nie robili kariery u siebie. Czesi mają taki tenis, że ich „odrzuty" są lepsze od pierwszego garnituru gdzie indziej. Dlatego byłem zadowolony, kiedy pojechaliśmy do nich.

W Polsce są trenerzy, którzy kiedyś grali i to nieźle grali, ale czy oni mogą pokazać młodzieży jak się teraz gra? Nie mogą, bo nie grają i wczoraj też nie grali, tylko grali 10-20 lat temu. A Czechosłowacja ma stały kontakt z tenisem światowym od kilkudziesięciu lat. Tam w klubach grają lepiej niż u nas w kadrze, to samo tutaj, w Ameryce. Przed kilkoma tygodniami byłem na Florydzie i poszedłem do klubu trenować z Andrzejem Czesnokowem przed turniejem w Key Biscayne. Wszystkie korty były zajęte, wszędzie młodzież, dwunasto-trzynastoletnie dziewczynki, w ogromnym upale, godzinami grają. Ja po półtorej godzinie byłem ledwie żywy, Andrzej też, a one ten backhand dwuręczny, ten forehand, raz, drugi, dziesiąty – co prawda swoim rytmem, ale zawsze. Czesnokow, widząc, że patrzę na nie z podziwem, stwierdził: „Ze mną by też sobie pograły, ale z tobą nie! Zepsułbyś im grę twoją niską, nierówną piłką. Mało kto już tak ogrywa linie".

Ta masowość pozbawia ludzi złudzeń. Na Florydzie i w Kalifornii mało kto łudzi się, że zostanie Connorsem, bo tyle osób dookoła gra tak dobrze, a mimo to w najlepszym wypadku tylko udzielają lekcji, albo naciągają rakiety. Natomiast w Europie, w każdym miasteczku we Francji czy w Polsce, jest co najmniej jeden, który chce być Noah'em a inny Beckerem. Bo nie mają pojęcia, ile tysięcy młodych ludzi gra lepiej od nich.

Spójrzmy na takich tenisistów jak Nastase, Metreveli, Taroczy i Fibak – z jednej strony, a Borg, Kodes czy Lendl z drugiej. Ci pierwsi nie mają następców. Był słynny Nastase – nie ma następnego Rumuna. Był Taroczy – po nim cisza na Węgrzech. Był Fibak – jak na razie nie ma następcy. Był wielki Metreveli, ale nikt nie gra stylem Metrevelego. Dlaczego? Borg i Lendl mają następców, a Nastase i Fibak nie? Po pierwsze – tradycja lub jej brak, po drugie, Borg stworzył szkołę, jego można naśladować; setki Szwedów grają jak Borg. Rosjanie kopiują Borga, tysiące chłopców i dziewcząt na całym świecie odbijają jak Borg czy Chris Evert Lloyd. Natomiast mało kto potrafi grać w tenisa jak Nastase, Metreveli, Taroczy czy ja. Myśmy mieli wyjątkowy, indywidualny sposób gry...

Fibak uważa, że on reprezentuje polski styl gry w tenisa: – Trochę wariacki i dziki w wykonaniu „Kulusia" Bełdowskiego, pieszczony przez Skoneckiego, zanudzany kilka lat za długo przez Gąsiorka, podtrzymywany nogami Tadeusza i forehandem Wieśka Nowickiego, styl na wskroś polski, szlachetny, dżentelmeński, elegancki, łagodny choć zjadliwy, pełen zasadzek wynikających ze stałego uchwytu rakiety do wszystkich uderzeń, dzięki czemu w ostatniej chwili można zmienić zamiar. Styl, który zrodził się na mnie, doprawiony australijskim akcentem Rosewalla, Rumuna Nastasego, Włocha Panatty, Holendra Okkera i Hiszpana Orantesa. Ten nasz styl doprowadził do perfekcji John McEnroe, dodając atut leworęcznego, fałszywego, irlandzkiego serwisu. Tego nie da się nauczyć nikogo w Polsce, ale życzę Kowalskiemu i Sidorowi, by rozwinęli szeroko swoje skrzydła z backhandu i forehandu. Swoją drogą wiem, że w Polsce nie ma hal, nie ma piłek, nie ma pieniędzy, ale to nie usprawiedliwia wszystkiego. Sama młodzież też jest winna, nie ma dość ambicji, za mało pracuje, za mało trenuje, za mało ćwiczy, choćby sama i wbrew istniejącym warunkom. Jest niestety rozpuszczona i wymagająca ponad swoje zasługi. Ja przecież wyrosłem z tych samych warunków, jeszcze gorszych, bo dawniej było gorzej. W Poznaniu nie było ani jednego krytego kortu i ja wstawałem czasami o 4-5 rano, wsiadałem w samochód, pędziłem do Warszawy, tam cały weekend grałem z Nowickim, Mincbergiem, Rybarczykiem w sali siatkarzy Legii i wracałem do domu. To też nie była sala tenisowa, ale dla mnie to był raj, klepka, siatka, potem pod prysznicem widziałem jak przychodzą następni – siatkarze czy gimnastycy, czuło się prawdziwy sport. Boże, myślałem, gdybym ja mieszkał w Warszawie, jakie tu są warunki do gry w tenisa... A działacze? Miałem różne doświadczenia z działaczami, jedni mi pomagali, inni rzucali mi kłody pod nogi, ale nie będę ich krytykował. Dlatego, że w dziewięćdziesięciu procentach są to ludzie, którzy cały swój czas poświęcają tenisowi społecznie i nic z tego nie mają. Oczywiście, mają wiele pomysłów chybionych, mało wiedzą, mało umieją, ich pojęcie o współczesnym tenisie jest prawie żadne, mało widzieli i mało oglądają, są skrępowani biedą i przepisami, mają swoje własne słabostki i ambicyjki, ale trudno mieć im coś za złe, jeżeli to jest wszystko robota ochotnicza, społeczna i amatorska. Nawet nie mam im za złe, że mnie ukarali za wyjazd do Barcelony, bo widocznie inaczej nie mogli. ■

CDN.

DANIEL PASSENT

TENIS Z FIBAKIEM

Mówi MARIUSZ WALTER, przedstawiciel firmy ITI



● Pana nazwisko przywykliśmy łączyć z polską telewizją, a przyszło mi rozmawiać z przedstawicielem firmy ITI — International Trading and Investment corp. Firma polonijna czy joint venture?

Mariusz Walter: — Nie! Przedsiębiorstwo o kapitale całkowicie zagranicznym.

● Co robicie?

— Zacznę od reklamy w telewizji. Tam, gdzie pani znajdzie na dole znaczek, trzy literki ITI — to my. Ostatnio np. reklamujemy „Baltonę". Robimy też reportaże, filmy instruktażowe, dokumenty, których potrzeba jest autentyczna, szczególnie dla firm eksportowych. Wreszcie dział najważniejszy — produkcja kaset. Nagrywamy spektakle, kabarety, np. Pietrzaka, Hemara w Ateneum, Fronczewskiego, Smolenia i innych. A nawet „Kuchnię chińską" i prowadzone przez Fibaka lekcje tenisa.

● Jak to prosperuje?

— Nieźle! Ceny kaset kształtują się od 17 do 20 tys. zł. Sprzedajemy za pośrednictwem Domu Książki. Oprócz tego mamy 15 własnych filii w Polsce — we Wrocławiu, w Nowym Sączu [illegible]

powstają wersje polskie i w tej formie idą na rynek. Staramy się także eksportować nasze pozycje telewizyjne i filmowe za granicę, do środowisk polonijnych.

● A nie macie ambicji robienia seriali, filmów krótkometrażowych dla telewizji?

— Owszem! Sprzedaliśmy im kilka filmów, ale nie możemy się pokusić o jakieś większe przedsięwzięcia, ponieważ mimo znacznych inwestycji nasza baza techniczna jest dość szczupła. Jesteśmy sprawni, jeżeli chodzi o kopiowanie, dystrybucję kaset, ale w produkowaniu filmów mamy ograniczone możliwości.

● Cena waszych kaset wydaje się niewygórowana. Ile wynosi obecnie koszt samej kasety?

— Na „Skrze" ok. 12 tys. Doliczmy naszą pracę, nagranie, należności autorskie, podatek.

● No i opłaca się?

— Widocznie, skoro prowadzimy nasze przedsiębiorstwo. Ale majątku, kokosowych interesów nie robimy. Duże zarobki inkasują ci, którzy pracują „na czarno", nie płacą podatków, preferują gorszą jakość. Można, dla przykładu, wypuścić kasetę z okładką czarno-białą, na gorszym papierze, i już rośnie zysk. Ale my mamy swoje ambicje. Pracujemy na kasetach z importu, dbamy o jakość, estetykę. Byliśmy na krajowym rynku pierwsi. Po nas powstało mnóstwo firm o podobnym profilu, piętnaście, może dwadzieścia. Mam na myśli przedsiębiorstwa prywatne. Oprócz tego podobną działalność prowadzi „Interpress". Obecnie powstała spółka telewizji z filmem pod kierownictwem Sobiesława Zasady. Ta firma będzie miała coś do powiedzenia na rynku wideo. Nie wszystkim powodzi się jednakowo. Jedne firmy rezygnują, następne powstają. Interes w skali kraju się rozkręca.

● Czy jesteście w stanie określić liczbę właścicieli aparatury wideo? Ilu macie potencjalnych klientów?

— Nie wiem i wątpię, żeby ktokolwiek wiedział. Określenie liczby aparatów może służyć jedynie jako odpowiedź na pytanie, czy jest to taka wielkość, że mamy prawo mówić o zjawisku społecznym w upowszechnianiu kultury, czy też jest to tylko margines. Otóż, czy liczba aparatów wynosi 350 tys., czy też 750 tys. należałoby ją przemnożyć przynajmniej przez pięć czy dziesięć. Z wideo ludzie korzystają z reguły w grupach, w klubie, w towarzystwie, w świetlicy, w szkole. Mamy prawo mówić o wielkim, nowym zjawisku w życiu kulturalnym kraju.



ŚCIANA PŁACZU

Najstarsze wycinki pochodzą z 1966 roku, tj. sprzed dwudziestu dwóch lat. Na fotografii czternastoletni Wojtek z kolegą, w stroju tenisowym, z rakietą. W lutym 1966 roku pierwsza wzmianka prasowa: Komisja Poznańskiego Okręgu Związku Tenisowego ogłosiła doroczną klasyfikację. *Wśród młodzików pierwsze trzy miejsca zajmują: Geldner, Fibak i Plewiński.* Jesienią 1966 roku gazeta przynosi sprawozdanie z turnieju tenisistów Wielkopolski. *Największym zainteresowaniem cieszył się turniej chłopców z roczników 1951–52. Wygrał go pewnie filigranowy reprezentant AZS – Fibak.* NazwiskoFibak podkreślone jest w albumie na czerwono. Tylko najbliższa rodzina wie, jaka to satysfakcja zobaczyć swoje nazwisko w gazecie i to jako zwycięzcy.

Nadchodzi wiosna 1967 roku. W meczu Poznań-Szczecin Fibak *zwyciężył bezapelacyjnie* Wójcika 6:4:, 6:0. *Seria zwycięstw graczy najmłodszego pokolenia jest symptomem wyraźnej zwyżki tzw. zaplecza w Poznaniu* – komentuje z dumą miejscowa gazeta. Jesienią odbył się turniej wewnętrzny AZS-Poznań. *W finale gry pojedynczej Golimowski pokonał juniora Fibaka 9:7, 6:4. Tym razem jeszcze rutyna mistrza wzięła górę nad temperamentem ucznia... w finale gry podwójnej zwyciężyła para Golimowski-Fibak.* Jest to szczególnie miła pamiątka, ponieważ Henryk Golimowski był zawodnikiem AZS i zarazem trenerem małego Wojtka. Grać w finale przeciw własnemu trenerowi, a następnie tworzyć z nim parę deblową – to nie zdarza się często. Anonimowy autor notatki jak gdyby dobrze przeczuwał dalszy bieg, pisząc, że *tym razem jeszcze rutyna mistrza wzięła górę*... Golimowski nie zrobił wielkiej kariery, ale należy do znanych i cenionych działaczy PZT, a jego ucznia czekała wielka przyszłość.

Rok 1968 – Fibak ma już piętnaście lat, startuje jeszcze jako młodzik. Notatka prasowa pt. *Tenisowa sensacja. Tytuł mistrza Wielkopolski juniorów w tenisie zdobył bezkonkurencyjny Wojciech Fibak. Wydaje się, że o tym niewątpliwie utalentowanym zawodniku jeszcze niejednokrotnie usłyszymy.* Fibak wygrywa także turniej 1-majowy młodzików. Następuje także chyba pierwszy wyjazd zagraniczny młodego zawodnika. Na amatorskiej fotografii oglądamy kilkunastoosobową gromadkę na tle Bramy Brandenburskiej i muru berlińskiego. Mały „Fibaczek" w sweterku sięga do ramion swoim starszym kolegom w garniturach. Wyjazd był dowodem współpracy poznańskich tenisistów ze sportowcami zza Odry.

W końcu roku sporządzone zostają listy klasyfikacyjne. Szesnastoletni Fibak jest pierwszy na liście juniorów i czwarty (po W. Gąsiorku, J. Piątku i Adamczaku) wśród seniorów województwa. Na liście ogólnopolskiej wśród juniorów 18-latków Fibak zajmował siódme miejsce. Wyprzedzali go: Meres, Niedźwiedzki, Dobrowolski, Rogulski, Niestrój i Kamiński – wszyscy starsi od niego.

Kolejny wyjazd do NRD był już bardzo udany. *16-letni Fibak rewelacją turnieju w Magdeburgu.* Doszedł do półfinału i pokonał rozstawionego z nr 1 reprezentanta NRD Petereisena. Również gazeta niemiecka chwali młodego Polaka. Polski „Spitzenspieler" pokonał dzielnie walczącego Petera Weissa z Aue. Dopiero w finale Niemiec Schneider „w efektowny sposób" powstrzymał Fibaka 6:2, 6:4. NRD-owska gazeta przynosi nawet fotografie *dużej niespodzianki międzynarodowego turnieju tenisowego, którą był polski Sportfreund Fibak.*

Rok 1969. *Sensacja na korcie. W ramach tenisowego turnieju 1-majowego, junior AZS W. Fibak pokonał J. Piątka,* który był wówczas jednym z najlepszych seniorów, drugim po Gąsiorku graczem w Poznaniu. *W międzynarodowym turnieju juniorów w Martinelle (Belgia) znakomicie spisał się najlepszy junior Wielkopolski Wojciech Fibak* pokonując kolejno mistrza juniorów Austrii Feigla, Czechosłowaka Jankowskiego i w finale mistrza juniorów Holandii Muldera. Coraz częściej nazwisku Fibaka towarzyszyć będzie słowo „sensacja". Zwycięstwa nad młodymi mistrzami niektórych krajów pozwalają zorientować się w poziomie jego gry na tle międzynarodowym. *Postawa poznaniaka spotkała się z serdecznym aplauzem licznej polskiej widowni* donosi gazeta. Pojawia się nowy akcent – Fibak korzysta z dopingu Polonii i jednocześnie poprawia jej nastrój jako Polak.

Z okazji zwycięstwa w Centralnej Spartakiadzie Młodzieży 1969, gazeta przedstawia Fibaka. *Ma dopiero 17 lat. Zdał obecnie do III klasy Liceum Ogólnokształcącego im. K. Marcinkowskiego. Jak mu się wiedzie w szkole? – Byłem jednym z najlepszych w klasie. Kłopotów z nauką nie miałem. Chociaż trzeba przyznać – nie było łatwo godzić książki ze sportem. Przecież musiałem trenować codziennie, po 3 godziny. Poza tenisem i szkołą na nic już nie miałem czasu. Najgorzej jest w zimie. Nie ma gdzie trenować, bo przecież nie posiadamy żadnej hali. Ćwiczę na sali gimnastycznej, gdzie można tylko odbijać piłkę od ściany. Jest to namiastka treningu i zawsze czekam z niecierpliwością na wiosnę.*

W tym czasie Zbigniew Bełdowski, kapitan sportowy PZT, zwraca uwagę na młodego Fibaka i włącza go do reprezentacji Polski na mecz z Czechosłowacją w ramach rozgrywek o Puchar Króla Gustawa V. Młody tenisista z Poznania po raz pierwszy trafia do drużyny narodowej obok Bełdowskiego, Nowickiego, Rybarczyka i Niedźwiedzkiego. Polacy przegrali z kretesem. *Nie idzie o to, że przegraliśmy, ale jak przegraliśmy* pisał w „Przeglądzie Sportowym" wymagający Adam Choynowski. *Jedynym jaśniejszym dla nas momentem soboty było zwycięstwo Wojciecha Fibaka z ósmą rakietą CSRS, Marianem Tejcnarem w grze pokazowej. 17-letni poznaniak udowodnił, że jest talentem dużej miary i że jego powołanie do kadry, choć może przedwczesne, nie było przecież takim nonsensem jak się to niektórym wydawało.*

Wczesną wiosną 1970 Fibak pojechał do Soczi, na tradycyjny wiosenny turniej krajów socjalistycznych. *Wypadł doskonale, gładko zwyciężył w grze pojedynczej oraz walnie przyczynił się do sukcesu w grze podwójnej oraz mieszanej.*

W maju 1970 roku Fibak jako najlepszy polski junior bierze po raz pierwszy udział w wielkim turnieju międzynarodowym, jakim są mistrzostwa Francji na kortach Roland Garros. Wtedy był młodym, skromnym osiemnastolatkiem z Polski, który przyjechał na słynne paryskie korty. Dziś mieszka dokładnie po drugiej stronie ulicy, a właściwie ma tam jeden ze swoich dwóch domów. Po powrocie powiedział dziennikarzowi: *Przede wszystkim chcę powiedzieć, że w zawodach juniorów startowało kilkunastu mistrzów krajowych... w I rundzie wygrałem z notowanym na 4. miejscu francuskiej listy juniorów D. Naegelenem 6:0, 6:1. Czułem się bardzo dobrze, ale nie zabrakło tremy, gdy przystępowałem do następnego spotkania z najlepszym juniorem Francji, wicemistrzem dorocznych zawodów Orange Bowl w Miami Beach – J. F. Caujolle. A jednak wygrałem 6:1, 4:6, 6:1. W ćwierćfinale przegrałem z późniejszym zwycięzcą turnieju, Hiszpanem Herrerą 1:6, 2:6.* Młodziutki Fibak już wtedy umiał rozmawiać z dziennikarzami, umiał powiedzieć kto był najlepszym juniorem Francji a kto późniejszym zwycięzcą turnieju, żeby prasa umiała lepiej ocenić jego własne, niewątpliwe sukcesy.

Roland Garros, Miami Beach – zaczynają pojawiać się adresy z wielkiego świata, a Fibak zaczyna opanowywać sztukę udzielania wywiadów. W powyższej rozmowie najpierw opowiedział obszernie o udanym występie swojego starszego kolegi, niezmordowanego Wiesława Gąsiorka. Młody 18-letni Fibak nabiera obycia z prasą. W przyszłości z reguły nie odmawiał dziennikarzom, nie okazał się skryty i małomówny jak Lendl, nie ma kompleksów, umie korzystać z zalet środków przekazu, dobrze czuje się w świecie reklamy i public relations. Umie się zachować, gładko i sprawnie mówi, wykazuje poczucie humoru, szybko i z wyczuciem reaguje na pytania. Ogląda i obyciem przewyższa wielu sportowców, którzy nie umieją sklecić dwóch zdań do rzeczy. Ma jednak pewien kompleks: nie lubi, kiedy mówi się lub pisze o nim, że jest inteligentny, oczytany „jak na sportowca". Nie chce dla siebie taryfy ulgowej, a po tym jak reaguje na takie komplementy z zastrzeżeniem, widać, że nie jest do końca pewny siebie – gdyby był, to by nie reagował. A ma przecież tyle powodów do dumy, że nie musi mieć kompleksów.

W finale turnieju Roland Garros (1970) spotkali się – najlepszy Jugosłowianin Zejlko Franulovic oraz najlepszy Czechosłowak Jan Kodes. Obu ich później Fibak pokonał, ale wtedy byli ciągle lepsi i starsi od niego. Tamtego występu Fibaka w Paryżu nie powtórzył dotychczas żaden inny Polak. Nawet dziś, gdy nasz tenis jest już „po Fibaku", jakaż by to była radość, gdyby ktokolwiek z naszych juniorów wygrał z najlepszym juniorem Francji...

W tym samym roku Fibak został wysłany do Wimbledonu – na najbardziej znany i prestiżowy turniej na trawie. Podobnie jak na Roland Garros, młody Polak dotarł do ćwierćfinału w turnieju juniorów, gdzie przegrał z Australijczykiem Kim Warwickiem 3:6, 4:6. Później, jako senior, w tych dwóch prestiżowych turniejach Fibak również nigdy nie zaszedł wyżej niż do ćwierćfinału. Pod tym względem w wieku 18 lat, będąc jeszcze uczniem, osiągnął swoje apogeum, mimo że pod innymi względami wielka kariera była jeszcze przed nim. *Bardzo bym chciał grać dobrze w tenisa* – mówi. *Moi rodzice są zapalonymi kibicami. Przyszłość naszego tenisa należy do Fibaka, ale przyszłość dobrze pokierowana* – stwierdza dziennikarz.

Po udanych występach za granicą, młody Fibak wraca do kraju, gdzie w pełni lata, w środku lipca odbywały się mistrzostwa Polski w Jeleniej Górze. Zaczyna się od niespodzianek – Adam Mincberg z Legii, ubiegłoroczny ćwierćfinalista, przegrał już pierwszego dnia z Kończakiem, natomiast Fibak niespodziewanie wygrał z Wiesławem Nowickim z Łodzi 6:2, 6:1, 6:8, 6:2. W doniesieniach prasowych z Jeleniej Góry dominowały dwa tematy: okropna pogoda, ciągle leje, dokończenie mistrzostw pod znakiem zapytania oraz rewelacyjna postawa Fibaka, który w spotkaniu z Kleiberem obronił cztery meczbole, tj. czterokrotnie los jego zależał od jednej piłki, wisiał na włosku, by w rezultacie wygrać 6:8, 6:2, 4:6, 8:6, 6:0 (!) Kto umie czytać, temu taki wynik mówi dużo. Nawet jeśli nie było się świadkiem, można z tych cyfr odczytać cały dramatyzm spotkania. Również W. Nowicki nie sprzedał tanio swojej skóry. Fibak musiał się napracować zanim wygrał 6:2, 1:6, 8:6, 6:2.

Potrafił nawet wygrać seta ze stanu 1:5. Fibak znów doszedł do ćwierćfinału, gdzie uległ późniejszemu mistrzowi Wiesławowi Gąsiorkowi. Mistrzostwa w Jeleniej Górze potwierdziły jeszcze jedną, ważną cechę młodego zawodnika – ambicję i waleczność, odporność psychiczną i wytrzymałość, bez której nawet najlepiej wyszkoleni technicznie i przygotowani fizycznie nie mogą zwyciężać. Niektórzy kibice są zdania, że tej odporności psychicznej i wytrzymałości brakowało niewiele od Fibaka starszemu Jackowi Niedźwiedzkiemu, który był silniejszy, potężniejszy i wtedy miał nie gorsze zadatki techniczne na gracza dużej miary.



JAN KODES Archiwum

Następnie Fibak włączony został do młodzieżowej reprezentacji Polski w drużynowych rozgrywkach o Puchar Galea – odpowiednik Pucharu Davisa dla sportowców do 21 lat. W Mariańskich Łaźniach Polacy spotkali się z Holendrami. Oto fragment pełnej napięcia relacji Adama Choynowskiego: *Do następnej gry na kort wyszli Fred Hemmes, trzecia rakieta Holandii, również daviscupowy reprezentant i niespełna 18-letni Wojciech Fibak – 23 rakieta w kraju. Kapitan drużyny Zbigniew Bełdowski zdecydował się na pozostawienie w rezerwie Jacka Niedźwiedzkiego, narzekającego na ból ręki, chcąc go oszczędzić na grę podwójną i na ewentualny mecz z CSRS. Posunięcie to wydało się wszystkim bardzo ryzykowne, równające się niemal oddaniu Holendrom punktu bez walki.*

Początek meczu potwierdził tę opinię. Hemmes wygrał pewnie I seta i prowadził w drugim 3:0. Nasz młody reprezentant był często bezradny (...) ale walczył z niezwykłym uporem. Widząc, że grając w defensywie jest skazany na porażkę, rozpoczął coraz częstsze kontrataki. Okazało się, że Hemmes jest w obronie znacznie słabszy. (...) Ku ogólnemu zdumieniu i szalonej radości grupki Polaków przebywających w Mariańskich Łaźniach na kuracji, Polak wygrał ciurkiem 6 gemów (Fibak wygrał 3:6, 6:3, 8:6). *Polacy na trybunach odśpiewali 18-letniemu rodakowi sto lat. Zasłużył na to. Pokazał, że potrafi walczyć w każdej, nawet straconej wydawałoby się sytuacji.*

Następnym przeciwnikiem Polski była Czechosłowacja. Meres i Niedźwiedzki przegrali gładko 0:3. Fibak zagrał dopiero od tego momentu i urwał seta Piseckiemu, ale nic to nie pomogło i nazajutrz czeska prasa podawała: *Jedeme do Vichy. S Polskom bez ztraty bodu.* O Fibaku czytamy: *mlady, obrovsky pohyblivy a houzevnaty, blesku rychle prechazejici z obrany do utoku, se stali pilirem polské reprezentace.* Gdy wczytać się uważnie – można domyśleć się o co chodziło.

O Fibaku pisze się już w Polsce, że jest rewelacją. W Sopocie zdobył mistrzostwo Polski juniorów. Trenerzy Sz. Szczukiewicz i Z. Bełdowski doradzają wyjazd co najmniej na rok za granicę, tam gdzie tenis stoi na wyższym poziomie. *Jeszcze 2–3 lata grania na krajowych kortach i będziemy mieli jeszcze jeden zmarnowany talent* – czytamy w jednej z gazet.

Tenisowy życiorys Fibaka wzbogaca się i zagęszcza. Jesienią 1970 roku startuje w turnieju „Trofeo Bonfiglio" w Mediolanie, gdzie przegrywa w II rundzie ze starszym o 3 lata Austriakiem Hansem Karym; następnie reprezentuje Polskę w meczu z Austrią w stołecznej Hali Gwardii, ale mecz przegrany w III secie z rezerwowym graczem gości, nie po raz pierwszy ujawnia słabsze strony gry naszego młodego tenisisty – kiepski serwis i zawodną kondycję. Serwis Fibaka był przez długi czas jego piętą achillesową i to w okresie, gdy znacznie tego uderzenia stale rosło. Tenis stawał się grą coraz bardziej ofensywną i uprawianą często w salach o twardej, szybkiej nawierzchni, na której

DANIEL



Najstarsze wy
dwóch lat. I
tenisowym,
prasowa: Komisja
doroczną klasyfika
Geldner, Fibak i Pl
zdanie z turnieju t
niem cieszył się t
pewnie filigranow
lone jest w album
satysfakcja zobacz

Nadchodzi wic
zwyciężył bezape
najmłodszego poł
w Poznaniu – ko
turniej wewnętrzn
pokonał juniora
wzięła górę nad
zwyciężyła para
ponieważ Henryk
małego Wojtka.
tworzyć z nim pa
notatki jak gdyb
jeszcze rutyna
kariery, ale należ
czekała wielka

Rok 1968 – F
Notatka prasow
juniorów w ten
się, że o tym nie
krotnie usłyszy
Następuje także
ka. Na amatorsk
tle Bramy Bran

znaczenie serwisu rosło. Co zaś tyczy się kondycji, to bywało z nią różnie – obok długich, pięciosetowych pojedynków wygrywanych przez Fibaka, zdarzały się też zbyt często sytuacje, gdy w miarę upływu meczu grał słabiej i dziś niektórzy moi rozmówcy uważają, że obok serwisu był to jego drugi słabszy punkt. Niewykluczone, że mógłby powiedzieć coś na ten temat i psycholog, mianowicie żaden tenisista nie może być skoncentrowany przez 2–3 godziny. Być może stosunkowo słabsze czasami końcówki meczów Fibaka były skutkiem nie tyle opadnięcia z sił fizycznych, co dekoncentracji. On sam powiedział mi kiedyś, że wolałby, żeby w tenisa grywało się jednego seta. Dawała o sobie znać jego niecierpliwość i znudzenie. Póki co, w 1970 roku, pozycja Fibaka w tenisie polskim umacniała się, a niektóre wyniki nie potwierdzają spekulacji o słabej kondycji, w finale Halowych Mistrzostw Polski, które odbywały się w Rembertowie, pokonuje Mieczysława Rybarczyka po meczu trwającym 63 gemy. W ostatnim secie przy stanie 8:8, aby skończyć ten maraton, zastosowano 9-punktowy tie-break zwany wtedy „sudden death" („nagła śmierć"). Obaj rywale serwowali na zmianę, a zwycięzcą miał zostać ten, kto zdobędzie pięć punktów. Dogrywkę wygrał Fibak 5:4, kończąc mecz trwający 3,5 godziny.

W owym czasie młody Fibak był już klasyfikowany w pierwszej dziesiątce seniorów polskich. Wyżej od niego, na najwyższych miejscach, figurowali kolejno: W. Gąsiorek, T. Nowicki, M. Rybarczyk i B. Lewandowski ex equo, J. Orlikowski, W. Nowicki, J. Niedźwiedzki, W. Meres i H. Drzymalski. Zdobycie mistrzostwa Polski seniorów w hali było dotychczas największym sukcesem juniora Fibaka. Wkrótce czekała go matura. Aby się do niej przygotować zrezygnował z tradycyjnego wyjazdu do Indii. W czerwcu 1971 r. doszło do rewanżowego spotkania Rybarczyk–Fibak na turnieju z okazji Międzynarodowych Targów Poznańskich. Znów mecz był długi i pełen napięcia. Fibak rozegrał przed południem tego dnia trudny półfinał z Dobrowolskim i początkowo w finale z Rybarczykiem szło mu źle – tylko dwie piłki dzieliły go od przegranej, a mimo to – zdobył się na morderczy zryw i zwyciężył w pięciu setach. Łącznie, w półfinale i w finale, Fibak rozegrał tego dnia 8 setów, na które złożyło się 91 gemów! Oznacza to, że miał niespożyte siły, był doskonale przygotowany fizycznie, dysponował wielkimi walorami psychicznymi, a jeśli w swej dalszej karierze czasami kondycja go zawodziła, to – delikatnie mówiąc – nie zawsze z przyczyn obiektywnych.

Jesienią 1971 roku, kiedy młody Fibak nieoczekiwanie pokonał w Luksemburgu mistrza Czechosłowacji Hrebeca 6:1, 6:3, jego ojciec, wówczas jeszcze docent chirurg, Jan Fibak zwyciężył w Poznaniu w tzw. finale B turnieju miejscowych old boyów. Były i gorsze chwile.

Reprezentacja Polski w pucharze Galea, z udziałem Wojci
przegrała gładko z Francją 0:5 i to na własnym terenie –
Zimny prysznic w Toruniu, Tenisowy niewypał w Toruni
niektóre tytuły. Polscy tenisiści przegrali w tamtym se
z Czechosłowacją i Finlandią.

W sumie Fibak miał dobry rok: – *Rok minął bardzo szczęśli*
maturę, potem dostałem się na studia, a wyniki sportowe
niezle.

W 1971 roku Fibak zmienił szkołę na uniwersytet i AZS
Poznań. Obie zmiany były przemyślane. Fibak zdawał na Wy
UAM nie dlatego, że chciał być prawnikiem, ale ponieważ są
studia, które wymagają stosunkowo małej obecności na
a wiedzę prawniczą można zdobywać w dużym stopniu
Natomiast zmieniając barwy klubowe, przechodził ze s
skromnego i niezbyt zamożnego oraz wpływowego AZS
prawda miał duże tradycje, do Olimpii – klubu z pionu gwa
który gwarantował paszport, małe zobowiązania w kraju i p
Gąsiorka. W wywiadzie prasowym Fibak wspomniał jedna
ostatni powód. W 1971 roku na liście seniorów awanso
4 miejsce w Polsce.

Następny rok zaczął kiepsko. Stracił tytuł halowego mistrza
tylko w półfinale przegrał z Nowickim, ale w walce o trzecie m
Henrykowi Drzymalskiemu. W marcu *utalentowany 20-let*
udał się wraz z Gąsiorkiem i Rybarczykiem do Egiptu. Był
i atrakcyjny wyjazd. W Kairze wygrał turniej do 21 lat, a w A
przegrał w półfinale z najlepszym tenisistą radzieckim Al
Metrewelim.

W mistrzostwach Polski w Bydgoszczy miało miejsce kilka
nych faktów. Fibak, pracowicie wspinający się po szczebla
pokonał Niedźwiedzkiego w meczu trwającym 3,5 godziny
4:6, 6:4, 6:3), by następnie ulec również w 5 setach No
Równie ważne było dla nas zwycięstwo Rybarczyka nad G
Ten ostatni, weteran tenisowy z Poznania, przez kilkanaście la
wał w tenisie polskim i w tym czasie zawsze trafiał do finału r
Polski. Gąsiorek, który grał pewnie, ale po staremu, trady
przerzut i z głębi kortu, był nie do pokonania dla bardziej ofe
i grających z większą fantazją, ale mniej pewnie i skuteczn
Niektórzy uważają nawet, że „Gąsior" zbyt długo dominuj
stylem gry w polskim tenisie, raczej już hamował postęp tej d
w naszym kraju. Ale to chyba zarzut bezpodstawny, gdyż d
pozostaje na tronie, dopóki nikt nie potrafi go zdetro
Zwycięstwo Rybarczyka nad Gąsiorkiem zapowiadało nov

ILJE NASTASE

Arch

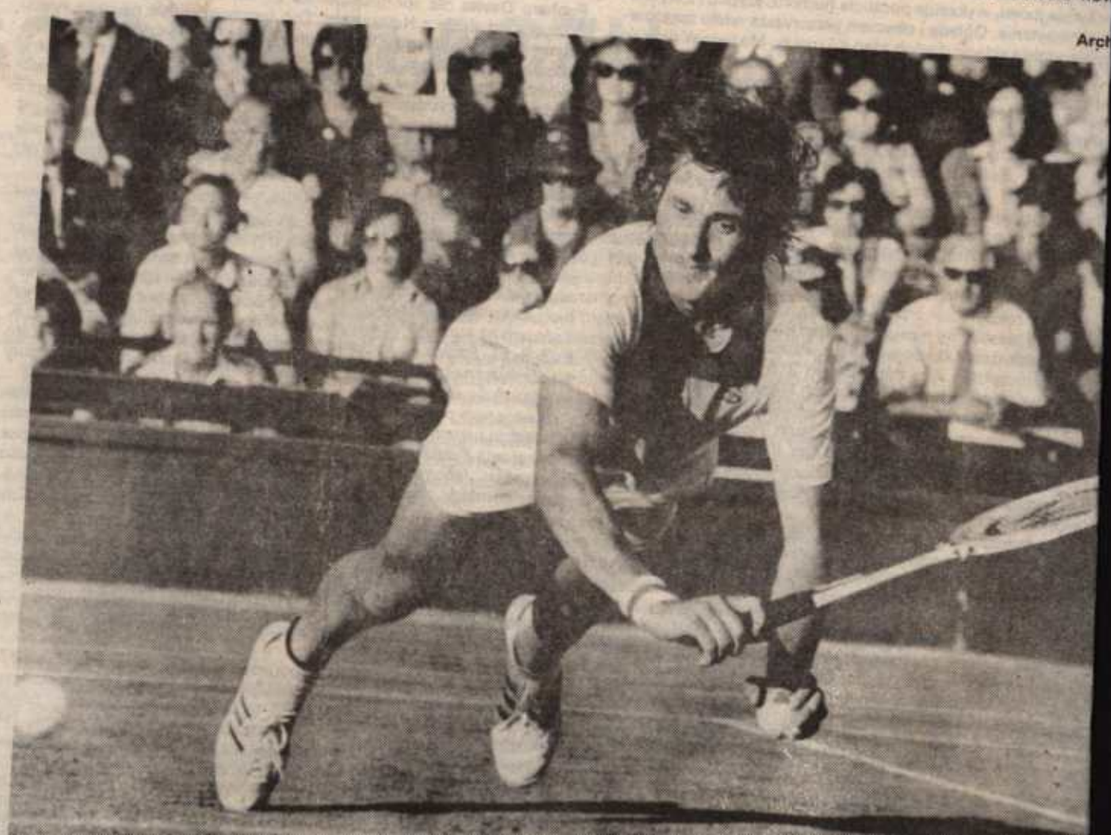

Kolejny arras w rękach polonusa
T. Makowski za P. Picassa?
Korczowski u Fibaka

Kolekcjoner z workiem pomysłów

Promocją polskiej sztuki współczesnej na Zachodzie oraz sprowadzaniem do kraju wyśniaw artystów polskiego pochodzenia, zajmuje się od kilku lat kolekcjoner z Nowego Jorku, DARIUSZ GŁOWACKI. Kupno 2 arrasów, ze spuścizny króla Jana Kazimierza w paryskim domu aukcyjnym, Hotel Druot, poparli pp. Porczyńscy. Przebywającego ponownie w Polsce Dariusza Głowackiego poprosiliśmy o rozmowę.

▲ Podobno w Paryżu nabył Pan następny z arrasów, znajdujących się niegdyś na Wawelu. To już trzeci cenny dla Polaków zabytek. Co zamierza Pan z nimi zrobić?

— To samo pytanie zadał mi minister Krawczuk i dodał, że gdyby mi darował je Polsce to wystawi mi pomnik.

▲ I co Pan na to?

— Na razie arrasy poddawane są renowacji. Podczas konserwacji odkryto sygnaturę Jana van Tegnema, właściciela tkalni, z której pochodzą te dzieła. To potwierdziło, że arrasy są autentyczne. W przyszłości rzeczywiście noszę się z zamiarem przekazania chociaż jednego z nich mojemu krajowi. Ale moje zbiory wzbogaciły się również o inne polonika, np. strzelbę wysadzaną koralami podarowaną przez carycę Katarzynę II na koronację Augusta Mocnego.

▲ Kiedy rozmawialiśmy latem, poproszono Pana do jury wielkiej wystawy „Arsenał". Potem widywaliśmy Pana na wielu wernisażach. Przyjeżdża Pan do kraju często, ciągle z nowymi pomysłami. Jest Pan menedżerem znanych artystów, m. in. muzy Picassa. Co Pana tu ciągnie, skoro nad Wisłą ponoć kulturalna pustynia?

— Zewsząd to tutaj słyszę i nie mogę zrozumieć narzekań. Nie mam czasu, by uczestniczyć we wszystkich imprezach kulturalnych. Tu wernisaż, gdzieś wernisaż. Chodziłem ostatnio po galeriach i w Muzeum Narodowym w Galerii Sztuki Polskiej międzywojennej skonstatowałem, że placówka dysponuje wielką kolekcją obrazów Tadeusza Makowskiego. Myślę, że gdyby te wszystkie prace wystawiono jednocześnie, to galeria mogłaby zmienić nazwę na galerię Tadeusza Makowskiego. I wówczas przyszła mi myśl, by któryś z tych obrazów wymienić na inny — np. do muzeum paryskiego. W tej sprawie zwróciłem się do dyr. M. Sołtysiaka z „Muzeum Narodowego. Zaproponowałem za Makowskiego rysunek z 1951 r. Pabla Picassa — „Portret rodziny". Ta wymiana zapoczątkowałaby kontakty między muzeami. A ponadto nasz Makowski reprezentowałby naszą sztukę w Paryżu. W rozmowie ze mną, szefowa Muzeum D'Orsay w Paryżu wspomniała, że chętnie widziałaby u siebie obraz Jacka Malczewskiego.

▲ Podobno chce Pan sprowadzić do Polski wystawę Bogdana Korczowskiego z Paryża, laureata najbardziej prestiżowej nagrody w plastyce, w ub. r.

— Owszem, jestem w trakcie załatwiania. Artysta zdobył „plastycznego Nobla" — Nagrodę Jacksona Pollocka. Natychmiast po werdykcie jury Wojciech Fibak kupił kilka prac Korczowskiego...

Rozmawiała:

JOLANTA BARELKOWSKA

24.I.89.
KURIER POLSKI

epokę panowania Fibaka i jego stylu gry – bardziej nowoczesnej, urozmaiconej, często przy siatce.

W tym okresie tenis polski coraz bardziej staje wobec kwestii zawodowstwa. Tzw. tenisiści rejestrowani na Zachodzie, a także zawodnicy Węgier czy CSRS, otrzymują już pieniądze za udział w ważnych turniejach i część przekazują na związki tenisowe swoich krajów. Zawodnicy mają więc silny bodziec finansowy, dostęp do wymarzonych dolarów i stały kontakt z czołówką, a ich federacje dostają zastrzyk dewizowy. W Polskim Związku Tenisowym sprawa ta ciągle odkładana jest ad acta. Władze polskiego sportu nie podejmowały decyzji. Były do tego ideologicznie nieprzygotowane. Fibak natomiast myślał inaczej i był ideologicznie przygotowany, ponadto potrzebował pieniędzy na koszty uczestnictwa w turniejach – podróże, hotele, utrzymanie. W sierpniu 1973 r. wraz z ekipą polską jedzie na mistrzostwa Europy amatorów do Pescary. Z rozmowy w pociągu z ówczesnym prezesem PZT wynika, że młody człowiek dojrzał do tego, by wyrwać się z kraju. Fibak i Nowicki zdobywają mistrzostwo Europy w grze podwójnej (Nowicki już po raz drugi). W kraju obaj partnerzy grają przeciwko sobie w finale mistrzostw Polski w Poznaniu. Mecz zakończył się obustronnym sukcesem. Nowicki, który wygrał 6:2, 6:2, 6:3 obronił tytuł mistrza, a Fibak po raz pierwszy zdobył tytuł wicemistrza Polski seniorów.

Zbliżał się przełomowy moment w karierze tenisowej Fibaka. Gdy przegrywał nadspodziewanie gładko z Nowickim, myślami był już gdzie indziej – nie w Poznaniu, lecz we Włoszech. Planował od dawna, by wyrwać się do prawdziwego tenisa, na Zachód, grać z najlepszymi, zdobywać punkty w ATP i pieniądze, które będzie mógł zainwestować, nauczyć się języków, poznać świat, a czas uciekał – miał już 21 lat.

Tydzień mistrzostw Polski był również tygodniem ostatnich, nerwowych przygotowań „do skoku". Samochód, dziesięcioletni niebieski Volkswagen kupiony za całe oszczędności z dwóch lat (6500 DM – Fibak to pamięta, niejeden by zapomniał dawno), przygotował do podróży niezawodny wujek Lutek Kolasiński, brat matki, do którego Fibak jest bardzo przywiązany; Ewa jeździła do Warszawy po wizy, a on sam biegał po paszporty, dewizy i pozwolenie PZT. (Było to dokładnie na rok przed lepiej znaną wyprawą Fibaka do Hiszpanii.) Ruszał również prywatnie, ale za zgodą PZT, do Włoch. O czym myślał, gdy grał w finale mistrzostw Polski z Nowickim? Na pewno chciał wygrać tej niedzieli, ale miał jeszcze coś innego na głowie – czy zdąży na czas do Mediolanu, a może nie zdąży – bo wyznaczą go do gry już w poniedziałek? A jeśli będzie musiał grać po całonocnej podróży? Zgłosił się do tego turnieju „Trofeo Bonifiglio" listownie kilka miesięcy wcześniej i owej niedzieli na kortach Olimpii zdawał sobie sprawę, że jest chyba jedynym z 64 zgłoszonych, którego nie ma jeszcze na miejscu – w Mediolanie.

Prosto z kortów Olimpii pomknęli do domu, a stamtąd w drogę, pół niedzieli w samochodzie, całą noc i pół poniedziałku. Dojechali w poniedziałek po południu do Mediolanu, wpadł na korty sprawdzić, czy nie jest skreślony – nie, miał grać czwarty mecz z kolei na bocznym korcie. Pobiegł na kort – toczyła się trzecia gra. A więc ulga, ale i napięcie, bo zaraz, prosto z drogi mecz z Włochem Lombardi. Fibak wygrał z trudem w trzech setach, ale za to później wygrał cały turniej, w finale pokonując Conrado Barazzuttiego w pięciu setach. Dostał tysiąc dolarów nagrody! Za te pieniądze uczestniczył jeszcze w dwóch mniejszych turniejach seniorów w Szwajcarii i w Austrii, a resztę odłożył na następne starty.

Mediolańska gazeta „La Notte" przyniosła wielki tytuł: *Barazzutti non capisco il polaco* oraz fotografie Fibaka i jego *graziosa fidanzatina Eva* jak wspólnie trzymają puchar Bonfiglio. W tym czasie Ewa coraz częściej będzie towarzyszyć Fibakowi. Gazety piszą, że Fibak jest *troppo elegante*.

Również drużynowo Fibak ciągnie w tym czasie polski tenis w górę. O puchar Króla Gustawa V Polacy pokonują Jugosławię 5:0 i Hiszpanię 3:2.

W kwietniu 1974 roku Polacy spotkali się w pamiętnym meczu z Węgrami o Puchar Davisa. *Tylko Fibak jest pewniakiem* – pisali przed tym spotkaniem dziennikarze. Do ostatniej chwili losy meczu nie były przesądzone. Przy stanie meczu 2:2, do decydującej walki przystąpili Węgier Taroczy i Polak Fibak. Oto co doniosły gazety: *Fibak gwoździem meczu, Piękny pojedynek Fibak-Taroczy, Dramatyczny i zwycięski set Fibaka, Znakomita gra i sensacyjne zwycięstwo Fibaka, W. Fibak: Bezsenna noc, która dała mi zwycięstwo, Sensacja na kortach Legii, Polska–Węgry 3:2. To nieprawdopodobne, a jednak tak się stało.* Tego dnia, 21 kwietnia 1974 roku Wojciech Fibak awansował na jednego z faworytów polskiej publiczności. Alina Janowska pobiegła do młodego tenisisty z bukietem 40 tulipanów.

Nazwisko i twarz Fibaka stają się znane daleko poza światkiem tenisowym, z okładek pism, pierwszych stron gazet i ekranów telewizyjnych. Poeta kortów, Bohdan Tomaszewski pisał o nim w tygodniku „Kultura": *...Rankiem przed rozstrzygającą dogrywką meczu z Taroczym przyszedł na kort, by potrenować i rozgrzać się. Miał ze sobą trzy piłki, a każda inna. Nie miał przy tym partnera do gry. Spojrzał na trenujących obok Węgrów, machnął ręką i zaczął grać sam o ścianę, przy której uczą się mali i dorośli obywatele stolicy. Kiedy następnego dnia po meczu spojrzałem na nią, nie wiem dlaczego wydała mi się ścianą płaczu.*

To zdumiewające, ale do tego czasu, to jest do połowy 1974 roku, ogromna większość publikacji o Fibaku, nawet tych entuzjastycznych, nosi charakter informacyjny. W Polsce nie było wówczas żadnych czasopism poświęconych wyłącznie tenisowi. Był to – i nadal jest, ale



BALAZCS TAROCZY – NAJLEPSZY TENISISTA WĘGIERSKI, POKONANY PRZEZ FIBAKA W DRAMATYCZNEJ WALCE O PUCHAR DAVISA
Fot. ROY PETERS

w mniejszym stopniu – sport marginesowy, na uboczu piłki nożnej i kolarstwa czy boksu. Jeśli przynosił sukcesy – trafiał na łamy, ale tylko przez chwilę. Nie było więc komu i dla kogo zastanawiać się nad grą Fibaka, nad warunkami rozwoju tenisa i młodego, obiecującego zawodnika. Po zwycięstwie nad Taroczym oraz innych sukcesach, prasa zaczyna traktować go poważnie (Tomaszewski w „Kulturze", Osiatyński w „Literaturze", Żwan w „Sztandarze Młodych", Strzelecki w „Sportowcu" – poświęcają mu pełne zachwytu felietony i rozmaite artykuły), a on serio myślał o karierze. – Chciałem być tenisistą wybitnym, a nie „średniakiem" sklasyfikowanym w drugiej czy trzeciej dziesiątce europejskich graczy. W tym celu trzeba było – po pierwsze – rozstać się ze studiami. Jeszcze nie ostatecznie, ale przynajmniej na pewien czas. Były one nie do pogodzenia z tenisem współczesnym, który jest sportem całorocznym i na tym poziomie zbyt absorbującym. *Wojciech Fibak twierdzi, że nie sposób pogodzić wyczynu sportowego z normalnymi studiami lub pracą. Czy rzeczywiście?* – pytał „Sztandar Młodych". *Można przecież wymienić wielu sportowców dyscyplin olimpijskich, którzy równolegle z mistrzowskimi wynikami uzyskiwali dyplomy wyższych uczelni. Irena Szewińska ukończyła ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim, szermierz Witold Woyda i Ryszard Parulski wydział prawa, koszykarze: Niemiec – Politechnikę Warszawską, a Bolesław Kwiatkowski – AWF i pedagogikę na UW. Jak zatem jest naprawdę: można czy nie można godzić nauki ze sportem?* – pytała dydaktycznie gazeta młodzieżowa, ale było to pytanie retoryczne. Praktycznie nauki i sportu wyczynowego pogodzić nie można.

Kwestia druga – to pieniądze. Czesi, Jugosłowianie, Węgrzy, Rumuni i Rosjanie mieli zgodę, by pobierać pieniądze w turniejach w nagrodę, albo wręcz za udział, co rozwiązuje wiele problemów. Nasz Związek wbrew oczywistym faktom i powszechnej praktyce, utrzymywał fikcyjny status pseudoamatorów. Związek nie miał pieniędzy na obsyłanie zbyt wielu turniejów, a zawodników nie było stać na udział na własny koszt. *Na szczęście w PZT nastąpiły zmiany na lepsze* – mówił Fibak. – Nowy zarząd dał Nowickiemu, Niedźwiedzkiemu i Fibakowi carte blanche – niech startują gdzie mogą i ile mogą na własny koszt (PZT obiecał tylko bilety na koleje i samoloty). Wygranie eliminacji w Monachium i jedno zwycięstwo Fibaka nad Amerykaninem Ruffelsem dało mu dość pieniędzy, by pokryć koszty pobytu swoje i obu kolegów oraz dość zaproszeń na turnieje do końca roku. Zapytany wówczas czy mógłby wygrać Wimbledon, Fibak odpowiedział: Wszyscy są do ograna, ale musiałbym uczestniczyć w około stu turniejach. Przewaga Nastase czy Smitha polega na większej skuteczności

Zbrodnia i kara

Kilkanaście lat temu Wojciech Fibak zaryzykował dyskwalifikację PZT i wybrał się na własny rachunek do Barcelony. Oburzenie dzielnego ówczesnego zarządu tenisowej centrali było ogromne. Nic to, że dwudziestolatek ograł samego Arthura Ashe'a (tenisową legendę). Trener kadry Józef Piątek oświadczył: — „Fibak wygrał, bo Murzyn się już kończy..." Jakby na złość trenerowi i kochającym ślepe posłuszeństwo działaczom, Arthur Ashe niedługo zwyciężył Jimmy Connorsa w wimbledońskim finale...

Historia mogła się powtórzyć. Tym razem szansę przekroczenia arcyważnego progu kariery miał tyczkarz Mirosław Chmara. Splot wydarzeń przypomina częściowo losy Fibaka. Oto na konferencji prasowej przed halowymi ME w Hadze działacze i trenerzy przedstawiają swoją wizję decydującego dla tyczkarzy okresu przygotowań do mistrzostw świata w Budapeszcie:

„W czwartek tyczkarze polecą samolotem do Frankfurtu n. Menem, stamtąd udadzą się pociągiem do Hagi. 5-godzinna podróż koleją nie powinna stanowić problemu... Dalej start w halowych mistrzostwach kontynentu, w powrotnej drodze występ w Berlinie Zachodnim w mityngu, gdzie do Chmary i Kolasy dołączy skoczek wzwyż Krawczyk. Co będzie dalej — zobaczymy, jesteśmy uzależnieni od zaproszeń na mityngi. Na razie zaproszeń brak..."

Program niby prosty. Co z realizacją? Tyczkarze zostają na dworcu we Frankfurcie. Zapomniano, że pociągami nie wolno wozić prawie sześciometrowych kijów. Gdyby nie zaradność Mariana Kolasy, skoczkowie wróciliby do Warszawy i obejrzeli konkurs w Hadze na ekranie telewizora. Skoro działacze PZLA nawarzyli piwa — powinni się cieszyć, że tyczkarski duet wybrnął z tarapatów. W Hadze — przypomnijmy — Chmara stał na podium, a Kolasa był czwarty. Skoczkowie w drodze powrotnej pojechali do Berlina Zachodniego (tak miało być!) i jeden „ograł" byłego „sportowca roku", Siergieja Bubkę oraz pobił rekord Polski wspaniałym wynikiem 5,85, a drugi „zremisował" z Bubką zajmując z nim ex aequo drugie miejsce skokiem 5,60.

Nieszczęście (czyje?) zaczęło się od momentu, gdy tyczkarze postanowili skorzystać z zaproszenia do Sewilli (znów ta pechowa dla Fibaka i Kolasy — Hiszpania). Ktoś w PZLA wziął się do wychowywania Kolasy, równocześnie dając spokój Chmarze. Gdyby pierwszy był dorosły, a drugi niepełnoletni — elastyczne stosowanie litery prawa byłoby uzasadnione. Ktoś złośliwy — spytałby: „A może Kolasa, który pożyczył od rodziny kilkaset marek na samolot z Frankfurtu do Hagi dla siebie i dla Chmary, pojechał do Sewilli, aby zapracować na zwrot zaciągniętego długu?"

Działacze PZLA uznali chyba, że oni są w porządku; Kolasę trzeba zdyskwalifikować (pozbawić szansy walki o medal w Budapeszcie), a Chmarze wszystko darować!

Efekt?

Chmara pozbawiony komfortu psychicznego przegrał konkurs. 5.60 i czwarte miejsce (pod nieobecność Bubki i Francuzów) to porażka i pogłębienie kompleksu zawodnika. Czasem mówi się, iż stać go na duży wynik, ale tylko w walce o małą stawkę.

Kolasa zbliża się do trzydziestki. Jeśli ma kiedyś wyskakać coś cennego — musi się spieszyć. Stracił kolejną szansę. Czy ma poczucie, iż ewidentnie zawinił? Dyskwalifikowanie doświadczonego sportowca za to, że szuka okazji do startów w silnej konkurencji, nie jest chyba najszczęśliwszym pomysłem.

ANDRZEJ KARCZEWSKI

...e Kolegium: WŁODZIMIERZ BIEROŃ (zastępca redaktora naczelnego), ...OCKI (kierownik Działu Ekonomiczno-Rolnego) STEFAN ROBOTOWSKI ...aczelny). Adres redakcji: 00-131 Warszawa, ul. Grzybowska 4, telefony ...y 20-81-87. Dział Łączności z Czytelnikami 20-81-59 tel. red. nocnej ...rmacji o warunkach prenumeraty udzielają wszystkie placówki RSW

Dziennik Ludowy
7.11.88.

JOHN McENROE



VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate, à laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A 36 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl (d'où l'intérêt tout particulier de la « tête d'affiche » ci-contre...) et tout récemment Leconte, Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courtant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacré ici à John McEnroe.

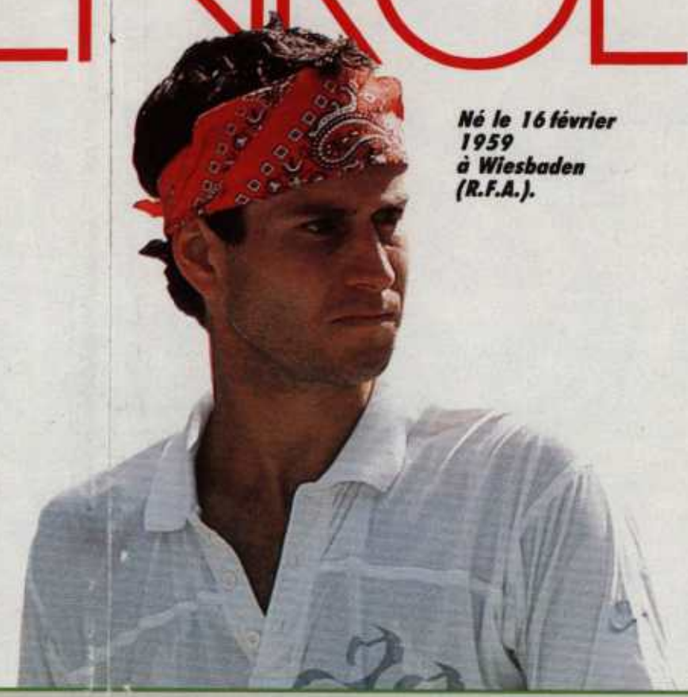

Né le 16 février 1959 à Wiesbaden (R.F.A.).

GRAND CHELEM

Australian Open

1983 : *1/2 finaliste (p.c. Wilander) ; **1984 :** pas joué ; **1985 :** 1/4 de finaliste (p.c. Zivojinovic) ; **de 1986 à 1988 :** pas joué ; **1989 :** 1/4 de finaliste (p.c. Lendl).*

Roland-Garros

1977 : *2e tour (p.c. Dent) ; **1978 et 1979 :** pas joué ; **1980 :** 3e tour (p.c. McNamee) ; **1981 :** 1/4 de finaliste (p.c. Lendl) ; **1982 :** pas joué ; **1983 :** 1/4 de finaliste (p.c. Wilander) ; **1984 :** finaliste (p.c. Lendl) ; **1985 :** 1/2 finaliste (p.c. Wilander) ; **1986 :** pas joué ; **1987 :** 1er tour (p.c. De la Pena) ; **1988 :** 1/8 de finaliste (p.c. Lendl).*

Wimbledon

1977 : *1/2 finaliste (p.c. Connors) ; **1978 :** 1er tour (p.c. Van Dillen) ; **1979 :** 1/8 de finaliste (p.c. Tim Gullikson) ; **1980 :** finaliste (p.c. Borg) ; **1981 :** vainqueur (bat Borg) ; **1982 :** finaliste (p.c. Connors) ; **1983 :** vainqueur (bat Lewis) ; **1984 :** vainqueur (bat Connors) ; **1985 :** 1/4 de finaliste (p.c. Curren) ; **1986 et 1987 :** pas joué ; **1988 :** 2e tour (p.c. Masur).*

U.S. Open

1977 : *1/8 de finaliste (p.c. Orantes) ; **1978 :** 1/2 finaliste (p.c. Connors) ; **1979 :** vainqueur (bat Gerulaitis) ; **1980 :** vainqueur (bat Borg) ; **1981 :** vainqueur (bat Borg) ; **1982 :** 1/2 finaliste (p.c. Lendl) ; **1983 :** 1/8 de finaliste (p.c. Scanlon) ; **1984 :** vainqueur (bat Lendl) ; **1985 :** finaliste (p.c. Lendl) ; **1986 :** 1er tour (p.c. Annacone) ; **1987 :** 1/4 de finaliste (p.c. Lendl) ; **1988 :** 2e tour (p.c. Woodforde).*

MASTERS

1979 : *vainqueur (bat Ashe) ; **1980 :** 1/2 finaliste (p.c. Borg) ; **1981 :** éliminé en poule ; **1982 :** 1/2 finaliste (p.c. Lendl) ; **1983 :** finaliste (p.c. Lendl) ; **1984 :** vainqueur (bat Lendl) ; **1985 :** vainqueur (bat Lendl) ; **1986 :** 1er tour (p.c. Gilbert). Depuis, il ne s'est plus qualifié.*

TOURNOIS GAGNÉS

au 26 février 1989 (73)

John McEnroe est, comme Jimmy Connors (107 victoires), ou Ivan Lendl (74 victoires) détenteur d'un palmarès qui ferait « exploser » ce cadre si nous devions l'indiquer ici en totalité. Rappelons seulement que John McEnroe gagna son premier tournoi du Grand Prix en 1978, à Hartford et que son dernier titre date de février 89, à Lyon. Il compte actuellement sept victoires en Grand Chelem (trois à Wimbledon, quatre à l'U.S. Open).

John McEnroe est le dernier des grands joueurs classiques et complets, de ceux capables de jouer au plus haut niveau tant en attaque qu'en défense. La comparaison qui vient à l'esprit, c'est celle avec Rod Laver. Mais McEnroe est plus agressif, dans ses coups et mentalement, plus rapide, et il a plus de toucher. D'autres ont eu beaucoup de talent, mais McEnroe les a surpassés par sa vitesse et sa puissance. Si certains, comme Connors et Lendl, ont été programmés dans leur enfance par leur entourage pour devenir des grands joueurs, McEnroe, lui, était programmé « par nature ». Il a appris le tennis tout seul, en observant des champions comme Ashe, Smith, les Australiens Rosewall, Newcombe et les gauchers Laver et Roche. Ces derniers l'on inspiré pour pratiquer un tennis d'attaque, basé sur une agressivité dont il a sans doute hérité de ses ancêtres irlandais. Mais McEnroe a su canaliser cette agressivité et l'exploiter méthodiquement, pour aboutir à un système de jeu offensif total. McEnroe évoque le spectaculaire, la beauté du geste, la facilité, la grâce d'une coordination d'une facilité et d'un toucher de balle d'exception. Son talent ne lui permet pas seulement de gagner les points : il entraîne les spectateurs aux confins du rêve, il leur donne envie de jouer au tennis. C'est peut-être cela, la « magie McEnroe ».

W.F.

Points forts

Il faut faire une exception avec McEnroe. Même moi, qui l'ai souvent rencontré, je n'ai pas pu lui trouver de vraies faiblesses ; juste peut-on hiérarchiser ses points forts.

Le jeu au filet.

Il y domine outrageusement tous les autres. Par sa volée, la meilleure de tous les temps, surtout du côté gauche. Par son jeu de jambes, ses réflexes, son anticipation, son toucher, sa détente (notamment au smash) mais aussi sa puissance. Nastase avait précisément toutes ces qualités... sauf la puissance à la volée. Si McEnroe est exceptionnel au filet, c'est aussi, ne l'oublions pas, en raison d'approches toujours gênantes et de la qualité de son service de gaucher.

Le service.

Par sa stature physique, McEnroe n'était pas spécialement destiné au service-volée. A force de détermination, d'agression, et d'obstination, il a fini par trouver le mouvement de service qui lui convenait en projetant tout son corps vers l'avant (première et deuxième balles). D'autres jeunes ont voulu imiter ce geste, sans résultat. Puissance, précision, variété des trajectoires et des effets, le service de McEnroe (1re et 2e balles) a toutes les qualités. Le meilleur exemple de l'efficacité de McEnroe dans le système service-volée a été fourni lors de sa finale de Wimbledon de 1984 contre Connors, le meilleur relanceur battu 6/1, 6/1, 6/2.

Les qualités naturelles

Qualités physiques (endurance, résistance), psychologiques, métaphysiques, réflexes, combativité... de tout cela, McEnroe a été gâté par la nature. Il a su en tirer le meilleur parti.

Le retour de service

Complet, classique, tant en coup droit qu'en revers. John peut tout faire sur le retour : bloqué, glissé, frappé... Il a la précision, le « feeling »... Et il est aussi très agressif, pouvant frapper la balle quand elle monte. Derrière son retour, il aime prendre le filet, tant en coup droit qu'en revers, sur les deuxièmes mais aussi parfois sur les premières balles adverses ! Ses qualités en retour (balle basse dans les pieds) ont contribué, avec sa volée, à faire de lui le meilleur joueur de double de tous les temps.

Le toucher de balle

Dans n'importe quelle position, grâce à son toucher, il peut faire ce qu'il veut de la balle et jouer avec un cordage tendu à 18 kg, ou moins.

Le revers

Un revers « à la Laver », très classique, mais plus beau peut-être, plus fluide que chez le grand champion australien. Avec son revers, McEnroe peut accélérer (slicé, plat, ou un peu lifté), tenir l'échange et chercher l'ouverture. Il possède aussi en revers une grande gamme de coups de « toucher » (amortie, retours...). L'un des derniers grands revers classiques du tennis.

Le smash

Là encore, puissance et précision. John smashe toujours avec la volonté de finir le point et il se refuse le plus souvent à reculer pour prendre la balle après le rebond. Grâce à son extraordinaire vision du jeu, il semble toujours pouvoir smasher là où l'autre n'est pas.

Le lob

Un coup instinctif chez lui, qu'il pratique avec la même réussite des deux côtés et aux bons moments.

Le coup droit

Le seul coup chez McEnroe qui pourrait, les jours de fatigue ou de manque de confiance, être considéré comme une petite fragilité, surtout sur terre battue. Encore faut-il relativiser : le coup droit des mauvais jours de McEnroe ferait le bonheur de beaucoup de joueurs ! McEnroe ne s'engage pas totalement sur ce coup. Ou alors il prend beaucoup de risques, visant les lignes. On pense ici à Jimmy Connors. Cela dit, il peut assurer, mais il lifte plus, ne prend pas la balle en montant. Ce n'est plus le même McEnroe.

Points faibles

Au niveau de McEnroe et de son génie, on ne peut pas employer le mot « faiblesse ». Mais on peut toutefois noter chez lui une tendance à perdre son sens tactique sur terre battue. Tout jeune, McEnroe a pourtant joué sur la terre battue américaine sur la Côte Est. Mais c'est d'autant plus difficile pour lui qu'il a l'habitude de jouer dans le court. S'il choisit de se placer derrière la ligne de fond, comme il l'avait fait contre McNamee en 1980. L'on voit que McEnroe est gêné pour jouer les balles hautes et lifées, côté revers. Dans ce problème « terre battue », McEnroe a souffert du manque d'un vrai coach, qui l'aurait convaincu que son jeu d'attaque pouvait également le faire gagner sur terre battue. C'est d'ailleurs en attaquant que John est passé si près de la victoire à Roland-Garros en 1984, quand, seul, un soupçon de chance lui a manqué et même chose en 88, contre Lendl. Il ne rentrait pas dans l'échange.

Tactique

McEnroe a montré qu'il pouvait, sur les surfaces rapides, jouer « service-volée » pendant trois heures s'il le fallait. Il le faisait obstinément, mécaniquement, à la manière de Mayotte, mais avec du talent en plus.

Pour jouer contre lui :

L'idéal est de se retrouver au filet avant lui, mais vous voyez la difficulté ! Ou alors, défendre, en espérant que McEnroe se mette à faire quelques fautes. C'est comme cela que l'ont dominé notamment sur terre battue des joueurs comme Borg, Connors, Lendl et Wilander, les meilleurs défenseurs.

Physique

On peut avoir de l'admiration, dans ce secteur, envers McEnroe. Car s'il est très bien bâti pour le tennis, il n'était pas doté d'un physique de grand athlète. Mais il avait en lui ce que les Américains appellent le « sleeping power », comme un feu qui s'embrasait quand il en avait besoin. Chacun sait sur le circuit que McEnroe ne s'est pratiquement jamais entraîné. Je me souviens pourtant de l'U.S. Open 1980 quand il a battu Lendl en quarts à près de minuit, avant de gagner le lendemain en 5 sets la finale du double, de revenir sur le court le jour suivant pour écarter Connors en demi-finales au tie break du 5ème set à plus de minuit, et de revenir moins de 24 heures plus tard sur le même central pour battre Borg en 5 sets. Il pourrait bien s'agir du plus grand exploit physique en tennis de tous les temps.

Mental

Imprégné de ce qui se passe dans tous les sports américains, (et porteur de sang irlandais !) McEnroe a tout basé sur l'agressivité et celle-ci a souvent donné de lui une image négative. Il en était arrivé à ne pouvoir jouer son meilleur tennis que lorsqu'il détestait tout le monde. Aujourd'hui, marié, père de famille et à 30 ans, il ne peut plus continuer à se comporter ainsi. Et s'il joue moins bien, c'est en raison de problèmes tennistiques mais aussi à cause de ce changement « mental ». Il est dommage qu'il lui ait fallu des ingrédients négatifs pour donner toute sa mesure. Et regrettable pour lui de ne pas avoir séduit à l'époque le monde entier par une attitude générale empreinte de la classe qu'il a toujours montrée sur le court.

Szansa na dobry tenis na Legii

Z Grecją w Pucharze Davisa



Kibicom tenisa w Polsce marzą się sukcesy przynajmniej na miarę Wojciecha Fibaka (na zdjęciu). Jego następców jednak wciąż nie widać...

Fot. — Archiwum

NIEZBYT często jest nam dane oglądać choćby namiastkę prawdziwego tenisa. Właściwie tylko mecze o Puchar Davisa i wrześniowy cykl satelitarny przypominają nam jak wygląda tenis z prawdziwego zdarzenia. W najbliższych dniach będziemy mieli okazję wyjść poza nasz tenisowy zaścianek. Na kortach warszawskiej Legii rozegrany zostanie bowiem mecz Polska — Grecja w ramach rozgrywek o Puchar Davisa.

Grecy nie należą do europejskich potentatów, ale w nie tak dawnej przeszłości sprawili nam wiele kłopotu. W 1984 roku w Warszawie wygraliśmy z reprezentacją Grecji 4:1 (w składzie z Wojciechem Fibakiem), a w ubiegłym roku w Atenach przegraliśmy 1:3 (jedyny punkt dla naszych barw zdobył debel Kowalski — Sidor). W tym roku także nie należy się spodziewać spacerku. Wraz z kapitanem George Papadeasem do Polski przyjechali George Kalovelonis, John Bigas i John Kabakoglou. Ten pierwszy jest nam doskonale znany z poprzednich spotkań. W 1984 roku przegrał po pięciosetowym pojedynku z Fibakiem i łatwo pokonał Waldemara Rogowskiego, w zeszłym roku wygrał obydwa single (z Kowalskim i Sidorem w pięciu setach). Jest zawodnikiem doświadczonym (ma 36 lat), po jego stronie będzie też zapewne przewaga psychiczna — Wojciech Kowalski ma zapewne jeszcze w pamięci ostatni set swojego pojedynku z Kalovelonisem, przegrany 8:6.

Polacy wystąpią w składzie: Wojciech Kowalski, Bartłomiej Dąbrowski, Lech Sidor i Tomasz Iwański. Dwaj pierwsi są już w Warszawie, a dwaj pozostali mają zjechać jada chwila, po zakończeniu swych gier w cyklu satelitarnym w Jugosławii. Kapitan zespołu Henryk Dondajewski, który po powrocie z 4-letniego kontraktu zagranicznego objął reprezentację, nie zdecydował się jeszcze kto zostanie drugim singlistą (pierwszym jest oczywiście Kowalski), choć jak stwierdził na wtorkowej konferencji prasowej według danych napływających z Jugosławii lepiej prezentuje się Iwański. Decyzje w tej sprawie jak i co do składu debla zapadną w przeddzień meczu.

Kowalski ostatnio znów miał kontuzję nogi, ale czuje się już dobrze i jak stwierdził, wraca powoli do formy po kontuzji. W ATP klasyfikują go obecnie na 225 miejscu wśród singlistów i 146 wśród debilistów. Także pozostali zawodnicy są również w dobrej dyspozycji.

Mecz rozpocznie się w piątek o godzinie 12 — w tym dniu rozegrane zostaną dwa single., w sobotę o godz. 14.30 odbędzie się uroczyste otwarcie, a pół godziny później na kort wyjdą pary deblowe. W niedzielę kolejne dwa single — początek również o godzinie 13. Warto jeszcze dodać, że mecz rozgrywany będzie piłkami firmy Hanil, a sędzią naczelnym jest Jugosłowianin Marijan Liset.

ARKADIUSZ SNOPEK

OWO szechne

TYGODNIK STOWARZYSZENIA PAX Wydanie

Warszawa, środa 3 maja 1989 r. Cena 1 Nr indeksu

GŁOS WOLNY

INFORMATOR WYBORCZY
KOMITETU OBYWATELSKIEGO SOLIDARNOŚĆ W POZNANIU

19 maja 1989 r.

Cena 40 zł+10 zł na fundusz informacji



DLACZEGO GŁOSUJĘ NA OPOZYCJĘ

Ojciec WŁADYSŁAW WOŁOSZYN, duszpasterz pracowników nauki w Poznaniu:

— Ponieważ wybory są ogromną szansą odkłamania do reszty naszego polskiego życia; przezwyciężenia do końca różnych form zniewolenia; przejścia od systemu totalitarnego do demokratycznego; zakwestionowania rządów jednopartyjnych i zniesienia nomenklatury; zapewnienia wszystkim pełnych praw osobowych i obywatelskich; przywrócenia społeczeństwu podmiotowości, umożliwienia mu realnego wpływu na sprawy kraju; pobudzenia go do wszechstronnej aktywności...

Nie jest to sprawa czysto polityczna, ale przede wszystkim głęboko etyczna i w sensie ludzkim, i chrześcijańskim.

Prof. JAN FIBAK, chirurg:

— Ponieważ spodziewam się, że przedstawiciele opozycji wybrani do ciał ustawodawczych przyczynią się do odtworzenia prawdziwej demokracji i moralnego odrodzenia narodu; nie będą tolerować zakłamania i przywrócą szacunek dla pracy.

BOGDAN SMOLEŃ, aktor:

— Dotychczas wiadomo było, kogo skreślić, a teraz można dowolnie.

— W ostatnich wyborach mieliśmy jedną opozycję, a teraz doszła jeszcze konstruktywna.

— Oby była pozytywna, czego i sobie życzę.

Piszą nasi

„Magazyn" w rubryce „Co w kulturze piszczy": „Zb i J. Porczyńscy ofiarowali swego czasu Muzeum Archidiecezji dużą kolekcję obrazów, której wartość zdeprecjonował publicznie Wojciech Fibak. Ofiarodawcy w liście do „Życia Literackiego" wykazują przewrotność i prymitywność — jak piszą — tej enuncjacji, a także niekompetencję Fibaka".

List nie był konieczny. Publicznie zdeprecjonowani z całą pewnością nie zostali ani kolekcja ani Zb. i J. Por-

70-lecia

11-12. Wacław Kuchar i Stanisława Walasiewicz ★ 9.703, 13. Grzegorz Lato ★ 7.376, 14. Józef Szmidt ★ 6.034, 15. Halina Konopacka ★ 5.642, 16. Wojciech Fibak ★ 5.000, 17. Zdzisław Krzyszkowiak ★ 4.960, 18. Zbigniew Pietrzykowski ★ 4.423, 19. Jadwiga Jędrzejowska ★ 4.342, 20. Bronisław Czech ★ 4.282;

21. Andrzej Grubba ★ 4.281, 22. Janusz Sidło ★ 3.924, 23. Franciszek Żwirko — Stanisław Wigura ★ 3.719, 24. Józef Zapędzki ★ 3.536, 25. Janusz Gerard Pyciak-Peciak ★ 3.269, 26. Gerard Cieślik ★ 3.189, 27. Kazimierz Deyna ★ 3.185, 28. Witold Woyda ★ 3.046, 29. Sobiesław Zasada ★ 2.643, 30. Lech Piasecki ★ 2.346;

31. Władysław Komar ★ 2.032, 32. Wojciech Fortuna ★ 2.011, 33. Jacek Wszoła ★ 1.659, 34. Leszek Drogosz ★ 1.606, 35. Elżbieta Krzesińska ★ 1.604, 36. Janina Kurkowska ★ 1.578, 37. Stanisław Szozda ★ 1.567, 38. Kazimierz Lipień ★ 1.348, 39. Jerzy Kukuczka ★ 1.183, 40. Stanisław Królak ★ 1.070;

41. Waldemar Marszałek ★ 1.060, 42. Edward Skorek ★ 1.046, 43. Władysław Kozakiewicz ★ 1.024, 44. Ireneusz Paliński ★ 937, 45. Waldemar Legień ★ 807, 46. Edward Jancarz ★ 806, 47. Józef Grudzień ★ 650, 48. Wojciech Zabłocki ★ 633, 49. Józef Kałuża ★ 631, 50. Józef Łuszczek ★ 568;

51. Andrzej Wroński ★ 555, 52. Tadeusz Ślusarski ★ 538, 53. Jan Kowalczyk ★ 511, 54. Zygmunt Smalcerz ★ 439, 55. Aleksy Antkiewicz ★ 413, 56. Egon Franke ★ 389, 57. Adam Pepée ★ 337, 58. Zygmunt Chychła ★ 333, 59. Akiba Rubinstein ★ 309, 60. Andrzej Supron ★ 276;

61. Helena Rakoczy ★ 265, 62. Wanda Rutkiewicz ★ 246, 63. Teodor Kocerka ★ 209, 64. Jadwiga Wajs ★ 194, 65. Leonid Teliga ★ 181, 66. Józef Młynarczyk ★ 174, 67. Stanisław „Zbyszko" Cyganiewicz ★ 162, 68. Artur Wojdat ★ 141, 69. Marek Łbik — Marek Dopierała ★ 121, 70. Roger Verey ★ 119.

Maj - 1989

JAKOB HLASEK



VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate, à laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A trente-six ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl et récemment Leconte, Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacré ici à Jakob Hlasek.



Né le 12 novembre 1964 à Prague (Tchécoslovaquie)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Australian Open
1984 : *3e tour (p.c. Cash) ;* ***1985 :*** *3e tour (p.c. Lloyd) ;* ***1986 :*** *pas d'open d'Australie ;* ***1987 :*** *2e tour (p.c. Van Rensburg) ;* ***1988 :*** *1er tour (p.c. Dyke) ;* ***1989 :*** *1er tour (p.c. Cahill).*

Roland-Garros
1984 : *2e tour (p.c. Motta) ;* ***1985 :*** *2e tour (p.c. Edberg) ;* ***1986 :*** *2e tour (p.c. Lendl) ;* ***1987 :*** *1er tour (p.c. Bengoechea) ;* ***1988 :*** *3e tour (p.c. Noah).*

Wimbledon
1983 : *3e tour (p.c. Lendl) ;* ***1984 :*** *2e tour (p.c. Masur) ;* ***1985 :*** *1er tour (p.c. Moor) ;* ***1986 :*** *3e tour (p.c. Edwards) ;* ***1987 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Edberg) ;* ***1988 :*** *2e tour (p.c. Kühnen).*

U.S. Open
1984 : *1er tour (p.c. Perkis) ;* ***1985 :*** *1er tour (p.c. Yzaga) ;* ***1986 :*** *1er tour (p.c. Donnelly) ;* ***1987 :*** *3e tour (p.c. Mecir) ;* ***1988 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Lendl).*

MASTERS

1988 : *1/2 finaliste (p.c. Becker).*

TOURNOIS GAGNÉS

au 3 avril 1989 (3)
1988 : *Wembley, Johannesburg ;* ***1989 :*** *Rotterdam.*

FINALES

au 3 avril 1989 (6)
1985 : *Rotterdam ;* ***1986 :*** *Hilversum ;* ***1988 :*** *Gstaad, Bâle, Bruxelles ;* ***1989 :*** *Lyon.*

Le meilleur produit « tchéco-suisse » actuel est certainement Jakob Hlasek. De son pays d'origine, Hlasek a hérité de la capacité à s'adapter mécaniquement à certains efforts ; de son pays d'adoption il affiche le goût de l'organisation et la volonté de l'efficacité. Kodes, puis Lendl ont eux aussi été des modèles de mariage est-ouest. Avec Hlasek émerge l'image d'un champion sympathique, sain et loyal. Il semble maintenant sortit du « moule Heinz Gunthardt » : un look net, tranchant, presque aristocratique. Il émane de lui un certain charisme, amplifié par ses origines et aussi par l'épisode de son accident de voiture, survenu alors qu'il allait s'entraîner chez son coach Georges Deniau. Son tennis, comme sa personnalité, est empreint de simplicité, de rigueur et d'efficacité. Il n'a pas de coup extraordinaire mais pas non plus de point faible. Sa grande caractéristique est d'avoir, comme Lendl, tout basé sur le travail. Lendl, pour devenir un attaquant de fond du court. Hlasek pour être un réel « attaquant offensif ». On doit encourager Jakob Hlasek, qui est un gentleman. Gagnant ou perdant il sait toujours sourire. Le tennis a besoin de champion de cette trempe. **W.F.**

Points Forts

Le service
Très constant. Le secret de Hlasek est de frapper à la fois premières et deuxièmes balles. Grâce à un gros travail il a su maîtriser son geste qui, au départ, n'était pas fluide. Avec précision, il sait exploiter toutes les zones du carré de service. Son enchaînement service-volée est solide, acquis là encore par le travail et la volonté.

Le retour
Très complet des deux côtés. Il sait varier : retours bloqués, frappés, etc. Il anticipe très bien et ses qualités de retourneur en font un bon joueur de double.

Le revers
Après avoir changé son grip et travaillé à fond, il s'est doté d'un très bon revers, qu'il peut jouer plat, coupé ou lifté. Comme Lendl il a acquis ce coup méthodiquement, mais Hlasek, lui, n'hésite pas à prendre des risques. Il peut chercher l'ouverture avec son revers, ou encore le frapper très fort pendant tout un échange.

Le coup droit
Hlasek n'a pas un coup droit aussi exceptionnel qu'un Agassi, mais il est solide. Pas très naturel, sans doute, ni brillant, ni spectaculaire son coup droit lui permet néanmoins d'accélérer quand il le veut, de forcer l'ouverture. Mais son efficacité est un peu moindre sur terre battue.

Le physique (voir plus loin)

La volée
Après un gros travail, Jakob est devenu très dangereux au filet. Et cela malgré un changement de prise qui habituellement handicape à la volée. La grande qualité de Hlasek, en matière d'offensive, est l'amour du risque calculé. Il agit, il frappe, il monte. C'est comme programmé, il n'y a pas de fantaisie dans son jeu, qui a d'abord l'ambition d'être complet. Hlasek, c'est un Mayotte qui, en plus, sait défendre et jouer sur terre battue.

Points faibles

Pas de coup exceptionnel
Jakob manque de « l'arme qui tue ». Du style « service de Noah », « coup droit de Lendl », « retour de Connors ». Du coup que l'on préfère à tous les autres et sur lequel on sait que l'on peut compter dans les moments difficiles ou sur un point très important.

Manque de toucher
Il frappe bien la balle, mais il manque du toucher nécessaire pour surprendre l'adversaire par des coups inattendus. Son tennis, comme sa personnalité, sont plutôt rigides. Il laisse peu de place à l'improvisation.

Tactique

L'une des forces de Hlasek est de pouvoir jouer son jeu sur toutes les surfaces. Comme tous les attaquants, il cherche à gagner le point le plus vite possible et pour cela il provoque les ouvertures avec son coup droit frappé ou son revers slicé. Son principal souci tactique est de n'offrir aucune prise à son adversaire, de ne pas montrer la moindre faiblesse.

Pour jouer contre lui :
L'idéal est de prendre le filet avant lui, encore que Jakob soit redoutable en défense (lob, passing...). S'il vient au filet, il faut « le faire jouer » le plus possible. Ce n'est pas un volleyeur naturel, donc il faut le mettre à l'épreuve. Enfin, c'est sur terre battue qu'il est encore le plus vulnérable, en partie en raison du fait que d'une manière générale, il joue le plus souvent à plat.

Physique

Ses qualités physiques sont devenues son atout principal. Il a beaucoup progressé en ce domaine. Auparavant, il n'était pas aussi rapide, il ne couvrait pas son terrain aussi bien. Comme Lendl, il a systématiquement amélioré son physique et cela paie aujourd'hui. Il est maintenant prêt pour les longs matches, et il est physiquement capable de frapper fort pendant longtemps. Jakob Hlasek, comme l'on dit, « respire la santé ».

Mental

Les bons résultats s'enchaînant, Jakob est devenu de plus en plus confiant. Cette confiance lui permet de développer un mental fort, volontaire. Il n'abdique jamais. Et on le sent comme son jeu : direct, simple, correct. Il offre une image belle et saine d'un champion de tennis. Pour tous les jeunes, il est un exemple à suivre.

...ights uphill battle in Canada

23



esi:
ed to No. 15



Carling Bassett Seguso:
Had climbed to No. 8

eginning to reap the finan-
ards which competitors
er nations have enjoyed

progress is being made,
ple still feel that the sport
further ahead than it now
country.
. Wojtek Fibak of Poland,
e most astute players on
our and a man who was
ntal in nurturing the ca-
op-ranked Ivan Lendl as
lping top-10ers Henri Le-
Thomas Muster, agreed
as a consultant to Tennis
in the development of
yers.
a time when Tennis Cana-
er $500,000 from Molsons
National Team concept.
wever, was unimpressed
adian tennis officials and
drew his services.
rabenec Sr. of Vancouver,
national coach from 1975
a widely respected tennis
no was allowed to depart
nal scene by his former
Tennis Canada.

— Ma pan w domu antenę do odbioru telewizji satelitarnej czy też ogląda tylko program „Bliżej świata?".

— Z anteną satelitarną miałem tyle wspólnego, że mając kiedyś reklamować to urządzenie, w ostatniej chwili uniknąłem owej przyjemności. Reklamę zrobił za mnie Bednarski. A „Bliżej świata" oglądałem. Raz u Drozdy zdecydowaliśmy się na ten program, mimo że ma on antenę satelitarną...

— Skąd więc wzięła się nazwa programu satyrycznego „Kanał 5", w którym gra pan pierwsze skrzypce?

— Może gram raczej drugie cymbały. Mój występ to tylko koleżeński dług wdzięczności spłacany Stefanowi Mroczkowskiemu. Wymyśliłem do jego programu kilka piosenek, które teraz są wykorzystywane.

— Ale kanał! Czy to stwierdzenie można odnieść do występów na antenie „Kanału 5" naszej telewizji?

— Wiedziałem, że będą się mnie czepiać, że ten program to kanał i w nim się podkładam. Nawet na tę okoliczność napisałem piosenkę „Kanalia", mówiącą o tym, żeby nie dać się wpuścić w prawy i lewy. Czyli w żaden kanał, nawet w „piąty". Jednak wierność sprawie przegranej — jest takie pojęcie — zadecydowała. Trzeba wypić wodę z rzeki, po której się płynie. Nie mam wyrzutów sumienia.

— Występowanie w dość marnym programie nie grozi utratą renomy, dobrej marki?

— To, że program jest marny pan powiedział, i to mimo że występują w nim Kaczmarek, Młynarski, Zygmunt, Piasecki. Koszty pewne jednak trzeba ponosić. Występuję w tym programie nie dla pieniędzy i sławy. Solidarność koleżeńska każe mi nie odmawiać.

— Jest oglnia, że telewizja niszczy prawdziwy kabaret?

— Komu niszczy! Sobie niszczy? Co to jest prawdziwy kabaret?... Na żywo, z pewną improwizacją aktorów stanowi jakiś oddzielny gatunek. Co prawda był kiedyś telewizyjny kabaret Olgi Lipińskiej...

— Pan również w nim występował. Istnieje szansa powrotu tego kabaretu na srebrny ekran?

— Nie wiem, proszę się zwrócić do osoby, której własnością był ten kabaret, czyli... do redaktora Jelińskiego.

— Rozśmieszanie widzów bawi Pana, czy też to wyłącznie praca dla pieniędzy?

— Jestem człowiekiem, który lubi swoją pracę, a jest ona taka, jaką pan widzi.

— Jaki jest dzisiejszy stan polskiego kabaretu?

— Odpowiem tak. Długo nie było mnie w kraju, dlatego nie wiem jak w tej chwili wygląda polski kabaret. Artyści, których nazwiska kojarzą mi się z kabaretem byli ze mną. Może nie wszyscy, część została w Polsce robiąc nowe programy, których jeszcze nie widziałem. Nie mogę więc teraz ocenić poziomu naszego kabaretu.

— Kto zasługuje na miano polskiego satyryka 1988 roku?

— Hm... Na miano polskiego satyryka 1988 roku zasługuje dawny Kibic udzielający się za „Kulisami", a dzisiejszy gracz występujący przed kulisami areny zwanej ostatnio sceną polityczną. Chyba dlatego, że ta pierwsza kojarzy się z ekwilibrystyką, cyrkiem, żonglerką, natomiast scena brzmi bardziej dramatycznie.

— Występy satyryczno-rozrywkowe w halach widowiskowo-sportowych można nazwać kabaretem?

— Po przełomie, jaki dokonał się w 1945 roku, w naszym społeczeństwie zostały rozbudzone apetyty na wszystko. Nie oparł się temu również kabaret, jedna z form elitarnej rozrywki. Dzisiaj ludziom obojętne jest, gdzie mogą się pośmiać, a że najczęściej robią to w halach, a nie w kameralnych salkach teatralnych, nie ma to chyba większego znaczenia.

— A gdzie pan bardziej lubi występować: w hali czy na sali?

— Nie robi mi to najmniejszej różnicy. Mając za sobą ponad 15 lat występów potrafię przystosować się do każdego miejsca. Bez względu na odległość zawsze staram się mieć bliski kontakt z publicznością.

— Kabaret „Tey" wznowił działalność. Będziecie dawać nowy program?

— Trzeba rozgraniczyć dwa pojęcia. Kabaret „Tey-Atr" Zenona Laskowika zachowuje ciągłość działalności, zaś kabaret „Tey", który powstał w 1970 roku związany jest z wieloma nazwiskami. Właśnie dwa miesiące temu spotkaliśmy się po to, by w Ameryce na zamówienie tamtejszej Polonii zaprezentować „Przeboje kabaretu Tey". Program był jakby przekrojem naszej dotychczasowej działalności. Trochę wspomnień, nowych rzeczy. Dobrze się jednak stało, że znowu wystąpiliśmy razem. Do Ameryki nie pojechali tylko ci, których stał w kabarecie „Tey" był bardzo krótki. Oni zostali w kraju, by szerzyć poważną kulturę.

— Jak wasze występy w Ameryce odbierała tamtejsza Polonia?

— Oglądali nas przeważnie ludzie, którzy z Polski wyemigrowali po 1980 roku. Dla nich było to więc wspomnienie czegoś, co było im bliskie, było na fali w momencie, kiedy oni wyjeżdżali.

— W zeszłym roku dwa razy odbywał Pan tournee po Ameryce...

— ... za co przepraszam wszystkich Czytelników „Sztandaru Młodych".

— Co jednak najbardziej utkwiło w pamięci z swojaży po Stanach Zjednoczonych?

— Stany Zjednoczone... Latem, podczas mojego pobytu przejechałem ten kraj od brzegu do brzegu. Był to niesłychany zbieg okoliczności, tak jak wszystko w moim życiu. Pomógł mi w tym Marek Semper — człowiek wielce zasłużony dla polskich artystów przejeżdżających przez Nowy Jork i New Jersey. To on pomógł m. in. kupić gitarę „Steinberga" Ryszowi Sygitowiczowi. To również Marek dołożył ogromnych starań do wydania compact-discu Urszuli i „Budki Suflera", o czym Zybowski chyba zapomniał w swoim ostatnim wywiadzie dla „Non-Stop".

— Jan Bo. też gościł w Stanach. Czy widział Pan jego występy?

— Niestety nie. Myśmy akurat się wymienili. Spotkaliśmy się bowiem razem z Janem Stanisławskim, Markiem Semperem, grupą „Lady Pank" i jej menedżerem Krzysztofem Zakretą w hotelu „Red Roof" w New Jersey. Ja jednak wyjeżdżałem już następnego dnia, a oni dopiero zaczynali koncerty w Chicago. Podczas drugiego pobytu znów widziałem Janka. Mam nawet nagrany utwór, do którego postanowiłem napisać tekst. Jest to kompozycja Urbaniaka i Borysewicza. Oni teraz coś razem kombinują. Wiem również, że Janek Bo. ze swoją grupą gra w tej chwili w nowo otwartym klubie Janusza Świerszcza „Świerszcz Klub" czyli „Cricket Club" w New Jersey. Krążą bardzo poważne plotki, że w działalność tego klubu zamieszany jest jeden ze sportowców mieszkający aktualnie w Connecticut.

— Można poznać nazwisko tego sportowca?

— Nie mogę go podać, bo nie wiem, czy on sobie tego życzy. Powiem tylko, że jest poważnym biznesmenem.

— A jaki sport uprawia ten biznesmen?

— Jest sportowcem klasy światowej. Niezwykle inteligentnym facetem, znakomicie znającym się na malarstwie okresu międzywojennego szkoły paryskiej. Chyba to panu wystarczy.

— Jak najbardziej...

— A propos. Po występie „Town Hall" w Nowym Jorku cały kabaret „Tey" otrzymał zaproszenie na kolację do domu tego jegomościa. Zostaliśmy tam fantastycznie przyjęci. Powspominaliśmy dawne poznańskie czasy.

— Rezydencja tego pana jest rzeczywiście bardzo wytworna?

— Dom jest fantastyczny, w ogóle nie amerykański. Z zewnątrz angielski, a w środku bardzo polski. Wszystkie szczegóły można znaleźć w książce Daniela Passenta o gospodarzu tego domu. Ja nie jestem upoważniony do zdradzania szczegółów.

— Wróćmy jednak do Polski. Przez kilka lat występował Pan w Teatrze Komedia w Warszawie. Dlaczego zrezygnował Pan z tej pracy?

— Nastąpiły okoliczności, w których pani dyrektor tego teatru mogła zrezygnować z moich usług. Z czego, jak mi donieśli starsi koledzy, jest w tej chwili bardzo zadowolona.

— Oznacza to, że jeśli zmieni się dyrektor tego teatru niewykluczony jest powrót do „Komedii"?

— Zostawię to pytanie bez odpowiedzi...

— Czego by Pan nie chciał o sobie usłyszeć?

— Nie boję się żadnych, najwredniejszych nawet wypowiedzi. Tym bardziej że często słyszę na swój temat epitety. Najważniejsze to móc spokojnie spojrzeć w lustro i nie napluć sobie w twarz.

— Apogeum Pana świetności przypada na „wiek skauta". Czy tylko piwo przyczyniło się do rozkładu drużyny?

— Apogeum jeszcze nie było. Skauting to jednak beztroski okres mojej twórczości. A na rozkład drużyny wpłynęły: koniunkturalizm, strach i środowisko oportunistów.

— W kraju, w którym państwo wydaje miliony na produkcję wysokoprocentowego alkoholu, nie mogła działać grupa „Skautów i Piwnych". Nie doszukał się Pan w tym zwalczania przez państwo niewygodnej konkurencji?

— My wcale nie reklamowaliśmy piwa, co zostało potwierdzone przez badania w prokuraturze. W nazwie mieliśmy „Piwni" co miało oznaczać, że nie jesteśmy niewinni. Dwa lata po jakichś tam popołudniowych wygłupach adresowanych głównie do młodzieży zadziałał tutaj prawidłowy mechanizm. Lawinę wywołała Młodzieżowa Agencja Kultury, której zamojscy działacze chcieli w Hrubieszowie zarobić pieniądze bez wcześniejszego sprawdzenia warunków, w jakich mieli sprzedawać towar. Zaproponowano nam występ w śmierdzącej sali bez światła i fortepianu. Przypięto jeszcze do tych żartów martyrologię, bowiem dochód z imprezy miał być przeznaczony na budowę zamojskiego pomnika pomordowanych dzieci. Gdy to usłyszałem włos mi się zjeżył. Choć nie jestem człowiekiem unikającym kompromisów postanowiłem zaprotestować. Wraz z kolegami wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy, rezygnując z naprawdę dużego zarobku i narażając się na poniesienie olbrzymich kosztów. W tej sytuacji był to chyba autentycznie szlachetny odruch. Sprawa została jednak inaczej zinterpretowana, co wykorzystało m. in. Towarzystwo Antyalkoholowe. Na szczęście zwyciężył zdrowy rozsądek, lecz niesmak pozostał.

— Kto jest Pana najwierniejszym słuchaczem?

— Nie mam pojęcia.

— Nie żona?

— Skąd. Iwona w ogóle nie słucha tych bzdur.

— Dom jest więc wolny od kabaretu?

— Nie. Mam tam takiego sześcioletniego artystę. Jonasz ma świetne pomysły, bardzo mnie rozśmiesza. Przy nim to ja jestem mały „Mickey Mouse".

— Oczekiwania na ten rok?

— Liczę na szybką wiosnę. Może się wreszcie rozmrozi. Na koniec mam prośbę do waszego „Sztandaru". Istnieje szansa zorganizowania w Warszawie i Krakowie festiwalu filmów Roberta de Niro. Czy pomoglibyście w tworzeniu fan-clubów tego aktora w naszym kraju?

— Dowiem się i... poczekam na listy od Czytelników.

Rozmawiał

JACEK KMIECIK

JANUSZ REWIŃSKI:

NIE PLUJĘ sobie w twarz



Fot. L. DZIKOWSKI

Tennis fights uphill battle in Cana

Young recruits needed in sport to develop stars

BY TOM TEBBUTT
Special to The Globe and Mail

Former Australian professional tennis star Rod Laver once remarked that about the best thing a promising tennis player in this country can do is, "Get the hell out of Canada."

Canada has produced competent international players but, with the exception of Carling Bassett Seguso and Helen Kelesi, no one has come close to blazing a path for aspiring youngsters to follow.

Canadian tennis fans are well aware that this country's climate, lack of a successful tradition, and the reality of competing in the talent pool with an overwhelmingly popular sport like hockey, have worked against developing great tennis players bearing the "Made In Canada" label.

Those explanations are shopworn so it might be more interesting to consider a rather esoteric theory for Canada's inability to produce a great player.

Former Canadian Davis Cupper Harry Fauquier of Toronto suggests, "Canada excels in sports played in or on water, whether it's frozen, liquid, or crystalized. We have a tradition of excellence when any form of water is involved. Other than those sports, we really don't have one."

Despite the pessimism of those thoughts, Fauquier, a director of the All-Canadian Tennis Academy, which trains some of Canada's top juniors, believes there is hope for tennis here.

"I'm convinced that it is a numbers game," he says. "What will happen is that if we get more players involved, our journeymen guys ranked around No. 120 in the world clearly beginning to reap the financial rewards which competitors from other nations have enjoyed for years.



Helen Kelesi:
Has climbed to No. 15



Carling Bassett Seguso:
Had climbed to No. 8

Though progress is being made, some people still feel that the sport should be further ahead than it now is in this country.

In 1984, Wojtek Fibak of Poland, one of the most astute players on the pro tour and a man who was instrumental in nurturing the career of top-ranked Ivan Lendl as well as helping top-10ers Henri Leconte and Thomas Muster, agreed to work as a consultant to Tennis Canada in the development of young players.

It was a time when Tennis Canada had over $500,000 from Molsons to build a National Team concept. Fibak, however, was unimpressed with Canadian tennis officials and soon withdrew his services.

Josef Brabenec Sr. of Vancouver, Canada's national coach from 1975 to 1982, is a widely respected tennis person who was allowed to depart the national scene by his former employer, Tennis Canada.

— Ma pan w domu antenę do odbioru telewizji satelitarnej czy też ogląda tylko program „Bliżej świata?".

— Z anteną satelitarną miałem tyle wspólnego, że mając kiedyś reklamować to urządzenie, w ostatniej chwili uniknąłem owej przyjemności. Reklamę zrobił za mnie Bednarski. A „Bliżej świata" oglądałem. Raz u Drozdy zdecydowaliśmy się na ten program, mimo że ma on antenę satelitarną...

— Skąd więc wzięła się nazwa programu satyrycznego „Kanał 5", w którym gra pan pierwsze skrzypce?

— Może gram raczej drugie cymbały. Mój występ to tylko koleżeński dług wdzięczności spłacany Stefanowi Mroczkowskiemu. Wymyśliłem do jego programu kilka piosenek, które teraz są wykorzystywane.

— Ale kanał! Czy to stwierdzenie można odnieść do występów na antenie „Kanału 5" naszej telewizji?

— Wiedziałem, że będą się mnie czepiać, że ten program to kanał i w nim się podkładam. Nawet na tę okoliczność napisałem piosenkę „Kanalia", mówiącą o tym, żeby nie dać się wpuścić w prawy i lewy. Czyli w żaden kanał, nawet w „piąty". Jednak wierność sprawie przegranej — jest takie pojęcie — zadecydowała. Trzeba wypić wodę z rzeki, po której się płynie. Nie mam wyrzutów sumienia.

— Występowanie w dość marnym programie nie grozi utratą renomy, dobrej marki?

— To, że program jest marny pan powiedział, i to mimo że występują w nim Kaczmarek, Młynarski, Zygmunt, Piasecki. Koszty pewne jednak trzeba ponosić. Występuję w tym programie nie dla pieniędzy i sławy. Solidarność koleżeńska każe mi nie odmawiać.

— Jest opinia, że telewizja niszczy prawdziwy kabaret?

— Komu niszczy! Sobie niszczy? Co to jest prawdziwy kabaret?... Na żywo, z pewną improwizacją aktorów stanowi jakiś oddzielny gatunek. Co prawda był kiedyś telewizyjny kabaret Olgi Lipińskiej...

— Pan również w nim występował. Istnieje szansa powrotu tego kabaretu na srebrny ekran?

— Nie wiem, proszę się zwrócić do osoby, której własnością był ten kabaret, czyli... do redaktora Jelińskiego.

— Rozśmieszanie widzów bawi Pana, czy też to wyłącznie praca dla pieniędzy?

— Jestem człowiekiem, który lubi swoją pracę, a jest ona taka, jaką pan widzi.

— Jaki jest dzisiejszy stan polskiego kabaretu?

ostatnio sceną polityczną. Chyba dlatego, że ta pierwsza kojarzy się z ekwilibrystyką, cyrkiem, żonglerką, natomiast scena brzmi bardziej dramatycznie.

— Występy satyryczno-rozrywkowe w halach widowiskowo-sportowych można nazwać kabaretem?

— Po przełomie, jaki dokonał się w 1945 roku, w naszym społeczeństwie zostały rozbudzone apetyty na wszystko. Nie oparł się temu również kabaret, jedna z form elitarnej rozrywki. Dzisiaj ludziom obojętne jest, gdzie mogą się pośmiać, a że najczęściej robią to w halach, a nie w kameralnych salkach teatralnych, nie ma to chyba większego znaczenia.

— A gdzie pan bardziej lubi występować: w hali czy na sali?

— Nie robi mi to najmniejszej różnicy. Mając za sobą ponad 15 lat występów potrafię przystosować się do każdego miejsca. Bez względu na odległość zawsze staram się mieć bliski kontakt z publicznością.

— Kabaret „Tey" wznowił działalność. Będziecie dawać nowy program?

JANUSZ REWIŃSKI:

NIE PLUJĘ sobie w tw

— Trzeba rozgraniczyć dwa pojęcia. Kabaret „Tey-Atr" Zenona Laskowika zachowuje ciągłość działalności, zaś kabaret „Tey", który powstał w 1970 roku związany jest z wieloma nazwiskami. Właśnie dwa miesiące temu spotkaliśmy się po to, by w Ameryce na zamówienie tamtejszej Polonii zaprezentować „Przeboje kabaretu Tey". Program był jakby przekrojem naszej dotychczasowej działalności. Trochę wspomnień, nowych rzeczy. Dobrze się jednak stało, że znowu wystąpiliśmy razem. Do Ameryki nie pojechali tylko ci, których staż w kabarecie „Tey" był bardzo krótki. Oni zostali w kraju, by szerzyć poważną kulturę.

— Jak wasze występy w Ameryce odbierała tamtejsza Polonia?

— Oglądali nas przeważnie ludzie, którzy z Polski wyemigrowali po 1980 roku. Dla nich było to więc wspomnienie czegoś, co było im bliskie, było na fali w momencie, kiedy oni wyjeżdżali.

— W zeszłym roku dwa razy odbywał Pan tournee po Ameryce...

— ... za co przepraszam wszystkich Czytelników „Sztandaru Młodych".

— Co jednak najbardziej utkwiło w pamięci z wojaży po Stanach Zjednoczonych?

— Stany Zjednoczone... Latem, podczas mojego pobytu, przejechałem ten kraj od brzegu do brzegu. Był to niesłychany zbieg okoliczności, tak jak wszystko w moim życiu. Pomógł mi w tym Marek Semper — człowiek wielce zasłużony dla polskich artystów przejeżdżających przez Nowy Jork i New Jersey.

HENRYK DE KWIATKOWSKI'S & BARBARA ALLEN'S WEDDING



Eliza Meyer



The bride & groom



George Baker



Lucy Ferry with the Bride



Mona Hamilton



Reinaldo Herrera







TENIS ZJADA WŁASNE DZIECI

Rok 1977 nie był taki triumfalny jak poprzedni. Przede wszystkim Fibak z Okkerem stracili mistrzostwo świata w grze podwójnej (zajęli trzecie miejsce), odzyskane ponownie rok później. Ponadto nie było takiego akcentu końcowego jak ubiegłoroczny start i sukces w turnieju Masters w Houston. Od 1977 roku kariera Fibaka stabilizuje się na wysokim poziomie, ale chyba poniżej jego możliwości.

Zaczyna odczuwać, że nie zaspokaja już nienasyconych polskich sympatyków. – Była moje epoka, był zachwyt tenisem, zainteresowanie i życzliwość Polaków, którą zawsze czułem, gdziekolwiek byłem. Trwało to rok, może półtora, ale ten czas minął. Ludzie oswoili się ze mną, przyzwyczaili się, że gram co tydzień, wygrywam, przegrywam, wszystko to w klimacie obojętności, czasami wręcz niechęci. W miarę upływu czasu widzę, że tenis, to co robię, staje się coraz bardziej moją prywatną sprawą, ważną dla mnie i coraz mniej ważną dla kraju. Nie jest to przyjemne...

Fibak podaje dziennikarzowi, Zdzisławowi Ambroziakowi, który sam był świetnym sportowcem, co ma na myśli: – Jestem po ostatniej sekwencji amerykańskiej, wygrywam mistrzostwo świata, jadę do Düsseldorfu, wygrywam z Dentem i Mottramem, jadę do Hamburga, gram w finale debla i singla czwartego co do ważności europejskiego turnieju, ostatniego dnia pełne szaleństwo, przez ponad sześć godzin nie schodzę z kortu, ludzie nie mogą uwierzyć, że można grać półfinał i dwa finały jednego dnia, Tom Okker przynosi mi tylko świeże koszulki na zmianę, udzielam wywiadów dla radia i telewizji, przegrywam finał z Vilasem, zwyciężamy wraz z Tomem w deblu. Prosto z kortów wsiadam z Ewą do samochodu, jadę pięć godzin, o wpół do drugiej w nocy jesteśmy na granicy polskiej. Podaję paszport wopiście, ten woła kolegów i powiada: – Panie Wojtku, już pan jest, tak szybko? No i co, znowu nie poszło... Tak dosłownie powiada – znowu nie poszło...

Zdaniem Ambroziaka, wokół naszego gracza *panuje osobliwy chłód*. Fibak zdaje sobie sprawę że *jego czas minął*, w tym sensie, że w Polsce przychylność zaczynała maleć, podczas gdy za granicą trwała nadal. Czy dlatego że jest bogaty? – Tak, w pewnym stopniu tak. Fibak to rozumie. W Polsce reakcja ludzi na cudzą zamożność nie może być normalna, bo normalnie nie można się wzbogacić. Ponadto był rok 1978, narastało zgorzknienie i niezadowolenie. Fibak nie brał sobie tego wszystkiego przesadnie do serca – jest bystry i drażliwy, ale twardo robi swoje. W Wimbledonie był o włos od półfinału, do którego nie dostał się jeszcze żaden polski tenisista, tylko Jędrzejowska, w pamięci starszego pokolenia najwybitniejsza polska tenisistka i niedościgniony wzór moralny. W Wimbledonie Fibakowi nigdy nie udało się wspiąć wyżej, dojść do finału, żeby w dziejach polskich startów w tym turnieju wyrównać osiągnięcie legendarnej Jadzi. Ale to jest legenda, której młodzież już nie zna – młodzi znają Fibaka, który będzie na kolejnej zmianie sztafety polskiego tenisa. Przegrał w ćwierćfinale z Amerykaninem Sandy Mayerem w pięciu setach – trzeci set zakończył się 8:6 dla Fibaka, a piąty 7:5 dla Mayera – pokazuje to, jak zacięty był ich pojedynek. Lepiej poszło Polakowi w deblu, gdzie grali z Okkerem w półfinale – również największy sukces Polaka w deblowej historii tego najstarszego turnieju. Przykład Fibaka nadal działał. W ciągu dwóch lat przybyło w Polsce 250 kortów, z tego 70 w klubach wyczynowych, wzrosła także w klubach o 28 liczba sekcji tenisowych, których poprzednio systematycznie ubywało. Potwierdza się, że matką sukcesu jest sukces.

Zaś co do chłodu, który otaczał od pewnego czasu Fibaka, to owszem, łaska pańska na pstrym koniu jeździ, opinia jest kapryśna, ale Fibak nie był bez winy. Janusz Żwan, życzliwy uprzednio dziennikarz „Sztandaru Młodych", pisał w komentarzu pod tytułem *Kalkulacja jest pusta: W Krakowie rozpoczęły się mistrzostwa Polski w tenisie. Niestety na starcie nie stanął najlepszy nasz zawodnik Wojciech Fibak. Przed kilkoma dniami PZT otrzymał lakoniczny telegram: »Niestety start w Houston z Okkerem konieczny na Masters Grand Prix. Fibak.«*

Ani jednego słowa przeprosin, przynajmniej próby usprawiedliwienia się. *Dość długo panowało milczenie na temat nieeleganckiego zachowania się naszego mistrza* – kontynuował dziennikarz. *Uważam, że nadeszła chwila właściwa, aby podzielić się niekorzystnymi wątpliwościami (...) PZT chucha na Fibaka (...) Chodzi nam o permanentne*

lekceważenie najważniejszych imprez rozgrywanych w kraju. (...) Nie potrzeba specjalnie wytężać umysłu, by zorientować się w czym rzecz. Otóż w poniedziałek rozpoczął się w Bournemouth kolejny turniej Grand Prix. Tego typu imprez odbywa się w ciągu roku kilkadziesiąt. Za każde zwycięstwo od I. rundy otrzymuje się odpowiednią ilość banknotów z podobizną prezydentów USA. Kalkulacja jest więc prosta...

„Życie Warszawy" nazwało tę argumentację „zenującą". *Fibakowa kieszeń to temat zenującej dyskusji* – napisał w „Literaturze" Jacek Syski, widząc to jako objaw rozpowszechnionego wyciągania przez nas ręki i chęci życia na cudzy koszt.

W odpowiedzi Fibak wyjaśnił, że w czasie mistrzostw Polski grał w mistrzostwach deblowych ATP w Texasie w Houston, gdzie wraz z Okkerem zajęli znów I miejsce, tego samego roku wygrał również Mistrzostwo Świata WCT zawodowców. Czuł się zobowiązany wyłącznie do gry w Pucharze Davisa i słowa dotrzymał – grał zarówno z Iranem jak i z Czechosłowacją. Odrzucał również zarzut, iż mało łożył na PZT. W 1978 dostarczył 700 rakiet, 5 km naciągu, 300 par butów i 1200 piłek. (Pamiętajmy, że wtedy jeszcze obowiązek łożenia na polski sport nie istniał, problem zawodowców dopiero się zaczynał.) Od trzech lat organizował doroczny turniej asów. Istotnie, w 1979 roku Fibak ściągnął do Poznania samego Borga, który z powodu choroby rozegrał tylko pokazówkę z młodzieżą. Cały dochód z imprezy: 1,8 mln zł przekazano na Centrum Zdrowia Dziecka. Dogadał się także z PZT, że wystąpi w meczu o puchar Davisa z Włochami, weźmie udział w mistrzostwach Polski i w zgrupowaniu najlepszych młodych tenisistów w Poznaniu. Przykra atmosfera jednak pozostała. Opinia publiczna – do niedawna zjednoczona wokół Fibaka, teraz była już podzielona. Nowy mistrz Polski Witold Meres krytycznie ocenił postawę Fibaka, a Mieczysław Bilski w „Głosie Nauczycielskim" wymyślał mu od „gwiazdorów". Z drugiej strony K. Piątkowski w „Słowie Powszechnym" bronił Fibaka – wszyscy zaglądają mu do portfela, a nikomu nie przyjdzie na myśl wyjść na kort i walczyć tak jak on. Nie widać, żeby któryś z krytykantów poszedł śladami Fibaka.

Z kronikarskiego obowiązku odnotujmy jaki był dla Fibaka kolejny, 1979 rok. Startował w ponad 20 turniejach, a więc nieco mniej niż poprzednio. Oto najlepsze wyniki: Melbourne – I miejsce w deblu. Londyn – przegrana w półfinale mistrzostw świata w deblu. Nowy Jork – II miejsce w deblu. Filadelfia – I miejsce w mistrzostwach deblowych USA zawodowców i rewanż w pojedynku z mistrzami świata Fleming-iem i McEnroe. Memphis, krajowe mistrzostwa USA – zwycięstwo w turnieju deblowym. Stuttgart – I miejsce w turnieju Porsche (samochód model 928 + 20 tys. dolarów nagrody) po zwycięstwie nad Vilasem. Także zwycięstwo w grze podwójnej. Monachium – zwycięstwo w grze podwójnej i II miejsce w grze pojedynczej. Nowy Jork – półfinał w Forest Hills, uwieńczony zwycięstwem nad Ramirezem, G. Mayerem i Gerulaitisem, przegrana z Solomonem. Wiedeń – po pokonaniu Franulovica, a następnie G. Mayera – w finale ulega Smithowi. Kolonia – w finale uległ Mayerowi. Sztokholm – turniej Grand Prix – w grze podwójnej II miejsce, w pojedynczej – wyeliminowany przez McEnroe. W Pucharze Davisa Fibak wygrał z Włochem Panattą i przegrał z Barazzuttim. W klasyfikacji Grand Prix Polak zajął 11 miejsce na świecie. Było to za mało, żeby zagrać w finale turnieju Masters indywidualnie, natomiast w parze z Okkerem – jako trzecia para na świecie – wystąpili w tym turnieju. Z nagród uzyskał w tym roku 183 tysiące dolarów (wg „Los Angeles Times").

W 1980 roku Fibak ponownie dotarł do ćwierćfinału w Wimbledonie i Rolland Garros, gdzie przegrał z Gerulaitisem po meczu trwającym 3 godziny i 33 minuty, 3:6, 7:5, 4:6, 6:3, 3:6. Odnotowujemy ten mecz, ponieważ na jego przykładzie można pokazać, jak bardzo zmatematyzowaną grą stał się tenis. Oglądając transmisję telewizyjną, dzięki komputerom możemy śledzić nie tylko grę, ale błyskawiczne obliczenia – ile kto zepsuł pierwszych serwisów, jaka jest skuteczność returnów, ile kto wygrał dotychczas piłek, ile miał „asów", ile popełnił błędów niewymuszonych itd. Jest to bardzo pomocne nie tylko dla widzów, ale dla zawodników i trenerów, którzy mogą ustalić, jakie są ich słabe punkty nad którymi trzeba pracować. Oto podsumowanie meczu Gerulaitis-Fibak.

	Gerulaitis	Fibak
Punkty zdobyte	99	84
Smecze wygrane	12	7
Woleje wygrane	31	20
Passing shoty wygrane	15	18
Asy serwisowe	4	2
Serwisy wygrane	28	27
Błędy niewymuszone	52	58
Smecze nieudane	4	3
Woleje nieudane	17	13
Passing shoty nieudane	9	19 (!)
Podwójne błędy serwisowe	5	1
Pierwsze serwisy udane	102	86
Procent udanych I serwisów	73	62,7



WOJCIECH FIBAK Z KARLEM MEILEREM W 1976 R., KIEDY ZDOBYLI MISTRZOSTWO ŚWIATA W GRZE PODWÓJNEJ.

Archiwum

W latach 1980-81 Fibak, który zbliża się do trzydziestki, gra trochę mniej, ale nadal dużo. Utrzymuje się w pobliżu dziesiątki najlepszych tenisistów, nadal dociera do ćwierćfinałów w największych turniejach, a niektóre inne wygrywa np. w Dubaju i w Gstaad. Fakt, że dochodzi do ćwierćfinału w wielkich imprezach, a więc do grona ośmiu najlepszych w turnieju, dobrze oddaje jego pozycję wśród najlepszych. Grając dużo w debla i umiejętnie planując starty pod względem finansowym, zarabia doskonale. Posiada już imponujący dom na dużym terenie w bogatej miejscowości Greenwich, w stanie Connecticut, gdzie praktycznie osiada na stałe. W 1980 roku dochodzą go echa wydarzeń w Polsce, rośnie zainteresowanie naszym krajem. Prasa zachodnia pisała o nim, że pod względem popularności za granicą ustępował wówczas tylko dwóm Polakom – Papieżowi i Wałęsie. Podczas pobytu na turnieju w Rzymie, odwiedza klinikę, w której wraca do zdrowia Papież. Zostawia dla Ojca świętego symboliczną rakietę. W 1981 roku, na krótko przed stanem wojennym, był w kraju. Stan wojenny zastaje go w Greenwich. Po Bożym Narodzeniu rozmawia z dziennikarzem amerykańskim: *– To są nasze najsmutniejsze święta. Wczoraj wieczorem, przed wigilią powiedziałem do żony: »Nie mamy się czego radować«. Jednakże z powodu dzieci musieliśmy ubrać choinkę i powiedzieć, że był święty Mikołaj.*

Od 13 grudnia – czytamy w artykule dziennikarza „New York Times" *– nie mieli kontaktu z rodziną w kraju. – Modlimy się za wszystkich, którzy wierzą w wolną Polskę i cierpią z powodu stanu wojennego. Żałujemy, że naród polski nie jest zjednoczony. Osiągnęliśmy tam tak wiele podczas szesnastu miesięcy i szkoda, że nie możemy tego kontynuować. Nie byłoby słuszne, gdybyśmy stąd doradzali Polakom co mają robić. Im jest ciężko w kraju, a my wygodnie siedzimy tu, w Ameryce. Nie możemy im stąd mówić, czy mają iść do fabryki czy strajkować. Łatwo ludziom występować tu teraz w telewizji i radzić Polakom co mają robić. Polacy w kraju są teraz bohaterami i oni tworzą historię. Jesteśmy myślami z nimi.*

Stan wojenny zastał w Ameryce grupę polskich juniorów, którzy z trenerem Witoldem Meresem wyjechali na doroczny turniej Orange Bowl na Florydzie. Byli zdenerwowani, ale nie mogli nawiązać kontaktu z rodzinami w kraju. – Nawet gdybym mógł sprowadzić tu rodzinę i dostać dobrą pracę jako zawodowiec, też bym wrócił – mówi Meres. Tęskniłbym do przyjaciół i do kraju, który jest mój. Nie wierzę, żeby nam coś zrobiono, gdybyśmy tu zostali, ale mam nadzieję, że sprawy w kraju się ułożą.

Fibak powiedział, że w stanie wojennym nie będzie reprezentował barw polskich w Pucharze Davisa, nie wybierał się też do kraju (zwrócił uwagę, że pojechał dopiero kiedy uczynił to Papież, co nie było zbyt skromne). W rozmowie ze mną wyjaśnił, że było to nieporozumienie, został wtedy źle zrozumiany przez dziennikarza. Po prostu pielgrzymkę Papieża odebrał jako dowód normalizacji. Zarówno wypowiedzi Fibaka jak i reakcja władz nie były zbyt energiczne. Fibak ostrożny jak zwykle, pilnował się i zachował umiar, a władze, dość już bezsilne, ograniczyły się do sankcji paszportowych i pewnego wyciszenia kultu Fibaka w prasie. Piszę „pewnego", ponieważ np. kiedy Fibak i Noah rozegrali w Paryżu mecz pokazowy pod hasłem „Tenis dla Polski", z którego dochód przeznaczono na pomoc medyczną dla naszego kraju, krajowe gazety doniosły o tym za Polską Agencją Prasową (luty 1982) pod tytułami *Piękny gest Fibaka i Noaha, Cenna akcja W. Fibaka, W. Fibak i Y. Noah grali dla Polski. Nie jest to dla mnie, ani dla Yanicka Noah impreza polityczna. Traktujemy ją wyłącznie na płaszczyźnie humani-*

Lipsic -89

BORIS BECKER

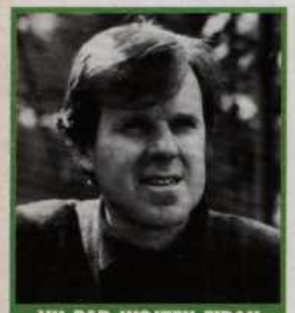

VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate, à laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A 36 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl et tout récemment Leconte, Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien les champions dont il parle. Pour les avoir souvent affrontés sur le court. Mais aussi pour les côtoyer en coulisses. Voici donc, ajoutées aux grandes lignes du palmarès, au « résumé technique » des posters précédents, quelques confidences faites sur les joueurs par Wojtek Fibak. Elles ne trahissent ni la vie privée, ni la discrétion qu'imposerait l'amitié. Mais elles constituent un précieux témoignage, fait de détails inédits qui aident à mieux connaître l'homme qui se cache derrière le champion. Ce mois-ci, Boris Becker.



Né le 22 novembre 1967 à Leimen (R.F.A.)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Australian Open
1984 : *1/4 de finaliste (perd Testerman) ;* ***1985 :*** *2e tour (perd Schapers) ;* ***1986 :*** *pas de tournoi ;* ***1987 :*** *1/8 de finaliste (perd c. Masur) ;* ***1988 :*** *pas joué ;* ***1989 :*** *1/8 de finaliste (perd c. Svensson).*

Roland-Garros
1985 : *2e tour (perd c. Wilander) ;* ***1986 :*** *1/4 de finaliste (perd c. Pernfors) ;* ***1987 :*** *1/2 finaliste (perd c. Wilander) ;* ***1988 :*** *1/8 de finaliste (perd c. Leconte).*

Wimbledon
1984 : *3e tour (perd c. Scanlon) ;* ***1985 :*** *vainqueur (bat Curren) ;* ***1986 :*** *vainqueur (bat Lendl) ;* ***1987 :*** *2e tour (perd c. Doohan) ;* ***1988 :*** *finaliste (perd c. Edberg).*

U.S. Open
1985 : *1/8 de finaliste (perd c. Nyström) ;* ***1986 :*** *1/2 finaliste (perd c. Mecir) ;* ***1987 :*** *1/8 de finaliste (perd c. Gilbert) ;* ***1988 :*** *2e tour (perd c. Cahill).*

MASTERS

1986 *(janvier) : finaliste (perd c. Lendl) ;* ***1986*** *(décembre) : finaliste (perd c. Lendl) ;* ***1987 :*** *éliminé en poule ;* ***1988 :*** *vainqueur (bat Lendl).*

TOURNOIS GAGNES

au 5 juin (21)
1985 : *Queen's, Wimbledon, Cincinnati ;* ***1986 :*** *Wimbledon, Chicago, Toronto, Sydney, Tokyo, Bercy ;* ***1987 :*** *Indian Wells, Milan, Queen's ;* ***1988 :*** *Indian Wells, Dallas, Queen's, Indianapolis, Tokyo (indoor), Stockholm, Masters ;* ***1989 :*** *Milan, Philadelphie.*

FINALES

au 5 juin (8)
1985 : *Wembley ;* ***1986 :*** *Masters (janvier), Dallas, Stratton Mountain, Masters (décembre) ;* ***1987 :*** *Cincinnati ;* ***1988 :*** *Wimbledon ;* ***1989 :*** *Monte-Carlo.*

Points forts

Coup droit

C'est un modèle. Sur ce coup, Boris donne tout. Il imprime à la balle un « Topspin » étonnant. Son placement, son transfert, sa frappe sont fluides.

Revers

Il peut le trapper plat, lifté ou slicé. C'est surtout en retour de service que son revers est le plus stupéfiant.

Retours

Il est rarement dépassé dans ce secteur. Il possède un coup unique dans ce domaine : le retour de revers frappé devant lui.

Toucher de balle

Il « sent » très bien la balle que ce soit en « stop-volée », en lob ou en amortie.

Premier service

C'est l'un des meilleurs premiers services du circuit.

Points faibles

Mobilité

C'est surtout en montant au filet qu'il a des problèmes. En raison d'un physique un peu trop lourd, il manque parfois de vivacité.

Tactique

Il en manque surtout sur terre battue.

Deuxième service

Il ne réussit pas à frapper sa deuxième balle avec le même geste que celui qu'il emploie pour son premier service.

Et aussi...

Tactique

Le sens tactique lui fait souvent défaut. Pour jouer contre lui : sur terre battue, il faut être régulier et remettre la balle dans le court. Sur surface rapide, il faut chercher à jouer des volées basses.

Physique

Il tire de son physique impressionnant une finesse qui n'est pas toujours visible, mais bien réelle.

Mental

Avec Connors, McEnroe et Lendl, il est le plus fort mentalement. Une seule restriction : il est parfois trop sûr de lui.

En coulisses

J'ai vu Boris Becker pour la première fois en 1984 lors d'un tournoi au Luxembourg. J'étais arrivé deux jours plus tôt, il était très tard mais je suis tout de même allé au stade pour reconnaître les lieux et m'entraîner. Ma femme, Eva, était avec moi. Et là, impossible de jouer : le court était occupé par les qualifications. Dans celles-ci, il y avait beaucoup de jeunes Allemands. Et parmi eux, Boris Becker. Je me souviens avoir dit à Eva que je n'avais jamais vu auparavant quelqu'un qui contrôlait la balle comme ça, **avec sa main.** Je n'étais pas impressionné par son physique. Mais par cette maîtrise de la balle, avec une manière totalement différente de Nastase par exemple. Son toucher était étonnant. Il donnait l'illusion que le tennis était quelque chose de très facile. Je me revois, avec Eva, ce soir-là, dans la dernière rangée des gradins du stade. Il n'y avait presque personne pour regarder. Et j'ai demandé à un autre jeune Allemand : « Qui est-ce ? » « Boris Becker, un gars très doué. » Becker est sorti des qualifications puis a battu Segarceanu et au deuxième tour, il a joué contre Gene Mayer que je considère comme l'un des meilleurs stratèges du jeu. Becker lui a posé de vrais problèmes et lui a même pris un set. La semaine suivante, c'était le tournoi de Monte-Carlo. A ce moment de ma carrière, je ne voulais plus trop voyager. Et je cherchais plutôt un jeune européen avec qui je pouvais jouer en double. Quand je suis arrivé à Monaco, on était en plein tournoi juniors. Et là, je revois Boris Becker. A ma grande surprise, ce n'était plus le même ! Il était presque arrogant sur le court. Je le voyais parler tout seul, jeter sa raquette, etc. Il était en colère, mais contre lui, et il le montrait. Ça chez un garçon de 16 ans, c'était très surprenant. Car d'habitude à cet âge, on n'ose pas montrer grand chose. Je l'ai regardé pendant près d'un set. A l'époque il ne faisait que des services recouverts, jamais à plat, et sa 1ère avait aussi besoin de perdre quelques kilos. J'ai été voir Gunther Bosch qui était alors le coach de tous les jeunes Allemands de la fédération. Je lui ai dit que je souhaitais jouer en double avec Boris et j'ai organisé un déjeuner au club. Boris s'est montré flatté. A table, il était discret, presque timide. Tout le contraire de ce qu'il venait d'être sur le court. Lui et Bosch étaient d'accord, j'ai demandé une wild card pour nous à Hambourg.

On est arrivé en quarts de finale et là, nous avons été programmé sur le central pour affronter la très bonne équipe Gunthardt-Taroczy. En Allemagne, on commençait à s'agiter autour de Becker. Nous avons été battus mais après trois sets serrés. Au début du match, évidemment, c'est moi qui le conseillais, qui le guidais. Mais à partir du début du 2ème set, Boris est devenu le meilleur de nous quatre sur le terrain. Il jouait tellement bien, avec une telle confiance, que c'est moi qui ne pouvais plus jouer ! Et si on a perdu, ce jour-là, ce fut finalement plus de ma faute que de la sienne. Et c'est lui qui me poussait « Come on, come on ! » Mais le plus drôle c'est ce que m'a dit Taroczy après dans les vestiaires : « Mais pourquoi joues-tu avec ce gamin ? Il est lourd, il ne peut pas jouer au tennis. J'espère que son père est riche, et qu'il te paie cher pour jouer avec lui. » La semaine suivante nous sommes allés à Munich. Et nous avons gagné le double. En simple il avait perdu au 2ème tour contre Westphal et il en avait pleuré. Mais en double, à partir des quarts de finale, il avait mieux joué que moi. En produisant tous les coups du tennis. Moi je donnais de petits conseils tactiques. Et quand il faisait une faute, il me disait, « okay, j'ai vu », j'aurais dû faire ceci ou cela. Ce fut une semaine fantastique. La presse est tombée sur nous, il y a eu une grande effervescence.

Et puis, le soir même, je l'ai raccompagné chez lui, chez ses parents, à Heidelberg. Nous sommes partis du stade à 10 h du soir. J'avais une Porsche à l'époque et je me souviens que Boris était dans une sorte d'euphorie. Cette première victoire, et maintenant la nuit, les lumières de l'autoroute, la Porsche, la vitesse — on roulait à plus de 200 km/h —, tout le grisait un peu, lui et ses 16 ans. Et à minuit, il y a eu les informations à la radio. On a annoncé notre victoire en double, mais aussi celle de Gomez sur Kricksteln qui, à 17 ans, venait de jouer la finale des Internationaux de Rome !

Là, Boris a pris comme un coup de massue. Après un grand silence il a dit : « Tu te rends compte ? Moi je suis tout content d'avoir gagné en double à Munich et Kricksteln, à 17 ans est en finale à Rome ! Je n'arrive pas à y croire... » Et après Boris n'a plus dit un seul mot jusqu'à notre arrivée. Il était comme un gosse blessé. Un grand corps mais un tout petit garçon. Ses parents étaient là pour nous accueillir. Je suis resté à discuter avec eux jusqu'à environ 3 heures du matin. Ils me demandaient mon avis à propos de la carrière de Boris. A l'époque, Bosch n'était pas encore spécialement attaché à Boris. Il était question qu'il le fasse et j'ai poussé dans ce sens. Et puis, les agents déjà voulaient tous Becker. McCormack, Donald Dell et Ion Tiriac voulaient une star. Mon nom est également venu dans la conversation, mais je ne pouvais pas m'engager et je l'ai dit. Et j'ai conseillé de choisir Tiriac. C'était peut-être moins alléchant au départ sur le plan financier, mais j'ai expliqué aux parents de Boris que Tiriac consacrerait tout son temps, toute son énergie à leur fils. En plus, lui et Bosch, tous deux originaires de Roumanie, avaient tout pour s'entendre. Et deux ou trois semaines plus tard, les parents Becker ont signé avec Tiriac... Mon rôle dans cette affaire m'amuse d'autant plus aujourd'hui que je me souviens du jour où, à Delray Beach, en 1985, alors que je jouais encore occasionnellement en double avec Boris, Tiriac était venu me voir en m'interpellant de sa grosse voix : « Pope ! me dit-il, (il m'appelle toujours « Pope »), je voudrais te dire... à propos de Boris... There is no place for two cooks in the same restaurant »... Pas de place pour deux cuisiniers dans le même restaurant ! Il ne voulait pas que je m'intéresse de trop près à Boris... Je l'avais rassuré. Par la suite, la première victoire de Boris à Wimbledon était d'autant plus extraordinaire qu'un an auparavant exactement, il s'était arraché les ligaments de la cheville à Wimbledon. D'être revenu aussi vite auprès une opération est un formidable exploit et là, je dois signaler à quel point Tiriac s'est occupé de lui. Comme je l'avais dit aux parents Becker, il a tout consacré à Boris, qui était, comme tout le monde, très angoissé sur son avenir. Je me souviens que Tiriac avait amené Boris qui avait la jambe plâtrée, au tournoi de Kitzbuhel. Bosch était là aussi. Cet environnement humain l'a beaucoup aidé à récupérer. Avec une telle vitesse que lorsque Tiriac m'a appelé chez moi à New York en août pour me demander si je pouvais jouer le double avec Boris à l'U. S. Open, je ne parvenais pas à y croire. Je n'ai pas pu dire oui, car je m'étais engagé avec Sandy Mayer. Un peu plus tard, en octobre, nous avons joué le double à Bâle. Boris frappait la balle de toutes ses forces, mais il ne pouvait pas courir ! Nous sommes quand même arrivés en demi-finales, contre Slozil-Smid. Et 9 mois après, il gagnait son premier Wimbledon... ■

ROZMOWA wprost

NA JĘZYKACH ŚWIATA

Z DANIELEM OLBRYCHSKIM, aktorem, rozmawia Błażej Baraniak-Leszczyński

– Jako jeden z nielicznych polskich aktorów funkcjonuje pan na rynku światowym. Czy mógłby pan zatem spróbować powiedzieć, co się stanie, gdy nasze granice będą zupełnie „przepuszczalne"? Czy europejski rynek kultury i sztuki nie zmiażdży naszej kultury? Czy jest ona może w jakimś stopniu konkurencyjna w stosunku do tego, co dzieje się na świecie?

– Zdaje mi się, że to niedobrze postawione pytanie. Jak to – kiedy Polska stanie się równoprawnym członkiem Europy, na przykład w sferze kultury i sztuki? Przecież Polska zawsze, gdy wytwarzała jakąś kulturę – uczestniczyła w tworzeniu kultury europejskiej. Na przykład filmowa „szkoła polska" pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych jest tego dowodem. Tak samo polski teatr zawsze był teatrem europejskim, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ale panu chyba nie o to chodziło. Chciałby pan dowiedzieć się, co się stanie, kiedy będziemy mogli z kraju swobodnie wyjeżdżać...

– Niezupełnie. Raczej chciałbym usłyszeć, co będzie miała do zaoferowania kultura polska, gdy nasi artyści będą normalnie, bez żadnych ograniczeń, funkcjonowali na rynku artystycznym Europy?

– Wszystko będzie zależało od tego, na ile nas stać, to znaczy – ilu mamy „Fibaków" w polskiej kulturze.

– Przecież już teraz wiadomo, ilu jest naprawdę dobrych aktorów, reżyserów, dyrygentów czy kompozytorów.

– Zgoda, ale z jednym zastrzeżeniem: dobry nie znaczy tylko – zdolny, ale taki, który także posiada umiejętność przebicia się, umie tak postępować, żeby producenci z innych krajów zechcieli go zatrudnić. A do tego nie starczy tylko talent.

– Potrzeba choćby znajomości obcego języka...

– Na przykład. Ale na tym nie koniec. Język plus talent jeszcze niczego nie zagwarantuje.

– Niemniej to właśnie polscy aktorzy, a w każdym razie gruba ich większość, nie są zbyt skorzy do nauki języków. Myślę, że aktorzy niemieccy, francuscy czy angielscy, z którymi pan teraz pracuje, myślą bardziej racjonalnie o swych karierach.

– Niech mi pan wierzy, że na przykład Gérard Depardieu bardzo się tym martwi, że nie może grać ani w Niemczech, ani w Stanach Zjednoczonych. A przecież jest to wspaniały aktor; cóż, kiedy Depardieu nie zna języków. Niech więc się nie dziwi, że nie jest znany poza granicami wpływów swego języka.

– Jak wielkich trzeba inwestycji, żeby w końcu stać się takim „Fibakiem" na ekranie, powiedzmy – Pszoniakiem czy Olbrychskim?

– Ja nigdy w życiu nie myślałem o rynku. Zawsze byłem przekonany, że trzeba się ścigać z chmurami. Gdy byłem w Polsce, ani razu do głowy mi nie przyszło, że kiedyś będę pracował na przykład w Czechosłowacji. Od dziecka, zawsze chciałem mieć wszystko, nawet to, co niemożliwe, gdzieś na granicy marzeń. A pan mi tu imputuje, że aktor jest w porządku dopiero wówczas, gdy zdobędzie markę na Zachodzie. Ja byłem w porządku także wówczas, gdy grałem wyłącznie w Polsce.

– Na przykład wtedy, kiedy grał pan Hamleta w Teatrze Narodowym u Hanuszkiewicza za 2400 złotych gaży miesięcznie?

– Tak. Bo to był dobry teatr, Hanuszkiewicz to dobry reżyser, więc ktoś z zewnątrz w końcu musiał zauważyć to, co tam się wydarzyło. Nie zrobiłbym żadnej tzw. kariery międzynarodowej, gdybym wtedy, tam, w Warszawie, po polsku nie grał, powiedzmy, Hamleta.

– Było to możliwe chyba przede wszystkim dzięki filmom Wajdy, może też dzięki teatrowi Adama Hanuszkiewicza. Cóż, inni też tam grali i pewnie mieliby, tak samo jak pan, ochotę wyściubić nos poza Warszawę, a nie uczynili tego.

– Trudno, takie są wyroki Nieba, ale chyba nie tylko Nieba.

– Pan wówczas, przed laty, pracując na przykład nad rolą Hamleta – nie myślał o dalszym ciągu kariery, nie planował jej pan, ale jestem przekonany, że cały czas czuł pan nad sobą miecz, ten imperatyw: „Muszę być lepszy. Od innych i od siebie".

– Tak. I tak trzymam do dziś. Ja jutro muszę być lepszy niż jestem dziś. Pracuję w tej chwili we Włoszech. To prawda, siedzę sobie teraz w wygodnym pokoju hotelu Savoy, ale rano muszę wstać punktualnie, znać swój tekst i – co najważniejsze – muszę być lepszy od wszystkich aktorów, z którymi pracuję. Tutaj też obowiązuje taka zasada pracy.

– Być może – tam, ale w Polsce większość pańskich kolegów aktorów ma etaty i tzw. święty spokój. Jak długo jeszcze? Co się stanie, gdy pojawi się konkurencja? Czy na placu boju zostanie tylko tych pięciu naprawdę dobrych, a reszta będzie pisała skargi do Pana Boga?

– Na całym świecie, w każdym kraju naprawdę liczy się tylko „tych pięciu" aktorów, a szósty – jeżeli jest naprawdę dobry – będzie marzył, żeby wejść do tej wąskiej elity. Tych „szóstych" zwykle stoi w kolejce tysiąc albo więcej. Aktor powinien wiedzieć, że jeśli gra epizod, musi tak się starać, żeby producent, jeśli go w ogóle zauważy, zechciał go potem zatrudnić. Tak w wielu wypadkach się wszystko zaczyna.

– Ale we Francji aktor, który przez całe życie gra role stangretów czy konsjerżek, nie pisze – jak u nas – skarg do związków zawodowych, partii albo księdza proboszcza.

– Francuscy aktorzy, którzy grali ze mną w „Przeminęło z wiatrem" na Champs Elyssee, nie zazdrościli mi, że ja zarabiam więcej od nich. Byłoby to najzwyczajniej nielogiczne – wiedzieli, gdzie występują, kto gra „lokomotywy", i mogli mieć nadzieję, że zostaną dostrzeżeni. Niektórzy z nich w tej chwili grają już główne role. Zresztą co będziemy dyskutowali, kto może lepiej zagrać Hamleta... Proszę zagrać i zapełnić salę, i niech ten „Hamlet" idzie przez cztery lata, to pogadamy.

– Panu akurat się to udało. W Teatrze Narodowym w Warszawie w 1970 roku. To był niekwestionowany sukces w pańskiej karierze zawodowej. Szkoda, że nie szło to w parze z sukcesem finansowym, jak gdzie indziej jest to regułą.

– Powiedzmy, że to taka polska, ówczesna nieprawidłowość. Nie zapominajmy, że wówczas, w latach siedemdziesiątych – szczególnie, hasał tzw. mecenas państwowy.

– W ostatnim numerze „Gazety Wyborczej" przeczytałem takie zdanie: „Państwo komunistyczne zlikwidowało rynek, przejmując na siebie obowiązki Pośrednika, Krytyka i Nabywcy jednocześnie, a artysta w tym molochu może przyjąć rolę faworyta i czuć się jak pączek w maśle lub ignorować go (mecenasa – BBL) i przymierać głodem. Ale z jakimkolwiek mecenatem nie ma ta sytuacja nic wspólnego".

– To bardzo inteligentne zdanie, ale ja w Polsce teraz nie bardzo widzę tych artystów, którzy czują się jak pączki w maśle. Nie znam też nikogo, kto przymierałby głodem (chwała za to „mecenatowi"). Niemniej nadal nie jest to zdrowa sytuacja. Sztuka powinna być zasilana wstrząsami, muszą być gwiazdy i ci, którzy połamali sobie na scenie nogi. Jak w sporcie.

– Polscy aktorzy i krytycy lubią mówić, że zukcesu nie da się zmierzyć ani zważyć, że na tym, co dobre, znają się tylko profesjonaliści, czyli oni sami.

– Mógłbym po prostu się oburzyć i wykrzyknąć, że to bzdura, bo przecież widać, ilu ludzi siedzi na widowni teatru czy kina. To najprostszy miernik sukcesu, ale oczywiście zdarzają się takie przedstawienia czy filmy, które nie cieszą się wielkim powodzeniem u publiczności, jednak i one są do kogoś adresowane, na przykład – do jakiejś elity.

– Bez względu na to, czy jest to „Król Lear", czy rewia ze schodami i półnagimi panienkami, które wywijają kuperkami wyposażonymi w pióra?

– Oczywiście, i ludzie, którzy pracują nad takim przedsięwzięciem, powinni godziwie zarobić. Gdy ktoś przedtem zechce zainwestować jakieś pieniądze, niech – po napełnieniu kasy – czerpie swoje zyski, niech bierze należny mecenasowi procent. W Polsce „mecenas" zaraz zaatakowałby mnie, że do teatrów się dopłaca. Natychmiast odpowiadam: polskie teatry są jakoś głupio ustawione, zorganizowane. Na świecie żaden teatr, który cieszy się popularnością, nie powinien być dotowany.

– Czy chciałby pan zasiąść w ławie poselskiej? Pytam nie bez powodu, bo kilku pańskich kolegów-aktorów już obraduje na Wiejskiej.

– Nie chciałbym być posłem, bo mam zupełnie inne sprawy na głowie. Jednak mimo wszystko życzyłbym sobie, żeby ci, którzy już się tam znaleźli, czuli się odpowiedzialni za to, co robią. Obojętnie czy to będzie mój kolega, czy jakiś członek partii... Ja, być może, ciągle jeszcze jestem zbyt egocentryczny, a żeby być posłem na Sejm, trzeba myśleć tylko o sprawach swych wyborców. Jestem spokojny, że moi koledzy-aktorzy sprostają tym wymaganiom.

– Senat amerykański na przykład składa się z profesjonalnych polityków, prawników, ekonomistów etc.

– Ja nie bardzo wiem, co to znaczy profesjonalny polityk. Skoro Jerzy Urban uważa się za profesjonalnego polityka, i pewnie nim jest, to dlaczego nie nazwać fachowcem Andrzeja Łapickiego? Urban odgrażał się przed ogłoszeniem wyborów, że wygra z Łapickim, a już zupełnie z księżyca są wzięte przewidywane wyniki, które podawała strona solidarnościowa. Okazało się, że Łapicki wygrał nie w stosunku 7:1, jak przypuszczano, ale w niektórych okręgach stosunkiem głosów 12:1...

– Można to nazwać ryzykiem błędu.

– I tak zapewne jest. Niedawno czytałem list Jerzego Urbana do byłego sekretarza partii, Stanisława Kani i muszę przyznać, że Urban był wówczas bezkonkurencyjny w swej dziedzinie. Jako autor polityki propagandy PZPR nie miał sobie równych, ale nie zmienia to faktu, że później popełnił wiele błędów. Zmieniły się czasy, a Urban – nie. Taka jest dola polityka. Trzeba umieć przyznać się do przegranej. Poza tym jestem spokojny, zdaje mi się, że Jerzy Urban przełknie gorycz porażki i na stanowisku szefa Radiokomitetu pokaże co potrafi. Mam nadzieję, że jeszcze nieraz nas zaskoczy. Ale i on będzie często zaskakiwany. Łapicki wygrał, to jest fakt, może on nie jest profesjonalistą, ale ma jedną przewagę nad swym konkurentem – jak dotąd nie zdążył się skompromitować w działaniach publicznych.

– Czy nie lepiej byłoby jednak, gdyby aktorzy pozostali na scenach teatrów, a nie pchali się na scenę polityczną?

– Nie ma powodu, aby drzeć szaty. Nie ma ich w Sejmie aż tak dużo. A poza tym ci, którzy zasiadają w parlamencie, niezbyt już interesują się swym fachem aktorskim. Oni w ostatnich latach udowodnili, że bardzo dobrze znają się – nie powiem: na polityce, ale – na odczuciach społecznych. Poza tym każdy z nich pełnił już jakąś funkcję społeczną, czyli robił to w systemie totalitarnym nazywanym uprawianiem polityki.

– W tym momencie przychodzi na myśl postać Tadeusza Łomnickiego, który wprawdzie przed laty, jako aktor otarł się o wielką polityk. W końcu był nawet członkiem PZPR za czasów Edwarda Gierka.

– Zaręczam panu, że Łomnicki polityce znał się tak samo jak G... dla obu skończyło się to nie najl...

– Z jednym zastrzeżeniem: Łomnicki w końcu 14 grudnia 1981 roku podjął decyzję, żeby robić tylko to, co trafi najlepiej i wrócił na scenę.

– To, według mnie, była decyzja polityczna, nie tylko moralna.

– Pan jednak wciąż woli występować w roli „Fibaka ekranu"?

– Wojtek powiedział mi kiedyś tej chwili mi trochę zazdrości, bo ważniejsze na czymś, czego specjalnie lubi. Fibak uwielbiał walczyć z ...lem, a nie robił tego za darmo. ...czas mogę grać, a on już nie. ...sprzedawać mieszkania, obraz... jest człowiekiem i mądrym, i e... nym – robi to doskonale, i wcale ...zamiaru spocząć na laurach.



Daniel Olbrychski

Fot. A...

Fibak pokonany

– *Pan nie musi. Taki zawód.*

– Fibak jest dla mnie przykładem fenomenalnie mądrego człowieka. Jest poza tym moim przyjacielem i bardzo sobie cenię tę przyjaźń. Gdybym ja musiał zejść ze sceny, pewnie hodowałbym róże. Bo ja nie umiem sprzedawać domów i pewnie nie umiałbym się tego nauczyć. On jest tego wymiaru człowiekiem, że nawet wówczas, gdy zmieni fach, robi coś, czego nie musi się wstydzić. W każdej lidze, w której gra – jest zawsze najlepszy. Daj nam Panie Boże więcej takich Fibaków, to Polska nie będzie miała długów.

– *Zbigniew Boniek, któremu też nie można odmówić rozsądku i przedsiębiorczości, powiedział niedawno, że radziłby władzom polskiego sportu, żeby zamiast finansować tysiące martwych LZS-ów, wysłać za granicę kilkunastu uzdolnionych młodych piłkarzy na praktykę do dobrych zespołów futbolowych. Czy w innych dziedzinach, na przykład – aktorstwie, zalecałby pan taką samą kurację jak Boniek?*

– Zupełnie zgadzam się ze Zbyszkiem. Byłbym jednak nieskromny, gdybym powiedział, że sam jestem przykładem słuszności jego metody. Jednak w piłce jest trochę inaczej niż w sztuce aktorskiej. Fachu piłkarskiego można się nauczyć, tam najważniejsza jest technika, w aktorstwie trzeba odrobinę czegoś więcej. Ale w końcu to i tak nie ma większego znaczenia – sportowiec czy aktor, jeśli chcemy być prawdziwymi Europejczykami, musimy pamiętać, że do Europy nie wchodzi się kuchennymi drzwiami, bo takich po prostu nie ma.

– *Ciągle pan dowodzi, że jest tylko jedna droga i tylko jedną legitymacją można wylegitymować się przy wejściu...*

– Tak – profesjonalizmem. I dlatego wymigałem się od udzielenia panu odpowiedzi na to najważniejsze pytanie, co się stanie, gdy znów będziemy równoprawnymi obywatelami świata. Ale ja po prostu nie znam żadnej odpowiedzi. Umknąłem gdzieś w okolice rynku artystycznego, bo na tym siłą faktu znam się najlepiej. Jaki będzie ciąg dalszy naszej kultury narodowej, nie wiem, ale patrzę i słucham uważniej niż kiedykolwiek. To bardzo pasjonujące, jak nigdy dotąd.

Rozmawiał
BŁAŻEJ
BARANIAK-LESZCZYŃSKI

Rozmowa została przeprowadzona 2 lipca br.

JAMES BOND W KSIĘGARNI

ZBIGNIEW TALARCZYK

Wiadomo już, że od nowego roku planuje się wprowadzenie wolnego handlu papierem. Decyzja ta wywołała wśród wydawców państwowych niemały popłoch. Chodzi o to, że dotychczas otrzymywali oni papier z przydziałów i nie zaprawili się w walce o jego zdobywanie. A jest to umiejętność szczególnego rodzaju, wymagająca wiele sprytu, talentów organizacyjnych, a przede wszystkim pieniędzy. Powyższe trzy „zalety" potrzebne są również przy załatwianiu „wejść" do drukarni, drugiego – obok papieru – „wąskiego gardła" polskiego przemysłu wydawniczego. Zamiast „przemysł" bardziej zresztą pasowałoby tu słowo „manufaktura", gdyż wydanie w PRL książki na dobrym, europejskim poziomie jest nader trudne. Wszystko bowiem, co określone jest przymiotnikiem „polski" (papier, maszyny, farby, kleje itp.), jest synonimem niechlujstwa i braku gwarancji dobrej jakości. Polski papier najczęściej nadaje się jedynie do pakowania, maszyny to gdzie indziej muzealne eksponaty, klejone książki zaraz po lekturze rozpadają się, sztywne okładki to niemal rarytas, a lakier w księgarni można znaleźć co najwyżej na paznokciach pani sprzedawczyni. Wszystko, co wymaga utrzymania wysokiego poziomu, drukowane jest poza granicami Polski: w NRD, Czechosłowacji, Finlandii, Jugosławii czy na Węgrzech. Dotyczy to zwłaszcza encyklopedii i albumów.

Do niedawna jeszcze funkcjonowała w Polsce stała liczba wydawnictw. Każde z nich miało z reguły „swoje" drukarnie i nikt nikomu raczej nie wchodził w paradę. Ostatnio jednak pojawiło się wiele spółek wydawniczych, zakładanych najczęściej przez byłych pracowników oficyn państwowych, którzy zwietrzyli możliwość zarobienia dużych pieniędzy. W tej branży nietrudno o nie. Trzeba tylko pozbyć się rozbudowanej administracji i ambicji wydawania książek tzw. potrzebnych, ale niechętnie kupowanych. Wydawałoby się, że takie, pozbawione poparcia różnych instancji, nie posiadające żadnych tradycji firmy nie mają szans w konkurencji z potężnymi kombinatami państwowymi czy spółdzielczymi. A jednak rozwiązania są dość proste. Zakładając spółkę należy koniecznie pomyśleć o powołaniu w skład rady nadzorczej dyrektora najbliższej drukarni, a jeszcze lepiej papierni. Dobrze też jest, jeżeli jednym z udziałowców jest drukarnia, bo wówczas finansowo zainteresowani są powodzeniem spółki wszyscy jej pracownicy. W rachubę wchodzić też mogą tzw. wspólne przedsięwzięcia, czyli wchodzenie w spółkę z drukarnią w celu wydania jednego tytułu, z którego zyski dzielone są na drukarnię i wydawnictwo. Zdarza się z kolei, że prywatny wydawca zmuszony zostaje do zatrudnienia u siebie fachowców z drukarni na umowę-zlecenie. Otrzymują oni wtedy pieniądze z obu stron i dzięki temu pracują wyjątkowo solidnie.

Przedstawione wynaturzenia są charakterystyczne dla gospodarki zmonopolizowanej i nie ma co wołać prokuratora albo o pomstę do nieba, ale należy po prostu budować nowe drukarnie. O skali nieprawidłowości najlepiej świadczy fakt, że żaden z zagadniętych przeze mnie szefów prywatnych firm wydawniczych nie zgodził się na ujawnienie nazwy swej oficyny.

Papiery wartościowe

Papier stał się podstawowym środkiem płatniczym w branży wydawniczej. Obecnie jedna tona papieru offsetowego kosztuje 600 tys.zł. W sprzedaży przetargowej cena ta wzrasta dwukrotnie. Pod koniec roku ma ona wynosić ok. 2 mln zł, co spowoduje wielokrotny wzrost cen książek. Za jeden egzemplarz płacić będziemy kilka tysięcy złotych. Przy takich cenach opłacalne stanie się sprowadzanie papieru z hurtowni Europy Zachodniej. Obecnie za tonę papieru płaci się na świecie 600-700 dolarów, czyli przy obecnym przeliczniku jakieś 3-3,5 mln zł. Co bardziej obrotni wydawcy wpadli już na pomysł płacenia Zachodowi za papier towarem. Podobno świetnie do tego celu nadają się pieczarki i inne płody rolne.

Niepotrzebni mogą odejść

Trzecim – że się tak wyrażę – komponentem, obok drukarni i papieru, koniecznym do zaistnienia książki, jest autor. Stawiam go dopiero na trzecim miejscu, gdyż, niestety, pisarzy mamy zdecydowanie więcej niż możliwości wydania tworów ich wyobraźni. W cenie są twórcy przynoszący duży dochód, a więc „z nazwiskami" lub zajmujący się tematami ogólnie uznanymi za chodliwe, np. różdżkarstwem, ziołolecznictwem, seksem, stalinizmem itp. Odpadną więc w przedbiegach przede wszystkim młodzi prozaicy, poeci, eseiści. Z poetów, oprócz kilku sztandarowych nazwisk, utrzymają się

Fibak pokonany w Katowicach

Na kortach im. Jadwigi Jędrzejowskiej w Katowicach odbywają się 63 mistrzostwa Polski w terenie. Największym wydarzeniem jednak był pokazowy pojedynek, jaki przed rozpoczęciem turnieju stoczył Wojciech Fibak. Jego przeciwnikiem był Tomasz Iwański. Fibak przegrał ten mecz w dwóch setach 6-7, 6-7. W pierwszym tie-breaku było 7:5, w drugim 7:2. Fibak nie wykorzystał piłki setowej, dwukrotnie psując serwis. W sumie jednak gra mogła się podobać, a Iwański wygrał dzięki bardzo dobrym serwisom.

"Miałem po prostu stracha przed tą grą — powiedział Fibak po meczu. Po prostu zależało mi na tym, żeby pokazać się przed katowicką publicznością z jak najlepszej strony, a o swoich możliwościach zbyt wiele nie wiedziałem. Rano trenowałem z dwoma juniorami i słowo daję, że nieco się zmęczyłem.

Iwańskiego widziałem 2 lata temu i twierdzę, że od tego czasu poczynił spore postępy. Spore ale... gdyby wykorzystał wszystkie swoje atuty, mógłby grać wśród zawodowców... Tak silnego drugiego serwisu już teraz pozazdrościć mu może czołówka. Serwis, forhand, ruchliwość — to jego atuty. Słabością jest niewykorzystanie backhandu. A z Katowicami wiążą mnie bardzo miłe wspomnienia. I stąd tu moja obecność i gra..."

O Puchar Fibaka w Toronto i Los Angeles

W dniach od 11—13 sierpnia odbędzie się w Toronto IV polonijny turniej tenisowy "Wojtek Fibak Cup". Zawodem dla pań i panów, organizowanym przez znanego działacza polonijnego Jana Dorosiewicza, patronuje najlepszy w historii polski tenisista Wojciech Fibak.

W tym roku silną reprezentację wysyła do Toronto Polish — American Tennis Association w Nowym Jorku. Jak nas poinformował prezes PATA — Mirosław Pucek, kapitan związkowy ustalił skład drużyny, która nie tylko wystąpi w turnieju Wojtka Fibaka, ale również reprezentować będzie nasze miasto w pierwszym w historii trójmeczu pomiędzy Toronto, Nowym Jorkiem i Chicago. Zaszczytu tego dostąpili: Arek Kwapisiewicz, Alex Piszczek, Janusz Wójcik, Mirosław Pucek, Piotr Magierski, Jerzy Habdas (wystartuje w konkurencji seniorów), Andrzej Brynczka, Marek Wojcieszak, Marian Bogdanowicz (senior), Kasia

Wszystkich chętnych powiadamiamy, że turniej w Toronto odbędzie się na terenach Eglinton Flats Sport Center, a zapisy przyjmuje — również drogą telefoniczną p. Janusz Dorosiewicz, tel. 416-766 6757

***

Wojtek Fibak ma również swój własny turniej w Los Angeles. W tym roku, w dniach 16, 17 i 23 września odbędzie się on po raz szósty, a miejscem rozgrywek będą korty El Dorado Park w Long Beach.

Jak co roku sponsorzy przekazali dużo nagród. Są do wygrania rakiety ufundowane przez Wojtka Fibaka. Również światowej sławy firma "Wilson" przekazała, znany ze swej jakości, sprzęt sportowy. Do atrakcji turnieju należeć będzie bilet LOT na przelot do Polski, który zostanie rozlosowany wśród uczestników zawodów. Termin zgłoszeń upływa z dniem 4 września. Po zapisy oraz zapytania kontraktować się proszę z Wojtkiem Pietrowskim,

Z życia linoskoczków

ANDRZEJ FĄFARA

Całkiem spokojnie wypijam trzecią kawę i... nic. Pomysłów brak. Jak tu bowiem pisać o sporcie, gdy wokół dzieją się rzeczy... No właśnie, jakie? Rasowy redaktor, dziennikarz z przysłowiowej krwi i kości, trzymający przysłowiową rękę na przysłowiowym pulsie, napisałby o bieżących wydarzeniach w kraju, że są interesujące. Mój kościec został wprawdzie swego czasu zweryfikowany („panowie, to jest redaktor sportowy" — rzekł do członków komisji ówczesny szef „Życia"), ale może z krwią coś jest u mnie nie w porządku, bowiem nie potrafię nijak dostrzec nic ciekawego w obecnej naszej rzeczywistości.

Wszystko rzecz jasna zależy od punktu widzenia, ale dla mnie w każdym razie interesujące rzeczy dzieją się dopiero wtedy, kiedy mogę sobie na przykład usiąść na widowni cyrku, powiedzmy chińskiego, i popatrzeć spokojnie na arenę. Jeśli jednak człowiek sam jest linoskoczkiem i wykonuje salto z licznymi obrotami, mając przy tym świadomość, że siatka zabezpieczająca została wykonana przez wielobranżową spółdzielnię inwalidów, która w ramach programu oszczędnościowo-modernizacyjnego zastąpiła elementy metalowe plastikowymi, to już jest inna rozmowa. To w tym nie ma dla mnie nic interesującego. Okazuje się, że pod pewnymi względami jestem niereformowalny i że wciąż, po czterdziestu latach życia, wolę być zdrowym i bogatym, mimo istnienia i dynamicznego rozwoju Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Nie rezygnując z wątku cyrkowego chcę mimo wszystko zająć się sportem. Mam bowiem swoje wytłumaczenie kryzysu, jaki tę dziedzinę życia ogarnął. Pierwsza teza jest banalna i wiąże się z katastrofalnym stanem polskiej gospodarki. Wszyscy (powiedzmy — prawie wszyscy) mają mniej, więc i budżet sportowy się kurczy. Pisze się wprawdzie i mówi o milionowych transferach w piłce nożnej, o krociowych zumach, które kluby płacą jeden drugiemu za przeciętnego zawodnika. Albo informuje się o półmilionowej premii dla ligowego tenisisty za wygranie turnieju w Poznaniu. Ale z drugiej strony publikuje się wiadomość, że Komitet Młodzieży i Sportu ogłasza niewypalalność i zamyka na czas nieokreślony kasę. Jaka więc jest prawda o stanie finansów państwowego komitetu i państwowych klubów? Czy w futbolowym obrocie używa się prawdziwych pieniędzy, czy też stosuje się jakieś żetony, występujące w różnych grach dziecinnych typu „mały sprzedawca", „mały hydraulik" albo „mały redaktor"?

Kryzys sportowy ma jednak u nas jeszcze drugie dno. Przed laty, gdy Polska miała dopiero rozpocząć siłę, a ludziom miało się żyć dostatniej, żadne załamanie gospodarcze nie mogło spowodować pogorszenia kondycji sportu. Koniunkturę napędzano sztucznie. Nawet w najtrudniejszych okresach nie żałowano grosza na sport i było na to, jak mi się wydaje, społeczne przyzwolenie. Piłkarze bowiem grali wtedy przyzwoicie, sukcesy odnosiła Irena Szewińska, przyszły poseł Ryszard Szurkowski ścigał się aż miło, a Janusz Gerard Pyciak-Peciak zdobywał liczne trofea. Tylko Wojciech Fibak, będący na własnym rozrachunku, grał trudną rolę kameleona i raz pojawiał się, a raz znikał. Ale i on, chcąc czy nie chcąc, robił przychylną dla sportu atmosferę.

Obecnie na sport nie ma pieniędzy. A jeśli nawet władze chciałyby podsypać trochę więcej grosiwa na pedałowanie, kopanie czy rwanie, to nie byłoby już na to zgody nigdzie, nie licząc oczywiście samych kolarzy, piłkarzy oraz ciężarowców. Nie byłoby aprobaty, gdyż spadło ogromnie zainteresowanie sportem, co jest zjawiskiem zupełnie logicznym i naturalnym, skoro ponad dwadzieścia milionów linoskoczków w Polsce (dzieci na razie nie występują) czyni ogromne starania, by jednak nie sprawdzać trwałości produktu wspomnianej na wstępie wielobranżowej spółdzielni inwalidów.

Sport z rzeczywistością linoskoczków ma raczej niewiele wspólnego, czasem jednak zdarzają się zaskakujące związki. Napisał ostatnio do redakcji pan B.R. z Warszawy, który zgłosił się w swojej administracji (WSM — Żoliborz, ul. Broniewskiego 71) i poprosił grzecznie o jakąś drobną usługę murarską. Urzędnik najpierw pana B.R. zbeształ, gdyż interesant przeszkadzał mu, po prostu, w pracy, a później, gdy pan B.R. okazał się bardziej namolny, niż przewiduje norma dla zwykłych linoskoczków, pokazał petentowi „gest Kozakiewicza".

List wpłynął do działu sportowego, dzięki czemu mógł powstać niniejszy felieton. Osobne słowa wdzięczności należą się Władysławowi Kozakiewiczowi, choć zmienił obywatelstwo i podobno skacze o tyczce przez stoły w piwiarni, o czym donieśli korespondenci z RFN. W trudnym dla polskiego sportu okresie gorąco liczę na dalszą korespondencję ze strony czytelników. Dla ułatwienia dodam, że oprócz „gestu Kozakiewicza" mamy jeszcze w dorobku „postępek Rudego" oraz „furtkę Leśniaka". Za pomoc z góry dziękuję.

Ludwik Jerzy Kern Przekrój VII 89

SURSUM KORTA

Takie dziś czasy przyszły, o rety,
Że wstyd wręcz chodzić jest bez rakiety.
A kto się bardziej wyróżniać chce,
Powinien nosić co najmniej dwie.

Ledwie się skończył fijoł rajdowy,
Już się zaczyna hyż tenisowy.
Każdy
Kto w domu
Ma dzieciaka,
Chciałby z dzieciaka
Zrobić Fibaka.

„Niech się zawczasu wprawia dzieciarnia,
To jezd podobnież lepsze niż szklarnia.
Po całem świecie jeździsz se, bratku,
I zielonymi płacom w dodatku..."

W wyniku takiej prostej rachuby
Na tenisowe napór jest kluby,
Protekcje mają miejsce,
Rozróby,
Interweniują fisze,
Konkuby,
Ten grać powinien, bo jest za chudy,
A tamten znów, bo za gruby.



Tatusie,
Zwłaszcza starsze i łyse,
Na ogół, owszem, są za tenisem,
Szczególnie ci, co lubią konkrety,
Bo liczy się,
Tak jak w knajpie,
Na sety.

Mamusiom zaś
Z Nakła czy Świdra
Śni się, że córka Wimbledon wygra.
I w duszy widzą już taką scenkę,
Jak sama królowa funduje jej rękę.

Może tak będzie...
A ja jak durny
Hecuję, zamiast ćwiczyć returny.

W. Fibak wraca na korty

Weekend pod znakiem piłkarskich zmagań

Najważniejszymi wydarzeniami minionego weekendu było wznowienie rozgrywek piłkarskich I, II i III ligii. Z umiarkowanym szczęściem walczyli poznaniacy. W meczu Olimpii z Wisłą Kraków, zresztą stojącym na średnim poziomie padł rezultat 1:1, który bardziej satysfakcjonuje drużynę gości.

W wyjazdowym spotkaniu nie spisali się piłkarze Lecha, którzy w fatalnym stylu ulegli Zagłębiu Lubin 0:2 i byli o włos od stracenia minusowego punktu. W III lidze udanie rozgrywki rozpoczęła poznańska Warta, która po dobrej i ciekawej grze pokonała Wisłę Tczew 2:1.

Sporo ludzi przybyło na korty Olimpii gdzie wystąpił... Wojciech Fibak, który zapowiada powrót do „białego" sportu.

O tych i o innych wydarzeniach na arenach sportowych szerzej informujemy na str. 5 i 6. (ROB)

SPORT

PONIEDZIAŁEK
31 LIPCA 1989

Sensacja!

W. Fibak wraca na korty

Nawet na urlopie reporterowi może trafić się sprawa, obok której nie sposób przejść obojętnie. Dla sympatyków sportu mam wiadomość wręcz sensacyjną. Otóż Wojciech Fibak wrócił na korty!

Ponad rok leczył kontuzję jakiej nabawił się grając w piłkę nożną. To jego młodzieńcza pasja. Przedłużająca się kuracja po operacji kolana wydawała się przesądzać sprawę. A jednak prawdziwa miłość nie zna granic. Nie zważając na upływ czasu (za parę dni wita 37 rok życia) polski mistrz rakiety wznowił treningi. Przez trzy minione dni był gorąco oklaskiwany na poznańskich kortach, gdzie przecież stawiał pierwsze kroki na drodze do międzynarodowej kariery. Przed rokiem „grał na jednej nodze", teraz biega jak młoda sarna. Tłum oglądał jego sparing z obecną rakietą nr jeden Olimpii i Michałem Klakiem. Poszły grube zakłady. O szczegółach przy najbliższej okazji. Faktem jest, że Wojtek nie zawiesił jeszcze rakiety na kołku i za tydzień, w Katowicach, zagra pokazowe mecze z Kowalskim i Dąbrowskim. Taka jest propozycja Polskiego Związku Tenisowego. Mistrz ma wciąż ostre pazury... Kto nie wierzy — zapraszam na korty. Dłuższą rozmowę z deblowym mistrzem świata zamieścimy w najbliższym czasie.

W światowym tenisie z sezonu na sezon następuje zmiana warty. Młodzi ostro prą na wysokie pozycje. Naszych za bardzo nie widać. Fibak jest nie tylko legendą minionych lat. Jego stać na wielki zryw. Zdobył już tak wiele (polecam książkę Daniela Passenta drukowaną na razie w odcinkach na łamach „Literatury"), może sięgnąć po więcej.

Po co — pokażą najbliższe miesiące.

STAGAR

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Teraz mam wyjaśnić, dlaczego widzów zebranych na trybunach Olimpii nazwałem miłośnikami nie tylko tenisa. Okazało się bowiem, że wielu z nich ma też żyłkę hazardową. Natychmiast zrodziła się wśród nich myśl, żeby zorganizować mecz między zwycięzcą turnieju i — oczywiście — Fibakiem. Poszły zakłady. Nikt nie wie dokładnie jak wysokie, więc mogę tylko przytoczyć słowa Ewy Fibakowej, że szło o grube sumy i to w walucie wymienialnej. Dodajmy od razu, że sam Fibak nie brał w nich udziału. Nawet nie dlatego, że sam nie ma ochoty czasem się trochę pohazardować (sam widziałem go podczas treningu z Connorsem grającego każdą piłkę o sumkę, za którą można było zjeść obiad w restauracji najdroższego hotelu w Dallas — „Hyatt Regency"), ale uznał, że tutaj mu nie wypada. Żeby już z tym skończyć, poinformuję, że wygrał Fibak ku radości jednych i bólowi (kieszeni) drugich.

— Umówiliśmy się — gdzieżby indziej — na kortach warszawskiej Legii. Na trybunie zasiadła cała rodzinka — mama Ewa i córki — a miara estymy, jaką tu cieszy się Fibak, niech będzie to, że na ławce leżały koce przyniesione przez samego prezesa Lewińskiego. Nie pamiętam, żeby jakiegoś gościa podobnie honorowano.

A na korcie Wojciech Fibak i młody, obiecujący tenisista Legii, Paweł Domański. Ponieważ wszystko się z powodu deszczu opóźniło, a Fibak ma, jak zwykle podczas pobytu w kraju, harmonogram dnia ściśle wypełniony od rana do nocy, rozegrano tylko jednego seta. Nikt nie stosował taryfy ulgowej, choć trzeba zauważyć, że stary mistrz grał w sposób pozwalający młodemu wykazać w pełni swoje umiejętności. Fibak prowadził 5:3, wygrał Domański 7:5, ale nie wynik jest ważny. Posłuchajmy, co powiedział mistrz o swoim młodym rywalu:

FIBAK NIE MÓWI NIE

— To zupełnie mały Meczirz! Podobna płynność gry, świetna praca nóg, dobre returny, zwłaszcza z dwuręcznego bekhendu — całkiem jak u Meczirza. Potrafi też zmienić rytm, nagle przyśpieszyć, posłać piłkę tam właśnie, gdzie należy. Od dawna żaden nasz młody gracz tak mi się nie podobał! W tenisie co prawda trudno coś prorokować, ale wydaje się, że przed Pawłem może się rysować interesująca przyszłość. Wszystko teraz będzie zależeć od liczby meczów rozgrywanych z rozmaitymi przeciwnikami. Przeciwnikami silnymi, coraz wyższej klasy.

— W kraju jest to postulat trudny do zrealizowania. Tu garstka grających na jakim takim poziomie, zna się jak łyse konie. Duszące się we własnym sosie trudno jest robić postępy. Należałoby więc myśleć o startach zagranicznych...

— Oczywiście. Nie jest to chyba trudne, a w każdym razie nie niemożliwe, zważywszy mnogość imprez różnych kategorii od cyklów satelitarnych, jak „Polska Jesień" (nawiasem mówiąc to bardzo dobrze, że mamy w kraju imprezę międzynarodową), przez challengery, po turnieje Grand Prix. Bo przecież musimy mieć i takie ambicje.

— Powiedziałeś, że Domański jest najbardziej obiecującym młodym, polskim tenisistą ze wszystkich, jakich spotkałeś w ostatnich latach. Otóż chcę z przyjemnością powiedzieć, że nie on jeden należy do tenisowych talentów. Taki na przykład 15-latek Adam Skrzypczak, koło którego podczas mistrzostw Europy w Pradze kręcił się człowiek od Della (właściciel firmy „Pro Serv"), czy 17-letni Bartek Dąbrowski, że wymienię tylko tych. Ciekawie też rozwija się kariera 20-letniego Tomasza Iwańskiego... Myślę, że byłoby z czego wybrać grupkę, którą powinien się zająć wytrawny znawca tego sportu, jak i międzynarodowych układów panujących w tenisie. Taki na przykład Fibak...

— Fibak nie mówi nie. Tyle, że nie jest to tak proste, jak by się mogło wydawać. Wymaga to rozejrzenia się w możliwościach (a ja, przez kontuzję nogi, która trzymała mnie poza kortami przez rok, odpadłem trochę od tenisowych spraw), pewnych ustaleń ze związkiem, z rodzicami...

— Ale Fibak nie mówi nie i pozwolisz, że te słowa przekażę do publicznej wiadomości. Resztę pozostawmy inicjatywie zainteresowanych. Teraz powiedz coś o twoich perypetiach zdrowotnych. Wiem tyle, że grając w piłkę doznałeś kontuzji łąkotki. Wiem, że zrobiono ci zabieg, taki jak Zurbriggenowi, to znaczy bez rozcinania stawu kolanowego, co u nas ciągle się praktykuje. Ale Zurbriggen 2 tygodnie po tym startował w narciarskich mistrzostwach świata i to z pełnym powodzeniem, a ty, jak mówisz, przez rok nie mogłeś grać. Więc błędy w sztuce chirurgicznej trafiają się i w tak wspaniale wyposażonych, zachodnich klinikach?

— Nie. W każdym razie nie dotyczy to mojego przypadku. Zabieg był wykonany dobrze, okazało się jednak, iż nie tylko poszła łąkotka, ale również zostały poważnie nadwerężone wiązadła kolana. Leczenie tego okazało się tak przewlekłe. Ale już jest w porządku. Mogę swobodnie, bez obawy o nogę, biegać po korcie. Pojęcia nie masz, jaka to dla mnie radość. Przymusowa bezczynność, choć starałem się tego nie okazywać, dokuczała mi mocno. Ale gram teraz z podwójną przyjemnością. Powoli odzyskuję formę, choć do dawnej jeszcze daleko i oczywiście mając 37 lat (Fibak urodził się w sierpniu 1952 roku) nie mogę myśleć o powrocie na dawną pozycję w światowym rankingu (najwyżej był 10 na liście ATP).

— Jesteś rówieśnikiem Connorsa, a on gra i nie zamierza na razie rezygnować. Może więc i ty jeszcze wystartujesz w turniejach?

— Może... ale chyba dopiero jesienią w hali, jeśli organizatorzy zechcą mi dać „dziką kartę". Namawiają mnie też do cieszących się coraz większym zięciem imprez dla zawodników, którzy skończyli 35 lat. Jako ciekawostkę warto podać, że nagrody w nich bywają nie mniejsze niż w normalnych turniejach, w których grałem na początku kariery. Tyle, że teraz nie gram dla pieniędzy.

— A co robisz dla pieniędzy?

— Interesy. Rozmaitego rodzaju interesy.

— A dla przyjemności?

— Kolekcjonuję malarstwo polskie i znów gram w tenisa.

Wakacje rodziny Fibaków w Polsce stoją pod znakiem tych właśnie dwóch pasji Wojciecha. Nas bardziej interesuje tenis. Fibak z Warszawy pojechał prosto na finały OSM do Kielc („wydały mi się one słabe, ale to może też sprawa piłek?"), a następnie do Katowic, by na kortach zawsze gościnnego Baildonu rozegrać pokazówkę z naszym daviscupowym reprezentantem, **Tomaszem Iwańskim.**

— Tomek, który wygrał ze mną 7:6, 7:6 (nawiasem mówiąc miałem 5:3 w drugim secie i przewagę, ale zrobiłem podwójny błąd serwisowy), również mi się podobał. Szczególnie serwis — druga piłka, mocno liftowana przypomina Edberga, uważanego za mającego najlepsze drugie podanie na świecie. Jeśli Iwański popracuje nad normalnym crossem z forhendu (odwrotny gra bardzo dobrze) i nauczy się lepiej operować niezłym już uderzeniem z bekhendu, może zrobić ciekawe wyniki. Nie widziałem wszystkich, ale już po tych dwóch — Domańskim i Iwańskim — widzę, że w naszym tenisie coś się dzieje. Przyznaję, że to dla mnie miła niespodzianka.

— Jak zamierzasz zakończyć urlop w Polsce?

— Przez najbliższe 3 dni poprowadzę w Poznaniu zgrupowanie szkoleniowe dla młodzieży, a później poobserwuję „Turniej Fibaka" dla piętnastolatków. Wyobraź sobie, że zgłosiło się do niego ponad 300 dziewcząt i chłopców!

— Może się z nich wykluje wreszcie nowy Fibak?

— I ja mam taką nadzieję.

Z Wojciechem FIBAKIEM rozmawiał Adam CHOYNOWSKI



Wojtek gra, dziewczyny patrzą. Od lewej pani Ewa Fibakowa, córki — Agnieszka i Paulina, obok prezes sekcji tenisowej CWKS Legia, Jerzy Lewiński.
Fot. „PS" Andrzej Bieńkowski

FIBAK NIE MÓWI NIE

DAWNO tylu widzów nie zebrało się na trybunach przy centralnym korcie poznańskiej Olimpii. Ale też miłośnikom tenisa (i nie tylko tenisa) trafiła się rzadka okazja — oglądania „przy robocie" samego Wojciecha FIBAKA.

Czołowy jeszcze kilka lat temu tenisista świata przyjechał do rodzinnego domu na trzytygodniowe wakacje. Przyjechał wielkim brzegi — żona Ewa (tak samo ładna jak dawniej, albo jeszcze ładniejsza), córki Agnieszka i Paulina, no i nagrody na turniej Fibaka organizowany corocznie w Poznaniu dla młodych polskich graczy. Trafili akurat na finały turnieju z cyklu Grand Prix Polski. Tu trzeba dodać, że sekcja tenisowa Olimpii potrafiła w ostatnich latach zebrać grono sponsorów nie żałujących grosza na sportu. Stąd też poznański turniej stał się najbogatszą imprezą tenisową w kraju — nagroda dla zwycięzcy wynosiła pół miliona złotych, co stanowi kwotę nie do pogardzenia, nawet u progu wolnego rynku. Nagrodę tę, jak czytelnikom „PS" wiadomo, zdobył tenisista gospodarzy, **Michał Kiak**, a jedną z osób gratulujących sukcesu był Wojciech Fibak.

Sport

PONIEDZIAŁEK
CENA 40 zł

7 sierpnia 1989 Nr 155 (7959)
ROK XLV

PL ISSN 0137 9305 Nr indeksu 35043

ROZPOCZĘŁY SIĘ TENISOWE MP

WOJCIECH FIBAK ZNÓW CZAROWAŁ PUBLICZNOŚĆ

— Zagrałem na tym korcie znowu po wielu latach przerwy, bo odczuwam właśnie do Baildonu, do Katowic wielki sentyment. Nie wiem, czy tak chętnie pojechałbym do innego miasta, natomiast tutaj wróciłem chętnie. I to nie tylko dlatego, że grałem tu jako chłopak, ale właśnie dlatego, że — tak mi się wydawało — jestem coś winien tym ludziom. Zgotowano mi bardzo ciepłe przyjęcie, dziękuję za to katowickiej publiczności, tak zawsze dla mnie przychylnej. Byłem pewny, że tu właśnie będę przez sympatyków tenisa zrozumiany najlepiej i nie zawiodłem się. Te słowa wypowiedział WOJCIECH FIBAK na kon-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

TENIS

Fibak znów czarował

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

ferencji prasowej po swoim pokazowym meczu z TOMASZEM IWAŃSKIM, meczu mającym uświetnić rozpoczęcie 63. mistrzostw Polski w tenisie. Trzeba przyznać że wysiłki organizatorów który dopięli wreszcie swego i Fibak zagrał po latach nieobecności w Katowicach, zostały nagrodzone.

Na szczupłych trybunach Baildonu zasiadł komplet publiczności, dla wielu sympatyków tenisa nie starczyło miejsc siedzących. Nieco po godzinie 14, witany ogromnymi brawami wszedł na centralny kort Wojciech Fibak wraz ze swoim rywalem Tomaszem Iwańskim. Wojciech Fibak gra oficjalnych spotkań niewiele, młodszy od niego o 17 lat Iwański ma na swoim koncie 11 punktów ATP i miejsce ok. 500 na światowym rankingu. Katowicka publiczność, trochę jak Wojciech Fibak, jest sentymentalna i w tym meczu cieplej traktowała starego mistrza. Zresztą i Fibak na te brawa w pełni zasłużył. W pierwszym secie obaj tenisiści wygrywali swoje serwisy przy stanie 6:6 rozgrywany był tiebreak, tu lepszy był już Iwański — wygrał tie-breaka 7:3. Wojciech Fibak jak za dawnych lat zaimponował znakomitą techniką, grał wspaniale woleje, kilka mijanek było najwyższej klasy. Fibak spokojny szybko nawiązał kontakt z publicznością, i jakby specjalnie dla niej chętnie grał dłuższe wymiany, które zresztą z reguły wygrywał. Przyniosło to efekt na początku drugiego seta, kiedy Fibak najpierw przełamał serwis rywala, potem wygrywał swoje gemy, prowadził już nawet 5:2, wydawało się, że seta wygra spokojnie. Iwański zerwał się w końcu do gry, wyrównał i znów tie-break musiał rozstrzygać, kto w tym secie jest lepszy. I tak jak w pierwszym secie o zwycięstwie zadecydowały znakomite serwisy łódzkiego tenisisty. Iwański wygrał więc oba sety i cały mecz, ale nie był to wcale spacerek — Wojciech Fibak choć wolniejszy od rywala grał bardzo techniczny tenis, przewyższał rywala myśleniem taktycznym. Choć Fibak nie zagra w tych mistrzostwach, możemy przypuszczać, że wielu zawodników musiałoby uznać jego wyższość w bezpośredniej potyczce na korcie. A spora grupa zawodników i trenerów, którzy w niedzielne popołudnie zasiedli na trybunach Baildonu nie uzna czasu za stracony — czy jest na przykład ktoś w Polsce, kto potrafi tak jak Fibak zagrać woleja?

Po zakończonym meczu Wojciech Fibak bardzo komplementował swojego rywala. — **Tomka widziałem półtora roku temu, od tego czasu zrobił bardzo duży postęp. Jego drugi serwis jest naprawdę znakomity, niewielu graczy na świecie gra taki drugi serwis. Poza tym bardzo dobrze biega, dobrze kryje siatkę, gra bardzo dobry forhand. Ma wielkie rezerwy w backhandzie, jeśli uda mu się poprawić to uderzenie, a właściwie dobrze wykorzystać swój backhand, to ma szansę przebić się do światowej czołówki.**

Rozpoczynającym się mistrzostwom Polski można by tylko życzyć, by cieszyły się tak wielkim zainteresowaniem, jak mecz Fibaka z Iwańskim, by miały tak znakomitą pogodę i by wszystkie mecze stały na takim poziomie. Zapewne wszyscy uczestnicy mistrzostw marzą po cichu, by mieć technikę Wojciecha Fibaka, ale to już mogą osiągnąć bardzo nieliczni.

Kto jest faworytem tych mistrzostw? Tytułów bronią **Wojciech Kowalski i Katarzyna Nowak.** Zapowiada się jednak ostra walka o najwyższe trofea, może nastąpią nawet zmiany w układzie sił? To wszystko okaże się już bardzo szybko. Dziś od godziny 10. rozpoczynają się gry turnieju głównego.

JERZY CHRZANOWSKI

Pół miliona złotych dla Michała Klaka

Na kortach w Gołęcinie zakończył się dwugwiazdkowy turniej tenisowy z cyklu Grand Prix Polski. Impreza obserwowana przez sporą grupę sympatyków białego sportu przyniosła generalny sukces gospodarzom.

Szczególnie interesujące okazały się półfinały singla mężczyzn. Pierwsza rakieta Olimpii Michał Klak po zaciętej walce pokonał reprezentanta warszawskiej Mery Bartłomieja Kuchtę 7:6, 6:4, natomiast jego kolega klubowy Mikołaj Łuczak stoczył dramatyczny pojedynek z Wojciechem Schziffke (AZS Poznań). Wynik 6:4, 3:6, 7:5 tylko w części oddaje emocje jakie towarzyszyły rywalizacji dwóch młodych poznaniaków.

Niedzielny finał był więc wewnętrzną sprawą tenisistów z Gołęcina. Dynamicznie grający Klak nie dał wielu szans koledze klubowemu zwyciężając pewnie 6:0, 6:4, 6:1.

W finale gry pojedynczej pań pierwsza nagroda przypadła zawodniczce Górnika Bytom. Renata Wojtkiewicz pokonała Beatę Gumułę (Olimpia) 6:2, 6:4. Warto przypomnieć, że przed kilkoma dniami w podobnym turnieju na warszawskich kortach Wojtkiewicz miała znacznie trudniejsze zadanie, gdyż wygrała z Beatą zaledwie 2:6, 6:3, 6:4.

Od pewnego czasu, wzorem wielu innych dyscyplin, w turniejach „GP" Polski oficjalnie płaci się nagrody w gotówce. Są one jeszcze skromniejsze niż nasz tenis — trafnie zauważył komentator „PS" Adam Choynowski. Dla przykładu, we wspomnianym wyżej turnieju w stolicy mistrzyni gry pojedynczej otrzymała śmieszną sumę 14 tysięcy złotych, czyli równowartość puszki kiepskich piłek „Hanila".

W Poznaniu było o co walczyć! Nie po raz pierwszy grupa ludzi biznesu, a zarazem sympatyków tenisa wykonała finansową zrzutkę. Zebrała się spora — nawet w czasach kryzysu — pula z której sponsorzy wypłacili okrągłe sumy dla wszystkich docierających do ćwierćfinału. I tak Michał Klak zainwestował równe „pół bańki", jego finałowy przeciwnik połowę tej sumy. Wojtkiewicz wypłacono 100 tysięcy. To jest nasz skromny wkład w rozwój tenisa — powiedział jeden z ofiarodawców. Nie ulega wątpliwości, że w trudnych czasach tego rodzaju pomoc zasługuje na szczególne uznanie i wdzięczność.

I jeszcze jedno. Gdy się wieść rozniesie następny turniej w Poznaniu mieć będzie znacznie silniejszą obsadę. O to właśnie chodzi.

Ostatnim akordem turnieju był występ Wojciecha Fibaka. Wczoraj, mimo sztormowego wiatru, kończył on rozpoczętą w sobotę partię przeciwko Klakowi. Rutyna wzięła górę nad walecznością. Pierwszy po rocznej przerwie mecz dawny mistrz świata wygrał 6:2, 1:6, 6:3. Obydwaj przeciwnicy zademonstrowali sporo znakomitych zagrań, oklaskiwanych przy otwartej kurtynie.

Fibak — Iw

(W) Grami e
rozpoczęły się 63
Polski w tenisie,
walą się na kort
wizi Jędrzejowski
cach. Jednak nie
których o 8
miejsc w turnieju
czyzn rywalizuje
ków, a o 4 w
22 zawodniczki,
niem niedzieli.
pomiędzy Wojc
bakiem a Toma
aszem. Iwański wy
setach (7:6, 7:6),
czyły się tie-bre
szy 7:5, a drugi
secie przy stanie
wykorzystał piłki
krotnie zwalcz
mie jednak gra
dobać, a Iwański
bardzo dobrym
W poniedziałek
się turniej główn
tych ufundowany
czeka na zwycię
jedynczych. Za
nagrody wynosz
a za trzecie i
tys. W debiach

...ort

1989 Nr 155 (7959)
ROK XLV

...indeksu 35043

...wał

...grał więc
...ale nie był
... Wojciech
... od rywa-
...czny tenis,
...myśleniem
...uk nie za-
...wach, mo-
...że wielu
...by uznać
...pośredniej
...spora gru-
...erów, któ-
...łudnie za-
... Baildonu
...acony —
...ktoś w
...k jak Fi-

...eczu Woj-
...omplemen-
...a. — Tom-
...a roku te-
...robił bar-
...drugi ser-
...znakomity,
...wiecie gra
...Poza tym
...obrze kry-
...ize dobry
... rezerwy
...ada mu się
...r, a właś-
...ystać swój
...nę przebić
...ółki.

...ę mistrzos-
...by tylko
...ę tak wiel-
..., jak mecz
... by miały
...odę i by
... na takim
... wszyscy
... marzą po
...ikę Woj-
... już mogą
...ezni.

... tych mist-
...onią Woj-
...arzyna Ne-
...iednak ost-
...kie trofea,
... zmiany w
...ystko oka-
...yhko. Dziś
...czynają się
...go.

...ANOWSKI

ROZPOCZĘŁY SIĘ TENISOWE MP

WOJCIECH FIBAK ZNÓW CZAROWAŁ PUBLICZNOŚĆ

— Zagrałem na tym korcie znowu po wielu latach przerwy, bo odczuwam właśnie do Baildonu, do Katowic wielki sentyment. Nie wiem, czy tak chętnie pojechałbym do innego miasta, natomiast tutaj wróciłem chętnie. I to nie tylko dlatego, że grałem tu jako chłopak, ale właśnie dlatego, że — tak mi się wydawało — jestem coś winien tym ludziom. Zgotowano mi bardzo ciepłe przyjęcie, dziękuję za to katowickiej publiczności, tak zawsze dla mnie przychylnej. Byłem pewny, że tu właśnie będę przez sympatyków tenisa zrozumiany najlepiej i nie zawiodłem się. Te słowa wypowiedział WOJCIECH FIBAK na kon-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Pół miliona złotych dla Michała Klaka

Na kortach w Golęcinie zakończył się dwugwiazdkowy turniej tenisowy z cyklu Grand Prix Polski. Impreza obserwowana przez sporą grupę sympatyków białego sportu przyniosła generalny sukces gospodarzom.

Szczególnie interesujące okazały się półfinały singla mężczyzn. Pierwsza rakieta Olimpii Michał Klak po zaciętej walce pokonał reprezentanta warszawskiej Mery Bartłomieja Kuchtę 7:6, 6:4, natomiast jego kolega klubowy Mikołaj Łuczak stoczył dramatyczny pojedynek z Wojciechem Schaffke (AZS Poznań). Wynik 6:4, 2:6, 7:5 tylko w części oddaje emocje jakie towarzyszyły rywalizacji dwóch młodych poznaniaków.

Niedzielny finał był więc wewnętrzną sprawą tenisistów z Golęcina. Dynamicznie grający Klak nie dał wielu szans koledze klubowemu zwyciężając pewnie 6:0, 6:4, 6:1.

W finale gry pojedynczej pań pierwsza nagroda przypadła zawodniczce Górnika Bytom. Renata Wojtkiewicz pokonała Beatę Gumułę (Olimpia) 6:2, 6:4. Warto przypomnieć, że przed kilkoma dniami w podobnym turnieju na warszawskich kortach Wojtkiewicz miała znacznie trudniejsze zadanie, gdyż wygrała z Beatą zaledwie 2:6, 6:3, 6:4.

Od pewnego czasu, wzorem wielu innych dyscyplin, w turniejach „GP" Polski oficjalnie płaci się nagrody w gotówce. Są one jeszcze skromniejsze niż nasz tenis — trafnie zauważył komentator „PS" Adam Choynowski. Dla przykładu, we wspomnianym wyżej turnieju w stolicy mistrzyni gry pojedynczej otrzymała śmieszną sumę 14 tysięcy złotych, czyli równowartość puszki kiepskich piłek „Hanila".

W Poznaniu było o co walczyć! Nie po raz pierwszy grupa ludzi biznesu, a zarazem sympatyków tenisa wykonała finansową zrzutkę. Zebrała się spora — nawet w czasach kryzysu — pula z której sponsorzy wypłacili okrągłe sumy dla wszystkich docierających do ćwierćfinału. I tak Michał Klak zainwestował równe „pół bańki", jego finałowy przeciwnik połowę tej sumy. Wojtkiewicz wypłacono 150 tysięcy. To jest nasz skromny wkład w rozwój tenisa — powiedział jeden z ofiarodawców. Nie ulega wątpliwości, że w trudnych czasach tego rodzaju pomoc zasługuje na szczególne uznanie i wdzięczność.

I jeszcze jedno. Gdy się wieść rozniesie następny turniej w Poznaniu mieć będzie znacznie silniejszą obsadę. O to właśnie chodzi.

Ostatnim akordem turnieju był występ Wojciecha Fibaka. Wczoraj, mimo sztormowego wiatru, kończył on rozpoczętą w sobotę partię przeciwko Klakowi. Rutyna wzięła górę nad walecznością. Pierwszy po rocznej przerwie mecz dawny mistrz świata wygrał 6:2, 1:6, 6:2. Obydwaj przeciwnicy zademonstrowali sporo znakomitych zagrań, oklaskiwanych przy otwartej kurtynie.

Fibak — Iwański na dobry początek

(W) Grami eliminacyjnymi rozpoczęły się 63 mistrzostwa Polski w tenisie, które odbywają się na kortach im. Jadwigi Jędrzejowskiej w Katowicach. Jednak nie eliminacje, w których o 8 dodatkowych miejsc w turnieju singla mężczyzn rywalizuje 48 zawodników, a o 4 w singlu pań — 22 zawodniczki, były wydarzeniem niedzieli. Był nim mecz pomiędzy Wojciechem Fibakiem a Tomaszem Iwańskim. Iwański wygrał w dwóch setach (7:6, 7:6). Oba zakończyły się tie-breakami. Pierwszy 7:5, a drugi 7:2. W drugim secie przy stanie 5:3 Fibak nie wykorzystał piłki setowej, dwukrotnie psując serwis. W sumie jednak gra mogła się podobać, a Iwański wygrał dzięki bardzo dobrym serwisom.

W poniedziałek rozpocznie się turniej główny. 480 tys. złotych ufundowanych przez PKO czeka na zwycięzców gier pojedynczych. Za drugie miejsca nagrody wynoszą po 240 tys., a za trzecie i czwarte po 120 tys. W deblach i miksście do podziału jest odpowiednio po 180 tys., 90 tys. i 40 tys.

Miałem po prostu stracha przed tą grą — powiedział Wojciech Fibak po meczu. Po prostu zależało mi na tym, żeby pokazać się przed katowicką publicznością z jak najlepszej strony, a o swoich możliwościach zbyt wiele nie wiedziałem. Rano trenowałem z dwoma juniorami i słowo daję, że nieco się zmęczyłem.

Iwańskiego widziałem 2 lata temu i twierdzę, że od tego czasu poczynił spore postępy. Spore ale... gdyby wykorzystał wszystkie swoje atuty, mógłby grać wśród zawodowców... Tak silnego drugiego serwisu już teraz pozazdrościć mu może czołówka. Serwis, forhand, ruchliwość — to jego atuty. Słabością jest niewykorzystanie backhandu. A z Katowicami wiążą mnie bardzo miłe wspomnienia. I stąd tu moja obecność i gra... (PAP)

W. Fibak z rodziną i rakietą

Urlop w starym kraju

Do kraju przyjechał nasz znakomity tenisista i kolekcjoner, ambasador kultury polskiej na Zachodzie, Wojciech Fibak. Kurierowi udało się zamienić z nim kilka słów, w trakcie podróży po Polsce.

■ **Wakacje w pełni, a Pan przerwał urlop we Francji...**

— Ten pobyt traktuję jako przedłużenie wakacji. Wraz z żoną i córeczkami, Agnieszką i Pauliną, zwiedzamy Polskę. Byliśmy już w pałacu w Nieborowie, w Warszawie, w Puławach, Kazimierzu, Krakowie. Moje dziewczynki chciały zobaczyć również Oświęcim, który znają z przekazów prasowych i telewizyjnych. Pokazaliśmy im te miejsca, ale dzieci jeszcze nie zdają sobie sprawy z tego co tu się wydarzyło, są po prostu za małe.

■ **Zapewne udało Wam się zwiedzić najciekawsze muzea, galerie i Desy. Czy znalazło się coś ciekawego do Pańskiej kolekcji?**

— Wprawdzie w Krakowie w ostatnią sobotę wybraliśmy się do Muzeum Narodowego na wystawę „Żydzi polscy", na którą wypożyczyłem obrazy, ale obiekt był nieczynny. To zaskakujące, tylu turystów, a wystawa zamknięta na kłódkę. Zrezygnowani udaliśmy się na Rynek do Muzeum w Sukiennicach, gdzie chciałem zobaczyć obrazy Michałowskiego.

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Fibak na urlopie

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

Niestety, i tu było zamknięte. Zwiedzaliśmy zatem tylko zabytki architektury...

■ **A potem pojawił się Pan na kortach w Katowicach, by walczyć z młodymi tenisistami o Puchar Polski.**

— Zostałem zaproszony na otwarcie 63. Mistrzostw Polski. Dlaczego zagrałem? Przecież tym ludziom, pracującym i mieszkającym w tak trudnych warunkach, należy się też coś od życia.

■ **Czy widzi Pan jakiegoś swego następcę?**

— Podoba mi się Iwanicki z Łodzi, Scheffke z Poznania i Domański z Warszawy. Domański i Iwanicki jeżdżą po zagranicznych turniejach. W tej chwili mają o wiele lepsze warunki niż w czasach, gdy ja startowałem.

■ **Na posiedzeniu Fundacji Kultury Polskiej, sekretarz generalny Towarzystwa Polonia, amb. Józef Klasa zaproponował, by Spółka Polski Dom Aukcyjny nawiązała z Panem kontakt w celu szybszego i skuteczniejszego działania...**

— Widzę małe zielone światło. Chciałbym, żeby był to dom aukcyjny z prawdziwego zdarzenia, obejmie co będzie w sprzedaży: czy obrazy, czy biżuteria, rzeźba lub tkanina. Trzeba będzie wydrukować elegancki katalog i pokazać, co mamy. Uważam, że najwyższa pora, by 2 razy do roku odbywały się aukcje, jak np. w Christie. Polska sztuka wyszłaby w świat. To są sprawy prestiżowe. Tymczasem eksponaty "ochowanne są w magazynach. A przecież obok zbiorów muzealnych istnieje żywy rynek sztuką.

■ **Co zrobiło na Panu największe wrażenie?**

— Kraków, który jest tak bardzo zapuszczony. To smutne. Nawet zanieczyszczone powietrze nie usprawiedliwia zaniedbań w wyglądzie miasta.

Rozmawiała:
JOLANTA BARELKOWSKA

Z BOCZNEJ TRYBUNY

Wizyta starego mistrza

Wizyta w kraju Wojciecha Fibaka przypomniała znowu o istnieniu polskiego tenisa ziemnego. Nasza wschodząca kolejna gwiazdka Tomasz Iwański męczył się w pokazówce ze schorowanym starym Mistrzem i jedynie swym zdrowiem zdołał go pokonać. Jednak żaden nie miał powodów do zadowolenia. Fibak w duchu był chyba, markotny, że nie ma go wciąż kto zastąpić na światowych kortach, Iwański też nie mógł być zbyt dumny z pokonania z wielkim trudem sportowego dziadka.

Zastanawiające jak nie potrafimy wykorzystać nawet najlepszych okazji do osiągnięcia sukcesu. Już Jagiełło zamiast po Grunwaldzie pogonić Krzyżaków spacerkiem podążał za rozbitym wrogiem do Malborka. Ale to był chytry Litwin jak twierdził Jasienica i miał w tym swój interes. Nie wiem komu zależało aby nie zdyskontować pozycji i sławy Fibaka w latach siedemdziesiątych. Jego popularność osiągnęła apogeum, korty rosły jak grzyby po deszczu w całej Polsce, z pewnością przewijało się po nich wiele utalentowanej młodzieży. I co? I nic.

Mijają lata, Fibak zakończył karierę, a różne inne Wojtki bezskutecznie próbują pójść w jego ślady. Smutne to tym bardziej, że rzecz tkwi nie tylko w poślednioścl ich talentu. Zapewne mieliśmy i wciąż mamy bardzo utalentowanych graczy. Pozbawieni są oni zupełnie pomocy rodzimego związku, który nie ma nic, ani pieniędzy, ani siły przebicia, pomysłów, podejrzewam, że nawet dobrej woli. Ktoś powie, że Fibak przebijał się sam. Ale jak on twierdzi takie wejście do światowej czołówki było możliwe lat temu piętnaście. Dzisiaj za zawodnikiem jeśli nie stoi potężny prywatny sponsor musi stać silny związek. Taki mają Czesi, doradzają się go Rosjanie.

Oczywiście w karierę każdego obiecującego zawodnika trzeba najpierw zainwestować. Lecz pieniądze włożone przy mądrej pracy zwracają się wielokrotnie. U nas jednak sprawy finansowe, w sporcie i nie tylko, są wciąż niejasne i stanowią doskonałe pole dla działalności kombinatorów i złodziei. Dlatego nie wierzę abyśmy mogli skopiować wzorzec czeski. A to w naszych warunkach jedyna droga do budowy silnego tenisa wyczynowego.

W tej sytuacji Wojciech Fibak jeszcze długie lata będzie mógł odwiedzać rodzinne strony i sprawiać na korcie masę kłopotów młodszym kolegom. Marzącym daremnie o takiej karierze jakiej on doświadczył.

Konrad NAPIERAŁA

ietą

kraju

olekcjoner, ambasador
arierowi udało się za-
lsce.

na kłódkę. Zrezygno-
się na Rynek do Mu-
nicach, gdzie chciałem
ry Michałowskiego.

ENIE NA STR. 2)

ak na urlopie

ENIE ZE STR. 1)

yło zamknięte. Zwie-
tylko zabytki archi-

jawił się Pan na kor-
iesach, by walczyć z
tami o Puchar Pol-

zaproszony na otwar-
tw Polski. Dlaczego
zecicą tym ludziom,
mieszkającym w tak
nkach, należy się też

Pan jakiegoś swego

i się Iwanicki z Ło-
Poznania i Domański
Domański i Iwanicki
ranicznych turniejach.
ają o wiele lepsze wa-
zasach, gdy ja starto-

zeniu Fundacji Kultu-
kretarz generalny To-
nia, amb. Józef Kla-
al, by Spółka Polski
nawiązała z Panem
szybszego i skutecz-
nia...

ale zielone światło.
y był to dom aukcyj-
ego zdarzenia, obojęt-

nie co będzie w sprzedaży: czy obrazy, czy biżuteria, rzeźba lub tkanina. Trzeba będzie wydrukować elegancki katalog i pokazać, co mamy. Uważam, że najwyższa pora, by 2 razy do roku odbywały się aukcje, jak np. w Christie. Polska sztuka wyszłaby w świat. To są sprawy prestiżowe. Tymczasem eksponaty -ochowane są w magazynach. A przecież obok zbiorów muzealnych istnieje żywy rynek sztuką.

■ **Co zrobiło na Panu największe wrażenie?**

— Kraków, który jest tak bardzo zapuszczony. To smutne. Nawet zanieczyszczone powietrze nie usprawiedliwia zaniedbań w wyglądzie miasta.

Rozmawiała:
JOLANTA BARELKOWSKA

skutecznie próbują pójść w jego ślady. Smutne to tym bardziej, że rzecz tkwi nie tylko w poślednioścl ich talentu. Zapewne mieliśmy i wciąż mamy bardzo utalentowanych graczy. Pozbawieni są oni zupełnie pomocy rodzimego związku, który nie ma nic, ani pieniędzy, ani siły przebicia, pomysłów, podejrzewam, że nawet dobrej woli. Ktoś powie, że Fibak przebijał się sam. Ale jak on twierdzi takie wejście do światowej czołówki było możliwe lat temu piętnaście. Dzisiaj za zawodnikiem jeśli nie stoi potężny prywatny sponsor musi stać silny związek. Taki mają Czesi, dorabiają się go Rosjanie.

Oczywiście w karierę każdego obiecującego zawodnika trzeba najpierw zainwestować. Lecz pieniądze włożone przy mądrej pracy zwracają się wielokrotnie. U nas jednak sprawy finansowe, w sporcie i nie tylko, są wciąż niejasne i stanowią doskonałe pole dla działalności kombinatorów i złodziei. Dlatego nie wierzę abyśmy mogli skopiować wzorzec czeski. A to w naszych warunkach jedyna droga do budowy silnego tenisa wyczynowego.

W tej sytuacji Wojciech Fibak jeszcze długie lata będzie mógł odwiedzać rodzinne strony i sprawiać na korcie masę kłopotów młodszym kolegom. Marzącym daremnie o takiej karierze jakiej on doświadczył.

Konrad NAPIERAŁA

POLONIJNE TURNIEJE TENISOWE

W dniach 5-7 sierpnia odbędzie się na kortach National Tennis Center na Flushing Meadow kolejny polonijny turniej tenisowy "Championship Open", w którym można zdobywać punkty do klasyfikacji rankingowej PATA.

Zgłoszenia do turnieju przyjmowane będą na miejscu, w sobotę, 5 sierpnia o godz. 15. Wpisowe wynosi 40 dol. Organizatorzy planują przeprowadzenie gier pojedynczych i podwójnych.

Na korty dojechać można subwayem nr 7, wysiąść należy na stacji Shea Stadium.

Związek tenisowy PATA zwraca się do sponsorów z uprzejmą prośbą o pomoc w organizacji zawodów.

Za tydzień wyprawa do Toronto

Polish-American Tennis Association zawiadamia, że w dniach 11-13 sierpnia odbędzie się w Toronto turniej tenisowy "Wojtek Fibak Cup". Zawodom dla pań i panów, organizowanym przez znanego działacza polonijnego Jana Dorosiewicza, patronuje najlepszy w historii polski tenisista Wojciech Fibak.

PATA organizuje wyjazd autokarem z Nowego Jorku do Toronto i zaprasza wszystkich tenisistów do wzięcia udział w turnieju. Informujemy, że koszt przejazdu autokarem w obie strony wynosi 60 dol. Trzeba się również liczyć z opłatami za 2 noclegi w motelu. Wyjazd do Toronto nastąpi w czwartek, 10 sierpnia w godzinach popołudniowych z Greenpointu, powrót w poniedziałek, 14 sierpnia rano.

Zgłoszenia do 7 sierpnia proszę kierować listownie na adres: Polish-American Tennis Association, 158-09 Senford Ave, Flushing, NY 11358, lub telefonicznie (718)261-9074.

Obok turnieju Wojtka Fibaka dojdzie również do pierwszego w historii spotkania pomiędzy reprezentantami Toronto, Chicago i Nowego Jorku. Kapitanem drużyny nowojorskiej został Mirosław Pucek, który obecnie ustala skład reprezentacji naszego miasta.



Joanna i Jan Fibakowie: — Sukces dziecka cieszy bardziej niż swój własny... **Fot. Autor**

W FIBAKOWYM GNIEŹDZIE

JÓZEF AMBROZOWICZ

Zbliżył ich sport. I sport wyniósł ich syna na wyżyny sławy, kariery i olśniewającego sukcesu, o który tak trudno w dzisiejszych czasach i za którym tak tęskni każdy Polak.

Poznali się na przystani poznańskiego AZS-u. On wiosłował w reprezentacyjnej czwórce regatowej, ona grała w siatkówkę i spoglądała z uznaniem na równe i rytmiczne uderzenia wioseł. Któregoś dnia zagrali razem po jednej stronie siatki. Ona świetnie wystawiała piłki, a on ścinał nie do obrony dziękując wzrokiem za dobre zagrania. Pewnego wieczoru, także na przystani, poprosił ją do tańca, a niedługo potem odbył się ich ślub. Był rok 1950. Joanna i Jan Fibakowie zaczynali wspólne życie.

W 38 lat później odwiedzam państwa Fibaków w ich poznańskim domu przy ul. Wielkopolskiej. Czas zatarł w pamięci szczegóły związane z tamtym okresem: pędu do wiedzy, radości z uprawiania sportu, wspólnych planów, a także rozterek i kłopotów. Ale pozostaje w pamięci nostalgiczna atmosfera, w której wyrastali, studiowali i snuli życiowe plany.

Ściany subtelnie urządzonych wnętrz zdobią pospołu przepiękny obraz Malczewskiego „Hermes i Alcesta" i zdjęcia dzieci, z przewagą sławnego syna. W salonie dwumetrowe zdjęcie Wojtka i Ewy. Objętych ramionami i prowadzących składany wózeczek, w którym siedzi ich pierwsza córeczka Agnieszka. Są jakby stale obecni w tym domu, choć przecież mieszkają za Oceanem. Na plakatach świetne, dynamiczne zdjęcia polskiego tenisisty, którego nazwisko poznał świat. Ich syna.

Wojciech Fibak gra już w tenisa tylko dla przyjemności. Przez 10 lat był nieustannie w dwudziestce najlepszych tenisistów świata. Wygrał w singlu 16 turniejów Grand Prix, w deblu brał udział w 80 finałach, z czego wygrał 34 partie. Osiągnął sukces, sławę i pieniądze. Ale osiągnął także coś więcej: popularność, prestiż i sympatię za to, że zawsze był i pozostaje Polakiem, którego postawa zasługuje na podziw i szacunek.

Jest swoistym paradoksem, że Wojciech Fibak jest dzisiaj nie mniej sławny, a w każdym razie nie mniej podziwiany niż kiedy zawodowo uprawiał sport. Sukces sportowy, choćby największy, nie daje jeszcze szansy na trwałe uznanie społeczne. Ten sukces trzeba jeszcze zdyskontować. Przeciętny Polak podziwia mistrzostwo na światowym poziomie, ale jeszcze bardziej ceni ko-

W FIBAKOWYM GNIEŹDZIE

goś, kto się liczy ponadto w świecie biznesu, jest kolekcjonerem dzieł sztuki i w ogóle jest kimś. Wszyscy mają w pamięci sportowe sukcesy Fibaka, ale jakby szybciej utrwalają się informacje o tym, że ma on oszałamiającą rezydencję w Greenwich w stanie Connecticut, wytworne mieszkanie w Nowym Jorku i pałacyk w Paryżu.

Jak to się stało, że został tenisistą? Kiedy po raz pierwszy wziął rakietę do ręki? Istnieje opinia, że Wojciech Fibak zawdzięcza niemal wszystko swojemu ojcu: jego pozycji i możliwościom finansowym. To ojciec Wojtka miał jakoby swego czasu sfinansować jego podróż na Zachód, żeby tam mógł zmierzyć się w eliminacjach i przebić do turniejowej puli.

Profesor Jan Fibak uśmiecha się z oznaką dezaprobaty.

— W każdym micie jest część prawdy, ale tylko część. Jak doszło do tego, że Wojtek został tenisistą? Cóż, dzisiaj o tym, jaki sport wybierze dziecko decydują właściwie rodzice. To jest prawie konieczne, bo w sporcie trzeba zaczynać bardzo wcześnie. Żeby zostać dobrym pływakiem, trzeba pływać od 5—6 roku życia i o tym muszą zadecydować rodzice. To nie jest wybór dziecka, tylko wybór rodziców. Tak samo było z Wojtkiem. Właściwie to ja wybrałem dla niego tenis. Co prawda nie zaczynał grać jako małe dziecko, ale ja już o tym myślałem. Sam uprawiałem wiele dyscyplin. Zaczynałem od wioślarstwa, potem zainteresowałem się lekką atletyką. To nie był taki czas, że się uprawiało jakiś sport prawie zawodowo, jak dzisiaj. Przecież dziś cała czołówka krajowa, to są właściwie zawodowcy, którzy na sport przeznaczają niemal cały swój czas. Myśmy wtedy interesowali się sportem dla rekreacji, a to co ja robiłem, było na granicy rekreacji i wyczynu. Byłem w reprezentacyjnej czołówce AZS-u, ale dla mnie liczyła się przede wszystkim przyjemność. W lekkoatletycznej drużynie AZS-u mieliśmy dwa razy mistrzostwo Polski. Biegałem przez płotki, a gdy było trzeba skakałem w dal i wzwyż, żeby uzupełnić drużynę. To wszystko było zabawą, bez tego nadzwyczajnego wysiłku, który dziś jest niezbędny w wyczynie. Trenerzy byli właściwie kolegami i traktowali trenerkę wyłącznie w kategoriach satysfakcji. Grałem także w siatkówkę i właściwie miałem dobre wyobrażenie niemal o każdej dyscyplinie sportu.

I kiedy Wojtek już dorastał szukałem dla niego takiej dyscypliny sportu, która dawałaby mu radość, przyjemność i zdrowie. Wybrałem wówczas tenis, o którym zawsze marzyłem, ale jakoś nie miałem okazji czy warunków. Tenis mi się podobał szczególnie. Uważałem, że to jest gra towarzyska, przyjemna i rozwijająca fizycznie. Mojej ochoty na tenisa nie zrealizowałem, ale kiedy syn przekroczył 10 rok życia uznałem, że czas, żeby spróbował on.

W międzyczasie dużo zajmowałem się sportem od strony teoretycznej. Ponieważ byłem chirurgiem znanym w kołach sportowych Poznania, zaproponowano mi wykłady w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, późniejszej AWF. Zajmowałem się tam urazami i chorobami związanymi z uprawianiem sportu i z czasem całą medycyną sportową. Nawet kiedy zostałem docentem (jako chirurg), nadal pracowałem w AWF-ie i tam prowadziłem Zakład Medycyny Sportu. Mając więc doświadczenia płynące z uprawiania sportu i teoretyczne podstawy medycyny sportowej, mogłem lepiej pokierować rozwojem mojego syna i wprowadzić go w świat sportu.

Podstawowa sprawa: ja nie kierowałem Wojtka do zawodowego uprawiania tenisa. Szukałem jedynie dla niego zdrowego zajęcia dla ciała i ducha. Nie chciałem żeby w młodości przesiadywał w lokalach, palił i — może — wchodził w złe towarzystwo. Chciałem mu dostarczyć zdrowej rozrywki i to nie tylko na okres młodości, w końcu w tenisa można grać w każdym wieku. Przy okazji sam się nauczyłem grać w tenisa, bo początkowo grywaliśmy razem, ale Wojtek szybko zaczął mnie ogrywać i trzeba było szukać lepszych partnerów.

Do Klubu Wojtek wstąpił mając 13 lat. Zapisał się i podjął regularne treningi. Efekty przyszły dość szybko, być może także dlatego, że wcześniej próbował grać trochę w piłkę nożną. Piłka dała mu opanowanie żonglerki, zwrotność, umiejętność poruszania się na boisku, znajdowania w nim właściwego miejsca. Grał także w badmintona i ping-ponga. Pamiętam, że kupiłem stół ping-pongowy i graliśmy z Wojtkiem w garażu...

Pani Joanna dodaje: — w pokoju także, tłukąc raz po raz coś niecoś...

— I te różne gry — ciągnie dalej Profesor — to były także zabawy, ale doskonale wyrabiały spostrzegawczość, umiejętność przewidywania sytuacji. Ale tenis zaczął wkrótce być najważniejszy. Ja nawet kiedyś powiedziałem w domu, że przynajmniej przy posiłkach nie mówimy o tenisie.

— A kiedy Państwo zorientowali się, że Wasz syn to wielki talent?

— To nie myśmy się zorientowali. On po prostu zaczął wygrywać i to nie tylko z rówieśnikami, ale także z chłopcami starszymi o 2—3 lata od siebie. Wtedy wszedł do drużyny klubowej i potem już to wszystko potoczyło się szybko. A że miał talent? Istotnie, jego wyniki nie były rezultatem pracowitości, nie miały nic wspólnego z wyrzeczeniami. Są dzisiaj trenerzy tenisowi, którzy do młodzieży mówią tak: trenujcie pilnie, codziennie i ciężko, a będziecie tacy jak Wojciech Fibak, który też pilnie trenował i dlatego został mistrzem. Nic bardziej kłamliwego. Owszem, Wojtek trenował, ale wyłącznie dlatego, że mu to sprawiało przyjemność.

— Ale czy to by wystarczyło? Czy gdyby nie fakt, iż sytuacja materialna jego rodziców na to pozwalała, to pojechałby na ów turniej do Madrytu, na turniej, który właściwie zapoczątkował wielką karierę sportową Waszego syna?

— Ja już teraz nie pamiętam czy mu coś pomogłem finansowo, czy nie. Faktem jest, że wyjazd do Hiszpanii był przełomowym w jego karierze, ale przede wszystkim dlatego, że to było wyłamanie się utartych zwyczajów, jakie wówczas obowiązywały w polskim sporcie, także w tenisie. Wyjeżdżała wówczas drużyna czy ekipa, a nigdy zawodnik na własną rękę. Zresztą te drużyny czy grupy grały w turniejach podrzędnych, mogły tam osiągać jakieś wyniki, ale nie takie, które by kwalifikowały do wielkich turniejów. A żeby wziąć w nich udział trzeba było przejść eliminacje, a wcześniej jeszcze się do nich dostać. Gdyby zamiast do Hiszpanii Wojtek pojechał wówczas na niewiele znaczący turniej do Soczi, gdyby się nie wyłamał z ówczesnych schematów, to nigdy nie wszedłby do czołówki światowej. I to jest ten zwrotny punkt, bo żeby wygrać z Ashem, trzeba było najpierw wypracować możliwość zmierzenia się z nim.

— A jakim uczniem był Wojtek? Czy nie miał kłopotów z nauką, skoro jeszcze w szkole średniej intensywnie trenował i grał?

— Mimo że trochę opuszczał szkołę, uczył się dobrze i zdał maturę bez problemów (w znanym liceum Marcinkowskiego). I ta szkoła dała mu bardzo wiele. Zaczął później studia prawnicze, ale w trakcie drugiego roku zrezygnował. To się już wtedy nie dało pogodzić. Ale zawsze dużo czytał, próbował nawet pisać opowiadania, wiersze. Myślał też o dziennikarstwie, reżyserii. Gdyby nie tenis pewnie doszedłby w tych dziedzinach do jakichś rezultatów.

Na początku kariery, podczas turnieju w Teheranie mieszkał w jednym pokoju z Borgiem i od tamtego czasu zaczęła się ich przyjaźń. Wojtek ze zdumieniem odkrywał jak ogromne braki miał Szwed w wykształceniu ogólnym. Bo Borg po szkole podstawowej rzucił naukę i poświęcił się wyłącznie tenisowi, co zresztą na dobre mu wyszło.

Jeśli dzisiaj Wojtek zajmuje się mnóstwem różnych rzeczy, to dlatego, że zawsze miał rozległe zainteresowania.

Państwo Fibakowie pokazują mi egzemplarze francuskiego magazynu ilustrowanego „Tennis". W nich na dwóch kolumnach Wojciech Fibak charakteryzuje czołowych zawodników świata omawiając ich mocne i słabe strony. Niedawno „Przegląd Tygodniowy" doniósł o tym, że Ewa i Wojciech Fibakowie wydają w Nowym Jorku kwartalnik poświęcony polskiej sztuce poza krajem „Pro Arte". Kwartalnik dociera do koneserów i kolekcjonerów dzieł sztuki i jest wydawany na najwyższym poziomie.

— Cieszę się — mówi pani Joanna, że Wojtek nie podporządkował wszystkiego tenisowi, że ma tyle innych zainteresowań. Zawsze starałam się poszerzać horyzonty dzieciom i to się chyba udało. Sama, mimo że skończyłam chemię, interesuję się architekturą, historią, sztuką. U nas w domu były to zawsze tematy codzienne. Może dlatego nasza córka (cztery lata młodsza od Wojtka) skończyła architekturę i daje sobie dobrze radę w zawodzie.

Córka państwa Fibaków wraz z mężem i synkiem mieszka w Nowym Jorku. Spodziewa się właśnie drugiego dziecka.



Joanna i Jan Fibakowie. 38 lat wspólnego i zgodnego życia.
Fot. Autor

IBAKOWYM GNIEŹDZIE

znałem, że czas, żeby spró-
t on.
międzyczasie dużo zajmowa-
się sportem od strony teore-
ej. Ponieważ byłem chirur-
znanym w kołach sporto-
Poznania, zaproponowano
ykłady w Wyższej Szkole
owania Fizycznego, później-
AWF. Zajmowałem się tam
mi i chorobami związanymi
rawianiem sportu i z cza-
całą medycyną sportową.
t kiedy zostałem docentem
chirurg), nadal pracowałem
WF-ie i tam prowadziłem
d Medycyny Sportu. Mając
doświadczenia płynące z u-
lania sportu i teoretyczne
awy medycyny sportowej,

— I te różne gry — ciągnie dalej Profesor — to były także zabawy, ale doskonale wyrabiały spostrzegawczość, umiejętność przewidywania sytuacji. Ale tenis zaczął wkrótce być najważniejszy. Ja nawet kiedyś powiedziałem w domu, że przynajmniej przy posiłkach nie mówimy o tenisie.

— A kiedy Państwo zorientowali się, że Wasz syn to wielki talent?

— To nie myśmy się zorientowali. On po prostu zaczął wygrywać i to nie tylko z rówieśnikami, ale także z chłopcami starszymi o 2—3 lata od siebie. Wtedy wszedł do drużyny klubowej i potem już to wszystko potoczyło się szybko. A że miał talent? Istotnie, jego wyniki nie były rezultatem pracowitości, nie miały nic wspólnego z wyrzeczeniami. Są dzisiaj trenerzy tenisowi, którzy do młodzieży mówią tak: trenujcie pilnie, codziennie i ciężko, a będziecie tacy jak łamał z ówczesnych schematów, to nigdy nie wszedłby do czołówki światowej. I to jest ten zwrotny punkt, bo żeby wygrać z Ashem, trzeba było najpierw wypracować możliwość zmierzenia się z nim.

— A jakim uczniem był Wojtek? Czy nie miał kłopotów z nauką, skoro jeszcze w szkole średniej intensywnie trenował i grał?

— Mimo że trochę opuszczał szkołę, uczył się dobrze i zdał maturę bez problemów (w znanym liceum Marcinkowskiego). I ta szkoła dała mu bardzo wiele. Zaczął później studia prawnicze, ale w trakcie drugiego roku zrezygnował. To się już wtedy nie dało pogodzić. Ale zawsze dużo czytał, próbował nawet pisać opowiadania, wiersze. Myślał też o dziennikarstwie, reżyserii. Gdyby nie tenis pewnie doszedłby w tych dziedzinach do jakichś rezultatów.

Na początku kariery, podczas turnieju w Teheranie mieszkał w jednym pokoju z Borgiem i od tamtego czasu zaczęła się ich przyjaźń. Wojtek ze zdumieniem odkrywał jak ogromne braki miał Szwed w wykształceniu ogólnym. Bo Borg po szkole podstawowej rzucił naukę i poświęcił się wyłącznie tenisowi, co zresztą na dobre mu wyszło.

Jeśli dzisiaj Wojtek zajmuje się mnóstwem różnych rzeczy, to dlatego, że zawsze miał rozległe zainteresowania.

Państwo Fibakowie pokazują mi egzemplarze francuskiego magazynu ilustrowanego „Tennis". W nich na dwóch kolumnach Wojciech Fibak charakteryzuje czołowych zawodników świata omawiając ich mocne i słabe strony. Niedawno „Przegląd Tygodniowy" doniósł o tym, że Ewa i Wojciech Fibakowie wydają w Nowym Jorku kwartalnik poświęcony polskiej sztuce poza krajem „Pro Arte". Kwartalnik dociera do koneserów i kolekcjonerów dzieł sztuki i jest wydawany na najwyższym poziomie.

— Cieszę się — mówi pani Joanna, że Wojtek nie podporządkował wszystkiego tenisowi, że ma tyle innych zainteresowań. Zawsze starałam się poszerzać horyzonty dzieciom i to się chyba udało. Sama, mimo że skończyłam chemię, interesuję się architekturą, historią, sztuką. U nas w domu były to zawsze tematy codzienne. Może dlatego nasza córka (cztery lata młodsza od Wojtka) skończyła architekturę i daje sobie dobrze radę w zawodzie.

Córka państwa Fibaków wraz z mężem i synkiem mieszka w Nowym Jorku. Spodziewa się właśnie drugiego dziecka.



na i Jan Fibakowie. 38 lat wspólnego i zgodnego życia.
Fot. Autor

em lepiej pokierować roz-
m mojego syna i wprowa-
go w świat sportu.

dstawowa sprawa: ja nie kie-
łem Wojtka do zawodowego
wiania tenisa. Szukałem je-
dla niego zdrowego zaję-
ła ciała i ducha. Nie chcia-
żeby w młodości przesiady-
w lokalach, palił i — może —
dził w złe towarzystwo.
ałem mu dostarczyć zdrowej
wki i to nie tylko na okres
łości, w końcu w tenisa
a grać w każdym wieku.
okazji sam się nauczyłem
w tenisa, bo początkowo
waliśmy razem, ale Wojtek
ko zaczął mnie ogrywać i
a było szukać lepszych par-
ów.

Klubu Wojtek wstąpił ma-
13 lat. Zapisał się i podjął
larne treningi. Efekty przy-
dość szybko, być może także
ego, że wcześniej próbował
trochę w piłkę nożną. Pił-
ała mu opanowanie żongler-
zwrotność, umiejętność poru-
ia się na boisku, znajdowania
im właściwego miejsca. Grał
w badmintona i ping-ponga.
iętam, że kupiłem stół ping-
gowy i graliśmy z Wojtkiem
arażu...

ani Joanna dodaje: — w po-
także, tłukąc raz po raz coś
oś...

Wojciech Fibak, który też pilnie trenował i dlatego został mistrzem. Nic bardziej kłamliwego. Owszem, Wojtek trenował, ale wyłącznie dlatego, że mu to sprawiało przyjemność.

— Ale czy to by wystarczyło? Czy gdyby nie fakt, iż sytuacja materialna jego rodziców na to pozwalała, to pojechałby na ów turniej do Madrytu, na turniej, który właściwie zapoczątkował wielką karierę sportową Waszego syna?

— Ja już teraz nie pamiętam czy mu coś pomogłem finansowo, czy nie. Faktem jest, że wyjazd do Hiszpanii był przełomowym w jego karierze, ale przede wszystkim dlatego, że to było wyłamanie się utartych zwyczajów, jakie wówczas obowiązywały w polskim sporcie, także w tenisie. Wyjeżdżała wówczas drużyna czy ekipa, a nigdy zawodnik na własną rękę. Zresztą te drużyny czy grupy grały w turniejach podrzędnych, mogły tam osiągać jakieś wyniki, ale nie takie, które by kwalifikowały do wielkich turniejów. A żeby wziąć w nich udział trzeba było przejść eliminacje, a wcześniej jeszcze się do nich dostać. Gdyby zamiast do Hiszpanii Wojtek pojechał wówczas na niewiele znaczący turniej do Soczi, gdyby się nie wy-

W poznańskim gnieździe Fibaków cicho i spokojnie. Może nazbyt?...

— Byłem już trzykrotnie w Stanach, u dzieci — mówi Profesor. — Żona była dwukrotnie. Wojtek jest co roku w Polsce, przeważnie z całą rodziną. W Stanach przebywam w roli dziadka. Tu, w Poznaniu, jestem stale czynny zawodowo, a w wolnych chwilach pielęgnujemy ogród. Wojtek dzwoni do nas co tydzień, mówimy sobie o wszystkim, ta odległość nie jest więc tak dokuczliwa.

— A odpryski sławy syna? Oznaki ludzkiej zawiści, która jest jakby wszechobecna?

— Ludzie, którzy z nami rozmawiają mówią dobrze o naszych dzieciach. Ci, którzy są — może — źle nastawieni, w ogóle z nami nie rozmawiają, więc o tym nie wiemy. Choć był czas, że prasa była niechętna Wojtkowi. Ale nigdy nie otrzymaliśmy jakiegoś przykrego listu czy telefonu. Otrzymujemy natomiast wiele listów z różnymi prośbami, zwłaszcza wtedy, kiedy Wojtek jest w Polsce; o pomoc w uzyskaniu pracy za granicą, o trudno dostępne leki, czy wreszcie o wsparcie finansowe. Wojtek pomaga dużo, nie jest obojętny, ale na większość tych próśb nie jest w stanie odpowiedzieć. Pisze na przykład jakiś pan z więzienia, żeby Wojtek załatwił mu dobrego adwokata i go stamtąd wyciągnął, bo on siedzi niewinnie, albo pisze pani, że ma małe mieszkanie, tylko pokój z kuchnią i prosi żeby jej Wojtek kupił większe mieszkanie i to w takiej dzielnicy, żeby miała blisko do matki. A inna pani, wdowa, pisze, że ma ciężkie warunki, bo ma tylko 2-pokojowe mieszkanie i tylko „malucha" i prosi o większą zapomogę, żeby mogła córkę lepiej „ustawić".

Wojtek przyjeżdża zawsze obładowany sprzętem. Rozdaje młodzieży. Przekazał w sumie przeszło 100 tys. dolarów na potrzeby Polskiego Związku Tenisowego, ale to jakoś przemknęło w gazetach, jakby wstydliwie. Nie chodzi o dęcie w trąby, ale o normalną informację. Kiedy przyjeżdża, biegnie do swojego liceum, spotyka się z młodzieżą, odwiedza ze wzruszeniem stare kąty. Pragnie dla Polski lepszej opinii o jej kondycji gospodarczej i nigdy nie powiedział o Polsce złego słowa. Jego jedyną „winą" w oczach niektórych dziennikarzy było to, że w stanie wojennym nie grał w naszej reprezentacji. No, ale nie warto wracać do tamtych spraw. Było, minęło...

Ostatnie pytanie do rodziców Wojciecha Fibaka, zwłaszcza do jego ojca, prof. dr. hab. Jana Fibaka:

— Czy nie odczuwa Pan cienia żalu, że syn przyćmił Pana sławą?

— Każdy ojciec i każda matka cieszą się ogromnie z sukcesów swoich dzieci. Sukces syna jest sukcesem ojca. Nie wiem czy nawet bardziej nie cieszy sukces dziecka, niż swój własny. Nigdy nie miałem tego kompleksu, że mój syn jest bardziej znany niż ja. Kompleks może mieć mąż, którego żona przyćmi swoją wielkością, przedsiębiorczością czy sławą, ale do rodziców to się na pewno nie odnosi. Byli tacy, którzy mi przygadywali, może żartobliwie. Odpowiadałem: pokażcie mi takiego profesora w Poznaniu, który by miał tak sławnego syna jak ja!

Wypisuję z „Kto jest kim w polskiej medycynie" — wydawnictwa „Interpressu":

Fibak Jan Franciszek, ur. 19 VI 1924 roku w Poznaniu, chirurg, specjalista I st. (1954), w zakresie chorób chirurg. i II st. (1957) w zakresie chirurgii. Studia: Wydział Lekarski Uniwersytetu Poznańskiego (1949), dr (1951), dr hab. (1964), prof. nadzw. (1979).

Akad. Med.: asystent, st. asystent, adiunkt w Zakładzie Histologii Prawidłowej (1947—1951), asyst., st. asystent, adiunkt w II Klinice Chirurgicznej (1959—1964), AWF: kierownik Zakładu Medycyny Sportu (1964—1972), docent (1965—1972), prodziekan Wydziału Wych. Fizycznego (1965—1968).

Instytut Chirurgii AM: docent (1972—1979), prof. (1979—) ordynator Oddziału Chirurg. Szpitala im. Franciszka Reszei, Poznań od 1964 r., konsultant wojewódzki w zakresie chirurgii (1975—1982).

Staże naukowe: Guy's Hospital Londyn (1959—1960), chirurgia sercowo-naczyniowa, Klinika Uniwersytetu Utrecht (1975).

Wśród osiągnięć: opracowanie własnej metody operacji lejkowatej klatki piersiowej, wprowadzenie diagnostyki płukania otrzewnej (...), autogennego przeszczepu śledziony i wielu innych nowych metod diagnostyki i lecznictwa.

Wśród publikacji: ponad 160 prac (monografie, prace oryginalne, poglądowe, rozdziały w podręcznikach), z dziedziny gastroenterologii, chirurgii tarczycy, leczenia urazów, chirurgii klatki piersiowej, medycyny sportowej, reanimacji. Artykuły w czasopismach krajowych i zagranicznych.

JÓZEF AMBROZOWICZ

sept-oct -89

MICHAEL CHANG

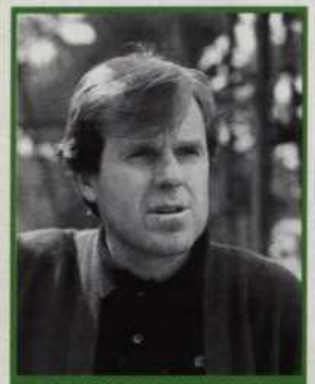

VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate, à laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A trente-six ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl et récemment Leconte, Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacré ici à Michael Chang.



Né le 22 février 1972 à Hoboken (Etats-Unis)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Australian Open
Jamais joué

Roland-Garros
1988 : *3ème tour (perd c. McEnroe) ;*
1989 : *vainqueur (bat Edberg).*

Wimbledon
1988 : *2ème tour (perd c. Leconte) ;*
1989 : *huitième de finaliste (perd c. Mayotte).*

U.S. Open
1987 : *2ème tour (perd c. Odizor) ;*
1988 : *huitième de finaliste (perd c. Agassi).*

TOURNOIS GAGNÉS

au 2 juillet (2)
1988 : *San Francisco (bat Kriek).*
1989 : *Roland-Garros.*

Le succès de Michael Chang à Roland-Garros symbolise la force et la beauté du tennis. En quelques jours, Chang est devenu une star internationale. Grâce au prestige de Roland-Garros, qui est devenu un événement extraordinaire, et grâce à lui-même évidemment. Contrairement à beaucoup de gens, qui disent le jeu de Chang ennuyeux, qui sont agacés par le personnage (ses multiples références à Dieu, etc.), et même si je n'ai pas apprécié ses « trucs » contre Lendl, je suis enthousiasmé par Chang. Son jeu n'est pas ennuyeux, ce n'est pas un simple renvoyeur : il cherche les ouvertures et sait en profiter. En fait, il a tout pour réussir une grande carrière, lui, le récipiendaire à la fois d'un héritage oriental, dont il tire une grande force mentale, et d'une éducation américaine, qui lui donne confiance en lui. ***W.F.***

Points forts

Le revers

Un coup très solide aussi bien en attaque qu'en défense. Toujours bien placé sur la balle, grâce à sa qualité de « jambes ». Comme Mecir ou Connors, il peut en revers placer la balle où il veut, ou accélérer et s'ouvrir le court.

Le coup droit

Pas un grand coup droit, comme Agassi, Courier, Lendl ou Becker. Mais là encore, un très bon timing et un placement impeccable. En plus, Chang recouvre sa fin de geste d'un mouvement sec et autoritaire qui fait de son coup droit un atout très « beau », très « propre ». Sur son coup droit notamment, l'on s'aperçoit que Chang a une parfaite vision du jeu et que ses accélérations sont d'abord basées sur le timing.

Le retour de service

Voir la finale contre Edberg ! Chang, dans le court, frappait ses revers balle montante. Il neutralisait ainsi le « kick » d'Edberg à la frappe. Le plus extraordinaire, c'est que Chang peut faire cela sur toutes les surfaces. Il l'a d'ailleurs prouvé à Wimbledon.

Le lob

Grâce à son timing et son placement, Chang peut transformer avec la plus grande aisance son coup droit et son revers en lob.

Le smash

Un bon smash, sûr, solide. Ce n'est pas Noah mais, pour un joueur plutôt petit, il est essentiel d'avoir un bon smash. Chang l'a, il le frappe avec assurance et sécurité. Il en manque rarement un.

Jeu de jambes

Sa vitesse est impressionnante, ainsi que sa couverture de terrain. Son déplacement est précis et naturel. Et il s'enrichit d'un grand sens de l'anticipation et d'une rare vision du jeu.
(Voir aussi « Physique »)

Tactique

Chang sait à merveille profiter des conseils de ses deux coaches Jose Higueras et Brian Gottfried (voir plus loin « Tactique »).

Mental

Exceptionnel pour son âge (voir plus loin « Mental »).

Points faibles

Encore limité sur surface rapide

Michael Chang l'a prouvé : il est capable de gagner beaucoup de matches sur gazon (les huitièmes à Wimbledon, ce n'est pas rien...) ou sur court en dur. Il peut même faire le service-volée, mais pas encore pendant tout un match ; ses coups sont programmés pour le jeu de fond de court — à l'image de son revers à deux mains. Dans le jeu d'attaque, qu'il a déjà fortement amélioré en compagnie de Brian Gottfried, sa petite taille reste un handicap.

Le service

Il est à l'aise. Malgré sa petite taille, il sert bien et son deuxième service est solide. Mais son geste, qui est correct, n'est tout de même pas naturel. En finale de Roland-Garros, il a commis plusieurs doubles fautes mais c'était la conséquence d'une consigne qu'il appliquait à la lettre : toujours servir sur le coup droit d'Edberg. Cela changeait ses habitudes et c'est pourquoi il a fait ces fautes.

La volée

Ce secteur de jeu, chez Chang, il faudrait en fait le mettre « hors classe » car ce n'est ni un point fort, ni une vraie faiblesse. Car si l'on considère que Chang fait partie de la famille des Agassi, Courier, etc., on doit admettre qu'il a une bien meilleure volée qu'eux. Sur terre battue, il sait « glisser » dans la balle. Et en même temps, au filet, ce n'est ni McEnroe, ni Edberg...

Tactique

Sur terre battue, il doit beaucoup à Higueras. A Roland-Garros, Chang a toujours bien joué tactiquement. Il a même réussi à dérégler le jeu de joueurs qui avaient tout pour le battre comme Chesnokov. Sa tactique est d'une extrême simplicité. Attendre, mais aussi guetter l'ouverture. Quand elle se présente, accélérer et parfois monter au filet. Contre Lendl il a multiplié les initiatives (accélérations soudaines, amorties, lobs...) qui ont déstabilisé Ivan. Cela dit, je n'ai pas apprécié tout ce qu'il a fait contre Ivan. Comme servir à la cuiller par surprise et s'avancer sur la ligne de service sur la balle de match. Ça ne se fait pas. Mais Ivan a mal réagi. Car au lieu de s'en prendre à l'arbitre, il aurait dû concentrer toute sa volonté sur Chang.

Pour jouer contre lui :

Sur surface rapide il faut attaquer à la réception de son deuxième service. C'est notamment ce qu'a fait Mayotte à Wimbledon. C'est plus difficile sur terre battue. Là, il faut prendre Chang au jeu de la patience et de l'endurance comme pourraient le faire un Chesnokov ou un Wilander. Mais dans deux ou trois ans, il sera dur à prendre, même comme ça...

Physique

De grandes qualités naturelles. Il se déplace très vite et particulièrement bien sur terre battue, ce qui est plutôt rare pour un Américain. Il faut y voir l'influence de Jose Higueras qui a appris à Chang à « glisser » sur terre battue. Chang n'a tout de même pas, à mon avis, les qualités de résistance musculaire d'un Wilander et sa petite taille est un handicap pour couvrir non seulement le filet, mais aussi le terrain. Car s'il le couvre bien, c'est surtout latéralement et au prix de beaucoup de courses.

Mental

Pour son âge, sa maturité est incroyable. Il donne une image de sérieux et de concentration. Et même de dureté. Chang n'évolue pas dans la fantaisie. Dans l'ensemble, il est correct, si l'on excepte ce qu'il a pu faire contre Lendl...



TO JEST MOJA GRA

WYBÓR

SLOBODAN ŽIVOJINOVIĆ – BYŁ MI JAK STARSZY BRAT

Zapomniałem ją zapytać, dlaczego nazywa go Bobo. Być może przez kontrast z jego ogromną posturą. Bobo, czyli Slobodan Živojinović, jest jednym z największych w dosłownym znaczeniu tego słowa – i najlepszych tenisistów na świecie. Ma 193 cm wzrostu i waży ponad sto kilogramów. W finezyjnym, wytwornym domu Fibaków w Paryżu, dokąd przyszedł z żoną Zoricą i malutkim synkiem Filipem, wygląda trochę jak słoń w składzie porcelany. Cały czas myślę o tym, czy rozhukany Filip niczego nie strąci, a potężny tata niczego nie rozgniecie, ale jakoś wszystko i wszyscy wychodzimy z tej rozmowy cało.

W rozmowie zawsze interesuje mnie, jak kto trafił do tenisa i do sportu w ogóle. W przypadku Boba była to droga najprostsza. Ojciec pracował na kortach klubu Czerwena Zvezda w Belgradzie, a starszy o 15 lat brat Czeda był znanym tenisistą jugosłowiańskim. Tak więc Bobo (ur.1963 r.) od najmłodszych lat bawił się rakietą z coraz większym powodzeniem. Zdobywał mistrzostwo Jugosławii w kategorii do 12, 13, 14, 16, 18 i 21 lat. Sławę międzynarodową zyskał w Wimbledonie, gdzie w 1985 roku w I rundzie wyeliminował Matsa Wilandera, a w II – Johna McEnroe; w roku 1986 przegrał dopiero w pięciu setach z Ivanem Lendlem. Trawiaste korty w Wimbledonie i w Australii są dla niego wymarzone, ponieważ tam najlepiej procentuje jego potężny serwis i smecz. Na trawie gra się krótko, szybko i silnie, dlatego olbrzymy takie jak Bobo i Becker odnoszą na nich sukcesy. Na wolnej nawierzchni, na przykład na kortach ziemnych, gdzie trzeba odbijać długo, starannie i sprytnie, panują gracze o gorszych warunkach fizycznych, ale za to bardziej finezyjni, jak Fibak. Atuty Boba – wzrost i zasięg ramion potrzebne przy siatce oraz siła serwisu i smeczu, procentują także w grze podwójnej, w której odniósł wiele sukcesów jako partner Beckera i Gomeza (również 193 cm wzrostu), z tym drugim wygrali m.in. otwarte mistrzostwo USA (U.S.Open). Przez pewien czas Bobo był na pierwszym miejscu w klasyfikacji ATP najlepszych deblistów świata.

Živojinović łączy swój sukces z rozwojem Jugosławii. Mówi, że dopiero jego pokolenie było dobrze odżywione, rosło w dobrych warunkach i urosło takie wysokie. Również dopiero on i jego rówieśnicy zaczęli grać w hali, a więc przez cały rok. Jeszcze do niedawna nie było w Jugosławii krytych kortów i sezon trwał od kwietnia do listopada. Jugosławia jest jednak krajem emigrantów, rezerwuarem siły roboczej dla Republiki Federalnej Niemiec, również na kortach. Brat Czeda grał tam stale i ściągał na wakacje zimowe Boba do Aachen albo do Hambugra. Czeda pracował w Niemczech siedemnaście lat, pomagając rodzinie i holując młodszego brata. Bobo był bardzo dobrym uczniem, jednym z najlepszych w szkole, dopóki w wieku 16–17 lat nie mógł dać sobie rady z nauką i sportem; stanął wobec wyboru – tenis albo szkoła. Jest to zawsze decyzja trudna, gdyż w tym wieku nie ma jeszcze pewności, czy chłopiec wyżyje z tenisa i czy może budować na tym przyszłość. Jest to dylemat, wobec którego stają rodzice młodzieży sportowej na całym świecie. Bobo zabrany został z gimnazjum i uczył się prywatnie, zdał maturę i na tym zakończył swoją edukację.

Wybór był słuszny. Bobo wygrał wkrótce mistrzostwa juniorów Włoch, Francji, Wimbledon (w kategorii juniorów, w której był klasyfikowany na trzecim miejscu w świecie), wygrał z Nystroemem, Wilanderem i innymi, następnie został mistrzem Europy seniorów-amatorów w Atenach, chociaż był jeszcze juniorem. Sądzi, że chodząc do szkoły nie osiągnąłby tych sukcesów, a także nie podołałby obowiązkom. Tenis nie dawał mu jeszcze ani grosza, pomagał mu brat, który pokrywał koszty jego startów.

W wieku 18–19 lat, Bobo – podobnie jak wielu innych tenisistów (także nasz Wojtek Kowalski) – miał trudny okres. Już nie był juniorem, już nikt nie prowadził go za rączkę, rodzice w Belgradzie, brat za granicą, Federacja Jugosłowiańska nie bardzo wiedziała jak i do których turniejów go zgłaszać, a tu trzeba było jeździć z turnieju na turniej, satelity i inne imprezy, tu się zgłosić, tam wypełnić, gdzie indziej wpłacić, pobrać lub kupić, a nade wszystko grać i trenować – do tego potrzebna jest pomoc. Potrzebny jest ktoś, komu się ufa, kto poradzi, załatwi, pomoże, pokieruje. Piszę te słowa we wrześniu 1988 roku, kiedy u nas trwa akurat zamieszanie wokół Wojtka Kowalskiego – kto ma nim teraz pokierować: menedżer Profus, Polski Związek Tenisowy czy może Fibak? Fibak dał sobie radę sam i byłby chyba dla Kowalskiego najlepszy, ale ani Kowalski nie może teraz, ani Bobo nie mógł wówczas obyć się bez pomocy. Gdy Bobo zaczynał karierę, znani tenisiści jugosłowiańscy – Pilić, Franulović, Ivanović – wszyscy byli już za granicą, daleko, podobnie jak daleko był Fibak od Kowalskiego. Teraz Bobo jest już „na górze", mieszka za granicą, ma dom na Florydzie, mieszkanie w Monte Carlo i sam myśli o tym, żeby pomagać w przyszłości młodym tenisistom jugosłowiańskim. Obecnie nie ma obowiązku świadczyć czegokolwiek na sport jugosłowiański i jeśli robi cokolwiek dla tenisistów-rodaków – np. gdy mieszkają u niego na Florydzie w czasie turniejów – to robi to wyłącznie z dobrej woli.

Bobo poznał Fibaka w 1984 roku w Kitzbuhel. Mniej więcej wtedy zaczynał poważnie grać zawodowo, wybierał się do Stanów.

się zawodowcem. Tam też w 1985 roku, po raz pierwszy grałem cały sezon zimowy, od stycznia do marca. Miałem całoroczny plan startów. Byłem wtedy mniej więcej setny na świecie, musiałem więc jeszcze grać w eliminacjach, ale awansowałem w klasyfikacji i w kasie. Wojtek był bardzo uczynny. Doradził mi, żebym osiedlił się na Florydzie, gdzie klimat pozwala dużo grać, był za tym, żeby Filip urodził się w Ameryce, słowem uczył mnie, jak być zawodowcem i jak sobie radzić. Dzięki niemu czułem się pewniejszy. Zachowywał się wobec mnie jak starszy brat, a nawet jak ojciec. Po roku – dwóch zrozumiałem i doceniłem jego rady. Pomógł mi i nie wziął za to ani grosza. To jest Wojtek. On pomaga ludziom w życiu i na korcie. Jak widzi młodego gracza, który na treningu popełnia błędy, potrafi podejść, skorygować, doradzić, i mówi do rzeczy, bo Wojtek i Tiriac wiedzą o tenisie więcej niż ktokolwiek. Niech pan się przyjrzy, ile ten gość osiągnął w ciągu dziesięciu lat. Ma ładny dom tu, w Paryżu, drugi w Nowym Jorku, piękne obrazy i to wszystko własnym wysiłkiem. Nikt mu tego nie dał. To jest prawdziwy self-made man, szczęśliwy człowiek, szczęśliwa rodzina. Nie znam tenisisty z tak udanym życiem rodzinnym. Skromny, uprzejmy, poważny, lubiany, a na korcie jaki sprytny. Głównie grał głową. Nieprawdopodobnie mądrze grał. Serwis nieszczególny, wolej piękny, gra z głębi kortu poprawna, warunki fizyczne przeciętne i przede wszystkim głowa – to najbardziej myślący tenisista.

– Ale za pana myśli Tiriac. On jest pańskim menedżerem.

– Tak, on robi dla mnie to, co robił Fibak, tylko że za pieniądze. Fibak podbudował mój tenis, doradził mi, jak mam grać, dał mi pewność na korcie. Tiriac również mi doradza od czasu do czasu, Wojtek dał mi podstawy – Tiriac daje mi szlif, uczy dodatkowych arkanów, ale tylko w wolnych chwilach, bo on nie jest trenerem tylko menedżerem. Załatwia moje starty, gry pokazowe, kontrakty, finanse, ale moje inwestycje prowadzi bank. Trudno być jednocześnie biznesmenem i tenisistą. Na razie skupiam się na tenisie, chociaż może kupię obraz Konjovicia z lat dwudziestych, na który namawia mnie Wojtek. Tenis to jest moja praca. Tak jak ktoś idzie rano do pracy, tak ja idę grać. Komuś może to się wydać piękne, ale dla mnie to jest moja praca, mój biznes. Ciekawe podróże, dobre hotele, które dają zniżki tenisistom, ale mimo wszystko jest to praca. Z tego żyję i po to żyję.

BUD COLLINS – INTELIGENCJA I SIŁA WOLI

Jednym z najbardziej znanych komentatorów tenisa w telewizji amerykańskiej jest Bud Collins z NBC. Jako student Bud grał w tenisa, ale wówczas, w latach pięćdziesiątych, nie był to sport w Ameryce popularny. Tenis rozpowszechnił się i stał jedną z narodowych gier amerykańskich, dopiero gdy stopa życiowa i kultura fizyczna osiągnęły dostatecznie wysoki poziom. Popularność młodego dziennikarza sportowego rosła wraz z popularnością tenisa i telewizji. Chociaż Bud zaczynał w codziennej gazecie „Boston Globe", gdzie nadal pisuje o tenisie, to jednak coraz więcej pracował dla telewizji, podróżując wraz z tenisową czołówką od kraju do kraju, z turnieju na turniej. Spotkaliśmy się w Paryżu na międzynarodowych mistrzostwach Francji. Tu właśnie, przed laty, Bud poznał Fibaka. Ze względu na swoje polskie pochodzenie, zagadnął naszego tenisistę łamaną polszczyzną. – „Dzień dobry, kolega". (Nawet jak na Amerykanina, Bud Collins jest niezwykle bezpośredni, pogodny i życzliwy).

– Wojtek był zaskoczony, mówił wówczas słabo po angielsku, ale rozumiał, kiedy powiedziałem, że mam nadzieję, iż przyjedzie kiedyś grać do Ameryki. – Też mam nadzieję – odpowiedział. Latem przyjechał, był jeszcze nie znany, grał dobrze, zwłaszcza debla. Ja pracowałem wtedy w PBS (Public Broadcasting System – telewizja niekomercjalna), mieliśmy najlepsze programy tenisowe, ponieważ nie nadawaliśmy reklam. Przez cały weekend szedł tenis, a w poniedziałki wieczorem – finały. Widownia była ogromna. Wojtek, bez względu na to, kto był jego partnerem, stale dochodził w deblu do półfinału lub finału. Często więc braliśmy go do naszej kabiny na wywiad. Z tygodnia na tydzień mówił lepiej po angielsku. Z początku opierał się, nie chciał z powodu języka, musiałem go namawiać. „Chodź Wojtek – mówiłem – we will have some fun", będziemy mówić prosto, a ludzie chcą cię obejrzeć i posłuchać, jesteś nowym nazwiskiem i budzisz zainteresowanie, nikt nigdy nie słyszał o polskim tenisiście. Z czasem nabrał pewności. Co tydzień miał innego partnera, bo mógł tylko grać z kimś, kto – jak on – był sam. Aż wspólnie z Karlem Meilerem zdobyli mistrzostwo świata. Prowadziłem wtedy transmisję. Ponieważ z każdym partnerem grał dobrze, stał się popularny, zwłaszcza wśród Polonii amerykańskiej. Polacy telefonowali do niego z różnych miast. Stał się „a minor celebrity" (małą gwiazdą).

W roku 1976 miał trudne chwile, ponieważ Polski Związek Tenisowy nie rozumiał tenisa zawodowego i wzywał go do kraju, na mistrzostwa albo na Puchar Davisa, a jego agent Donald Dell chciał, żeby Wojtek grał na Forest Hills w Nowym Jorku. W końcu to się jakoś ułożyło. Radziłem Dellowi, żeby ambasada USA w Warszawie na przyjazd Fibaka wydała przyjęcie, żeby tym samym wyrazić wdzięczność Amerykanów za to, że

konkurencji różnych sieci telewizyjnych i telewizji kablowej, tenis miliony widzów. Mielibyśmy więcej zawodników i lepszy pozio gdyby to nie był taki kosztowny sport. To nie tylko sport – to przem Podobnie jak w przemyśle jest towar, produkt, jakim jest tenisista wyroby z tym związane – książki, kasety, odzież sportowa, kursy, szkó obozy, turnieje, sprzęt. Bardzo ważnym towarem są turnieje, właśc turnieju może sprzedawać prawa transmisji telewizji, stanowiska reporterów, stoiska handlowe, reklamowe, tereny pod nowe kl tenisowe, korty, domki klubowe, reklamy, hotele i wioski sporto skupione wokół kortów, uzdrowiska itd. Na wejściu do świątyni te napisane jest „sport", ale wewnątrz panuje niewątpliwie pieni Czasami stanowi to niebezpieczną pokusę. Na przykład za ud w grach pokazowych dostaje się więcej pieniędzy niż za grę w Wimb donie; można zacząć zarabianie kosztem poziomu i wyników spo wych.

To jest problem dla tenisistów oraz ich menedżerów, np. dla Len który może być przemęczony, a nawet kontuzjowany z powodu pokazowych, co może odbić się ujemnie na jego karierze sporto McEnroe grał o wiele za dużo gier pokazowych, zamiast wypoczyw To również nie jest fair wobec widowni na prawdziwych turnieja Ludzie płacą, żeby obejrzeć dobry tenis, a oglądają przemęczon zawodników, zbyt skomercjalizowanych. Cały sport w Ameryce jest O ile jednak inne dyscypliny, baseball czy hokej, są sezonowe, jest grania i czas wypoczynku – w tenisie gra się bez przerwy, okrągły ro dużo grania i za duża komercjalizacja zagrażają tenisowi. Żądza pie dzy stanowi główny motyw w całym sporcie zawodowym, ale posun do przesady stanowi zagrożenie dla sportu i zawodników.

Pod tym względem Fibak stanowi ciekawy przypadek – mówi Col Zaczynał w kraju, w którym nie mógł rozwinąć swoich uzdoln Wykazał inteligencję i siłę woli, żeby to przezwyciężyć i robić to, na ma ochotę. Sądzę, że jakaś wewnętrzna siła popychała go, żeby zo zawodowym tenisistą, ale nie popychała go, żeby w tym ten zawodowym wspiąć się na szczyty. Na to był osobą zbyt wszechstro o zbyt szerokich zainteresowaniach. Nie wszedł do tunelu, u któ wylotu jest tylko kariera tenisowa. Był zbyt inteligentny, żeby gonić t za pieniędzmi. Zbudował sobie życie rodzinne, zainteresował się szt biznesem, widział więcej niż piłkę i dalej niż kort. Na skutek tego osiągnął w tenisie tyle, ile mógł, ale za to osiągnął wiele w ży Uważałem, że może wygrać Wimbledon i mówiłem mu to, ale on wierzył. Ja wierzyłem. Chociaż, kto wie... Borg był wówczas u szcz Ale Wojtek doszedł do ćwierćfinału tutaj, na Roland Garros, na Fo Hills i w Wimbledonie. Piękna kariera. Czasami mówi się, że był bar inteligentny niż inni tenisiści. Ja bym tak nie powiedział. Tenisiści s ogół inteligentni. W Stanach mają za sobą na ogół college, choć osta rzadziej, od kiedy w tenisie pojawiły się pieniądze. Ale Wojtek bardziej wyrobiony, wszechstronny, wysublimowany, oczytany. Ja z najbardziej wyrafinowanych zawodników, jacy w ogóle byli w te zawodowym.

C

FIBAK ZE SWOIM PARTNEREM MEILEREM, Z KTÓRYM ZDO TYTUŁ MISTRZA ŚWIATA W GRZE PODWÓJNEJ



• Dziś otwarcie „GP" W. Fibaka
• Kolejny turniej rekreacji

Sezon tenisowy w pełni. Gdy na kortach w Katowicach odbywają się mistrzostwa Polski seniorów (tytułów bronią K. Nowak i W. Kowalski) mamy w Poznaniu serię turniejów młodzieżowych i rekreacyjnych.

Na początek odnotować należy dwa udane występy utalentowanej juniorki Olimpii. Urszula Dota (18 lat) mając za partnerkę Krystynę Wieruszewską zdobyła brązowy medal na turnieju spartakiadowym w Kielcach. Nieco wcześniej Urszula wraz z Agatą Werblińską wygrała międzynarodowy turniej juniorek w Berlinie Zachodnim.

Dziś na kortach AZS (godz. 16) uroczyste otwarcie dwunastego już turnieju młodzieży do lat 15 o nagrody fundowane przez Wojciecha Fibaka. Do zawodów zgłoszono rekordową liczbę ponad 300 dziewcząt i chłopców z całego kraju. Tenisowy maraton potrwa do 20 sierpnia. Równocześnie dawny mistrz na kortach Olimpii prowadzi szkolenie uzdolnionej młodzieży. To się nazywa pracowite szukanie swych następców...

Ruch na kortach

kiem (Mera Warszawa) 1:6, 1:6, 1:6.

*

Już dzisiaj natomiast w Poznaniu rozpocznie się cykl turniejów przeznaczonych dla młodzieży do lat 15 o Grand Prix Wojciecha Fibaka. Impreza rozpocznie się na kortach AZS, kontynuowana będzie na obiektach Warty, a ostatni turniej rozegrany zostanie na kortach golęcińskich. Gry każdego dnia rozpoczynać się będą o godz. 9, a zwycięzców całej imprezy poznamy dopiero 20 sierpnia. Będą nimi ta zawodniczka i ten zawodnik, którzy po zakończeniu całych rozgrywek uzyskają największą liczbę punktów we wszystkich trzech turniejach. (wil)

9 sierpnia 1989
ŚRODA
Romana, Romualda

XII Turniej o Grand Prix W. Fibaka — rozpoczęty

Wczoraj o godzinie 16 na kortach AZS nastąpiło uroczyste otwarcie XII już cyklu Turniejów o Grand Prix W. Fibaka. Zgromadzoną — w rekordowej liczbie — ponad 300-osobową grupę dziewcząt i chłopców z całej Polski powitał prezes ZG AZS prof. Zygmunt Przybylski. W uroczystości wziął również udział prezydent miasta Poznania Andrzej Wituski. Następnie W. Fibak dokonał otwarcia imprezy.

Miłym akcentem było wręczenie temu zasłużonemu poznaniakowi i ambasadorowi polskiego sportu Złotej Odznaki AZS przyznanej przez Zarząd Główny na wniosek sekcji, w której W. Fibak rozpoczynał karierę. Gość otrzymał również okazały puchar i kwiaty. Przy okazji młodzi adepci tenisa mieli możność zapoznać się z jego drogą na światowe szczyty. Nie obyło się bez obowiązkowych w takich sytuacjach autografów.

Również wczoraj rozpoczęły się sportowe zmagania. W inauguracyjnym pojedynku Jacek Dziewanowski (SKT Szczecin) wygrał z Marcinem Borysiewiczem (Energetyk Gryfino) 9:7. Impreza kontynuowana będzie na obiektach Warty, by na koniec przenieść się na korty golęcińskie. Tam też wyłonieni zostaną zwycięzcy. Oprócz Grand Prix nagrodę specjalną ufundowaną przez naszą redakcję otrzyma osoba, której szczególnie bliskie są ideały fair play. (RS)

Pod patronatem „GP"
Dwa ciekawe maratony na korcie i wodzie

Wkraczamy w bardzo interesujący tydzień. Wśród wielu ważnych wydarzeń chcemy zwrócić uwagę na dwie imprezy od lat odbywające się pod prasowym patronatem „Gazety Poznańskiej".

Już w najbliższą środę na kortach poznańskiego AZS rozpoczyna się największa w naszym kraju młodzieżowa impreza tenisowa. Zdaniem pani Bronisławy Jaśkowiak (sędzia naczelny) rozgrywki dziewcząt i chłopców w kategorii do lat 15 (rocznik 1974 i młodsze) stanowią najtańszy sposób sprawdzenia umiejętności głębokiego zaplecza.

Rzeczywiście, impreza mająca już dwunastoletnią tradycję, pozwala za jednym zamachem uczestniczyć w trzech kolejnych turniejach.

Tegoroczne rozgrywki noszą tradycyjną nazwę „Grand Prix W. Fibaka". Spodziewany jest udział blisko 300 osób (rekord!) z kilkudziesięciu klubów krajowych. Oto program tenisowego maratonu na obiektach trzech sławnych klubów.

- 9—13 sierpnia korty AZS
- 12—16 sierpnia korty Warty
- 15—20 sierpnia korty Olimpii

Turnieje główne poprzedzone zostaną eliminacjami. Warto podkreślić, że przez minione lata o sprzęt fundowany przez dawnego mistrza rywalizowali wszyscy aktualni reprezentanci Polski na czele z W. Kowalskim. Ewenementem rozpoczynającego się w środę święta tenisowego jest osobisty udział Wojciecha Fibaka i jego córki 14-letniej Agnieszki. Jak widać — niedaleko pada jabłko od jabłoni...



14-letnia Agnieszka Fibak zadebiutuje w turnieju sponsorowanym przez swego sławnego ojca.

Fot. R. Królak

Drugą masową imprezą, której patronujemy już od roku 1967, jest XXII Maraton „Wpław przez Kiekrz". Wyścigi znakomicie wytrenowanych pływaków zgromadzą 13 sierpnia całą krajową czołówkę oraz kilku zawodników zagranicznych. Przed rokiem tytułu oficjalnych długodystansowych mistrzów Polski przypadły podopiecznym trenera Tadeusza Mazura — Katarzynie Pawłowskiej i Przemysławowi Abramowiczowi.

W programie XXII Maratonu „Wpław przez Kiekrz" obok biegu głównego na dystansie 16 km, przewidywany jest również wyścig w obsadzie młodzieżowej, zawody oldboyów oraz mistrzostwa dziennikarzy i pracowników RSW. Jak nas poinformowano w zarządzie WOPR będzie możliwość zdobywania „Złotego czepka", czyli pływania na dystansie 1500 m.

Zgodnie z kilkuletnią tradycją start wyścigów na przystani LKS Kiekrz. Otrzymaliśmy już blisko sto zgłoszeń z kraju i zagranicy. Czekamy na następne!

Oficjalne otwarcie turnieju tenisowego w środę po południu na obiekcie AZS przy ul. Noskowskiego, natomiast maraton pływacki rozpocznie się w niedzielę o godz. 9.45 w Kiekrzu. Walka o medale PZPływackiego połączona będzie z festynem sportowo-rekreacyjnym.

STAGAR

FIBA

POZNAŃ, 10.8 (
minionego weeken
Poznaniu tradycyjn
towy o Gran Prix
Po raz pierwszy
imprezy uczestnicz
poświęcając wiele
wadranie krótkiego
wego. Wojtek, jak
dyś trener Lendla
zał spore zdolnośc
zostaje mieć nadzi
i pouczenia zaproc
polskiego tenisa.

Impreza przeprow
na kortach AZS.
zgromadziła blisko
chłopców w wiek
niem prof. Jana Fi
głównych turniejów
szy niż przed rokie
młodzież chętnie
sa. Żeby tylko n
dukcji były lepsze

A oto końcowe
łówka została obd
mi i sprzętem ten

Dziewczęta: 1. A
1. Joanna Herda
lewa), 3. Sylwia R

Pod patronatem „GP"
Dwa ciekawe maratony na korcie i wodzie

Wkraczamy w bardzo interesujący tydzień. Wśród wielu ważnych wydarzeń chcemy zwrócić uwagę na dwie imprezy od lat odbywające się pod prasowym patronatem „Gazety Poznańskiej".

Już w najbliższą środę na kortach poznańskiego AZS rozpoczyna się największa w naszym kraju młodzieżowa impreza tenisowa. Zdaniem pani Bronisławy Jaśkowiak (sędzia naczelny) rozgrywki dziewcząt i chłopców w kategorii do lat 15 (rocznik 1974 i młodsze) stanowią najtańszy sposób sprawdzenia umiejętności głębokiego zaplecza.

Rzeczywiście, impreza mająca już dwunastoletnią tradycję, pozwala za jednym zamachem uczestniczyć w trzech kolejnych turniejach.

Tegoroczne rozgrywki noszą tradycyjną nazwę „Grand Prix W. Fibaka". Spodziewany jest udział blisko 300 osób (rekord!) z kilkudziesięciu klubów krajowych. Oto program tenisowego maratonu na obiektach trzech sławnych klubów.

- 9—13 sierpnia korty AZS
- 12—16 sierpnia korty Warty
- 15—20 sierpnia korty Olimpii

Turnieje główne poprzedzone zostaną eliminacjami. Warto podkreślić, że przez minione lata o sprzęt fundowany przez dawnego mistrza rywalizowali wszyscy aktualni reprezentanci Polski na czele z W. Kowalskim. Ewenementem rozpoczynającego się w środę święta tenisowego jest osobisty udział Wojciecha Fibaka i jego córki 14-letniej Agnieszki. Jak widać — niedaleko pada jabłko od jabłoni...



14-letnia Agnieszka Fibak zadebiutuje w turnieju sponsorowanym przez swego sławnego ojca.

Fot. R. Królak

Drugą masową imprezą, której patronujemy już od roku 1967, jest XXII Maraton „Wpław przez Kiekrz". Wyścigi znakomicie wytrenowanych pływaków zgromadzą 13 sierpnia całą krajową czołówkę oraz kilku zawodników zagranicznych. Przed rokiem tytułu oficjalnych długodystansowych mistrzów Polski przypadły podopiecznym trenera Tadeusza Mazura — Katarzynie Pawłowskiej i Przemysławowi Abramowiczowi.

W programie XXII Maratonu „Wpław przez Kiekrz" obok biegu głównego na dystansie 16 km, przewidywany jest również wyścig w obsadzie młodzieżowej, zawody oldboyów oraz mistrzostwa dziennikarzy i pracowników RSW. Jak nas poinformowano w zarządzie WOPR będzie możliwość zdobywania „Żółtego czepka", czyli pływania na dystansie 1500 m.

Zgodnie z kilkuletnią tradycją start wyścigów na przystani LKS Kiekrz. Otrzymaliśmy już blisko sto zgłoszeń z kraju i zagranicy. Czekamy na następne!

Oficjalne otwarcie turnieju tenisowego w środę po południu na obiekcie AZS przy ul. Noskowskiego, natomiast maraton pływacki rozpocznie się w niedzielę o godz. 9.45 w Kiekrzu. Walka o medale PZPływackiego połączona będzie z festynem sportowo-rekreacyjnym.

STAGAR

FIBAKOWE OSTATKI

POZNAŃ, 20.8 (inf. wł.). Podczas minionego weekendu zakończył się w Poznaniu tradycyjny turniej młodzieżowy o **Gran Prix Wojciecha Fibaka.** Po raz pierwszy w pierwszej fazie imprezy uczestniczył główny sponsor poświęcając wiele czasu na przeprowadzenie krótkiego kursu szkoleniowego. Wojtek, jak by nie było niegdyś trener Lendla i Lecoste'a, wykazał spore zdolności pedagogiczne. Pozostaje mieć nadzieję, że jego uwagi i pouczenia zaprocentują w poziomie polskiego tenisa.

Impreza przeprowadzana cyklicznie na kortach AZS. Warty i Olimpii zgromadziła blisko 300 dziewcząt i chłopców w wieku do lat 15. Zdaniem prof. Jana Fibaka poziom trzech głównych turniejów okazał się wyższy niż przed rokiem. Mimo licznych [illegible] i wysokich cen sprzętu młodzież chętnie garnie się do tenisa. Żeby tylko nitki polskiej produkcji były lepszej jakości.

A oto końcowe klasyfikacje (czołówka została obdarowana pucharami i sprzętem tenisowym).

Dziewczęta: 1. Agnieszka Dobrosz, 1. Joanna Herda (obie AZS Wrocław), 3. Sylwia Rynarzewska (Gopania Inowrocław), 4. Justyna Zawiszczak (Spartakus), 5. Dorota Muras (LKS), 6. Karolina Bulat (Olimpia Poznań).

Chłopcy: 1. Mateusz Kłasiński (Górnik Wesoła), 2. Tomasz Pawlak (LKS), 3. Paweł Motylewski (Zagłębie Lubin), 4. Tomasz Domański (MKT Łódź), 5. Maciej Lubiak (Arka Gdynia), 6. Rafał Patoka (Arkonia Wałbrzych).

Puchar „fair play" fundacji niżej podpisanego otrzymała sympatyczna Agnieszka Dobrosz z Wrocławia, która nawet tracąc sety po czterech meczbolach potrafiła zachować uśmiech i sportową postawę. Nie wszystkim się to, niestety, udawało...

W czwartek przed wyjazdem do USA na zakończenie dwutygodniowego urlopu dawny mistrz Wojciech Fibak zapozał na kort byłego wielokrotnego reprezentanta Związku Radzieckiego, obecnie trenera Dimitrija Kostina. Grali prawie godzinę demonstrując finezyjne sztuczki. W ponad 30-stopniowym upale 26-letni charkowianin „wyciągnął" ze stanu 3:4 do tie-breaku, którego dość szczęśliwie wygrał 7:2.

Stanisław Garczarczyk

V. Fibaka
acji

agrody fundowane echa Fibaka. Do zazono rekordową liczb dziewcząt i chłopgo kraju. Tenisowy rwa do 20 sierpnia. e dawny mistrz na npil prowadzi szkolonej młodzieży. To pracowite szukanie pców...

Ruch na kortach

kiem (Mera Warszawa) 1:6, 1:6, 1:6.

*

Już dzisiaj natomiast w Poznaniu rozpocznie się cykl turniejów przeznaczonych dla młodzieży do lat 15 o Grand Prix Wojciecha Fibaka. Impreza rozpocznie się na kortach AZS, kontynuowana będzie na obiektach Warty, a ostatni turniej rozegrany zostanie na kortach golęcińskich. Gry każdego dnia rozpoczynać się będą o godz. 9, a zwycięzców całej imprezy poznamy dopiero 20 sierpnia. Będą nimi ta zawodniczka i ten zawodnik, którzy po zakończeniu całych rozgrywek uzyskają największą liczbę punktów we wszystkich trzech turniejach. (wil)

Prix
częty

ty. Przy okazji młodzi atenisa mieli możność zase z jego drogą na świaszczyty. Nie obyło się bez zkowych w takich sytuautografów.

nież wczoraj rozpoczęły się we zmagania. W inauguran pojedynku Jacek Dziewa- (SKT Szczecin) wygrał z em Borysiewiczem (Ener- Gryfino) 9:7. Impreza konwana będzie na obiektach , by na koniec przenieść korty golęcińskie. Tam też ieni zostaną zwycięzcy. O- Grand Prix nagrodę spe- ufundowaną przez naszą cję otrzyma osoba, której ólnie bliskie są ideały fair (RS)

W „Grand Prix" Fibaka poznaniacy bez sukcesów

Podczas minionego weekendu zakończyły się w Poznaniu dwie tradycyjne, renomowane imprezy sportowe. Chodzi oczywiście o XIII „Grand Prix" Wojciecha Fibaka i kierskie regaty XII „Srebrny Żagiel Optymista". Wspólnym mianownikiem dla obydwu imprez była rekordowa obsada, udział gości zagranicznych oraz to, że zarówno na kortach, jak i jeziorze, występowała młodzież w wieku do lat 15.

Tenisowy przegląd młodzieży rozpoczął się z udziałem głównego sponsora. Fibak poświęcił część spędzonego w kraju urlopu na przeprowadzenie krótkiego kursu szkoleniowego wykazując spore zdolności pedagogiczne. Tak więc były trener Lendla i Laconte'a przez wiele godzin pracowicie odbijał piłki z dziećmi, udzielając najbardziej uzdolnionym bezcennych rad i pouczeń. Równocześnie na kortach AZS, Warty i Olimpii trwał młodzieżowy maraton. Jego końcowe efekty nie są pomyślne dla wychowanków poznańskich klubów. Wszystkie główne nagrody (puchary i wyczynowe rakiety) powędrowały poza Wielkopolskę.

Wśród blisko 300 adeptów białego sportu czołowe lokaty wywalczyli:

DZIEWCZĘTA: 1. Agnieszka Dobrosz AZS Wrocław, 2. Joanna Herda AZS Wrocław, 3. Sylwia Rynarzewska Gopania Inowrocław, 4. Justyna Ławniczak Spartakus, 5. Dorota Muras ŁKS, 6. Karolina Bułat Olimpia Poznań (13-letnia Monika Podsiadło z Poznania zajęła miejsce 12).

CHŁOPCY: 1. Mateusz Klasiński Górnik Wesoła, 2. Tomasz Pawlak ŁKS, 3. Paweł Motylewski Zagłębie Lublin, 4. Tomasz Domański MKT Łódź, 5. Maciej Lubiak Arka Gdynia, 6. Rafał Paluch Astoria Wałbrzych.

W najciekawszym ostatnim finale zdobywca głównej nagrody Klasicki pokonał na centralnym korcie Olimpii Palucha 7:5, 6:2.

Puchar „fair play" otrzymała sympatyczna Agnieszka Dobrosz z Wrocławia, która nawet tracąc seta (po czterech meczbolach) potrafiła zachować uśmiech i sportową postawę. Nie wszystkim się to, niestety, udawało...

Obok sporej grupy rodziców i trenerów do najpilniejszych obserwatorów największej w naszym kraju imprezy tenisowej należał prof. Jan Fibak. On też, w imieniu syna, przebywającego już w Nowym Jorku, dokonał wręczenia rakiet i pucharów. Zdaniem ojca naszego mistrza poziom trzech głównych turniejów okazał się wyższy niż przed rokiem. Mimo rozlicznych problemów i wysokich cen sprzętu młodzież chętnie garnie się do tenisa. Żeby tylko piłki polskiej produkcji były lepszej jakości.



Jedna z gier eliminacyjnych młodzieżowego turnieju na kortach AZS Poznań. Fot. R. Gostomski

Art & Busine
GAZETA AUKCYJNA

RECENZJA

Vademecum nowojorskiego kolekcjonera

Janusz Miliszkiewicz

Jan Białostocki w jednym z es
zauważa: „Pojęcie kolekcjonera
rasta niemal myśliwskimi skojarze
mi: kolekcjoner tropi, poszukuje, z
duje. Często jest miłośnikiem sztuki
nie zawsze i niekoniecznie. Zbiory w
kich kolekcjonerów amerykańskich
wstawały nieraz w wyniku działa
narzucających zbieraczom decyzje s
go smaku doradców, którzy lansow
pewnych artystów lub pewne dzi
propagując zainteresowanie jak
okresem, jakimś stylem, jakimś ga
kiem artystycznym".

Przypominam to spostrzeżenie w
kiego humanisty, ponieważ akurat u
zała się w Nowym Jorku książka Sta
ława Jordanowskiego „Vademec
malarstwa polskiego", stanowiąca p
bę narzucenia zainteresowań kolek
nerskich, próbę doradztwa w zakr
kolekcjonowania obrazów.

Autor, jak deklaruje we wstę
pragnie przede wszystkim zaspok
głód wiedzy o polskim malarstwie. M
szkając nad Wisłą, nie zdajemy so
nawet sprawy, że rodacy rozrzuceni
świecie nie mają skąd czerpać pods
wowych wiadomości o sztuce, które
na co dzień mimowolnie chłonie
W czasie lektury rodzi się refleksja, że

nie tylko dane biograficzne, lecz również inne informacje, np. w czyich prywatnych zbiorach na świecie malarz jest reprezentowany i jakim dziełem. Bezcenne są wiadomości, pozwalające przynajmniej wstępnie odróżnić obiekty autentyczne od fałszerstw. Dowiadujemy się także, w których magazynach muzealnych Zachodu znajdują się prace Polaków.

Autorowi należy się szacunek za odwagę. Działając w pojedynkę, bez niezbędnego sztabu wyspecjalizowanych pracowników, zebrał ogromny materiał, zarówno pod względem tematycznym, jak i geograficznego zasięgu penetracji. Zapewne temu należy przypisać niepełność niektórych wątków.

Polonijnym czytelnikom przydatne są zwłaszcza relacje z aukcji. Wskazują, jak notowani są polscy malarze, który polski malarz cieszy się największym wzięciem na Zachodzie - Starowieyski, Duda-Gracz, a może Matejko? Światowy sukces odniósł Alfred Wierusz-Kowalski. Zawdzięcza go studiom w Monachium, gdzie na stałe zamieszkał w 1873 roku i gdzie zostawił niemal cały swój dorobek. Dzięki temu pod koniec lat siedemdziesiątych naszego stulecia Niemcy dostrzegli i wylansowali artys

wprowadzając jego dzieła do pres
wych domów aukcyjnych. Niemcy
tują Wierusza-Kowalskiego jako s
go rodaka. Stanisław Jordanowski
o dziełach tego malarza: „Z uwagi n
wysoką cenę, Polacy są rzadko ich n
wcami". Owe wysokie ceny zamy
się zwykle w granicach 50-80 ty
dolarów. Podobnie Niemcy tworz
nek na innych polskich „monachi
ków", na Brandta czy Chełmońsk
Jednak rekordy cenowe bije zup
w kraju nieznana Tamara Łemp
(1898-1980), polska emigrantka, k
dzieła, pochodzące z lat trzydzies
osiągają na aukcjach ceny bliskie n
na dolarów.

Najwybitniejszą prywatną kole
polskiego malarstwa na Zachodzie
zbiór Ewy i Wojciecha Fibaków.
madzą oni dzieła autorów, którz
przełomie XIX i XX wieku lub w
dziestoleciu międzywojennym na
osiedli na obczyźnie. Stanisław Jo
nowski pomija tych artystów, kwi
ich dorobek stwierdzeniem, że two
oni pod wpływem sztuki francus
Znów zatem w polskiej literaturze t
tu pominięci zostali Kisling, Hay
Haliczka

aka
cesów

Goplania Inowro-
na Ławniczak Spar-
rota Muras ŁKS, 6.
lt Olimpia Poznań
onika Podsiadło z
ęła miejsce 12).
1. Mateusz Klasiń-
Wesoła, 2. Tomasz
3. Paweł Motylew-
Lublin, 4. Tomasz
KT Łódź, 5. Maciej



ieju na kortach AZS
Fot. R. Gostomski

Gdynia, 6. Rafał Pa-
Wałbrzych.
awszym ostatnim fi-
ca głównej nagrody
onał na centralnym
ii Palucha 7:5, 6:2.
air play" otrzymała
Agnieszka Dobrosz z
która nawet tracąc
rech meczbolach) po-
wać uśmiech i spor-
ę. Nie wszystkim się
udawało...
ej grupy rodziców i
najpilniejszych ob-
największej w na-
imprezy tenisowej
Jan Fibak. On też,
yna, przebywającego
m Jorku, dokonał
rakiet i pucharów.
naszego mistrza po-
głównych turniejów
yższy niż przed ro-
rozlicznych proble-
dich cen sprzętu mło-
garnie się do teni-
o piłki polskiej pro-
lepszej jakości.

Art & Business
GAZETA AUKCYJNA

RECENZJA

Vademecum nowojorskiego kolekcjonera

Janusz Miliszkiewicz

Jan Białostocki w jednym z esejów zauważa: „Pojęcie kolekcjonera obrasta niemal myśliwskimi skojarzeniami: kolekcjoner tropi, poszukuje, znajduje. Często jest miłośnikiem sztuki, ale nie zawsze i niekoniecznie. Zbiory wielkich kolekcjonerów amerykańskich powstawały nieraz w wyniku działania narzucających zbieraczom decyzje swego smaku doradców, którzy lansowali pewnych artystów lub pewne dzieła, propagując zainteresowanie jakimś okresem, jakimś stylem, jakimś gatunkiem artystycznym".

Przypominam to spostrzeżenie wielkiego humanisty, ponieważ akurat ukazała się w Nowym Jorku książka Stanisława Jordanowskiego „Vademecum malarstwa polskiego", stanowiąca próbę narzucenia zainteresowań kolekcjonerskich, próbę doradztwa w zakresie kolekcjonowania obrazów.

Autor, jak deklaruje we wstępie, pragnie przede wszystkim zaspokoić głód wiedzy o polskim malarstwie. Mieszkając nad Wisłą, nie zdajemy sobie nawet sprawy, że rodacy rozrzuceni po świecie nie mają skąd czerpać podstawowych wiadomości o sztuce, które my na co dzień mimowolnie chłoniemy. W czasie lektury rodzi się refleksja, że po wojnie uczyniliśmy tak niewiele dla promocji naszych artystów, choćby tylko wśród Polonii. Ocenia się, że incydentalne wystawy, organizowane co parę lat na Zachodzie, niedostatecznie propagują polską sztukę.

Stanisław Jordanowski sam jest kolekcjonerem. Przez długie lata był jedynym zbieraczem polskiego malarstwa na obczyźnie. Tym razem występuje w roli mecenasa sztuki i popularyzatora pragnącego zarazić bakcylem miłości do sztuki Polaków żyjących za granicą. Autor wyraźnie zwraca uwagę na formę malarstwa, gdyż jak dotąd rodacy cenią je zbyt często jedynie za przekaz treści historyczno-patriotycznych. Sztuka abstrakcyjna cieszy się minimalnym zainteresowaniem Polonii.

Książka Jordanowskiego jest elementarzem dziejów polskiej sztuki od czasów najdawniejszych (rękopisy iluminowane) po dorobek warszawskiej malarki Barbary Przyłuskiej (ur. 1958), która po wystawach w Nowym Jorku i Filadelfii przez chwilę została dostrzeżona na amerykańskim rynku. Autor nie zajmuje się analizą artystyczną, nie ocenia dzieł. Ustala i podaje fakty. To i tak dużo, skoro jego praca ma charakter pionierski. Noty o artystach zawierają nie tylko dane biograficzne, lecz również inne informacje, np. w czyich prywatnych zbiorach na świecie malarz jest reprezentowany i jakim dziełem. Bezcenne są wiadomości, pozwalające przynajmniej wstępnie odróżnić obiekty autentyczne od fałszerstw. Dowiadujemy się także, w których magazynach muzealnych Zachodu znajdują się prace Polaków.

Autorowi należy się szacunek za odwagę. Działając w pojedynkę, bez niezbędnego sztabu wyspecjalizowanych pracowników, zebrał ogromny materiał, zarówno pod względem tematycznym, jak i geograficznego zasięgu penetracji. Zapewne temu należy przypisać niepełność niektórych wątków.

Polonijnym czytelnikom przydatne są zwłaszcza relacje z aukcji. Wskazują, jak notowani są polscy malarze, który polski malarz cieszy się największym wzięciem na Zachodzie - Starowieyski, Duda-Gracz, a może Matejko? Światowy sukces odniósł Alfred Wierusz-Kowalski. Zawdzięcza go studiom w Monachium, gdzie na stałe zamieszkał w 1873 roku i gdzie zostawił niemal cały swój dorobek. Dzięki temu pod koniec lat siedemdziesiątych naszego stulecia Niemcy dostrzegli i wylansowali artystę, wprowadzając jego dzieła do prestiżowych domów aukcyjnych. Niemcy traktują Wierusza-Kowalskiego jako swojego rodaka. Stanisław Jordanowski pisze o dziełach tego malarza: „Z uwagi na ich wysoką cenę, Polacy są rzadko ich nabywcami". Owe wysokie ceny zamykają się zwykle w granicach 50-80 tysięcy dolarów. Podobnie Niemcy tworzą rynek na innych polskich „monachijczyków", na Brandta czy Chełmońskiego. Jednak rekordy cenowe bije zupełnie w kraju nieznana Tamara Łempicka (1898-1980), polska emigrantka, której dzieła, pochodzące z lat trzydziestych, osiągają na aukcjach ceny bliskie miliona dolarów.

Najwybitniejszą prywatną kolekcją polskiego malarstwa na Zachodzie jest zbiór Ewy i Wojciecha Fibaków. Gromadzą oni dzieła autorów, którzy na przełomie XIX i XX wieku lub w dwudziestoleciu międzywojennym na stałe osiedli na obczyźnie. Stanisław Jordanowski pomija tych artystów, kwitując ich dorobek stwierdzeniem, że tworzyli oni pod wpływem sztuki francuskiej. Znów zatem w polskiej literaturze tematu pominięci zostali Kisling, Hayden, Halicka[illegible]

Fibakowie wykupili wszystkie dzieła sztuki tych autorów, których chętnie oglądają w swoim zbiorze. Cóż zatem może zbierać zamożny polonus, który tworzenie kolekcji rozpoczyna po Fibakach? Jest to fascynujące zagadnienie właśnie z dziedziny doradztwa. Szkoda, że Jordanowski nie zajął się tym problemem.

Lektura „Vademecum malarstwa polskiego" uświadamia nam, że na krajowym rynku nie ma publikacji stanowiącej elementarz-przewodnik dla początkujących miłośników sztuki, mających zamiar kolekcjonować obrazy. Wobec braku osób utrzymujących się wyłącznie z doradztwa, pełniących usługi w tym zakresie, początkujący zbieracze są bezradni. □

Piątek 11. VIII — Wtorek 15. VIII 1989 r. Wyd. 1
PL ISSN 0187—9100 Nr indeksu 32011

Wojciech Fibak zagra w deblu? * Agnieszce i Paulinie najlepiej u babć * 10 milionów w puli * Pieczeń z kością * Jubileusz „Marcinka"

Południe na kortach „Olimpii"

Południe na kortach „Olimpii". Przejęte juniorki odbijają piłki z samym Wojciechem Fibakiem (jedna z nich 12-letnia Milena Muras z ŁKS powie nam później, że grało się bardzo dobrze, chciałaby jeszcze, a u pana Fibaka najbardziej podoba



Czy Wojciech Fibak sięgnie po kolejne sukcesy w grze podwójnej?

Fot. A. Szozda

jej się wolej). Szanse na wywiad topnieją z każdą minutą. Słynny tenisista udziela dziewczętom fachowych rad, a o godz. 12.30 ma w domu ważną, telefoniczną rozmowę.

Na szczęście są trybuny, na których siedzą ci, którzy towarzyszą Wojciechowi Fibakowi podczas wakacji w Polsce (m.in. rodzina i przyjaciele, wśród nich red. Stanisław Garczarczyk). Trybuny to niewyczerpane źródło informacji. Nie jesteśmy pewni, czy sam Wojciech Fibak powiedziałby nam aż tyle...

Wojciech Fibak zapowiedział, że w singlu nie zamierza powrócić na korty, jeśli jednak będzie miał propozycję od Connorsa czy McEnroe'a to wystąpi w turnieju w deblu. Wiele mówi się o następcach Fibaka, ktoś trafnie zauważył, że najlepiej szukać ich w rodzinie, a tymczasem tenisista ma dwie córki. Dziewczęta grają w tenisa, ale nie wyczynowo. Tata to przeżył, woli więc, aby korty były dla córek przyjemnością. A syn? Wojciech Fibak bardzo się stara, aby był...

W meczu Wojciech Fibak — Michał Kiak trybuny ogarnęły nie tylko sportowe emocje. Trudno się dziwić, w puli nieoficjalnych zakładów znalazło się bowiem... ponad 10 milionów złotych! Pojedynek wygrał Fibak 2:1. Kto i ile na tym zyskał, a kto stracił, tego, niestety, nie wiemy...

Poczynaniom taty na korcie

(Ciąg dalszy na str. 3)



Południe na kortach

(Ciąg dalszy ze str. 1)

bacznie przyglądały się panny Fibakówny. Oto co powiedziały nam o swoich polskich wakacjach.

14-letnia Agnieszka: — Mamy bardzo ładne wakacje. Byłyśmy w Warszawie, Wilanowie, Krakowie, Katowicach, Kielcach, Kazimierzu, Nieborowie. Wiele zobaczyłyśmy, a tata grał.

11-letnia Paulina: — Byłyśmy też w Oświęcimiu, tam było bardzo smutno... Mama mieszka u babci Hali, a tata u babci Niny. My zmieniamy się co pięć dni.

Agnieszka i Paulina są zgodne — najbardziej z całych wakacji podoba im się przebywanie z babciami i dziadkami. Babcia Nina codziennie gotuje im ich ulubioną zupę wiśniową z lanymi kluseczkami, a dla taty pieczeń z kością...



Paulina i Agnieszka Fibak mówią o sobie, wakacjach i grającym właśnie na korcie ojcu.

Fot. A. Szozda

Wojciechowi Fibakowi zadaliśmy tylko dwa pytania:

• Czy z podróży po Polsce wywiezie Pan coś, co zwiedzaliśmy. O tym opowiadały już córki, były bardzo przejęte „wywiadem"...

• Zbliża się 70-lecie I Liceum Ogólnokształcącego. Czy przyjedzie Pan na jubileusz „Marcinka"?

— Tak, wybieramy się razem z żoną. Również ona jest absolwentką I LO.

• Dziękujemy i do zobaczenia jesienią...

KAMILLA PLACKO—WOZIŃSKA

















STEFAN EDBERG

Wimbledon - 88

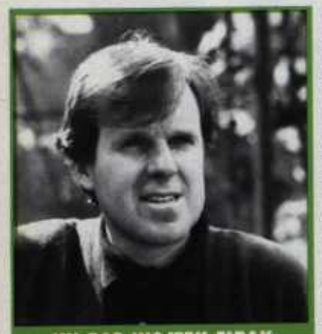

VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate, à laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A 37 ans, après une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller notamment Lendl et Leconte, Fibak est considéré dans le monde entier comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien les champions dont il parle. Pour les avoir souvent affrontés sur le court. Mais aussi pour les côtoyer en coulisses. Voici donc, ajoutées aux grandes lignes du palmarès, au « résumé technique » des posters précédents, quelques confidences faites sur les joueurs par Wojtek Fibak. Elles ne trahissent ni la vie privée, ni la discrétion qu'imposerait l'amitié. Mais elles constituent un précieux témoignage, fait de détails inédits qui aident à mieux connaître l'homme qui se cache derrière le champion. Ce mois-ci, Stefan Edberg.



Né le 19 janvier 1966 à Vastervik (Suède)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Australian Open
1984 : *1/4 de finaliste (p.c. Wilander) ;* ***1985 :*** *vainqueur (b. Wilander) ;* ***1987 :*** *vainqueur (b. Cash), vainqueur en double (avec Jarryd) ;* ***1988 :*** *1/2 finaliste (p.c. Wilander) ;* ***1989 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Muster, w.o.).*

Roland-Garros
1984 : *2ème tour (p.c. Jarryd) ;* ***1985 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Connors) ;* ***1986 :*** *2ème tour (p.c. Pernfors) ;* ***1987 :*** *2ème tour (p.c. Winogradsky) ;* ***1988 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Perez-Roldan) ;* ***1989 :*** *finaliste (p.c. Chang).*

Wimbledon
1983 : *2ème tour (p.c. Sundström) ;* ***1984 :*** *2ème tour (p.c. Kriek) ;* ***1985 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Curren) ;* ***1986 :*** *1/16 de finaliste (p.c. Mecir) ;* ***1987 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1988 :*** *vainqueur (b. Becker) ;* ***1989 :*** *finaliste (p.c. Becker).*

US open
1983 : *1er tour (p.c. Krickstein) ;* ***1984 :*** *2ème tour (p.c. McEnroe) ;* ***1985 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Connors) ;* ***1986 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1987 :*** *1/2 finaliste (p.c. Wilander), vainqueur en double (avec Jarryd) ;* ***1988 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Krickstein).*

MASTERS

1986 *(janvier) : 1er tour (p.c. Kriek) ;* ***1986*** *(décembre) : 1/2 finaliste (p.c. Becker) ;* ***1987 :*** *1/2 finaliste (p.c. Wilander) ;* ***1988 :*** *1/2 finaliste (p.c. Lendl).*

TOURNOIS GAGNÉS

au 1er août 89 (19)
1984 : *Milan ;* ***1985 :*** *Memphis, San Francisco, Bâle, Australian Open ;* ***1986 :*** *Gstaad, Bâle, Stockholm ;* ***1987 :*** *Australian Open, Memphis, Rotterdam, Tokyo (Suntory), Cincinnati, Tokyo Seiko (indoor), Stockholm ;* ***1988 :*** *Rotterdam, Wimbledon, Bâle ;* ***1989 :*** *Tokyo (Suntory).*

FINALES

au 1er août 89 (17)
1985 : *Bastad, Los Angeles ;* ***1986 :*** *Memphis, Toronto, Los Angeles, Tokyo Seiko (indoor) ;* ***1987 :*** *Indian Wells, Bastad, Montréal, Los Angeles ;* ***1988 :*** *Masters WCT, Tokyo (Suntory), Queens, Cincinnati ;* ***1989 :*** *Scottsdale, Roland-Garros, Wimbledon.*

Points forts

Le revers
Grâce à une frappe très naturelle, il peut le jouer à plat ou slicé, avec une bonne marge de sécurité. Aussi efficace en retour qu'à la volée, ou dans l'échange.

Le deuxième service
C'est une balle très profonde et très lourde, qui prépare la volée. Il peut aussi l'employer sur une première balle.

Le smash
C'est l'un des meilleurs du circuit.

Le lob
Il a une grande science du lob, des deux côtés.

Points faibles

Le coup droit
Il n'est pas naturel, il est "pensé" Techniquement, son geste reste encore souvent "bloqué" par son corps.

Et aussi...

Tactique
Elle est limpide chez lui : le filet ! Grâce à ses qualités, il peut le faire sur toutes les surfaces, aussi bien en suivant son service que son retour.

Physique
Ses qualités physiques sont presque parfaites. Il est endurant, souple, rapide, "facile". Mais, à long terme, sa cambrure du dos au service peut être dangereuse.

Mental
Très solide, malgré des apparences parfois trompeuses...

En coulisses

« Je me souviendrai toujours de la première fois où j'ai joué contre Stefan Edberg. C'était à Bâle, en 1983, au 2ème tour. A l'époque, je ne le connaissais pas du tout. Avant mon match, je me renseigne. On me dit : « C'est un Suédois. Très correct, rien de spécial... » Bon. Je me retrouve sur le court face à lui et là, stupeur : j'ai l'impression d'être devant un Australien ! C'était encore la période du lift suédois tout puissant, celui des Wilander, Nyström, Sundström, etc. Donc un Suédois comme Edberg, c'était complètement irréel ! Le temps de revenir de ma surprise et il me poussait au tie-break au premier set !
Et puis j'ai découvert une autre chose tout à fait extraordinaire dans son tennis : la faiblesse de son coup droit. Alors qu'en général, il était mobile et doué, en coup droit, il était emprunté. Aucun timing, il se bloquait de tout le corps en frappant la balle. La différence de niveau entre son coup droit et le reste de son répertoire était vraiment saisissante. Ça m'a bien aidé en tout cas pour le battre en 3 sets.
Cette année-là, à Bâle, je suis allé jusqu'en finale, mais j'ai dû abandonner contre Gerulaitis au 4ème set : je m'étais blessé à un muscle de l'estomac, et je ne pouvais pratiquement plus lever le bras. J'étais engagé à Vienne la semaine suivante et j'allais déclarer forfait quand on m'a expliqué que ce forfait ne m'éviterait pas d'être pénalisé au classement ATP. Cela m'a incité à essayer quand même en demandant à Vienne à jouer mon premier simple le plus tard possible. Cela me fut accordé. C'était le mardi soir. Contre... Stefan Edberg.
Evidemment Edberg savait que j'avais abandonné à Bâle et que j'étais blessé. Avant notre match, il m'a demandé comment ça allait. Je lui ai répondu que j'étais surtout gêné pour servir mais que dans le reste du jeu, ça allait.
Sur le court, je me suis une nouvelle fois, comme lors de notre premier match, aperçu de la loyauté et de la sportivité de Stefan. Sachant que j'étais blessé, il jouait à 100 % ou presque mais il me regardait tout le temps avec l'air de me dire "comment ça va ?" J'ai été obligé d'abandonner au 2ème set. Avec Stefan, j'ai un autre grand souvenir et une nouvelle fois, il a Bâle pour cadre. C'était 2 ans après notre premier match. Il était devenu une grande vedette, une star. Cette année-là, en 1985, les deux premières têtes de série étaient Edberg et Noah et ils se sont retrouvés en finale. Et Edberg et moi, nous jouions le double... En simple, j'avais eu un parcours de marathonien. J'avais battu Tulasne à l'arraché et ensuite Nyström. Et, à chaque fois, après, il me fallait jouer le double avec Stefan qui lui, traversait ses premiers tours de simple avec la plus grande aisance. Ainsi, on a dû jouer en double contre les jumeaux Gullikson dans la nuit qui précédait... notre demi-finale en simple. Nous étions effectivement dans la même partie de tableau... Et bien, ce soir là, contre les Gullikson qui étaient de grands joueurs de double, et sachant que physiquement, j'étais "mort", Edberg a pratiquement couvert le terrain à lui seul. Il voulait m'éviter de la fatigue supplémentaire avant notre affrontement en demi-finales. Il ne me disait rien, mais il courait sur tout comme un fou et c'est ainsi que nous avons gagné en trois sets et... trois tie-breaks ! Le lendemain il a remporté logiquement notre demi-finale en 2 sets.
Des exemples comme celui-là montrent bien l'esprit chevaleresque de Stefan Edberg. Il y a toujours en lui ce côté humain, respectueux des autres. Il savait écouter. Un jour, pendant le tournoi de Rotterdam dont la finale avait été stoppée par une alerte à la bombe — en 1984 — le premier coach de Stefan, Percy Rosberg, était venu me voir pour me demander mon avis sur la façon d'améliorer le coup droit d'Edberg. Ensemble nous avions regardé Edberg jouer son simple du premier tour — il allait frôler la défaite sous nos yeux contre Chip Hooper — et nous sommes ensuite allés le voir dans les vestiaires. Stefan était très inquiet. Il parlait même "d'aller aux Etats-Unis" pour améliorer son coup droit... Je lui ai donné mon avis. Je lui ai dit de laisser sa raquette s'ouvrir, puis de tout oublier et de frapper la balle. De ne plus se polariser sur des problèmes de prise, de placement de jambes, etc. D'ouvrir et de frapper. Il écoutait intensément. Percy lui glissait que j'avais raison.
Un autre exemple du même type remonte au Wimbledon qu'il a gagné l'an dernier. Avant le tournoi, Stefan s'était entraîné avec Leconte, donc je l'avais bien observé. J'avais vu que son tennis était parfaitement au point, il était impressionnant, et contre Henri à l'entraînement, ce n'est pas facile ! Avant l'ouverture de Wimbledon nous avions tous déjeuné au All England Club avec le coach de Stefan, Tony Pickard qui est membre du club. Je nous revois à table. J'ai parié ce jour-là avec Tony, qu'Edberg gagnerait. Tony n'osait y croire et Stefan lui-même avec sa modestie habituelle, faisait "hum, hum..." On a vu le résultat une quinzaine de jours plus tard...

NIE MAM BIURA ANI BIURKA

Rozmowa z WOJCIECHEM FIBAKIEM, byłym tenisistą, obecnie postacią światowego biznesu.



Z córką Agnieszką

● Porozmawiajmy na temat Pańskich interesów. Jak Pan je robi?

— O interesach nie rozmawiam. W ogóle nie jest możliwe robienie wywiadu ze mną na taki temat!

● Czy Pan codziennie jeździ na Wall Street?

— Nie, rzadko tam jeżdżę. Tylko wtedy, gdy muszę coś omówić z bankierami. Jakieś dwa, do trzech razy w roku. Zresztą, czasami robią to za mnie moi adwokaci. Ale jestem codziennie na Manhattanie. Albo spotykam się z kimś w interesach, albo idziemy na lunch, albo z przyjaciółmi do jakiejś lokalnej restauracji.

● Czy ma Pan biuro?

— Nie mam. Tak jak nie mam (ekskluzywnie) jednej firmy. No dobrze... Ponieważ spotykamy się nie pierwszy raz i mam dla Ciebie sympatię, opowiem jak te moje interesy wyglądają. Możesz to opublikować, może to rozwieje mity na mój temat.

Mam wykupione pakiety akcji w wielu firmach, działających w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Firmy te istnieją od dawna i mogłyby doskonale funkcjonować bez mojego udziału. Mógłbym się tam w ogóle nie pojawiać. Są to firmy konstrukcyjne, budowlane, architektoniczne itd.

● A zatem nie istnieje nigdzie firma zarejestrowana na Twoje nazwisko, np. „Fibak Business" lub „Fibak and Córki Inc."?

— Nie. Wchodziłem do firm, które istniały, kiedy ja pojawiłem się w biznesie. Są to firmy, korporacje, zatrudniające na stałe inżynierów, kreślarzy, architektów, księgowych, sekretarki, wiceprezydentów, czy prezydentów. Ludzie ci wstają o piątej rano, jadą metrem do swojej firmy i pracują jak potrafią najlepiej, a w weekend grają w golfa. Zarabiają nierzadko (np. prezydenci firm) ogromne pieniądze, ale oni wszyscy pracują u kogoś i dla kogoś. Ja natomiast jestem niezależny. Mógłbym tam nie przychodzić. Jedna z takich firm mieści się w Nowym Jorku przy Plaza Athenée. W Paryżu mam taką firmę przy Avenue Montaigne. Mam tam pokój, w którym są faksy i sekretarki, i jeśli ktoś chce w interesach ze mną rozmawiać może to oczywiście przez tę firmę robić. Podobnie jest w Nowym Jorku. Są to duże firmy konstrukcyjne, które realizują poważne projekty w dziedzinie real estate... nie wiem jak to przetłumaczyć... aha, obrotu nieruchomościami.

● Czy Twoja praca ogranicza się do bywania lub niebywania?

— Jest wiele osób, które mówią, że Fibak jest ciągle na wakacjach. Ale powiem Ci o jeszcze jednym swoim obowiązku. Codziennie późno wieczorem uważnie czytam, wręcz studiuję takie pisma jak „Wall Street Journal" albo „Financial Times". Muszę wiedzieć na bieżąco co dzieje się w biznesie, gdzie warto inwestować, co zwyżkuje, a co traci wartość. Przy tym nie ograniczam się do tego co mnie interesuje, ale analizuję wszystko. Kiedyś z informacji zawartych w tych gazetach mogłem skorzystać w 10 proc., potem w 20 proc. Teraz rozumiem 80 proc.

● Czy masz doradców?

— Właściwie nie. Decyzje podejmuję sam, na własne ryzyko i odpowiedzialność. Natomiast mam rodzinnego adwokata, na miejscu, w Greenwich. Jest on gotowy do działania 24 godziny na dobę. W Nowym Jorku mam drugiego. Również mogę zwrócić się do niego o każdej porze dnia i nocy. Z tym, że żaden z adwokatów nie podejmie decyzji. On jest w stanie wykonać każdą decyzję. Adwokaci robią tylko to co im się powie.

● Czy doradcy są Polakami?

— Adwokat rodzinny z Greenwich jest Żydem amerykańskim, a adwokat nowojorski jest Amerykaninem włoskiego pochodzenia. Ten ostatni działa w poważnej firmie adwokackiej, jednej z największych w Nowym Jorku, mieszczącej się przy Park Avenue.

Poza tym współpracuję z wielką firmą adwokacką w Paryżu, przy Champs Elysee. Mam tam przyjaciela. On jest z kolei Francuzem.

● Jednym słowem, gdyby ktoś zaproponował Ci dobry interes o drugiej w nocy, nie mógłbyś mu powiedzieć, że już jest po piętnastej i proszę przyjść jutro?

— To niemożliwe. Inwestuję we wszystko, w co się opłaca inwestować. Mało kto wie, że robię też filmy.

● Zapewne słyszałeś, że hotel „Bristol" odkupiła angielska firma?

— Tak, wiem o tym. To było tak, że najpierw nie było mowy o tym, aby „Orbis" puścił hotel na sprzedaż. Potem nagle stało się to możliwe ale było tak drogie, że za drogie.

● W Warszawie jest w bardzo dobrym punkcie budynek, gdzie przed wojną był hotel. Czy byłbyś skłonny tam zainwestować swoje pieniądze?

— Jeżeli w dobrym punkcie i władze Warszawy popierałyby taką inwestycję, to ja w to wchodzę!

● Jaka jest opinia zachodnich biznesmenów na temat inwestowania w Polsce?

— Jest wielkie zainteresowanie. Ale jest także wielka ostrożność.

● Pani Piasecka-Johnson zadeklarowała, że zainwestuje w Stocznię Gdańską 100 milionów dolarów po to, by dać przykład innym. Czy jest to dla Ciebie wyzwanie?

— Na razie Pani Piasecka podpisała list intencyjny wart jednego dolara.

● Ale do końca roku ma podpisać umowę na 100 milionów.

— Zobaczymy. Musimy poczekać do końca roku.

● W „Przeglądzie Tygodniowym" przeczytałem, że przyjedziesz do Polski w lipcu, razem z Henrykiem de Kwiatkowskim, miliarderem, który jest w Stanach Zjednoczonych właścicielem setek Boeingów...

— On się do tego palił. Ale nic z tego nie wyszło.

● Co robią dzisiaj Twoi dawni koledzy z kortów, wielcy tenisiści lat siedemdziesiątych, tacy jak: Dibbs, Solomon, Vilas, Ramirez, Gottfried?

— Większość z nich nadal biega po korcie. Albo są instruktorami tenisa, albo trenerami. Gottfried jest trenerem kadry Stanów Zjednoczonych. Vilas grywa nawet w turniejach Grand Prix. Borg zajął się produkcją ubrań.

● A czy w świecie wielkich interesów jest wielu byłych wybitnych tenisistów?

— Nie, raczej nie. Spotkałem tylko paru byłych tenisistów, którzy byli drugo- i trzeciorzędnymi graczami, ale dużo się uczyli, studiowali i teraz coś znaczą w biznesie. Jest taki Meier. Ale to nie jest ten znany Sandy Meyer.

Jeśli chodzi o interesy, tenis mi bardzo pomógł. Przez to, że grałem w wielu krajach, mam tam dużo znajomych i przyjaciół. Dzisiaj oni dzwonią do mnie z różnych stron i mówią mi co się u nich dzieje, jakie są warunki do robienia interesów. Dzwonią np. z Chile. A Chile przysyła do Stanów dużo owoców i tym spłaca długi. Albo inny przykład. Dzwoni do mnie dyrektor firmy „Porsche" ze Stuttgartu. Mówi, że spadają akcje jego firmy i maleje sprzedaż samochodów.

● A co robią Twoi najbliżsi przyjaciele, z którymi grywałeś debla: Karl Meiler i Tom Okker?

— Meiler jest trenerem. Natomiast Okker jest marszandem. Pytałeś mnie o byłych wielkich tenisistów, którzy przeszli do wielkiego biznesu... Okker jest takim przykładem. Ma wielką galerię malarstwa współczesnego w Amsterdamie. Handluje obrazami na dużą skalę. Specjalizuje się w malarstwie grupy artystów niderlandzkich o nazwie „Cobra", którzy działali w latach pięćdziesiątych (surrealizm i abstrakcja typu „informel" — przyp. MM).

Tom Okker był człowiekiem, który już od dawna przygotowywał się do zawodu marszanda i który mnie w tę dziedzinę wprowadził, nauczył i zachęcił do tego, kiedy razem graliśmy.

● Ostatnio zaskoczyła mnie wiadomość, że Ivan Lendl także zbiera obrazy. Czy naśladuje Fibaka?

— Po prostu ja go do tego nakłoniłem i poradziłem aby kolekcjonował Muchę (czeski grafik, przedstawiciel secesji — przyp. MM).

● Na koniec powiedz mi jeszcze jakie Ty sam kupujesz ostatnio obrazy?

— Ja kupuję cały czas. Mam już całego Lebensteina. Kupuję też Kantora.

● A młodych współczesnych?

— Nie.

● Dziękuję za rozmowę.

Marek Mleczko

Rodzina Fibaków na poznańskich kortach AZS

Zdjęcia: ROMAN GOSTOMSKI



Nr 176 (11 585)
8—10 września 1989 r.
Cena 150 zł

Robert de Niro w Polsce

To nie plotki!

Pogłoskę o ewentualnym przyjeździe do Polski jednego z gigantów światowego kina — amerykańskiego aktora ROBERTA DE NIRO po raz pierwszy usłyszeli w jedną ze styczniowych sobót słuchacze audycji Radio-Mann. Ponieważ jednak o całej sprawie rozmawiali ze sobą znani z poczucia humoru Wojciech Mann i Janusz Rewiński, chyba nikt wówczas nie wziął tej informacji na serio.

Janusz Rewiński, dzieląc się swymi wrażeniami z pobytu w Kanadzie wspomniał, że poznał tam niejakiego **Janusza Doroszewicza**, Polaka od lat osiadłego za Oceanem, który jest ponoć w stanie zorganizować przyjazd do Polski **Roberta de Niro**. W marcu pojawił się w Warszawie sam mister Doroszewicz, jak się okazało współpracownik i przyjaciel **Wojciecha Fibaka**, a ongiś także menedżer **Ivana Lendla**, i z propozycją tą zwrócił się oficjalnie do władz kinematografii. „Film Polski" i Centrala Dystrybucji Filmów postanowiły sprawę rozważyć.

W którym momencie do akcji włączył się **DKF „Hybrydy"**, dokładnie nie wiadomo. Ze swej strony od dłuższego czasu bezskutecznie próbował nawiązać kontakt z panem Doroszewiczem **Andrzej Wójtowicz**, ale kiedy wreszcie udało mu się dodzwonić do Kanady, okazało się, że ten jest właśnie w Polsce. Z kolei Janusz Doroszewicz szukał najlepszych realizatorów dla swego pomysłu. Ktoś powiedział mu o działalności DKF „Hybrydy", a że sam przed laty był jednym ze współzałożycieli klubu, postanowił skontaktować się z młodszymi kolegami.

Ponieważ jednak wstępne kalkulacje, przeprowadzone jeszcze w marcu, wykazały, że budżet takiego przedsięwzięcia kształtowałby się w granicach 40 milionów złotych, oficjalne

(Dokończenie na str. 2)



ROBERT DE NIRO w filmie „Taksówkarz". Fot. ARCHIWUM

To nie plotki!

(Dokończenie ze str. 1)

instytucje wykazały dość chłodne zainteresowanie sprawą, prosząc o czas do namysłu. W kwietniu Janusz Doroszewicz pojawił się w Polsce ponownie. To wówczas zaproponował, że w roli organizatora imprezy widziałby właśnie DKF „Hybrydy". Odpowiedziano mu jednak, że to zbyt poważna impreza, żeby robić ją mogli... amatorzy. Sprawa znowu utknęła w martwym punkcie.

Sytuacja zaczęła się klarować w czerwcu. Zapadły pierwsze oficjalne decyzje — organizatorem przeglądu filmów Roberta de Niro i jego wizyty w Polsce są „Film Polski Ltd" oraz CDF zaś realizatorem DKF „Hybrydy". W tym momencie jednak urwał się kontakt z Januszem Doroszewiczem i cała sprawa znowu zawisła na włosku...

Dziś jednak co prawda nie wiadomo dokładnie kiedy, skąd i na jak długo, ale wiadomo na pewno, że Robert de Niro do Polski przyjedzie. Wiadomo też, że przegląd ośmiu jego filmów, w większości nie znanych dotychczas z polskich ekranów, rozpocznie się w kinie „Skarpa" 21 września, a następnie zostanie powtórzony w Krakowie i Katowicach. Wiadomo wreszcie, choć takie jeszcze bez szczegółów że amerykański gwiazdor spotka się z polskimi widzami.

W programie przeglądu znajdą się następujące tytuły „Łowca jeleni" (projekcja w Warszawie 21.09), „Taksówkarz" (22.09.), „Wściekły Byk" (23.09.), „Król komedii" (24.09.), „Brazil" (26.09.), „Ucieczka o północy" (27.09.) i „Jacknife" (28.09.). Projekcje w kinie „Skarpa" w godz. 10.30, 13.00, 15.30, 18.00, 20.30. Przedsprzedaż karnetów (orientacyjna cena 6—7 tys. zł) w dniach 18 — 20 września w godzinach 10.00 — 18.00.

MAŁGORZATA SZNIAK

W siedzibie NSZZ „Solidarność" w Gdańsku Lech Wałęsa spotkał się z Robertem de Niro. W spotkaniu uczestniczyli Roman Polański, Wojciech Fibak i Gustaw Holoubek. Przedmiotem rozmów była m. in. rola ludzi kultury i sztuki w zbliżeniu między narodami.

NR 214, 15 WRZEŚNIA 1989 R.

W. Fibak nadal gra i wygrywa

(PAP) Wojciech Fibak wciąż gra i wygrywa. W I rundzie turnieju tenisowego w Wiedniu Polak wraz z Austriakiem Thomasem Musterem pokonali debel węgiersko-szwajcarski Heinz Guenthardt — Balazs Taroczy 7:6, 7:6.

Jeszcze wygrywa...

Wojciech Fibak wciąż gra i wygrywa. W I rundzie turnieju tenisowego w Genewie Polak wraz z Austriakiem Thomasem Musterem pokonali debel węgiersko-szwajcarski Heinz Guenthardt — Balazs Taroczy 7:6, 7:6.

NAZWISKA WYNIKI

● Wojciech Fibak wciąż gra i wygrywa. W I rundzie turnieju tenisowego w Wiedniu Polak wraz z Austriakiem Thomasem Musterem pokonali debel węgiersko-szwajcarski Heinz Guenthardt — Balazs Taroczy 7:6, 7:6.

W. Fibak i T. Muster wyeliminowani

(PAP) W turnieju tenisowym w Genewie w półfinale gry podwójnej Wojciech Fibak i Thomas Muster zostali wyeliminowani przez Mansoura Bahraniego i Guillermo Pereza-Roldana 6:3, 6:7 (3-7), 4:6.

Tenis
Fibak w Genewie

W turnieju tenisowym w Genewie, w półfinale gry podwójnej **W. Fibak i T. Muster** zostali wyeliminowani przez **M. Bahraniego i G. Pereza-Roldana** 6:3, 6:7 (2—7), 4:6.

W 1/2 finału singla Perez-Roldan pokonał **F. Yunisa** 6:4, 6:3, a **M. Rosset — E. Bengoechę** 6:2, 3:6, 6:3. (PAP)

Dotarli do półfinału

● W turnieju tenisowym w Genewie **Wojciech Fibak i Thomas Muster przegrali** rywalizację o awans do finału z parą **Mansour Bahrani-Guillermo Perez-Roldan 6:3, 6:7 (3—7), 4:6.**

W. Fibak
Poznań –

Jak już informow
czwartku do soboty
warszawskiej Mery o
finał I ligi tenisowej,
towarzyszącą jest me
czy i dziennikarzy —
Warszawa. Wczoraj

Poznaniacy

Finały drużynowych
Polski w tenisie ro
czwartku do niedzieli
stołecznej Mery nie w
szego zainteresowania.
lewizyjna informacja
występie Fibaka spow
kalną zmianę sytuacj
mek w którym nie
nikarzy zagranicznych.
Wojtek wystąpił w
czu oldboyów Warsz
nia, gdzie stawką by
zydenta A. Wituskiego
ną egzaminował 18-l
ta Wójcika. Wicemist
niorów wygrał długi
lecz był bezradny p
dropszotach i liftow
na krańcową linię.
najwyżej ocenił p
serwis wychowanka
ry.

Fibak na korci
● W sobotę na
dziennikarzy i dzi
tuskiego po raz d
7:4. **Atrakcją był**
przeegzaminował
chlebnie wyrażają
wianina. Fibak p
bogate plany w t

Hier à Ge
de plaisir T
qu'Ivan Le
comme l'un
d'ailleurs fa
compagnie
l'ancienne c
monde con
Balasz Tarc
doute éno
courts.
«Je me
Mon genou
qui lui dem
il répond:
sera dur a
prochaine
simple éga
souhaite vi

Les r
● Genève.
Prix (220 00
Juan Aguile
3-6 6-4; Fra
(You) 7-5 6
Bergström (
dan (Arg/4)
6-2.
● Double,
tent Günth
8); Bengoec
son/Windhu
(Equ/Arg/3
6-2.

585)
inia 1989 r.
d

ro w Polsce

plotki!

zie do Polski jednego z gigantów świato- a ROBERTA DE NIRO po raz pierwszy bót słuchacze audycji Radio-Mann. Po- awiali ze sobą znani z poczucia humoru chy ba nikt wówczas nie wziął tej informa-

anie zorganizować Polski Roberta de arcu pojawił się w sam mister Doro- się okazało współ- przyjaciel Wojcie-



Fot. ARCHIWUM

cha Fibaka, a ongiś także menedżer Ivana Lendla, i z propozycją tą zwrócili się oficjalnie do władz kinematografii. „Film Polski" i Centrala Dystrybucji Filmów postanowiły sprawę rozważyć.

W którym momencie do akcji włączył się **DKF „Hybrydy"**, dokładnie nie wiadomo. Ze swej strony od dłuższego czasu bezskutecznie próbował nawiązać kontakt z panem Dorosiewiczem **Andrzej Wójciewicz**, ale kiedy wreszcie udało mu się dodzwonić do Kanady, okazało się, że ten jest właśnie w Polsce. Z kolei Janusz Dorosiewicz szukał najlepszych realizatorów dla swego pomysłu. Ktoś powiedział mu o działalności DKF „Hybrydy", a że sam przed laty był jednym ze współzałożycieli klubu, postanowił skontaktować się z młodszymi kolegami.

Ponieważ jednak wstępne kalkulacje, przeprowadzone jeszcze w marcu, wykazały, że budżet takiego przedsięwzięcia kształtowałby się w granicach 40 milionów złotych, oficjalne

(Dokończenie na str. 2)

plotki!

I na jak długo, ale wiadomo na pewno, że Robert de Niro do Polski przyjedzie. Wiadomo też, że przegląd ośmiu jego filmów, w większości nie znanych dotychczas z polskich ekranów, rozpocznie się w kinie „Skarpa" 21 września, a następnie zostanie powtórzony w Krakowie i Katowicach. Wiadomo wreszcie, choć także jeszcze bez szczegółów, że amerykański gwiazdor spotka się z polskimi widzami.

W programie przeglądu znajdą się następujące tytuły „Łowca jeleni" (projekcja w Warszawie 21.09), „Taksówkarz" (22.09.), „Wściekły Byk" (23.09.), „Król komedii" (24.09.), „Brazil" (26.09.), „Ucieczka o północy" (27.09.) i „Jacknife" (28.09.). Projekcje w kinie „Skarpa" w godz. 10.30, 13.00, 15.30, 18.00, 20.30. Przedsprzedaż karnetów (orientacyjna cena 6—7 tys. zł) w dniach 18 — 20 września w godzinach 10.00 — 18.00.

MAŁGORZATA SZNIAK

SZZ „Soli- ańsku Lech się z Rober- W spotkaniu oman Polań- Fibak i Gu- . Przedmio- ła m. in. ro- i sztuki w y narodami.

NR 216, 15 WRZEŚNIA 1989 R.

W. Fibak nadal gra i wygrywa

(PAP) Wojciech Fibak wciąż gra i wygrywa. W I rundzie turnieju tenisowego w Wiedniu Polak wraz z Austriakiem Thomasem Musterem pokonali debel węgiersko-szwajcarski Heinz Guenthardt — Balazs Taroczy 7:6, 7:6.

Jeszcze wygrywa...

Wojciech Fibak wciąż gra i wygrywa. W I rundzie turnieju tenisowego w Genewie Polak wraz z Austriakiem Thomasem Musterem pokonali debel węgiersko-szwajcarski Heinz Guenthardt — Balazs Taroczy 7:6, 7:6.

NAZWISKA WYNIKI

● Wojciech Fibak wciąż gra i wygrywa. W I rundzie turnieju tenisowego w Wiedniu Polak wraz z Austriakiem Thomasem Musterem pokonali debel węgiersko-szwajcarski Heinz Guenthardt — Balazs Taroczy 7:6, 7:6.

W. Fibak i T. Muster wyeliminowani

(PAP) W turnieju tenisowym w Genewie w półfinale gry podwójnej Wojciech Fibak i Thomas Muster zostali wyeliminowani przez Mansoura Bahraniego, Guillermo Perez-Roldana 6:3, 6:7 (3-7), 4:6.

Tenis
Fibak w Genewie

W turnieju tenisowym w Genewie, w półfinale gry podwójnej **W. Fibak i T. Muster** zostali wyeliminowani przez **M. Bahraniego i G. Pereza-Roldana 6:3, 6:7 (2—7), 4:6.**

W 1/2 finału singla Perez-Roldan pokonał **F. Yunisa 6:4, 6:3, a M. Rosset — E. Bengoecheę 6:2, 3:6, 6:3.** (PAP)

Dotarli do półfinału

● W turnieju tenisowym w Genewie **Wojciech Fibak i Thomas Muster przegrali rywalizację o awans do finału z parą Mansour Bahrani-Guillermo Perez-Roldan 6:3, 6:7 (2—7), 4:6.**

W. Fibak w meczu Poznań – Warszawa

Jak już informowaliśmy, od czwartku do soboty na kortach warszawskiej Mery odbędzie się finał I ligi tenisowej. Imprezą towarzyszącą jest mecz działaczy i dziennikarzy — Poznań — Warszawa. Wczoraj Wojciech Fibak potwierdził swój udział, oczywiście w barwach Grodu Przemysława. Przeciwnikiem byłego mistrza świata będzie prawdopodobnie Daniel Passent z „Polityki".

STAGAR

Poznaniacy oklaskiwani w Warszawie

Finały drużynowych mistrzostw Polski w tenisie rozgrywane od czwartku do niedzieli na obiektach stołecznej Mery nie wywołały większego zainteresowania. Dopiero telewizyjna informacja o pokazowym występie Fibaka spowodowała radykalną zmianę sytuacji. Zwalił tłumek w którym nie zabrakło dziennikarzy zagranicznych.

Wojtek wystąpił w ramach meczu oldboyów Warszawy i Poznania, gdzie stawką był puchar prezydenta A. Wituskiego. Przez godzinę egzaminował 18-letniego Roberta Wójcika. Wicemistrz Polski juniorów wygrał długiego tie-breaka, lecz był bezradny przy popisowych dropszotach i liftowanych lobach na krańcową linię. Dawny mistrz najwyżej ocenił płaski i mocny serwis wychowanka stołecznej Mery.

Fibak na korcie

● W sobotę na kortach Mery zakończył się trzydniowy mecz dziennikarzy i działaczy w tenisie. Puchar prezydenta A. Wituskiego po raz drugi zdobyła drużyna Poznania, wygrywając 7:4. **Atrakcją był pokazowy występ Wojciecha Fibaka, który przeegzaminował 18-latka Mery Roberta Wójcika,** bardzo pochlebnie wyrażając się zwłaszcza o serwisie młodego warszawianina. Fibak po długiej przerwie wraca na korty, mając bogate plany w turniejach deblowych. **(Stagar)**

Hier à Genève, on a donc revu avec beaucoup de plaisir Thomas et son coup droit ravageur, qu'Ivan Lendl en personne n'hésite pas à voir comme l'un des plus puissants du circuit. Il a d'ailleurs fait son effet sur le central puisque, en compagnie de Fibak, Muster a sorti du tableau l'ancienne et prestigieuse paire championne du monde composée d'Heinz Günthardt et de Balasz Taroczy. Une victoire qui signifiait sans doute énormément pour ce miraculé des courts.

«Je me sens à nouveau bien physiquement. Mon genou ne me fait plus souffrir». Et à celui qui lui demande si revenir ainsi n'est pas délicat, il répond: «Je dois réapprendre à gagner. Ce sera dur au début». Premier test la semaine prochaine à Barcelone où il remettra cela en simple également. Des retrouvailles qu'on lui souhaite victorieuses. **PhD**

Les résultats

● **Genève. «Barclay Open». Tournoi du Grand Prix (220 000 dollars). Simple messieurs, 2e tour:** Juan Aguilera (Esp) bat Udo Riglewski (RFA) 6-1 3-6 6-4; Francisco Yunis (Arg) bat Marko Ostoja (You) 7-5 6-3; Sergio Cortes (Chi) bat Christian Bergström (Su) 5-7 6-2 6-1; Guillermo Perez-Roldan (Arg/4) bat Roberto Arguello (Arg) 7-6 (7-3) 6-2.

● **Double, 1er tour:** Fibak/Muster (Pol/Aut) battent Günthardt/Taroczy (S/Hon) 7-6 (8-6) 7-6 (10-8); Bengoechea/Filippini (Arg/Uru) battent Svensson/Windhal (Su/4) 6-4 1-6 6-2; Gomez/Mancini (Equ/Arg/3) battent Albano/Arraya (Arg/Pér) 6-3 6-2.



(W) Robert de Niro, Lech Wałęsa, Wojciech Fibak i Roman Polański podczas spotkania w Gdańsku. **CAF — Stefan Kraszewski**

Robert de Niro o polityce, filmie i sobie

Nie zagrałbym Wałęsy...

(P) (Obsługa własna). Sympatyczna, nieco zmęczona twarz człowieka około czterdziestki. Skromna, granatowa marynarka, szara, rozpięta pod szyją koszula, jasne, lekko pomięte spodnie. Jeden z tych zwykłych, przeciętnych mężczyzn, jakich na ulicach spotyka się co krok. Nic z gwiazdy, nic z Hollywood. Robert de Niro.

Spotkał się wczoraj, 21 bm., z dziennikarzami tuż po powrocie z Gdańska, gdzie długo rozmawiał z Lechem Wałęsą. Bardzo chciał się z nim widzieć. Osobowość Wałęsy fascynuje go, ale jak stwierdził, raczej nie podjąłby się wystąpić w filmie w roli przewodniczącego Solidarności. Rzeczywistość — mówi — przerosła bowiem fikcję, kino nie jest chyba w stanie oddać jej bez zafałszowań i w całej pełni. Zagranie Wałęsy to bardzo trudne zadanie dla aktora. Wymaga nie tylko długich obserwacji, ale i zrozumienia Polaki.

Zapytany, czy nie **czuje się w** Polsce obco, odpowiedział, że podróże są jedną z jego pasji. Lubi nowe doświadczenia, nowych ludzi, a poza tym wielokrotnie stykał się już z Polakami w USA. Ma wśród nich wielu znajomych i przyjaciół, np. Romana Polańskiego i Wojciecha Fibaka. Ten ostatni — dodajmy — spełniał podczas konferencji prasowej w Victorii funkcję tłumacza.

Dziennikarzy interesowały także etapy kariery de Niro. Najpierw było kilka lat w szkole aktorskiej w Nowym Jorku, potem debiut na deskach teatralnych, wyprawa do Europy i wreszcie spotkanie z Brianem de Palmą i Martinem

(A) DOKOŃCZENIE NA STR. 2

Nie zagrałbym Wałęsy...

(A) DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Scorsese. Teraz całkowicie pochłonął go film, lecz teatr nadal uważa za doskonałą szkołę rzemiosła. Przygotowanie teatralne bardzo pomaga w pracy na planie. Sam instynkt aktora-amatora, jego zdaniem, nie wystarcza.

Pytano także o wzorce artystyczne de Niro.

— Jak większość aktorów mego pokolenia byłem zafascynowany Marlonem Brando, Jamesem Deanem i Spencerem Tracy. Ale to jedynie fascynacja, nie naśladownictwo. Chcę być na ekranie sobą...

Dziennikarze indagowali de Niro również o jego ostatnie filmy, w tym powracający do tematyki wietnamskiej „Jac-knife" z ub. roku. Zwrócono uwagę na łagodniejszy, daleki od dawnej polemiczności obraz wojny w Wietnamie.

— Atmosfera wokół wydarzeń wietnamskich — odparł aktor — mocno się zmieniła od czasu realizacji „Łowców jeleni", to znaczy od 1978 roku. Coraz częściej w USA patrzymy na te wydarzenia z perspektywy prostych żołnierzy, którzy tej wojny nie chcieli, lecz w końcu w miarę możliwości starali się dobrze wypełniać swe obowiązki. Stąd zmiany w tonacji wielu traktujących o Wietnamie filmów.

Jedno z końcowych pytań dotyczyło życia prywatnego aktora.

— Mam dwoje dzieci, 22-letnią córkę i 13-letniego syna. Gdy ponownie przyjadę do Polski na pewno będą mi towarzyszyć. Bardzo chcę, aby moje dzieci poznały was i Polskę...

(ast)

Spotkanie w Gdańsku

(P) 21 bm. w siedzibie NSZZ „Solidarność" w Gdańsku Lech Wałęsa spotkał się z przebywającym w Polsce amerykańskim aktorem Robertem de Niro. W spotkaniu uczestniczyli Roman Polański Wojciech Fibak i Gustaw Holoubek. Przedmiotem rozmów była m.in. rola ludzi kultury i sztuki w zbliżeniu między narodami a szczególnie w promocji Polski i jej problemów w świecie. Mówiono również o wkładzie polskich twórców w proces reform i przemian dokonujących się w Polsce.

Po spotkaniu R. de Niro, R. Polański, W. Fibak i G. Holoubek złożyli wiązankę kwiatów przed pomnikiem Poległych Stoczniowców. **(PAP)**

W siedzibie NSZZ „Solidarność" w Gdańsku Lech Wałęsa spotkał się z przebywającym w Polsce amerykańskim aktorem Robertem de Niro. W spotkaniu uczestniczyli: Roman Polański, Wojciech Fibak i Gustaw Holoubek. Przedmiotem rozmów była m. in. rola ludzi kultury i sztuki w zbliżeniu między narodami, a szczególnie w promocji Polski i jej problemów w świecie. Mówiono również o wkładzie polskich twórców w proces reform i przemian dokonujących się w Polsce. Fot. CAF



jako rozrywkę. Teraz stał się ważniejszy, jest tuż za szkołą. Zimą grało mi się źle i nawet myślałam: już dosyć... koniec... Ale słusznie powtarza tatuś, że sukces rodzi sukces. Wygrałam turniej w Poznaniu i wszystko się zmieniło, zmobilizowałam się bardzo. Tenis wiele mnie nauczył. Umiem np. „spiąć się", gdy potrzeba. Opuszczałam sporo lekcji, ale nauczyłam się nadrabiać zaległości. Tak było z geografią.

O Fibaku: – Gościł tatę i mnie u siebie w domu (Tatuś pisał o nim książkę). Myślę, że to będzie bestseller). Jest miły i otwarty dla młodzieży – to prawda. Bardzo skoncentrowany na swoich interesach – to podobało mi się mniej, ale człowiek o takich sukcesach musi uważać, żeby nie powinęła mu się noga. Podobało mi się, że kolekcjonuje obrazy – rzadko się zdarza, żeby sportowcy interesowali się kulturą.

Sama o sobie: – Agata to dziewczyna z temperamentem. Egoistka? Raczej dla rodziny niż dla obcych. Nie przejmuje się na korcie opanowuje się. Żle znosi fałsz i hipokryzję. Skłonna do wyklóceń, ale bardzo przejmuje się błahymi...

Twój tata... – Jest wzorem... Robi, co może, żeby ułatwić mi łączenie sportu z nauką. Czasami – nawet za bardzo – ogranicza mnie. Ale mam swój sposób, żeby nie łamać wszędzie, żebym nie miała nic czasu. Wypytuje mnie, rozmawiamy... Kończymy się: „Kończymy...". Patrzę w okno, pyta: „Co?". Denerwuję się wtedy, ale myślę, że szybko śmy nerwowi, szybko wybuchamy, jestem napięta i tata mnie uspokaja. Ogólnie to jest jednak mnie dobrej charakterystyki. Jest wiązkowości. Jest wiązkowy, ale ułożone. Rzadko się też się nauczyć, poczytać... pierw na siebie, kuj innych. Przypomina ważniejsze gdy jest

Czeg

– Na Tata z cie d przy cha jeh w p

AGATA MARIA PASSENT

Imiona, nazwisko: Agata, Maria Passent
Wiek: 16 lat
Rodzice: Daniel Passent (dziennikarz), Agnieszka Osiecka (poetka, autorka tekstów piosenek).
Rodzeństwo: brat przyrodni, Łukasz (12 l.)
Uczy się: w LO im. Zamoyskiego. Zdała do III klasy. Sama ocenia siebie na 3+.
Należy do: Klubu Legia Warszawa.

★

Twój największy sukces: – Powoł nie do kadry narodowej w tenisie ziem nym. Złożyły się na to moje wynik ubiegłym sezonie – byłam druga na strzostwach Polski do lat 18, a pozn grałam w zespole, który zdoby strzostwo młodzików do lat 15. Ni no wzięłam udział w mistrzostwa ropy do lat 16.

Czym jest dla Ciebie teni zeszłego roku był jedynie przy cią. Pozwalał mi oderwać się wiązków szkolnych, a ja trakt

Za ty



Roman
aszewski

y...

rdził, ra-
wystąpić
wodniczą-
zywistość
wiem fik-
hyba w
zafałszo-
Zagranie
udne za-
naga nie
acji, ale

uje się w
ział, że
go pasji.
enia, no-
m wielo-
ą z Po-
śród nich
rzyjaciół,
go i Woj-
statni —
podczas
w Vic-
a.
eresowały
de Niro.
t w szko-
m Jorku,
kach tea-
do Euro-
e z Bria-
Martinem
A STR. 2

ęsy...

by w tona-
ych o Wiet-

ych pytań
prywatnego

zieci, 23-let-
niego syna.
ladę do Pol-
ą mi towa-
ę, aby moje
i Polskę...
(ast)

dańsku

dzibie NSZZ
ańsku Lech
z przeby-
amerykań-
rtem de Ni-
uczestniczyli
Wojciech Fi-
bek, Przed-
a m.in. rola
uki w zbli-
ami a szcze-
Polski i jej
cie. Mówio-
dzie polskich
s reform i
cych się w

de Niro, R.
i G. Holo-
kę kwiatów
Poległych
ń)

W siedzibie NSZZ „Solidarność" w Gdańsku Lech Wałęsa spotkał się z przebywającym w Polsce amerykańskim aktorem Robertem de Niro. W spotkaniu uczestniczyli: Roman Polański, Wojciech Fibak i Gustaw Holoubek. Przedmiotem rozmów była m. in. rola ludzi kultury i sztuki w zbliżeniu między narodami, a szczególnie w promocji Polski i jej problemów w świecie. Mówiono również o wkładzie polskich twórców w proces reform i przemian dokonujących się w Polsce. Fot. CAF



AGATA MARIA PASSENT

Imiona, nazwisko: Agata, Maria Passent
Wiek: 16 lat
Rodzice: Daniel Passent (dziennikarz), Agnieszka Osiecka (poetka, autorka tekstów piosenek).
Rodzeństwo: brat przyrodni, Łukasz (12 l.)
Uczy się: w LO im. Zamoyskiego. Zdała do III klasy. Sama ocenia siebie na 3+.
Należy do: Klubu Legia Warszawa.

★

Twój największy sukces: – Powołanie do kadry narodowej w tenisie ziemnym. Złożyły się na to moje wyniki w ubiegłym sezonie – byłam druga na mistrzostwach Polski do lat 18, a poza tym grałam w zespole, który zdobył mistrzostwo młodzików do lat 15. Niedawno wzięłam udział w mistrzostwach Europy do lat 16.

Czym jest dla Ciebie tenis? – Do zeszłego roku był jedynie przyjemnością. Pozwalał mi oderwać się od obowiązków szkolnych, a ja traktowałam go jako rozrywkę. Teraz stał się ważniejszy, jest tuż za szkołą. Zimą grało mi się źle i nawet myślałam: już dosyć... koniec... Ale słusznie powtarza tatuś, że sukces rodzi sukces. Wygrałam turniej w Poznaniu i wszystko się zmieniło, zmobilizowałam się bardzo. Tenis wiele mnie nauczył. Umiem np. „spiąć się", gdy potrzeba. Opuszczałam sporo lekcji, ale nauczyłam się nadrabiać zaległości. Tak było z geografią.

O Fibaku: – Gościł tatę i mnie u siebie w domu (Tatuś pisał o nim książkę. Myślę, że to będzie bestseller). Jest miły i otwarty dla młodzieży – to plus. Bardzo skoncentrowany na sobie i swoich interesach – to podobało mi się mniej, ale człowiek o takich sukcesach musi uważać, żeby nie powinęła mu się noga. Podobało mi się, że kolekcjonuje obrazy – rzadko się zdarza, żeby sportowcy interesowali się kulturą.

Sama o sobie: – Agata to dziewczyna z temperamentem. Egoistka. Gorsza dla rodziny niż dla obcych. Nerwus, ale na korcie opanowuje się. Źle znosi krytykę. Skłonna do wykłócania się. Za bardzo przejmuje się błahymi sprawami.

Twój tata... – Jest wzorowym ojcem. Robi, co może, żeby ułatwić mi pogodzenie sportu z nauką. O wszystko dbam – nawet za bardzo – ogranicza tym samym moją samodzielność. Wozi mnie wszędzie, żebym nie traciła niepotrzebnie czasu. Wypytuje mnie... Gdy godzinami rozmawiam przez telefon włącza się: „Kończymy...", a gdy siedzę i patrzę w okno, pyta: „Lekcje odrabiasz?". Denerwuję się wtedy, a że oboje jesteśmy nerwowi, szybko sytuacja robi się napięta i tata mnie „wychowuje". Tak w ogóle to jest jednak świetny! Nauczył mnie dobrej organizacji czasu i obowiązkowości. On jest niezwykle obowiązkowy, wszystko ma zaplanowane, ułożone. Rzadko ogląda telewizję i tego też się nauczyłam. Tatuś mówi: „Lepiej poczytaj..." Powtarza też: „Patrz najpierw na siebie, a dopiero potem krytykuj innych". Dodam, że jest despotą. Przypomina nam, kto jest w domu najważniejszy: on – król. Ale to dobrze – gdy jest król, jest porządek.

Czego nie odziedziczyłaś po tacie? – Na pewno zainteresowania polityką. Tata zresztą twierdzi, że to nie jest zajęcie dla kobiet. Poza tym nie jestem tak przywiązana do domu jak tatuś. On kocha dom, tęskni za nim bardzo, gdy wyjeżdża. Ja tego tak mocno nie odczuwam i w tym stopniu nie pielęgnuję ciepła rodzinnego. To chyba po mamie. Rodzina to w ogóle coś przeciwnego jej naturze.

Twoja mama... – Jest świetną kobietą, ale nie najlepszą matką. Czasami zapomina, że ma córkę... Jest w niej sporo szaleństwa, więc potrafi wszystko rzucić, bo chce akurat iść na tąkę, rzucać patyki, napić się... Wszystkie plany wtedy się rozpadają. Mama jest bardzo dobra. To altruistka. Kocha ludzi, chętnie nawiązuje nowe znajomości, przyjaźnie. Odwrotnie niż ojciec, który lubi spotykać się z grupą stałych przyjaciół. Nic dziwnego, że rodzice się rozstali – są zupełnie różni, tączą ich jedynie trzy cechy: dowcip, inteligencja, mądrość.

Czy dobrze być dzieckiem stewnych rodziców? – Takich jak moi – na pewno. Obojgu zawdzięczam kontakt z wieloma ciekawymi, znanymi osobami. Wiele skorzystałam z wyjazdów za granicę na wakacje. Gdy tatuś był na stypendium w Ameryce, cpanowałam angielski (chodziłam tam do szkoły). Najwięcej jednak korzystam, gdy przeby-

ANIEL PASSENT (14)



DONALD DELL – KAPITALISTA TENISA

udzie w Polsce mają małe pojęcie o tym, do jakiego stopnia tenis przesiąknięty jest pieniędzmi. Gdyby nagle dolary wypłynęły na wierzch i jakimś cudem stały się widoczne – wszystko byłoby e jak banknoty: gracze, rakiety, piłki, koszulki, spodenki, tenisówki, trybuny, reklamy dookoła kortów i w telewizji, dziennikarze dżerowie. Wszystko to, co jest takie barwne – białe, granatowe, one, żółte, co się mieni kolorami i przyciąga oczy, stałoby się zonne, jak wszechobecna myśl o pieniądzach. Oczywiście, ogromkszość dzieci i młodzieży rozpoczyna grać w tenisa dlatego, że e wkrótce pojawiają się wydatki. Sprzęt kosztuje. Rakiety, naciągi, enisówki, to wszystko stale się zużywa. Instruktorzy i trenerzy każą płacić. Wyjazdy na obozy i do szkółek też nie są darmowe. Później czynają się turnieje – samoloty, hotele, wyżywienie – to wszystko ogie, coraz droższe. Na Zachodzie wszystkie te wydatki ponosi średnio zainteresowany. Tylko u nas, w socjalizmie młodzież gra mo, a juniorzy oczekują już pieniędzy. Wiosną 1989 na turniejach ów w Izraelu, kierowniczka ekipy RFN, w skład której wchodziła nistrzyni do 14 lat, powiedziała mi, że tylko dwoje z jej ekipy szkoli koszt związku tenisowego – każdy inny zainteresowany płaci sam. iwnego, że wcześnie zaczyna się rozglądać za zarobkiem. Obok i „winien" chciałby coś wpisać do rubryki „ma". Przede wszystusi grać coraz lepiej, gdyż jeśli przejdzie eliminacje i znajdzie się mowanym turnieju głównym, np. w Forest Hills, wówczas za grę dej rundzie przysługuje honorarium. Na przykład za przegranie ndzie 750 dolarów, za wejście do II rundy 1000, za wejście undy 2500 itd., coraz więcej, aż do głównej nagrody, powiedzmy ięcy. W ten sposób Fibak za jeden mecz w grze pojedynczej i trzy blowe otrzymał w Forest Hills w 1987 roku kilka tysięcy dolarów, lat temu mogło to być kilkadziesiąt tysięcy, które teraz wzięli inni , Gomez czy Becker.

ądamy tenisistów w telewizji, podobnie jak np. narciarzy i widzireklamują oni wyroby sportowe – rakiety, tenisówki, odzież, jak irmę wynajmu samochodów Avis. Młody sportowiec wcześnie a rozglądać się za kontraktem reklamowym, jednak chętnych jest Nam tu w Polsce wydaje się, że wystarczy trochę odbijać piłkę, firmy Dunlop czy Adidas przynoszą miliony, byle tylko grać ich czy nosić ich sweterek. O nie, kochani, to są tylko marzenia. d nie działa na takiej zasadzie, to nie takie proste. Zdobycie nawet o kontraktu, pierwsze kilka rakiet darmo, pierwsze pieniądze od zego producenta trzeba wyrwać na korcie tym, którzy grają w wam. Tak wiele osób gra w tenisa, tyle jest zdolnej młodzieży, że mają w kim wybierać. Załóżmy jednak, że grasz już dobrze, nych – do kogo pójść, jak załatwić kontrakt, ile żądać, ile przyjąć? Ile wydać – ile oszczędzić na później, kiedy już nie będziesz grał, będziesz słaby i pies z kulawą nogą cię nie zauważy. Co zrobić z oszczędnościami, czy złożyć je w banku na książeczkę za 5–10 procent rocznie czy może zainwestować, a jeśli tak – to w co? Czy kupić akcje, obligacje, kawałek ziemi na Florydzie, gdzie obrotny pośrednik obiecuje, że za kilka lat powstanie modna miejscowość wypoczynkowa i parcele zdrożeją dziesięciokrotnie? Do tego wszystkiego trzeba mieć głowę, trzeba wiedzieć jak zarabiać i jak wydawać. Czy kilkunastoletnia tenisistka może to wiedzieć? Gdy ma się osiemnaście lat, nie można tego rozumieć. Trzeba się na kogoś zdać, o kogoś oprzeć. Dobry tenisista nie tylko zaczyna reklamować towary, ale sam staje się towarem. On zaczyna dostawać pieniądze pod stołem i nad stołem za to, żeby wziął udział w turnieju, powiedzmy w Cincinnati, a nie w Marsylii, Pradze czy Caracas, gdzie również w tym czasie organizowane są turnieje. Nagrody, kontrakty reklamowe, honoraria, gry pokazowe, wystąpienia na obiedzie dyrektorów firmy Iks czy Ygrek, konsultacje, pojawienie się na obozie tenisowym czy w szkółce – wszystko to ma swoją wartość. Jak to załatwić, jak to obliczyć, jak nie przepuścić okazji, zarobić najwięcej? Do tego trzeba mieć albo głowę Fibaka, albo zacząć na kimś polegać, zaufać mu i zapłacić za to. Teoretycznie wszystko to można opanować i robić samemu, podobnie jak z całą rodziną polecieć z Oslo na wakacje na wyspy Bahama. Ale jednak każdy rozsądny człowiek udaje się w tym celu do biura podróży, które poradzi dokąd i za ile można polecieć, ułatwia wybór wyspy, miejscowości i hotelu, rezerwuje pokoje i samolot, wykupuje bilety itp. Oczywiście, trzeba za to zapłacić, ale każdy wie, że korzystanie z biura podróży może być prostsze i tańsze niż wyjazd na własną rękę.

A cóż dopiero, kiedy to jest podróż do kariery tenisowej i do wymarzonych, wielkich pieniędzy? Podróż w krainę nadziei oraz złudzeń. Takim kimś, kto chętnie pomoże tenisiście zarobić i zarobi na nim jest firma ProServ, która ma siedzibę w Waszyngtonie i oddziały w różnych miastach od Paryża do Dallas. Założona kilkanaście lat temu firma ProServ reprezentuje sportowców, nie tylko tenisistów, wobec przeróżnych sponsorów, tak np. pośredniczyła w podpisaniu ogromnego kontraktu pomiędzy władzami sportowymi ZSRR a amerykańską firmą konfekcyjno–obuwniczą Nike. Obecnie wszyscy reprezentanci ZSRR są ubrani i obuci w wyroby tej firmy, co jest dla produktów Nike wielką reklamą. W zamian sport radziecki otrzymuje bezpłatnie ustaloną liczbę koszulek, spodenek, dresów, obuwia i innych wyrobów Nike.

Na kortach Roland Garros najlepszy radziecki tenisista Czesnokow doprowadziła do tego kontraktu, jest bardzo zadowolony. To dopiero jest początek – mówi – ponieważ ProServ został agentem-przedstawicielem wszystkich sportowców radzieckich. O ile na Zachodzie tenisista czy kolarz załatwia takie sprawy sam, o tyle Związek Radziecki podpisał taką umowę hurtowo i obecnie każdy reprezentacyjny radziecki tyczkarz czy tenisista jest klientem firmy ProServ ubranym przez firmę Nike. Donald L. Dell opowiada mi o tym w pawilonie swojej firmy na kortach Roland Garros w Paryżu. Fibak uważa, że Dell jest jednym z najbardziej wpływowych i potężnych ludzi w tenisie światowym. Powiedział, że muszę z nim porozmawiać i doprowadził do tego spotkania. Fibak i Dell dobrze się rozumieją, obaj znają się na tenisie i na pieniądzach, a ponadto mają ten łatwy, bezpośredni, amerykański sposób bycia, który czyni ich dostępnymi i przyciąga ludzi.

– Jak pan doszedł do tej pozycji? – pytam Della. Wysoki, barczysty mężczyzna po czterdziestce, wspomina początki swojej kariery tenisisty i przedsiębiorcy sportowego: – Studiowałem w Yale (jeden z najlepszych i najdroższych uniwersytetów w USA), a następnie w 1964 roku ukończyłem Wydział Prawa Uniwersytetu Wirginia. Przez cały ten czas grałem równocześnie w tenisa i jako student trzykrotnie reprezentowałem USA w Pucharze Davisa.

– Czy można było wówczas łączyć studia na dobrych uniwersytetach z zawodniczą grą w tenisa?

– Ja mogłem, ale było to bardzo trudne. W roku 1961 studiując w Yale byłem czwarty na liście klasyfikacyjnej tenisistów amerykańskich. Tamtego roku w Pucharze Davisa grałem przeciw tenisistom Indii, Włoch, Meksyku, łączyłem więc jedno i drugie. Ale tenis wówczas, 25 lat temu, nie był sportem zawodowym. Myśmy byli amatorami. Obecnie byłoby to o wiele trudniejsze, jest więcej pieniędzy, a więc i więcej chętnych, którzy starają się zostać sportowcami zawodowymi. To nie było moim celem. Ja grałem, ponieważ tenis dawał mi przyjemność, możliwość podróżowania, poznawania nowych miejsc i ludzi.

– Dla studenta było to na pewno atrakcyjne i pożyteczne. A co dalej?

– Po studiach grałem nadal i podjąłem pracę w dużej firmie adwokackiej Hogan i Hartson w Waszyngtonie. Jednak po dwóch latach trochę mnie to zmudziło, a otrzymałem ciekawą propozycję od S. Shrivera, który był wówczas szefem Korpusu Pokoju i Biura Możliwości Gospodarczych (Office of Economic Opportunisties).

Czytelnikom polskim należy wyjaśnić, że Sergeant Shriver należał do otoczenia Johna Kennedy'ego, który stworzył Korpus Pokoju. Miał to być korpus młodych Amerykanów do działania w Trzecim Świecie. Mieli oni za zadanie poznać świat, a jednocześnie – pracując wśród prostych ludzi jako nauczyciele, agronomowie, lekarze – pokazać Amerykanów nie jako imperialistów, lecz jako bezinteresownych, pomocnych idealistów. Miała na tym skorzystać Ameryka i jej młodzież.

– Ale ja już tam trafiłem za czasów Johnsona. W roku 1968, gdy pracowałem jako asystent Shrivera, Robert Kennedy postanowił ubiegać się o fotel prezydenta. Był to mój dobry znajomy, grywałem z nim w tenisa, znałem go towarzysko, więc postanowiłem wziąć udział w jego kampanii. Nie mogłem więc pracować dłużej w administracji Johnsona, ponieważ Kennedy i Johnson to byli rywale, podobnie jak Shriver, który był szwagrem Kennedych. W kampanii Kennedy'ego byłem tzw. advance man, czyli szpicą. Jechałem do danego stanu, rekrutowałem i szkoliłem 20–30 osób, które następnie organizowały kampanię na miejscu i były gotowe na przyjazd Boba. Przygotowywały spotkania, wystąpienia, prasę, telewizję, kontakty z wpływowymi ludźmi na miejscu, hotele, transport – wszystko. Podlegało mi pięć stanów – Kalifornia, Nebraska, Wirginia Zachodnia, Arizona i trochę Maryland, z którego pochodzę. W przeddzień zabójstwa Kennedy'ego w Kalifornii, byłem jeszcze przy nim, bardziej jako prywatny znajomy i przyjaciel niż jako polityk. To u Kennedych była duża różnica, czy ktoś jest znajomym osobistym czy politycznym. Tak więc dzień przed końcem jechaliśmy wspólnie pociągiem i przedstawiłem Kennedy'emu moich kolegów z reprezentacji, Artura Ashe'a i Stana Smitha. (To byli dwaj najlepsi tenisiści amerykańscy w latach sześćdziesiątych i myślę, że bardziej od nich inteligentny i wyrobiony Fibak, który ma zainteresowania polityczne, świetnie by się czuł w takim pociągu wyborczym).

– Ja już nie grałem – kontynuował Dell – ale byłem kapitanem naszej drużyny w Pucharze Davisa i nazajutrz, kiedy Kennedy miał zginąć, my lecieliśmy do Karoliny Północnej na mecz z Ekwadorem. W trakcie meczu odleciałem do Nowego Jorku na pogrzeb i niosłem trumnę. Tego dnia zabite zostało moje marzenie o polityce. Chciałem, żeby Kennedy wygrał, chciałem pracować w Białym Domu. Gdyby żył i gdyby wygrał – nie byłbym w tenisie. A tak – zostałem w Pucharze Davisa jeszcze dwa lata, 1968 i 1969. Miałem dopiero 29 lat, byłem najmłodszym kapitanem drużyny davisowej w historii tenisa USA. Byłem też jedynym kapitanem, który ustąpił nie pokonany, bez porażki swojej drużyny.

– Wtedy pozycja tenisa amerykańskiego była dużo silniejsza. Nie było Borga, Lendla ani Beckera.

– To prawda, ale był Ashe, Smith, Lutz. W każdym razie rozczarowany rzuciłem politykę i otworzyłem własną firmę. Jako prawnik, tenisista i człowiek, który miał rozległe kontakty, postanowiłem reprezentować interesy tenisistów. Moimi pierwszymi klientami byli, oczywiście Ashe i Smith. Był to pierwszy przypadek, gdy tenisistę reprezentował prawnik, agent czy menedżer. Przedtem coś takiego nie miało miejsca.

– Stworzył więc pan nową dziedzinę biznesu. Czy można powiedzieć,

– W roku 1968 tenis został sportem otwartym, to znaczy amatorzy i zawodowcy zaczęli grać ze sobą. W rok później Ashe, jako amator, wygrał otwarte mistrzostwa USA, dostępne również dla zawodowców, a w 1970 roku ja otworzyłem swoją agencję, czyli moment był doskonały.

– Obok nas, na kortach trwa w tej chwili turniej French Open, czyli otwarte mistrzostwa Francji dla zawodowców i amatorów.

– Tak. Zawodowcy otrzymują nagrody pieniężne, a amatorzy zwrot kosztów. To znaczy turniej otwarty.

– Ale przed 1968 rokiem tenis zawodowy nie istniał.

– Tak, to był Kramer, Gonzales, Rosewall, Laver – prawdziwi zawodowcy, którzy grali między sobą, ale nie mogli startować w Wimbledonie czy na Roland Garros, lub w innych turniejach Wielkiego Szlema, bo to były rozgrywki amatorów. Ale wówczas amatorzy byli już faktycznie zawodowcami, brali pieniądze, żeby przychodziła publiczność. A nam chodziło o to, aby ten sztuczny podział został zniesiony, żeby na pytanie – kim pan jest z zawodu? – można było odpowiedzieć tak jak Fibak: – Jestem zawodowym tenisistą. Sytuacja wtedy była taka, jak dziś wśród lekkoatletów. Biorą pieniądze, a uchodzą za amatorów. Moim zdaniem igrzyska olimpijskie też powinny zostać otwarte dla wszystkich, bo dziś nikt nie może być w światowej czołówce za darmo, ktoś musi go dotować – państwo, producent sprzętu sportowego, uczelnia, wojsko – wszyscy oni są zawodowcami.

– Czy wtedy amatorzy również brali już pieniądze?

– Tak, pod stołem brali.

– Nie tylko zwrot kosztów?

– Nie tylko.

– Kim byli następni pańscy klienci, oprócz Ashe'a i Smitha?

– Czechosłowak Jan Kodesz, Amerykanin Bob Lutz, który grał debla ze Smithem. W latach siedemdziesiątych firma tak się wzmocniła, że z pierwszej dziesiątki tenisistów amerykańskich ośmiu było naszymi klientami. Ale tenisiści są w ciągłym ruchu i pochodzą z różnych krajów, musieliśmy uruchomić nasze biura w Dallas, Paryżu, Londynie, Rzymie, Tokio, w Australii i obecnie jesteśmy agencją światową.

– Największą?

– W tenisie – tak. Zaczynaliśmy jako firma prawnicza, ale z czasem wykonywaliśmy tyle różnych usług, że przekształciliśmy się w normalną firmę: działalność reklamowa, prowadzenie spraw finansowych sportowców, inwestowanie ich pieniędzy, menedżerowanie, ich sprawy podatkowe – robimy dla nich różne rzeczy. Od dziewiętnastu lat, to jest od 1969 roku. Artur Ashe nie podpisał ani jednego kawałka papieru, zanim nie uzgodnił tego z nami. Lendl, Connors, Noah to nasi klienci. Dziś rano jechałem samochodem z Connorsem i mówiliśmy o jego ważnym kontrakcie z firmą Slazinger. Oni chcieli, żeby Jimmy podpisał go przed godziną drugą. – Nie podpisuj – mówiłem, zanim wszystkiego nie sprawdzimy. Jak tylko stwierdzimy, że jest w porządku, zadzwonię do ciebie. Nasi klienci nic nie podpiszą bez naszej zgody.

– Na czym polegały Wasze usługi, powiedzmy, dla Fibaka? Ludzie w Polsce lepiej rozumieją sport zawodowy, jeśli pan to wyjaśni na przykładzie najlepszego polskiego tenisisty.

– Byliśmy menedżerami Fibaka przez około sześć lat.

– Kto kogo zagadnął, kto do kogo przyszedł?

– To było chyba spotkanie wzajemne. Fibak zainteresował mnie natychmiast, gdy jako młody chłopak pojawił się w Ameryce, ponieważ był o wiele bardziej bystry, chwytał w lot, szybciej niż większość tenisistów, interesował się tym, co i mnie interesowało: sportem, kulturą, sztuką. Uprawiał sport, ale sport był dla niego środkiem, a nie celem, sposobem osiągnięcia innych celów – podobnie jak w moim przypadku. Tenis nigdy nie był dla mnie całym światem – stwarzał mi możliwości robienia innych rzeczy. Wojtek podobał mi się od razu, był inteligentny, chętny.

– A pan miał zawodowe oko na młodych zdolnych i chętnych.

– O, yes. Poza tym szukałem Europejczyków. Wojtek był z Polski, ja grałem kiedyś w Polsce...

– ... w Katowicach?

– Nie, w Warszawie, grałen z Rosjaninem, wiele lat temu. A gdzie są Katowice? Na południe od Warszawy? Tak, to grałem w Katowicach. Przegrałem w półfinale z Węgrem, potem byliśmy w Warszawie, bardzo mi się podobało. Wracając do Wojtka, to początkowo poznałem go towarzysko. Kiedy przyjechał następnego roku, grał coraz lepiej i chyba przy kolacji zaoferowałem mu nasze usługi. Teraz – powiedziałem, będziesz miał możliwości finansowe w biznesie. Chciałbym zajmować się nimi, chciałbym zostać twoim prawnikiem i menedżerem. – Dobrze, powiedział, możemy o tym porozmawiać.

– A co to oznacza? To znaczy, że tenisista ma dużo pokus i propozycji, otrzymuje różne oferty, to zareklamować, tam przyjechać, pokazać się, zagrać, przemówić, doradzić – na ogół za pieniądze. Naszym zadaniem jest zaprezentować najlepiej pojęty interes klienta.

– I swój.

– Swój też. W przypadku Fibaka negocjowaliśmy wszystkie jego kontrakty w sprawie rakiet, ubrania, butów, reklam, np. samochodów czy telewizyjnych, firmy Pepsi Cola – całą jego działalność reklamową, prowadziliśmy jego podatek dochodowy, inwestowaliśmy jego pieniądze, po uprzednim omówieniu i zaaprobowaniu przez niego inwestycji nadzorowaliśmy je, płaciliśmy jego podatki, ustalaliśmy jego kalendarz występień – gry pokazowe, odwiedzanie szkół i obozów tenisowych,



BORIS BECKER (u góry) i SLOBODAN ZIVOJINOVIC (na dole) –

Gry pokazowe to jest źródło wielkich dochodów, niejednokrotnie większych od sum uzyskanych w nagrodach zdobytych w turniejach. Lendl zarabia w ten sposób 2–3 miliony rocznie. Organizujemy wszystkie jego gry pokazowe. Z biegiem lat Wojtek poznawał ten świat coraz lepiej, stawał się coraz bieglejszy i moim zdaniem po 5–6 latach przeszło mu może przez myśl, czy on nie mógłby robić tego samego co ja, może nawet zostać moim partnerem w Europie, chyba nawet rozmawialiśmy o tym, ale nie zdecydował się. W pewnym okresie zbliżył się z Lendlem, trenował go, przyprowadził Lendla do nas i reprezentowaliśmy ich obu. Potem ich drogi się rozeszły, a chyba w 1984 roku Wojtek przyszedł do mnie, powiedział, że stopniowo wycofuje się z życia zawodniczego, chce robić co innego i nasza współpraca się zakończyła. Fibak nie miał oprócz nas nigdy żadnego menedżera. Przez moment myślałem, że mógłby zostać naszym dyrektorem na Europę, ale mam wrażenie, że jego nie interesuje taka drobiazgowa praca. My zatrudniamy 150 ludzi, tylko w tym pokoju na Roland Garros mamy 7 pracowników, to jest dłubanina, chyba nie dla Fibaka, byłego tenisisty, człowieka z prestiżem. Nie wiem, czy pan był wczoraj w szatni, jak przyszliśmy z Wojtkiem do Lendla...

– Byłem, akurat Lendl mówił o Fibaku, więc przyszliście panowie nie w porę.

– W każdym bądź razie dla żartu przedstawiłem Wojtka Ivanowi. Mister Lendl, mówię, chciałbym, żeby pan poznał pana Fibaka, mojego nowego dyrektora spraw europejskich. Teraz on będzie odpowiadał za pana.

Fibak jest bardzo inteligentny, myślący, stale myśli, na tenisistę aż za wiele.

– Ludzie mówią, że inteligencja na korcie Fibakowi pomogła.

– Ale w niczym nie należy przesadzać. Tenis to nie są szachy, to jest sport fizyczny, tu wiele trzeba robić instynktownie, z przyzwyczajenia, odruchowo, nie można stale filozofować, kiedy przeciwnik przyciska, wywiera presję. Wielcy tenisiści grają w dużym stopniu odruchowo. Fibak nie był wielkim tenisistą, miał swój talent, który dzięki inteligencji, pracowitości, analizie sposobu gry przeciwników – wykorzystał, rozwinął, miał sukcesy większe niż zdolności. Jego słabością był serwis oraz był trochę za wolny na korcie. Ludzie mówią, że inteligencja mu pomogła. Niewątpliwie tak, ale u Fibaka inteligencja dominowała nad resztą, miał za wiele spraw, myśli, zainteresowań. Wielcy mistrzowie, tacy jak Lendl, oni po prostu walą w piłkę jak maszyny i tylko to.

– Czy pan wtrąca się również do sposobu gry swoich kientów?

– Niewiele i raczej po koleżeńsku. Na przykład rozmawialem dziś z Connorsem, jak ma grać jutro z Beckerem. Becker – mówiłem – będzie serwował i szedł do siatki; Jimmy uważał, że nie, bo kort jest za wolny, tu na Roland Garros gra się na ziemi. Ja tymczasem uważałem, że Becker będzie nawet atakował drugi serwis Connorsa i wtedy szedł do siatki. Ale to są tylko rozmowy.

– Becker ma Tiriaca. A co, gdy dwóch pańskich klientów gra przeciwko sobie?

– Milczę jak grób. To samo dotyczy mojej rodziny. Mam dwie córki, bliźniaczki, mają po 14 lat. Ashe jest ojcem chrzestnym jednej, a Smith drugiej. Od urodzenia tkwią w tenisie, obie grają świetnie. Ale gdy są na meczu, nie wolno im oklaskiwać.

– Klaskałyby nie tylko w swoim imieniu.

DWA RUMAKI W STAJNI TIRIACA



Dienstag, 19. September 1989

Comeb

HERMANN FUCHS



Unterwegs mit dem Tenniszirkus

Der Empfang war dem Ereignis würdig! Riesenjubel der 6000 Zuschauer, als Thomas Muster („wie damals beim Daviscup gegen Australien, ich bin nervös wie noch vor keinem anderen Match") ins Dusika-Stadion kam, begeisterter Beifall auch für Ivan Lendl. Für seine Gustostückerl war die Nummer eins der Weltrangliste schon beim Einschlagen mit Hans Kary bejubelt worden. Das Training rief mehr Begeisterung hervor als das Vorprogramm, in dem Petra Ritter mit dem Tennisracket Rapid-Keeper Konsel im Tormanndreß 6:2 schlug und auch das „Duell der Oldies" zwischen Wojtek Fibak und Hans Kary, das der Pole im Tie- Break für sich entschied. Das Doppel mit Thomas in Genf hatte eben Folgen....

Ivan kam als Jung-Ehemann

„Ich bin der Einladung von Thomas und seinem Manager Ronnie Leitgeb zu diesem Match gerne nachgekommen", war Lendl ganz Gentleman. Die Reisestrapazen ließ er sich jedenfalls nicht anmerken. Weil er in Kopenhagen den Anschluß verpaßt hatte, war er mit Freundin Samantha erst zu Mittag und ohne Gepäck in Schwechat eingetroffen. Nach dem Match gestand Lendl eine Stunde vor Mitternacht, daß er Samantha letzten Freitag geheiratet hatte. Er kam als Jung-Ehemann nach Wien. Flitterwochen für Ivan und Samantha Lendl im Dusika-Stadion...

Na przykład negocjujemy turniej, na którym teraz jesteśmy, mistrzostwa Od 13 lat reprezentujemy turniej, na którym teraz jesteśmy, mistrzostwa Francji na Roland Garros, wobec telewizji.

– Jakie pobieracie za wszystko opłaty?

– To zależy, inną prowizję płacą zawodnicy w sportach indywidualnych, jak tenis czy golf, a inną w grach zespołowych.

– Czy reprezentujecie całe drużyny?

– Nie, tylko poszczególnych sportowców, ale ostatnio podpisaliśmy kontrakt na reprezentowanie wszystkich sportowców radzieckich za granicą. Wczoraj mieliśmy kolację z Czesnokowem, jego trenerem i prezesem firmy Nike, którą doprowadziliśmy do kontraktu z ZSRR.

– Od wszystkiego pobieracie procenty?

– Normalnie bierzemy 20 procent od sum, jakie sportowiec dostaje za reklamę, gry pokazowe, wystąpienia, kontrakty, które my załatwialiśmy. Za nasze wysiłki, czas, robociznę, podatki itp. pobieramy 20 procent. Jeżeli prowadzimy sprawy podatkowe, finansowe i świadczymy codzienne usługi, tj. załatwiamy bilety lotnicze, hotele, samochód podstawiony, rezerwację kortów itd., itp., to pobieramy oddzielną opłatę. Jej wysokość zależy od liczby usług, wiadomo, że więcej jest zabiegów przy Connorsie niż przy mało znanym juniorze.

– Czy od nagród pobieracie również odsetki?

– Dawniej braliśmy 10 procent i za to świadczyliśmy wszystkie usługi, ale obecnie odchodzimy od tego. Nagrody stały się bardzo wysokie, a sportowcy uważają je za swoje, to oni je wygrali i dlatego wolimy oddzielną opłatę za usługi przez okrągły rok.

– Kto rzuca kogo? Czy wy łapiecie sportowców na swoich klientów, czy odwrotnie – to oni przychodzą do was?

– Jedno i drugie. Przychodzą trenerzy lub rodzice i chcą nam oddać zawodnika pod opiekę, albo my się zwracamy. Wojtek np. może przyjść i powiedzieć: mam chłopca, 17 lat, rokuje duże nadzieje, zainteresujcie się nim. Tak trener zwrócił naszą uwagę na Gabrielę Sabatini. Miała 14 lat, kiedy jej trener zagadnął mojego brata, mówiąc, że ona będzie fantastycznie grała. I po dwóch latach faktycznie była najmłodszą półfinalistką Wimbledonu. Za chwilę przyjdzie tu jej ojciec i będziemy jedli lunch. Taka dziewczyna wymaga pełnej opieki, podobnie jak np. Carling Bassett, Kanadyjka, która mając 15 lat była półfinalistką w turnieju juniorek w Wimbledonie, a po roku doszła do IV rundy w turnieju głównym. Zawieźć na lotnisko, odebrać z lotniska, odwieźć do hotelu, zamówić kort, ustawić kalendarz startów itd. Ktoś inny może tego nie chcieć. Connors może chcieć, żeby zrobiła to jego żona, samochód wynajmie sobie sam, nie wymaga już takiej opieki.

– Domyślam się, że musi dochodzić do nieporozumień – zwłaszcza na tle finansowym. Czy sportowcy są z was zadowoleni?

– W ciągu 19 lat straciliśmy nie więcej niż 2–3 klientów. Gdyby byli niezadowoleni, odeszłoby więcej, jest możliwe, że klient czuje, iż poświęcamy mu za mało uwagi osobistej. Za rzadko do niego telefonujemy, za mało chodzimy wokół jego inwestycji. Im większy gracz, tym większe jego ego. W moim biurze jest specjalny człowiek do spraw Connorsa, inny do Lendla, jeszcze inny do Gomeza, żeby mieli pewność,

JOHN MCENROE – ENFANT TERRIBLE, KTÓREMU PO DOBROWOLNEJ PRZERWIE UDAŁO SIĘ WRÓCIĆ DO CZOŁÓWKI



na rola, nigdy na to nie nalegam, chyba że ktoś jest bardzo młody. Weźmy niektórych naszych młodych koszykarzy. Mają ogromne pieniądze, ale nie są tacy inteligentni jak tenisiści, nie podróżują tyle po świecie, ich rodzice nie mają często żadnego przygotowania w postępowaniu z takimi kwotami, a ktoś musi je ulokować. Wtedy przynajmniej przez pierwszych kilka lat musimy chronić ich pieniądze. Ale my inwestujemy w sposób bardzo konserwatywny, nie możemy ryzykować cudzych pieniędzy. Co innego gdy Fibak inwestuje z własnych dochodów, a co innego gdy my kierowaliśmy gdzieś jego pieniądze. Wojtek był niezadowolony z naszych inwestycji. My lokowaliśmy tak, żeby jego pieniądze przynosiły 8 procent, on chciał 15–20 procent. Ja nie mogę tak ryzykować cudzych pieniędzy. Poza tym Wojtek bardzo interesował się kapitałami, inwestycjami, biznesem, on to kocha, przepada za tym, więc nie ma żadnego problemu, niech zabierze swoje pieniądze do swojego banku i sam się nimi zajmuje.

– Wspomniał pan przedtem o kontrakcie z ZSRR. Na czym on polega?

– Na tym, że kiedy 25 najlepszych zawodników lub zawodniczek wyjeżdża za granicę, to my odpowiadamy za wszystko – udział w turniejach, hotele, przejazdy, treningi, sprzęt, pełna opieka. Odpowiadamy przed ich trenerami i władzami sportu radzieckiego.

– Czym to różni się od klientów zachodnich?

– Największa różnica polega na tym, że oni nie podróżują indywidualnie tylko w grupie. Grupa mieszka, grupa trenuje, grupa je, grupa jedzie. Jeżeli chodzi o finanse, to nagrody pobiera ich federacja i ona pokrywa wydatki – opłaca hotele, trenerów, wyżywienie, sprzęt, a także zapewne płaci im, daje im mieszkanie, samochód, kieszonkowe – tego już nie wiem. Teraz podpisaliśmy kontrakt reklamowy z amerykańską firmą Nike. Rosjanie będą reklamować tę odzież, a firma wyprodukuje być może specjalną serię konfekcji sportowej dla Rosjan, tak jak praktykują to dla najbardziej znanych sportowców.

– Ilu macie klientów razem?

– Około dwustu, w tym czterdziestu tenisistów, poza tym lekkoatleci, koszykarze, kolarze, w kolarstwie jesteśmy chyba najmocniejsi.

– Czy pana zdaniem tenis jest jeszcze sportem, czy już biznesem?

– To jest biznes sportowy, coraz bardziej biznes, coraz mniej sport. Taki gracz jak Lendl to już jest konglomerat. Zarabia wiele milionów dolarów rocznie, ma ludzi, którzy pracują dla niego na całym świecie.

– Czy tacy tenisiści grają dla pieniędzy, czy mają motywy podobne do tych, jakie miał pan w Pucharze Davisa?

– Myślę, że najwięksi gracze myślą o jednym i o drugim, natomiast mniej wybitni myślą czasami tylko o pieniądzach. Taki Noah ubóstwia sport, on gra, bo lubi. Connors ma tyle pieniędzy, że nie zdąży ich wydać do końca życia. Jeżeli mimo to gra w wieku 34 lat, to dlatego, że lubi rywalizację, współzawodnictwo.

– Fibak na przykład jeszcze trochę gra – myślę, że tylko dla przyjemności. Ale nie wszyscy to rozumieją, niektórzy sądzą, że sławny kiedyś sportowiec powinien wycofać się w porę, nie ryzykować porażki w I rundzie z kimś nie znanym. To może wydawać się żałosne. Tłumaczę wtedy, że starzy mistrzowie nie grają wyłącznie po to, żeby wygrać. Oni się już nawygrywali i teraz wychodzą na kort dla przyjemności.

– To zależy. Niektórzy nie bardzo umieją robić coś innego. Grozi im, że po zakończeniu kariery zostaną trenerami. A oni tego nienawidzą. Uważają to za najgorszy możliwy koniec. Gdyby pan zapytał Fibaka dziesięć lat temu: – Wojtek, co będziesz robił, gdy zakończysz karierę, czy chcesz wrócić do Poznania i zostać trenerem?, to on by panu odpowiedział, że to jest gorsze niż śmierć.

– Na koniec mam pytanie, które często zadaję moim rozmówcom, chodzi mi bowiem o przyszłość polskiej młodzieży tenisowej. Pan ma dwie córki-juniorki, co pan radzi takiej młodzieży: więcej trenować, dźwigać ciężary, jeździć na rowerze jak Lendl, rzucić szkołę, poświęcić się całkowicie sportowi bądź nie budować swoich nadziei na tak wątłych przesłankach jak kilka wygranych turniejów?

– Pierwszy warunek jest taki, że dziecko musi lubić grać w tenisa, musi mu to sprawiać przyjemność. Inaczej nic z tego nie będzie. Jeżeli ten warunek jest spełniony, to mam tylko jedną radę: jak najwięcej startów, jak najwięcej gry w turniejach. Treningi swoją drogą, ale to nie to samo, co gra na punkty pod presją, że jak przegra to odpadnie. Nic tak nie uczy jak porażka. Lendl przegrał w ubiegłym tygodniu z Nystroemem i dzięki temu nauczył się więcej, niż gdyby trenował dwa tygodnie. Nauczył się grać z Nystroemem i tutaj już z nim wygrał. Kiedy ja grałem w tenisa, moim przyjacielem był Rod Laver (zwycięzca z Wimbledonu w latach 1961 i 1968, pierwszy tenisista milioner). Byliśmy rywalami i rówieśnikami. Kiedy mieliśmy 18 lat, graliśmy ze sobą trzy razy, ja wygrałem dwukrotnie, on raz. Ja byłem wtedy jednym z najlepszych juniorów na świecie. Tego roku nasze drogi rozeszły się. Ja wstąpiłem na Uniwersytet Yale, a Rod wrócił do Australii i brał udział w rozgrywkach Pucharu Davisa na całym świecie. Kiedy obaj mieliśmy po 22 lata, on był najlepszy na świecie, a ja 23 w Ameryce. Trening jest ważny, ale starty są ważniejsze. ■

DANIEL PASSENT

NASTĘPNY ODCINEK W NUMERZE 8/89

ROBERT DE NIRO

FILM FESTIVAL

prezentują
Janusz Dorosiewicz i Arnon Milchan

organizatorzy
„Film Polski" Ltd.
Centrala Dystrybucji Filmów
Okręgowe Instytucje Rozpowszechniania Filmów
w Warszawie, Krakowie i Katowicach
Dyskusyjny Klub Filmowy „Hybrydy"
Warszawski Tydzień Filmowy

KOMITET ORGANIZACYJNY
Przewodniczący
Gustaw Holoubek — Andrzej Wajda

członkowie
Zygmunt Brzeziński, Marian Celejewski, Karol Drozd,
Ewa i Wojtek Fibak, Jacek Grabowski,
Roman Gutek, Wiktor Krasowicki,
Andrzej Roman, Teresa Strykier, Józef Węgrzyn
Andrzej Wójtowicz, Janusz Zaporowski, Adam Zawistowski

oraz
Robin Chambers, Meir Teper

Warszawa 1989

2

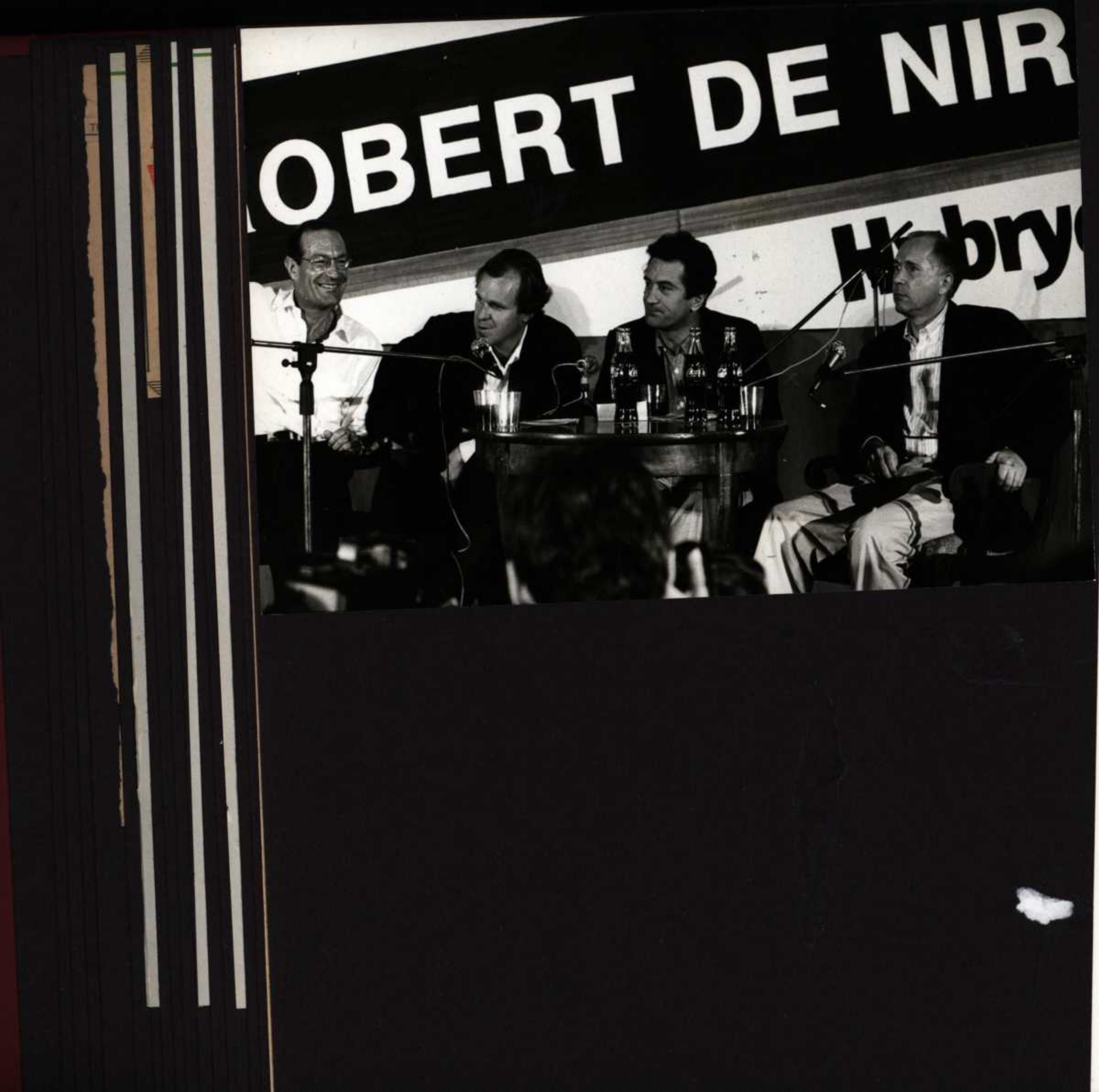
OBERT DE NIR











Po 50 latach znów w Ojczyźnie

Zapowiada się ciekawa wizyta

Świat zmienia się coraz szybciej. Pękają ideologiczne okowy i coraz silniejsze stają się motywacje narodowe. — „Dla mnie to, co dzieje się w Polsce, jest absolutnie fascynujące. Nie wiem, czy istnieje gdzieś teraz na kuli ziemskiej miejsce równie ciekawe i ważne" — powiedział Czesław Miłosz w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" (nr 103).

Fascynacja udziela się również wielu innym rodakom na co dzień zamieszkującym daleko od kraju nad Wisłą. Jednym z nich jest dwukrotny zawodowy mistrz świata w tenisie, dziś globtroter, biznesmen i kolekcjoner obrazów, czyli Wojciech Fibak.

Latem wraz z żoną i córkami, dwa tygodnie wypoczywał w rodzinnym Poznaniu, grał w tenisa z młodzieżą. Pokazał się też na tenisowych mistrzostwach Polski rozgrywając ciekawą partię pokazową z utalentowanym Lechem Sidorem. Kilka tygodni później sensacja stał się przyjazd sławnego amerykańskiego aktora Roberta De Niro, któremu towarzyszył Wojtek i jego bliski przyjaciel z Kanady Janusz Dorogiewicz. Rzecz jest zupełnie świeża, gwiazdora filmowego pełno jeszcze w telewizji i na łamach gazet, a już szykuje się nowa bomba.

Oto co wczoraj usłyszałem w słuchawce telefonicznej. Dzwonił z Paryża Wojciech Fibak.

— Mówiłem ci kiedyś, że jednym z moich sąsiadów w Greenwich, koło Nowego Jorku, jest HENRYK DE KWIATKOWSKI. Mieszkamy o kilka minut jazdy samochodem. Nasze posiadłości graniczą ze sobą. Jest milionerem, którego fortunę można porównać z majątkiem Barbary Piaseckiej-Johnson. We wrześniu 1939 walczył z hitlerowcami. Jako żołnierz opuścił Polskę. Teraz, po 50 latach, postanowił odwiedzić rodzinne strony. Przylatuje za parę dni własnym samolotem w towarzystwie nowej, młodej żony i pięciorga dzieci. Oczywiście będziemy z Ewą na pokładzie. W programie stolica, spotkanie z Lechem Wałęsą w Gdańsku (10 października), no, i pobyt w Wielkopolsce. Sam się przekonasz, to wyjątkowy facet.

Dostawszy zgodę na przekazanie tej sensacji do publicznej wiadomości przewertowałem archiwum. W tygodniku polonijnym „Alfa" już w styczniu napisano, że de Kwiatkowski wakacje roku 1989 chce spędzić w Polsce. Jest posiadaczem całej flotylli „Boeingów", zaś siedziba firmy mieści się w Rockefeller Center na Manhattanie. „Kwiatkowski Aircraft" to połowa biznesu, drugą stanowią konie. Miłość do koni wyniósł z domu rodzinnego. Podobne opinie wyraził O. Budrewicz (w „Perspektywach").

W Wielkopolsce pan Henryk nie będzie tylko odpoczywał. Na pewno zainwestuje jakieś pieniądze w nowe przedsięwzięcia. Wstępnie złożył deklarację o ufundowaniu sprzętu medycznego dla jednego z poznańskich szpitali. Dewizą de Kwiatkowskiego jest następujące motto: harówka jest niezbędna, żeby z dziesięciu milionów zrobić sto.

A mnie się wydaje, że najtrudniej zarobić pierwszy milion. Wszystko zależy od punktu startowego.

St. GARCZARCZYK



Amerykański milioner

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Henryk D. Kwiatkowski godzi się na pięć minut dla dziennikarzy:

● Dlaczego pan przyjechał?

— Głównie z sentymentu, chęci kontaktu z krajem, mówienia po polsku. (Później dowiem się, że być może sentyment zaowocuje też biznesem, ale jeszcze za wcześnie, aby o tym mówić).

● Czy dzieci mówią po polsku.

— Już niestety nie.

● W Gdańsku spotkał się pan z Lechem Wałęsą, o czym rozmawialiście?

— W czymkolwiek chce, znajdzie Wałęsa we mnie partnera.

● Podobno pańska dewiza to: kobiety, konie i sport?

— I jeszcze dzieci.

● Jak robi się duże pieniądze?

— To nie stało się z dnia na dzień, wiele pracowałem.

Istotnie, Henryk D. Kwiatkowski zaczynał od małego, dochodząc do fortuny. Dzisiaj jest jednym z największych w Stanach pośredników w sprzedaży samolotów. Przy zarobieniu pierwszego miliona pomogły mu nie tylko kwalifikacje, ale i przysłowiowy łut szczęścia. Do tego ciekawego i nietuzinkowego życiorysu jednak jeszcze wrócimy.

Na razie Wojciech Fibak po mistrzowsku wyrwał gościa z rąk dziennikarzy, zawołał do hotelu „Poznań", w którym wynajętych zostało kilka apartamentów. Tam udało nam się jeszcze chwilę porozmawiać. Nieocenioną pomocą przy zdobywaniu informacji służył nam były asystent H. D. Kwiatkowskiego Janusz Hevelt.

Henrykowi Kwiatkowskiemu i jego rodzinie niewiele zostało czasu na odpoczynek w hotelu. Wieczorem udawali się na uroczystą kolację do państwa Fibaków. Podobno w menu, na specjalne życzenie znalazła się zupa pomidorowa i owocowa, pieczeń z kością i szarlotka.

Dzisiaj rano H. Kwiatkowski odwiedził Szpital Raszei, dla którego ufundował gastrofibroskop - urządzenie do badania żołądka. Przedpołudnie spędzi w stadninie koni w Iwnie, skąd przyjedzie do poznańskiego Ratusza na spotkanie z władzami miasta. Odwiedzi również Dom Polonii.

Henryk D. Kwiatkowski jest poznaniakiem z pochodzenia, choć niewiele spędził w naszym mieście czasu. To pierwsze odwiedziny kraju po 50 latach są dla niego wielkim przeżyciem. Pora Warsza-

Henryk D. Kwiatkowski z rodziną i Wojciechem Fibakiem na stopniach samolotu.

Fot. A. Szozda



Henryk D. Kwiatkowski – człowiek któremu się udało

Amerykański milioner rodem z Poznania

Na ławicy spora grupa osób z niecierpliwością oczekuje spóźnionego mocno samolotu charterowego z Gdańska. Wreszcie jest.

Obok Wojciecha Fibaka wysiada z niego Henryk D. Kwiatkowski z rodziną — żoną i pięciorgiem dorosłych dzieci.

Ten szczupły, elegancki pan uważany jest za jednego z najbogatszych Polaków na świecie. A jak dowiadujemy się z tzw. dobrze poinformowanego źródła — w Stanach Zjednoczonych stawia się go na drugim miejscu pod względem majątku, po Barbarze Piaseckiej — Johnson.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Rok XLIII Nr 199

Dar Henryka de Kwiatkowskiego

32 tys. dolarów dla szpitala im. F. Raszei



Podczas zwiedzania sal poznańskiego Ratusza.

Fot. R. Królak

Od kilku dni gość w Polsce Henryk de Kwiatkowski, Polak z pochodzenia, urodzony w Poznaniu, Amerykanin z wyboru. Wyemigrował w 1939 roku. Na obczyźnie dorobił się fortuny: jest jednym z najbogatszych Polaków żyjących poza granicami kraju.

Przedwczoraj wylądował na poznańskiej Ławicy wraz z rodziną i Wojciechem Fibakiem, który jest jego przyjacielem i przewodnikiem po Polsce. Zapytany o cel podróży do kraju powiedział: przyjechałem tu dla was, Polaków, chciałem także moim dzieciom pokazać Polskę, bo przecież oni są także Polakami.

W Gdańsku Henryk de Kwiatkowski rozmawiał z Lechem Wałęsą. Głównie o interesach, jak sam powiedział, nie ujawnił jednak szczegółów.

Wczoraj rano gość z Ameryki był w szpitalu im. Franciszka Raszei. Na konto banku w Tokio przekazał 32 tysiące dolarów, za które zostanie zakupiona aparatura do badań przewodu pokarmowego. Będzie to wysokiej klasy, japoński gastrofibroskop, służący pacjentom poznańskiego szpitala.

Także wczoraj goście odwiedzili stadninę koni w Iwnie, bowiem Henryk de Kwiatkowski jest miłośnikiem koni, a nasze cieszą się na świecie doskonałą sławą. Spotkali się także z członkami Towarzystwa „Polonia". Był gościem wiceprezydenta Poznania Lucjana Majewskiego z rąk którego otrzymał symboliczny klucz do miasta.

Po południu goście odlecieli do Majdanka. Dzisiaj żegnają Polskę. (hc)

W ojczystym kraju

Dar H. Kwiatkowskiego dla poznańskiego szpitala

INFORMACJA WŁASNA



H. Kwiatkowski wpisuje się do Księgi Pamiątkowej w poznańskim Ratuszu.

Fot. „Głos" – R. Królak

Przebywający w Poznaniu amerykański milioner polskiego pochodzenia Henryk Kwiatkowski wraz z małżonką Barbarą i pięciorgiem swych dorosłych dzieci wczoraj wpisał się do księgi pamiątkowej poznańskiego Ratusza. Z rąk wiceprezydenta Poznania Łucjana Majewskiego odebrał symboliczny klucz do bram miasta.

Wczorajszy dzień pobytu w Poznaniu H. Kwiatkowskiego oraz Wojciecha Fibaka (H. Kwiatkowski przybył do Polski na jego zaproszenie) należał do obfitujących w spotkania. Rano gość przekazał w szpitalu im. F. Raszei czek na zakup aparatury medycznej. W Iwnie oglądał stadninę koni których jest miłośnikiem. Do niezwykle interesujących i spontanicznych należało spotkanie obydwu znakomitości wraz z towarzyszącymi osobami w I Liceum Ogólnokształcącym. Młodzież zadawała gościom wiele pytań. Również spotkanie w Domu Polonii dostarczyło wrażeń. H. Kwiatkowski określił je jako niezwykle serdeczne.

W godzinach wieczornych goście udali się do Warszawy a stamtąd pojadą do Krakowa i Oświęcimia.

Głównym celem pobytu H. Kwiatkowskiego w Polsce było pokazanie najbliższej rodzinie jego kraju rodzinnego. (bg)



Henryk de Kwiatkowski wręcza na ręce prof. Jana Fibaka czek dla Szpitala Raszei na zakup specjalistycznej aparatury. Fot. A. Szozda

Podróż sentymentalna Henryka de Kwiatkowskiego

Niewiele pamiętam z Poznania

WCZORAJ po południu samolotem typu Challenger odleciał z Poznania Henryk de Kwiatkowski, dziś już legenda światowego biznesu, poznaniak z urodzenia, któremu udało się wejść do grona najbogatszych ludzi świata.

Gość odwiedził Szpital Raszei, w którym na ręce prof. Jana Fibaka przekazał czek wysokości 35 tys. dolarów na zakup zestawu aparatury do badania żołądka i jelit.

Trudno było Henryka de Kwiatkowskiego wyciągnąć ze stadniny koni w Iwnie, gdyż jak sam twierdzi — obok kobiet, biznesu, spor-

tu i dzieci, to jedna z jego pasji, na której potrafi te zarobić sporo pieniędzy.

W Poznaniu spotkał się również z młodzieżą I LO nietrudno zgadnąć, że zaprowadził go tam towarzyszący mu Wojciech Fibak absolwent „Marcinka".

(Ciąg dalszy na str. 3)

Czwartek, 12. X. 19
PL ISSN 0137-9100

Rok XLIII Nr 199 Cena 100 zł

EXPRESS POZNAŃSKI

Czwartek, 12. X. 1989 r. Wyd. 1
PL ISSN 0137-9100 Nr indeksu 32011

le Kwiatkowskiego
rów
im. F. Raszei



nańskiego Ratusza.

Fot. R. Królak

Polsce obczyźnie dorobił się fortuny: Polak jest jednym z najbogatszych Po- Poz- laków żyjących poza granicami yboru. kraju.
u. Na Przedwczoraj wylądował na poznańskiej Ławicy wraz z rodziną i Wojciechem Fibakiem, który jest jego przyjacielem i przewodnikiem po Polsce. Zapytany o cel podróży do kraju powiedział: przyjechałem tu dla was, Polaków, chciałem także moim dzieciom pokazać Polskę, bo przecież oni są także Polakami.

W Gdańsku Henryk de Kwiatkowski rozmawiał z Lechem Wałęsą. Głównie o interesach, jak sam powiedział, nie ujawnił jednak szczegółów.

Wczoraj rano gość z Ameryki był w szpitalu im. Franciszka Raszei. Na konto banku w Tokio przekazał 32 tysiące dolarów, za które zostanie zakupiona aparatura do badań przewodu pokarmowego. Będzie to wysokiej klasy, japoński gastrofibroskop, służący pacjentom poznańskiego szpitala.

Także wczoraj goście odwiedzili stadninę koni w Iwnie, bowiem Henryk de Kwiatkowski jest miłośnikiem koni, a nasze cieszą się na świecie doskonałą sławą. Spotkał się także z członkami Towarzystwa „Polonia". Był gościem wiceprezydenta Poznania Lucjana Majewskiego z rąk którego otrzymał symboliczny klucz do miasta.

Po południu goście odlecieli do Majdanka. Dzisiaj żegnają Polskę. (hc)

jczystym kraju

tkowskiego dla poznańskiego szpitala

INFORMACJA WŁASNA



uje się do Księgi Pamiątkowej w poznańskim Ratuszu.

Fot „Głos" – R. Królak

w Poznaniu amerykański milioner polskie- Henryk Kwiatkowski wraz z małżonką Bar- em swych dorosłych dzieci wczoraj wpisał amiątkowej poznańskiego Ratusza. Z rąk Poznania Łucjana Majewskiego odebrał ez do bram miasta.

ń pobytu w spotkaniu w I Liceum Ogólno- atkowskiego kształcącym. Młodzież zada- Fibaka (H. wała gościom wiele pytań. był do Pol. Również spotkanie w Domu szenie) nale- Polonii dostarczyło wrażeń. H. h w spotka- Kwiatkowski określił je jako przekazał w niezwykle serdeczne. szej czek na W godzinach wieczornych medycznej, goście udali się do Warszawy stadninę ko- a stamtąd pojadą do Krakomiłośnikiem. wa i Oświęcimia. terésujących Głównym celem pobytu H. h należało Kwiatkowskiego w Polsce było znakomito- pokazanie najbliższej rodzi- yższącymi o- nie jego kraju rodzinnego. (bc)



Henryk de Kwiatkowski wręcza na ręce prof. Jana Fibaka czek dla Szpitala Raszei na zakup specjalistycznej aparatury. Fot. A. Szozda

Podróż sentymentalna
Henryka de Kwiatkowskiego

Niewiele pamiętam z Poznania

WCZORAJ po południu samolotem typu Challenger odleciał z Poznania Henryk de Kwiatkowski, dziś już legenda światowego biznesu, poznaniak z urodzenia, któremu udało się wejść do grona najbogatszych ludzi świata.

Gość odwiedził Szpital Raszei, w którym na ręce prof. Jana Fibaka przekazał czek wysokości 35 tys. dolarów na zakup zestawu aparatury do badania żołądka i jelit.

Trudno było Henryka de Kwiatkowskiego wyciągnąć ze stadniny koni w Iwnie, gdyż jak sam twierdzi — obok kobiet, biznesu, sportu i dzieci, to jedna z jego pasji, na której potrafi też zarobić spore pieniądze.

W Poznaniu spotkał się również z młodzieżą I LO i nietrudno zgadnąć, że zaprowadził go tam towarzyszący mu Wojciech Fibak, absolwent „Marcinka".

(Ciąg dalszy na str. 3)

Niewiele pamiętam z Poznania

(Ciąg dalszy ze str. 1)

W Ratuszu wiceprezydent Lucjan Majewski wręczył Henrykowi de Kwiatkowskiemu symboliczny klucz do miasta, mówiąc że bramy Poznania są dla niego zawsze otwarte.

W drodze z Ratusza do Domu Polonii Henryk de Kwiatkowski przyglądał się otoczeniu jakby z pewnym wzruszeniem.

● **Czy pamięta pan Poznań? — zapytałam.**

— Niewiele, wyjechałem stąd jako dziecko. Utrwaliły się jednak w pamięci pojedyncze obrazy — właśnie Ratusz, kamienice.

W Domu Polonii powitano gościa chlebem i solą. Bardzo spodobała się kapela ludowa i sam budynek, określony przez Henryka de Kwiatkowskiego jako przytulny. W sali z portretami wielkich Polaków sam objaśniał dzieciom kim oni byli.

Dzisiaj amerykański milioner odwiedzi Oświęcim, w piątek odlatuje do Stanów Zjednoczonych.

Jak ocenili towarzyszący mu — w pierwszej od 50 lat podróży do ojczyzny — program pobytu był wręcz morderczy. Ponad jedenaście godzin na co dzień — bez chwili wytchnienia, szybko, zawsze pełen emocji.

O tej barwnej, legendarnej już postaci więcej będą mogli dowiedzieć się nasi czytelnicy z jego wspomnień.

I. CZ

ZNANI i NIEZNANI

Podróż do Polski nie tylko sentymentalna

Na podróż do Polski namówił go, jak twierdzi, Wojtek Fibak. Mieszka z nim po sąsiedzku w Stanach Zjednoczonych i przyjaźni się. Od pięćdziesięciu lat nie był w kraju. Pół wieku w życiu człowieka to krok w smugę cienia. Dlaczego dopiero teraz zdecydował się przyjechać? Bo teraz jest sprzyjający okres.

Przywiózł swoją piękną, młodą żonę i swoje dorosłe dzieci, aby zobaczyli skąd pochodzi. Przylecieli z Paryża, zaliczyli już Warszawę i Gdańsk. W klapie granatowej marynarki biznesmena Henryka Kwiatkowskiego lśni plakietka „Solidarności". Bardzo chciał się zobaczyć z Lechem Wałęsą. Fascynuje go. Wałęsa zachęcał do zainwestowania kapitału:

— *Bądźmy partnerami* — zaproponował.

— Zgoda — odpowiedział.

Ale teraz, na poznańskim lotnisku zapewnia, że żadnych transakcji załatwiał nie będzie. Przyjazd jest prywatny. Wyłącznie. Czy bisnesmen potrafi nie myśleć o interesach? Ponoć dojrzewa zamysł otwarcia wypożyczalni samolotów w Polsce na całą Europę Wschodnią. A oprócz tego chciałby przebudowywać samoloty radzieckie, wymieniać w nich silniki na te od Boeinga i DC, dodać silnik do polskiego śmigłowca, który przez to będzie nowocześniejszy. Nie chce na ten temat mówić. Czy to się uda? Dotąd wszystko, co zaplanował, udawało mu się.

+

W rejestrze najbogatszych Polaków w Stanach Zjednoczonych wyprzedza go tylko Barbara Piasecka — Johnson. Ale w „branży", wśród biznesmenów zajmujących się sprzedażą i wypożyczaniem samolotów jest pierwszy nie tylko w Ameryce, ale i w świecie. Jego przedsiębiorstwo — Kwiatkowski Aircraft LTD dysponuje 200 maszynami.

Ludzie z różnych stron Polski, noszący to samo nazwisko, piszą do niego, doszukując się pokrewieństwa i często pytają w listach, czy w Ameryce łatwo się dorobić?

— *Łatwo* — odpowiada — *pod warunkiem, że ma się coś do zaoferowania, otwartą głowę i ciężko pracuje.*

Jest tego najlepszym przykładem. Poznaniak z urodzenia, w 1939 roku znalazł się na terenach zajętych przez Związek Radziecki. Jego losy potoczyły się podobnie jak wielu Polaków: z armią Andersa, poprzez Bliski Wschód, dotarł do Anglii. Po wojnie, rozpoczął studia w Cambridge na Wydziale Inżynierii Lotniczej. Skończył też szkołę pilotażu. Znaczącym interesem, który pozwolił mu zaistnieć na rynku, było pośrednictwo w sprzedaży samolotów między Brazylią i Argentyną. Wcześniej miał już na swoim koncie lata pracy w Kanadzie i Ameryce, i szereg patentów zastosowanych w lotnictwie.

Janusz Hevell był przez parę lat asystentem H. Kwiatkowskiego. Zapytany, jak się mu pracowało z mistrzem biznesu, odpowiedział:



Henryk Kwiatkowski (z prawej) otrzymuje symboliczny klucz do bram Poznania.

Fot „Głos" – R Królak

— *Ciężko. Po czternaście godzin na dobę, w pełnej mobilizacji intelektualnej, bo szef zaskakiwał coraz to nowymi pomysłami, nigdy nie był zmęczony i takiej kondycji żądał od personelu. Czasem, traciłem już rozeznanie, gdzie Rzym a gdzie Tokio, i gdyby mnie ktoś spytał o adres mego zamieszkania, to musiałbym się zastanowić.*

Widać, owocna to musiała być współpraca, skoro dawny asystent cieszy się przyjaźnią milionera i razem z nim przyjechał do Polski.

+

Ma opinię człowieka, który potrafi czerpać z życia jego uroki. Mówi się, że kocha kobiety, konie i dzieci. Pięcioro dorosłych dzieci przywiózł do Poznania. Z dumą podkreśla, że wszystkie studiują i są ciekawe Polski. Niestety, nie mówią po polsku. Żona, Amerykanka, też nie.

Konie to jego wielka miłość. Ma stadninę wysokiej klasy, znaną w świecie. Jego ogiery i klacze startują we wszystkich znacznych wyścigach i zbierają nagrody. Na koniach, owszem, też robi się biznes, ale nie dlatego je ma. Przy takim zainteresowaniu zrozumiałe, że pojechał do Iwna, obejrzeć konie. Ale wcześniej był w poznańskim Szpitalu im. F. Raszei, gdzie podarował czek na zakup nowoczesnej aparatury medycznej. Ponoć wyraził życzenie, aby salę, w której znajdzie się aparatura, nazwać jego imieniem i nazwiskiem.

+

Pytamy o receptę na ekonomiczne kłopoty kraju, nie przeczy, że potrzebne są zachodnie kapitały — kredyty, lecz za najpotrzebniejsze uważa zmieniony sposób gospodarowania i pracy. A warunkiem właściwego wykorzystania obcych kredytów czy kapitałów jest choćby szkolenie polskich specjalistów.

— *Pojadą, zobaczą* — mówi — *i nauczą się, potem będą po nowemu pracowali.* Milionerowi, a właściwie multimilionerowi wypada wierzyć.

+

Po poznańskim Starym Rynku jak zauroczeni chodzą Konrad i Stefan Kwiatkowscy — juniorzy. Mówią, że jest tu pięknie.

BARBARA GRZEGORZEWSKA



...ży samolotów między ...lią i Argentyną. Wcześ... ...niał już na swoim kon... ...ta pracy w Kanadzie i ...rce, i szereg patentów za... ...anych w lotnictwie.
...sz Hevell był przez pa... ...asystentem H. Kwiat... ...iego. Zapytany, jak się ...acowało z mistrzem biz... ...odpowiedział:

znaną w świecie. Jego ogiery i klacze startują we wszystkich znacznych wyścigach i zbierają nagrody. Na koniach, owszem, też robi się biznes, ale nie dlatego je ma. Przy takim zainteresowaniu zrozumiałe, że pojechał do Iwna, obejrzeć konie. Ale wcześniej był w poznańskim Szpitalu im. F. Raszei, gdzie podarował czek

Podróż do Polski ...ie tylko sentymentalna



...k Kwiatkowski (z prawej) otrzymuje symboliczny klucz do bram Poznania.
Fot „Głos" – R. Królak

...ięzko. Po czternaście ...na dobę, w pełnej mo... ...i intelektualnej, bo ...skakiwał coraz to no... ...pomysłami, nigdy nie ...ęczony i takiej kondy... ...l od personelu. Czasem, ...a już rozeznanie, gdzie ...a gdzie Tokio, i gdyby ...toś spytał o adres me... ...ieszkania, to musiał... ...ę zastanowić.
...ć, owocna to musiała ...półpraca, skoro dawny ...cieszy się przyjaźnią ...ra i razem z nim przy... ...o Polski.

+

...pinię człowieka, który ...czerpać z życia jego ...ówi się, że kocha ko... ...onie i dzieci. Pięcioro ...ch dzieci przywiózł do ...a. Z dumą podkreśla, ...stkie studiują i są cie... ...olski. Niestety, nie mó... ...polsku. Żona, Amery... ...też nie.
... to jego wielka miłość. ...dning wysokiej klasy,

na zakup nowoczesnej aparatury medycznej. Ponoć wyraził życzenie, aby salę, w której znajdzie się aparatura, nazwać jego imieniem i nazwiskiem.

+

Pytamy o receptę na ekonomiczne kłopoty kraju, nie przeczy, że potrzebne są zachodnie kapitały — kredyty, lecz za najpotrzebniejsze uważa zmieniony sposób gospodarowania i pracy. A warunkiem właściwego wykorzystania obcych kredytów czy kapitałów jest choćby szkolenie polskich specjalistów.

— *Pojadą, zobaczą* — mówi — *i nauczą się, potem będą po nowemu pracowali.* Milionerowi, a właściwie multimilionerowi wypada wierzyć.

+

Po poznańskim Starym Rynku jak zauroczeni chodzą Konrad i Stefan Kwiatkowscy — juniorzy. Mówią, że jest tu pięknie.

BARBARA GRZEGORZEWSKA





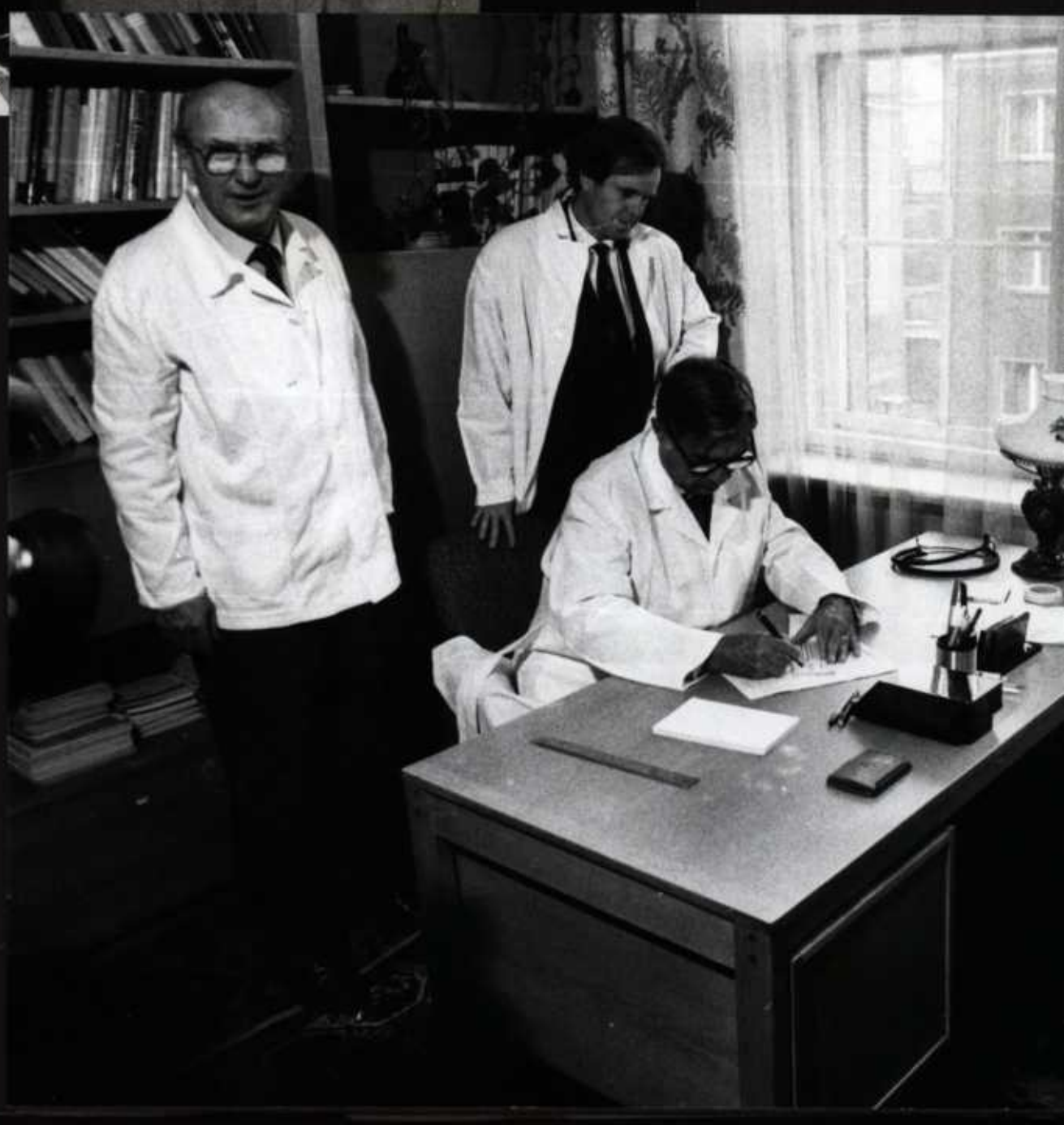



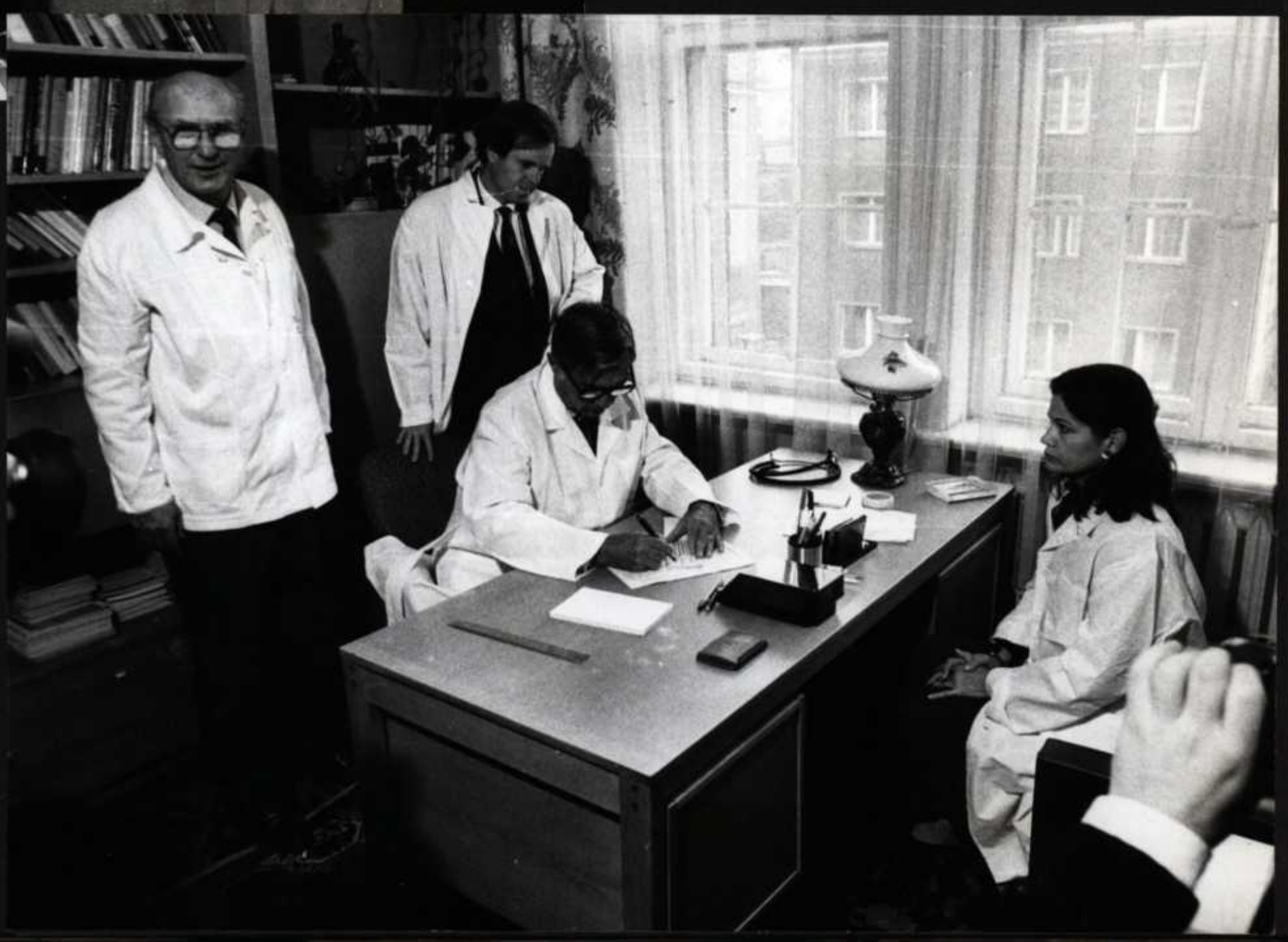









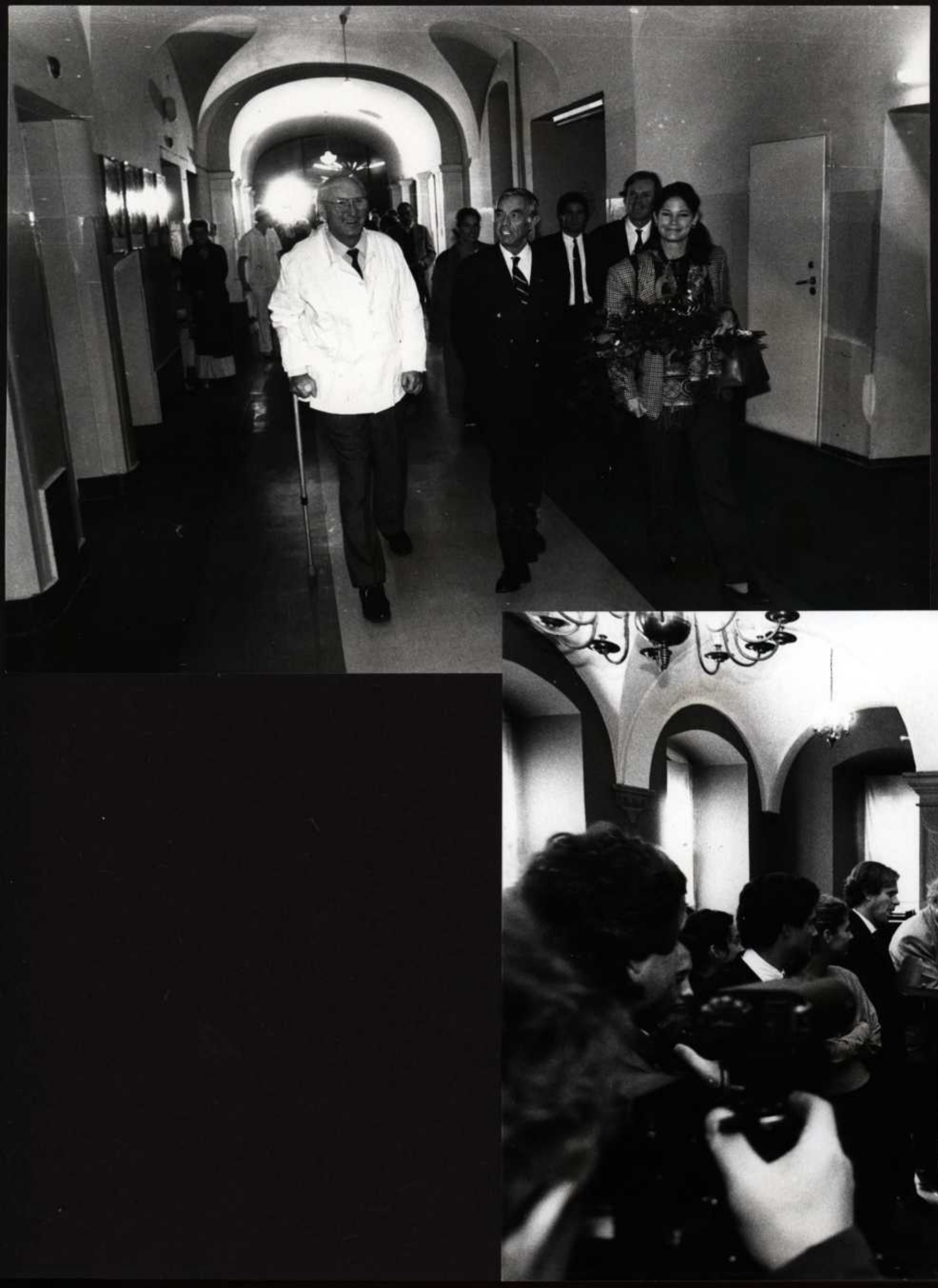





...CENTRALA, PROSZĘ MIASTO

ŁOWCA JELENI

JANUSZ ATLAS

Zapowiedź przyjazdu do Polski sławnego i obsypywanego zaszczytami amerykańskiego gwiazdora filmowego Roberta de Niro była przyjemną niespodzianką, bo coraz częściej, niestety, odnoszę wrażenie, że żyjemy na planecie obokziemskiej, zawieszonej w powietrzu, poza normalnym życiem. Gdzieś tam ludzie bawią się i radują, chodzą na przyjęcia i koncerty, czytają dobre książki, słuchają płyt kompaktowych Michaela Jacksona, Madonny i kolekcjonują wszystkie nagrania nieboszczyka von Karajana, jeżdżą na wakacje do Hiszpanii i do obiadu z rybą piją prawdziwe białe wino wytrawne. My na te wszystkie życiowe przyjemności możemy sobie popatrzeć raz na tydzień via satelita w telewizyjnym programie pod znamiennym tytułem „Bliżej świata". Właśnie „bliżej", ale nie „w świecie". I oto przyjeżdża de Niro, bohater paru znaczących filmów, nie bardzo podobny do bohaterów tych obrazów, które święcą sukcesy w rankingach wypożyczalni wideo. Żaden tam Rambo czy inny Schwarzenegger, tylko artysta naprawdę z pierwszej półki.

W zgodzie z od dawna przyjętą konwencją de Niro nie przyjechał oficjalnie, nie na zaproszenie zainteresowanego resortu czy instytucji kulturalnej (np. dyrekcji gdańskiego festiwalu filmowego z siedzibą w Gdyni), tylko nieoficjalnie, „podziemnie", dzięki wyobraźni Romana Gutka, szefa DKF „Hybrydy", animatora-pirata sztuki filmowej w naszym kraju. Za Gutkiem nikt nie stoi, nikt go nie popiera, nikt mu nawet mieszkania nie dał „z puli" i pewnie dlatego jest to człowiek najzupełniej normalny.

No i Gutek zapragnął pokazać Roberta de Niro na żywo i w kolorze, a przy okazji także parę jego filmów, które nie mają szans na prezentację w tzw. szerokim rozpowszechnianiu, bo kosztowałoby to majątek, w dolarach zresztą.

Jak dziś już wiemy, udanych mediacji z artystą podjął się pan Janusz Dorosiewicz, właściciel – zdaje się – sklepu ze sprzętem sportowym w Toronto, osobisty przyjaciel Fibaka i znacząca postać powieści Daniela Passenta „To jest moja gra!", w której autor zajmuje się z pasją badacza opisem środowiska naturalnego sławnego polskiego tenisisty, robiącego dobre interesy w szerokim świecie.

No i wszystko pięknie się udało. Odbył się specjalny festiwal. Dotarły kasety z filmami, ukazał się drukiem interesujący katalog, a oprócz zaproszonego artysty zjechali również nie zaproszeni, ale zawsze mile widziani: Wojciech Fibak i Roman Polański.

De Niro na żywo wygląda tak, jak należało się spodziewać, czyli normalnie, ale to jest właśnie nienormalne. Prawdziwy gwiazdor, tak nam się zdaje, powinien mieć nierówno pod sufitem, chodzić w ekstrawaganckich kapeluszach, urządzać happeningi i w ogóle bez przerwy absorbować swoją obecnością. Tymczasem de Niro wygląda i zachowuje się jak turysta. Marynareczka, walizeczka, w walizeczce krawacik, ale nie do wiązania pod szyją, tylko od parady. Dostojnego gościa powitano ze staropolską gościnnością, co musiało mu sprawić przyjemność, ale też na klęczkach, co z kolei zadziwiło i tego zadziwienia nawet tak dobry aktor nie bardzo umiał kryć. Całej tej defiladzie przyglądałem się z dalszego rzędu, podobnie jak – będąc uczniem – wizycie niezapomnianego przywódcy dzielnego narodu mongolskiego Dżumdżagijna Cedenbała. Rozumiem, że gościa po trudach podróży trzeba gdzieś położyć i najlepiej w dobrym, nie zaplusk wionym hotelu. Rozumiem, że trzeba dać smacznie zjeść i nawet coś do popicia, ale po cholerę te modły, to bicie głowami o ziemię w pozycji na klęczkach?!



...de Niro na żywo wygląda tak, jak należało się spodziewać, czyli normalnie, ale to jest właśnie nienormalne

Nagle dowiedziałem się, że artysta ma program zajęć w Polsce niezmiernie napięty, bo z Warszawy koniecznie trzeba go przetransportować do Gdańska na spotkanie z Wałęsą. Aha! Szykuje się film, superprodukcja o elektryku ze stoczni, który niekoniecznie jest osobą prywatną. A tymczasem nic z tych rzeczy. De Niro chciał poznać Lecha, jak to Amerykanin Polaka. Jak Polak Mongoła, że raz jeszcze przypomnę postać mojego ulubionego polityka z czasów dzieciństwa. No i dobrze. Zastanawiam się tylko, czy Wałęsę muszą osobiście znać wszyscy, którzy coś tam w wielkim świecie robią pożytecznego? Czy, jeśli przyjedzie do Polski kiedyś cyrk Barnuma, ponoć najwspanialszy, to koniecznie Lechu będzie musiał pozować do zdjęcia z czarną panterą?

Żyjemy ponoć, jak to mówią, w wolnym kraju, więc po każdej wizycie kogoś sławnego z zagranicy zadaję sobie na nowo to samo pytanie... nie o de Niro zresztą chodzi, ale o towarzyszącą mu świtę. Kiedy w końcu doszło do pozowania przed obiektywem, senatorzy przepychali się, jeden przez drugiego, jak w kolejce przed „Polmozbytem" – gdy rzucili akurat opony do „malucha". No, a najśmieszniejszy był Fibak, zepchnięty przez artystów za plecy Wałęsy, więc na oficjalnej fotce uwidoczniony z wyciągniętą szyją i żeby się nie obalić, trzymający drogocenną dłoń na barku przewodniczącego. Zaraz podniósł się krzyk w narodzie: A czyja to łapa przytrzymuje Lecha? Nie pozwolimy! Precz z łapami! Nie ma powrotu do sytuacji sprzed 4 czerwca!

Pod Warszawą urządzony został za prywatną forsę wielki raut na cześć Roberta de Niro. Zleciały się małpiątka z całej metropolii, wyfiokowane jak nigdy. Dostojny gość przybył w trampkach, za to bez skarpetek. Po godzinie powiedział do kogoś wyglądającego sympatycznie: „Ale tu nudno. Może poszlibyśmy do dyskoteki? Chyba macie na tej prowincji jakąś dyskotekę...?".

TÊTE D'AFFICHE

YANNIC

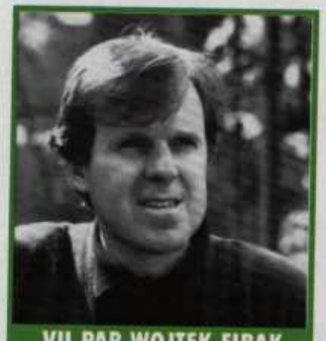

VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate, à laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A 37 ans, après une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller notamment Lendl et Leconte, Fibak est considéré dans le monde entier comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien les champions dont il parle. Pour les avoir souvent affrontés sur le court. Mais aussi pour les côtoyer en coulisses. Voici donc, ajoutées aux grandes lignes du palmarès, au « résumé technique » des posters précédents, quelques confidences faites sur les joueurs par Wojtek Fibak. Elles ne trahissent ni la vie privée, ni la discrétion qu'imposerait l'amitié. Mais elles constituent un précieux témoignage, fait de détails inédits qui aident à mieux connaître l'homme qui se cache derrière le champion. Ce mois-ci, Yannick Noah.

Points forts

Le service

C'est le plus beau service du tennis (et de tous les temps) et aussi le plus efficace avec celui de McEnroe. Son rythme est idéal. Il frappe la balle aussi bien à plat que slicé. Yannick frise la perfection dans ce domaine.

La présence physique

Yannick est partout. Il plonge. Il saute. Il est toujours en action.

Le jeu de jambes

Il possède l'art de la glisse sur terre battue.

Le toucher de balle

Noah possède un grand talent pour les choses difficiles, comme tous les coups en toucher (amorties, stop-volées, lobs...)

Le smash

Avec Cash, le meilleur de tout le circuit.

La combativité, la volonté

Grâce à ces qualités, il s'est maintes fois sorti de situations impossibles.

La volée

Solide en coup droit et en revers.

Points faibles

Ceux-ci s'attachent encore à ses **coups de fond de court.** Malgré de très gros progrès, notamment en coup droit et en retour de service, Yannick n'a pu gommer la différence qui existe entre ses coups de défense (ou d'échanges) et son arsenal offensif.

La **fragilité physique** est pour lui un autre handicap. Ironie du sort, c'est son plus gros atout — le physique — qui est son tendon d'Achille.

En coulisses

« Yannick Noah allait sur ses 17 ans quand je l'ai vu pour la première fois lors d'un entraînement à Roland-Garros. Jean-Paul Loth le regardait jouer contre Pascal Portes, Morettion et Naegelen et il me demanda ce que je pensais de celui qu'il voyait comme une future star du circuit. A l'époque, déjà, il était évident à mes yeux qu'il avait des capacités physiques très au-dessus de la moyenne et qu'il allait falloir beaucoup travailler la technique de base des coups de fond de court. J'ai été conforté dans cette idée après avoir tapé la balle avec lui avant un de mes matches à Roland-Garros. Son geste de service avait déjà sa beauté exceptionnelle, toutes ses interventions « physiques » (couverture du filet et du terrain, smash, etc.) étaient remarquables, tout comme sa facilité à la volée, mais ce qui lui manquait c'était « la main » pour frapper son coup droit (il le jouait « bloqué » trop près du corps), et son revers qu'il pouvait seulement frapper naturellement en slice. La suite de la carrière de Yannick s'est presque toujours résumée à faire coïncider ses évolutions techniques à la qualité de son physique, et lorsque cela s'est produit, comme en 1983 à Roland-Garros, on a vu du très grand Noah. Ce physique d'exception, c'est

ale nie do wiązania pod szy-
d parady. Dostojnego gościa
ze staropolską gościnnością,
o mu sprawić przyjemność,
klęczkach, co z kolei zadziwiło
iwienia nawet tak dobry ak-
dzo umiał kryć. Całej tej defi-
ygładałem się z dalszego rzę-
nie jak – będąc uczniem – wi-
ezapomnianego przywódcy
narodu mongolskiego Dżum-
edenbała. Rozumiem, że gość
dach podróży trzeba gdzieś
ajlepiej w dobrym, nie zaplu-
hotelu. Rozumiem, że trzeba
nie zjeść i nawet coś do popi-
cholerę te modły, to bicie glo-
mię w pozycji na klęczkach?!
owiedziałem się, że artysta
am zajęć w Polsce niezmier-
y, bo z Warszawy koniecznie
rzetransportować do Gdań-
tkanie z Wałęsą. Aha! Szy-
ilm, superprodukcja o elek-
stoczni, który niekoniecznie
prywatną. A tymczasem nic
zy. De Niro chciał poznać Le-
Amerykanin Polaka. Jak Po-
ła, że raz jeszcze przypomnę
ojego ulubionego polityka z
ieciństwa. No i dobrze. Zasta-
się tylko, czy Wałęsę muszą
znać wszyscy, którzy coś tam
świecie robią pożytecznego?
przyjedzie do Polski kiedyś
uma, ponoć najwspanialszy,
znie Lechu będzie musiał po-
zdjęcia z czarną panterą?
ponoć, jak to mówią, w wol-
u, więc po każdej wizycie ko-
ego z zagranicy zadaję sobie
to samo pytanie... nie o de
ztą chodzi, ale o towarzyszą-
itę. Kiedy w końcu doszło do
a przed obiektywem, senato-
ychali się, jeden przez drugie-
kolejce przed „Polmozbytem"
cili akurat opony do „malu-
a najśmieszniejszy był Fibak,
y przez artystów za plecy Wa-
na oficjalnej fotce uwidocz-
yciągniętą szyją i żeby się nie
zymający drogocenną dłoń na
zewodniczącego. Zaraz pod-
krzyk w narodzie: A czyja to
trzymuje Lecha? Nie pozwoli-
z łapami! Nie ma powrotu do
przed 4 czerwca!
arszawą urządzony został za
forsę wielki raut na cześć Ro-
Niro. Zleciały się małpiątka z
ropolii, wyfiokowane jak nig-
jny gość przybył w trampkach,
skarpetek. Po godzinie powie-
kogoś wyglądającego sympaty-
le tu nudno. Może poszlibyśmy
teki? Chyba macie na tej pro-
kaś dyskotekę...?".

TÊTE D'AFFICHE

YANNICK NOAH

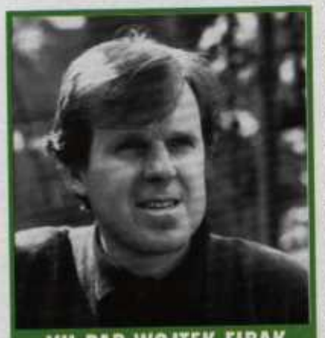

VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate, à laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A 37 ans, après une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller notamment Lendl et Leconte, Fibak est considéré dans le monde entier comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien les champions dont il parle. Pour les avoir souvent affrontés sur le court. Mais aussi pour les côtoyer en coulisses. Voici donc, ajoutées aux grandes lignes du palmarès, au « résumé technique » des posters précédents, quelques confidences faites sur les joueurs par Wojtek Fibak. Elles ne trahissent ni la vie privée, ni la discrétion qu'imposerait l'amitié. Mais elles constituent un précieux témoignage, fait de détails inédits qui aident à mieux connaître l'homme qui se cache derrière le champion. Ce mois-ci, Yannick Noah.



Né le 18 mai 1960 à Sedan

Points forts

Le service

C'est le plus beau service du tennis (et de tous les temps) et aussi le plus efficace avec celui de McEnroe. Son rythme est idéal. Il frappe la balle aussi bien à plat que slicé. Yannick frise la perfection dans ce domaine.

La présence physique

Yannick est partout. Il plonge. Il saute. Il est toujours en action.

Le jeu de jambes

Il possède l'art de la glisse sur terre battue.

Le toucher de balle

Noah possède un grand talent pour les choses difficiles, comme tous les coups en toucher (amorties, stop-volées, lobs...)

Le smash

Avec Cash, le meilleur de tout le circuit.

La combativité, la volonté

Grâce à ces qualités, il s'est maintes fois sorti de situations impossibles.

La volée

Solide en coup droit et en revers.

Points faibles

Ceux-ci s'attachent encore à ses **coups de fond de court.** Malgré de très gros progrès, notamment en coup droit et en retour de service, Yannick n'a pu gommer la différence qui existe entre ses coups de défense (ou d'échanges) et son arsenal offensif.

La **fragilité physique** est pour lui un autre handicap. Ironie du sort, c'est son plus* gros atout — le physique — qui est son tendon d'Achille.

En coulisses

« Yannick Noah allait sur ses 17 ans quand je l'ai vu pour la première fois lors d'un entraînement à Roland-Garros. Jean-Paul Loth le regardait jouer contre Pascal Portes, Moretton et Naegelen et il me demanda ce que je pensais de celui qu'il voyait comme une future star du circuit. A l'époque, déjà, il était évident à mes yeux qu'il avait des capacités physiques très au-dessus de la moyenne et qu'il allait falloir beaucoup travailler la technique de base des coups de fond de court. J'ai été conforté dans cette idée après avoir tapé la balle avec lui avant un de mes matches à Roland-Garros. Son geste de service avait déjà sa beauté exceptionnelle, toutes ses interventions « physiques » (couverture du filet et du terrain, smash, etc.) étaient remarquables, tout comme sa facilité à la volée, mais ce qui lui manquait c'était « la main » pour frapper son coup droit (il le jouait « bloqué » trop près du corps), et son revers qu'il pouvait seulement frapper naturellement en slice. La suite de la carrière de Yannick s'est presque toujours résumée à faire coïncider ses évolutions techniques à la qualité de son physique, et lorsque cela s'est produit, comme en 1983 à Roland-Garros, on a vu du très grand Noah. Ce physique d'exception, c'est vraiment ce qui caractérise Noah comme joueur. Très peu d'athlètes au monde, dans quelque discipline que ce soit ont sa perfection corporelle. Physiquement, Noah n'en impose pas seulement au public. Il impressionne également les sportifs et les autres joueurs. Je me souviens que Lendl, du temps où j'étais son coach, appréhendait d'affronter Noah. Plus même que McEnroe. Car Ivan se sentait dominé physiquement sur le court et cette sentation avait tendance à le paralyser. Et il ne l'éprouvait que contre Noah. Détail caractéristique : quand il a le choix, Ivan préfère servir contre le vent, mais contre Yannick, il voulait servir avec le vent, tellement le service de Noah l'impressionnait.

Pour avoir souvent joué contre Yannick, je peux effectivement témoigner de l'impression physique réellement extraordinaire qu'il produit sur le court. En tace, on a le sentiment que la partie de terrain où il se trouve est minuscule. Que l'on ne peut pas mettre la balle dans un endroit où il n'est pas. Pour le battre, sur terre battue — sa meilleure surface — quand il est en pleine forme, il faut vraiment accomplir des prouesses. J'ai gravé en mémoire notre huitième de finale à Roland-Garros en 1982 lorsque j'avais mené 2 sets à 0. Yannick était revenu à 2 sets partout et dans le cinquième j'avais eu 2 balles de 4-2 à 3 partout un orage avait interrompu le match. Dans les vestiaires, je revois encore tout le camp français, Loth, Hagelauer, Moretton, Naegelen, Dominguez, Jauffret se précipiter autour de Yannick. Le kiné Robert Laurens le massait de partout. Moi, j'étais un peu plus loin, entouré de quelques copains comme Tom Okker, Ian Kodes, Tomas Smid... J'entendais Jean-Paul et Patrice parler à Yannick. Ils lui conseillaient de lifter la balle très fort, pour qu'elle rebondisse très haut sur mon revers. Pour m'empêcher d'entrer dans le court, d'autant plus que j'avais un revers à une main. J'ai immédiatement su que c'était la bonne tactique et je me préparais à des moments difficiles. Puis j'entends quelqu'un dire à Noah « attention, vous allez bientôt reprendre ». Je n'en croyais pas un mot, vu la violence de l'orage. Eh bien, ce jour-là, j'ai appris à mieux connaître la météo parisienne car nous avons effectivement repris très vite. Yannick était « chaud », contrairement à moi. Il m'a effectivement bombardé de balles lifées sur mon revers et a aligné 3 jeux pour remporter le match. Yannick et moi avons eu plusieurs matches très accrochés. Contre lui, sur terre battue, j'avais une tactique précise. Mon premier souci était de jouer long sur son coup droit car je savais que, spécialement sur son revers, il profitait de la moindre balle courte pour monter. Quand il servait, je m'appliquais à placer mes retours plus qu'à les lrapper pour le faire volleyer et surtout je n'hésitais pas à le lober malgré la qualité de son smash. En effet, Yannick a l'habitude de coller le filet après sa première volée et ces lobs pouvait parfois le faire douter. Mais tout cela était évidemment théorique. Yannick m'a battu plus de trois fois que je ne l'ai battu. Je garde de ces matches de très bons souvenirs. Car Noah est un adversaire qui force le respect. Sa loyauté, sa franchise étaient connues de tous. Aujourd'hui, avec tous les événements qu'il a traversés et l'expérience de la vie à l'américaine (comme Lendl et Wilander) avec aussi l'intensification du professionnalisme, il est peut-être devenu un peu plus dur qu'autrefois mais il y a toujours eu quelque chose d'humain chez lui, et cela on le sent sur le court. Noah a au fond de lui, j'en suis persuadé, quelque chose de très doux. Il veut gagner, mais il ne veut pas faire mal à l'autre. Son attitude générale sur le court, ajoutée à ses actions en faveur des déshérités, ont valu à Noah l'estime de tous ses pairs. Il a toujours exercé, sur le public comme sur les joueurs, un grand charisme. Et vis-à-vis des jeunes, Noah est l'exemple parfait. Ce qui plaît également chez lui c'est sa faculté, passez-moi l'expression, à changer de peau et toujours avec bonheur. Sa double culture — blanche et africaine — a fait de Noah une personnalité attachante, riche et imprévisible. Noah, c'est un style. Il est à l'aise partout. Un jour on le voit en businessman dans une Mercédès 560, le lendemain en jean dans une Jeep... Il est crédible dans tous les cas, il charme et séduit. Il adore les lieux qui bougent, qui vibrent. Nous avons d'ailleurs souvent fréquenté les mêmes endroits, de Paris à New York en passant par Saint-Tropez ou les Caraïbes. Mais nous n'y étions pas au même moment. Combien de fois ai-je entendu : « M. Noah était avec nous, il vient de partir » et plus souvent encore « M. Noah va bientôt arriver » car il y venait presque toujours plus tard que moi ! A New York, j'allais souvent dîner avec des amis dans le restaurant qu'il avait ouvert à Soho : Le Guignol's. Il était souvent là, tranquille, décontracté. Et il ne manquait jamais de venir s'assoir un moment à notre table. Je regrette vraiment que la carrière de Noah ait été perturbée par de multiples blessures. Car voir un Noah en pleine possession de ses moyens sur terre battue contre un défenseur est l'un des plus beaux spectacles que le tennis puisse offrir. J'estime que le match Noah-Wilander de 83 est, avec le Lendl-McEnroe de 84, la plus spectaculaire finale que j'aie vue à Roland-Garros. Et j'ai bien souvent rêvé d'une finale entre le meilleur Noah et le meilleur Borg à Paris... Pour moi avec McEnroe et Mecir, Noah est le joueur le plus spectaculaire à regarder, spécialement sur terre battue. »

Son palmares

GRAND CHELEM

Australian open

1978 : *1er tour (p.c. Case) ;* ***1979 :*** *pas joué ;* ***1980 :*** *1er tour (p.c. Austin) ;* ***De 1981 à 1986 :*** *pas joué ;* ***1987 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Cash) ;* ***1988 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Schapers) ;* ***1989 :*** *1er tour (p.c. Woodforde).*

Roland-Garros

1977 : *1er tour (p.c. G. Fairlie) ;* ***1978 :*** *3ème tour (p.c. Vilas) ;* ***1979 :*** *2e tour (p.c. G. Mayer) ;* ***1980 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Connors) ;* ***1981 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Pecci) ;* ***1982 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Vilas) ;* ***1983 :*** *vainqueur (b. Wilander) ;* ***1984 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Wilander) ;* ***1985 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Leconte) ;* ***1986 :*** *1/8 de finaliste (forfait contre Kriek) ;* ***1987 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Wilander) ;* ***1988 :*** *1/8 de finaliste (p.c. E. Sanchez) ;* ***1989 :*** *1er tour (p.c. Mattar).*

Wimbledon

1978 : *2e tour (p.c. Okker) ;* ***1979 :*** *3e tour (p.c. Dupré) ;* ***1980 :*** *pas joué ;* ***1981 :*** *1er tour (p.c. Fromm) ;* ***de 1982 à 1984 :*** *pas joué ;* ***1985 :*** *3e tour (p.c. Amritraj) ;* ***1986 :*** *pas joué ;* ***1987 :*** *2e tour (p.c. Forget) ;* ***1988 et 1989 :*** *pas joué.*

U.S. Open

1978 : *1er tour (p.c. Moor) ;* ***1979 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Kriek) ;* ***1980 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Borg) ;* ***1981 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Borg) ;* ***1982 :*** *1/8 de finaliste (p.c. Warwick) ;* ***1983 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Arias) ;* ***1984 :*** *pas joué ;* ***1985 :*** *1/4 de finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1986 :*** *3e tour (p.c. Wilkison) ;* ***1987 :*** *pas joué ;* ***1988 :*** *2e tour (p.c. Stoltenberg).*

MASTERS

1983 : *1/4 de finaliste (p.c. Lendl) ;* ***1984 :*** *1er tour (p.c. Smid) ;* ***1985 :*** *pas qualifié ;* ***1986 :*** *(janvier), 1er tour (p.c. Mayotte) ;* ***1986 :*** *(décembre), éliminé en poule.*

TOURNOIS GAGNES

au 1er septembre (22)

1978 : *Manille, Calcutta ;* ***1979 :*** *Nancy, Madrid, Bordeaux ;* ***1981 :*** *Richmond, Nice ;* ***1982 :*** *Palm Springs, South Orange, Bâle, Toulouse ;* ***1983 :*** *Madrid, Hambourg, Roland-Garros ;* ***1985 :*** *Rome, Washington, Toulouse ;* ***1986 :*** *Forest-Hills, Wembley.* ***1987 :*** *Lyon, Bâle ;* ***1988 :*** *Milan.*

FINALES

au 1er septembre (13)

1978 : *Nice ;* ***1980 :*** *Rome ;* ***1981 :*** *Gstaad ;* ***1982 :*** *Nice ;* ***1983 :*** *Lisbonne ;* ***1984 :*** *Palm Springs ;* ***1985 :*** *Memphis, Bâle ;* ***1986 :*** *La Quinta, Monte-Carlo, Bâle ;* ***1987 :*** *Forest-Hills ;* ***1989 :*** *Indian Wells.*

W gimnazjalnych murach

70 lat „Marcinka"

„Maryńka", „Zamoyska", „Marcinek", „Paderek"... Któż z dawnych poznaniaków nie zna owych imion starych poznańskich gimnazjów. Skrótowo, czule niejako nazywanych. Były kiedyś dumą tego miasta. Z ich murów wychodziły rzesze przyszłej świetnej polskiej inteligencji. Profesorowie tych szkół stawali się legendą miasta.

Różne losy, te tak zasłużone gimnazja przechodziły potem. Znikały, były likwidowane jak Gimnazjum Marii Magdaleny. Zmieniały swą nazwę jak Gimnazjum Generałowej Zamoyskiej. Szarzały, blakły w swej sławie. Lub też — próbowały odzyskać dawny blask...

Dowodem tego choćby — niedawne obchody... 415-lecia tak popularnej kiedyś przywoływanej znowu uporczywie do życia „Maryńki", Gimnazjum Marii Magdaleny.

A teraz w piątek będzie 70-lecie Gimnazjum Karola Marcinkowskiego...

Leży przede mną pożółkła już fotografia. To zdjęcie tuż po maturze. Wychudli i grubawi młodzianie stoimy na stopniach szkolnych schodów, wpatrzeni bacznie i ze skupieniem w obiektyw fotografa. Pani profesor Maria Makówna, surowa pani profesor, która mimo to a może właśnie na skutek jej silnego charakteru, a także ukochania przez nią historii narodu wielbiliśmy — stoi przed nami jakby zagubiona... Maleńka, siwa... Kolejne to jej pokolenie uczniów, ale ona przecież przejęta jest jak zawsze.

Myślę o tamtej fotografii gdy stoję teraz po... ech, po tylu, tylu latach znowu na tych samych schodach liceum Marcinkowskiego. Zbytnim uniesieniem ducha przeszkadza co prawda wielka halda koksu na podwórzu, ale jesienią to ona tu jakby zawsze była... Z kasztanów szkolnych sypią się liście. Ten październik ciepły ponad miarę — chłopcy w koszulkach gimnastycznych rozpoczynają grę w szczypiorniaka. Słyszę: „A pan tu czego?" To dozorczyni zamiatająca liście pilnuje porządku...

Wędruję korytarzami szkolnymi... W jednej z klas pół otwarte drzwi. Młoda pani profesor pochylona nad stolikiem czyta. Chłopcy i dziewczęta coś pilnie, pracowicie piszą.

Widzę jak woźny na korytarzu zbija jakieś listewki. Napis na czerwonym tle deski: „70 lat temu 1 maja 1919 roku, po latach niewoli, rozpoczęła się w tym gmachu nauka w polskiej szkole — gimnazjum imienia Karola Marcinkowskiego".

Pokój dyrektora liceum. Andrzej Pietrucha mówi, że w tej chwili jest w I Liceum Ogólnokształcącym 751 uczniów — 470 dziewcząt i 281 chłopców. Pedagogów jest ponad 50. A szkołę tę między innymi ukończyli Stefan Stuligrosz, Jerzy Waldorff, Alfons Klafkowski, z młodszych zaś Wojciech Fibak, Marek Król, Paweł Łączkowski, Michał Wojtczak. Ja wiem, że absolwentami tego gimnazjum są także pisarz Stanisław Barańczak, senator Ryszard Ganowicz i poseł Leonard Szymański.

...I w tych szkolnych, „marcinkowskich" murach przypomina mi się teraz mój ukochany polonista, Witold Nawrath. „Karabin" — takie mu nadaliśmy pseudo — był surowy, wymagający, ale gdy zaczął mówić o swoich ulubionych Wyspiańskim i Kasprowiczu, których znał z czasów krakowskich studiów, o muzyce i literaturze, które się przecież łączą jak twierdził w sposób tak naturalny i głęboki — zapominał o wszystkim. A my mogliśmy go słuchać, słuchać bez końca.

Wędruję dalej przez szkolne korytarze. Tablice z podobiznami Karola Marcinkowskiego i pierwszego dyrektora gimnazjum Antoniego Borzuckiego. Ta właśnie tablica oficjalnie będzie odsłonięta dopiero w piątek. Po raz drugi... W czasie wojny zniszczyli ją Niemcy, teraz na jubileusz ją odtworzono.

Odprawiona zostanie też msza święta w kościele przy ulicy Stolarskiej, celebrowana przez arcybiskupa Jerzego Strobę i kapłanów — wychowanków „Marcinka". W „Arenie" odbędzie się akademia; przemówi senior absolwentów, członek Trybunału Stanu mecenas Leon Taylor, a śpiewać będzie chór wychowanka tegoż gimnazjum, profesora Stefana Stuligrosza. No i będą przede wszystkim rozmowy... Spotkania po latach.

Słyszę, jak z którejś z klas niesie się tekst „Polska to jest...". A ja pamiętam jak tu kiedyś poznaniak Filip Bajon kręcił swój film rozgrywający się tuż przed wybuchem wrześniowego kataklizmu 1939. I to gimnazjum z czerwonej cegły powstałe u początku wieku wydawało mu się do tego najbardziej stosowne. Chłopcy w niedzielnych szkolnych mundurkach siedzieli w ławkach... I też coś tam o Polsce mówili. To była sytuacja tylko filmowa. Ale słuchając tej wymyślonej przecież filmowej historyjki nie mogłem zapomnieć, że tuż potem, za parę dni we wrześniu 1939 zaczynała się przepaść...

Jak to pisał Karol Marcinkowski? *„Nie wojna, ale pokój jest uroczystą porą, sprzyjającą krzewieniu się ducha czasu, który kiedyś przedrzeć musi despotyzmu zasłonę... Przysłoby mi czasem rozpaczać, gdybym nie miał tej niewzruszonej wiary, że się duch czasu śmiertelnika ręką nie da zatrzymać!"*.

WŁODZIMIERZ BRANIECKI



Fot. — R. Świątkowski

Jędrzejowska i...?

Czy T.T. nie zawcześnie pasował Stefli Graf na „najlepszą wszystkich czasów"? Przecież jej kariera jest jeszcze krótka, a wielka trwa dopiero czwarty rok, może należałoby odczekać? Tinlinga, jeśli tak można się wyrazić, uwiodła „żelazna" odporność Graf i jej bezwzględność w grze, ale porażka w finale tegorocznych mistrzostw Francji z Arantą Sanchez, mimo prowadzenia w decydującym secie już 5:3 i własnego serwisu zaświadcza, że Graf jest... tylko istotą ludzką, a nie zawodniczką „z innej planety".

W każdym razie – powtórzmy – tak Lottowi, jak i Tinlingowi należy się pochwała za wyzwolenie się spod sentymentalnego spojrzenia na lata własnej młodości – i ówczesnych bohaterów sportowych. Zamiast tworzyć i podtrzymywać legendy spróbowali je zburzyć. Czy my również byliśmy w stanie tak postąpić, klasyfikując najlepszych polskich tenisistów „wszechczasów".

Wśród kobiet nie ma problemu: pierwsza i właściwie jedyna niezapomniana Jadwiga Jędrzejowska, następnie długo, długo nic, a potem wcale! Drugą mogłaby być ewentualnie Iwona Kuczyńska, ale już z uwzględnieniem wszelkich należnych proporcji. Natomiast w hierarchii mężczyzn długo dyskutować i przerzucać się teoretycznymi porównaniami, jak również hipotezami, Wojciech Fibak czy Władysław Skonecki? A może Ignacy Tłoczyński? Bracia Stolarowowie? Józef Hebda? Kazimierz Tartowski? Wybór tym trudniejszy, że grali w całkowicie różnych „epokach organizacyjnych" tenisa. Gdyby Skonecki mógł uczestniczyć w tylu turniejach co Fibak, kto wie, czy nie doszedłby do jeszcze lepszych w singlu wyników? Natomiast Fibaka można bezsprzecznie uznać za najlepszego naszego debilistę. Wojna przerwała karierę Tłoczyńskiego, opóźniła sportowy rozwój Skoneckiego.

Nieporównywalne... porównania! Ludzie sportu jednak je lubią.

ZBIGNIEW DUTKOWSKI

"As" 27

Podobno w Warszawie odstąpił od swych obyczajów. ROBERT DE NIRO nie lubi bowiem wystawiać się, poza ekranem, na widok publiczny, co sam zresztą oznajmił podczas polskich spotkań. Jego agent, Fred Spector był zdziwiony, że w Polsce stanął w ciągu paru dni tyle razy twarzą w twarz z widzem. W Nowym Jorku trudno go namówić na pokazanie się nawet w dniu premiery – nie chodzi bowiem do kina na swoje filmy. Woli oglądać je w domu. A naszej telewizji dał się porwać, choć przecież unika popularnych amerykańskich talk-show. Trudno go też namówić na ekskluzywny wywiad. „Playboy", który przeprowadził z nim rozmowę jako ozdobę swego numeru czterdziestolecia, zabiegał o to osiem miesięcy (jak mówiły osoby towarzyszące mu w polskiej podróży). U nas przychylnie odniósł się do dziennikarzy, podstawiających mu na wyprzódki magnetofony. I zgodził się na gigantyczne spotkanie ze studentami w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego.

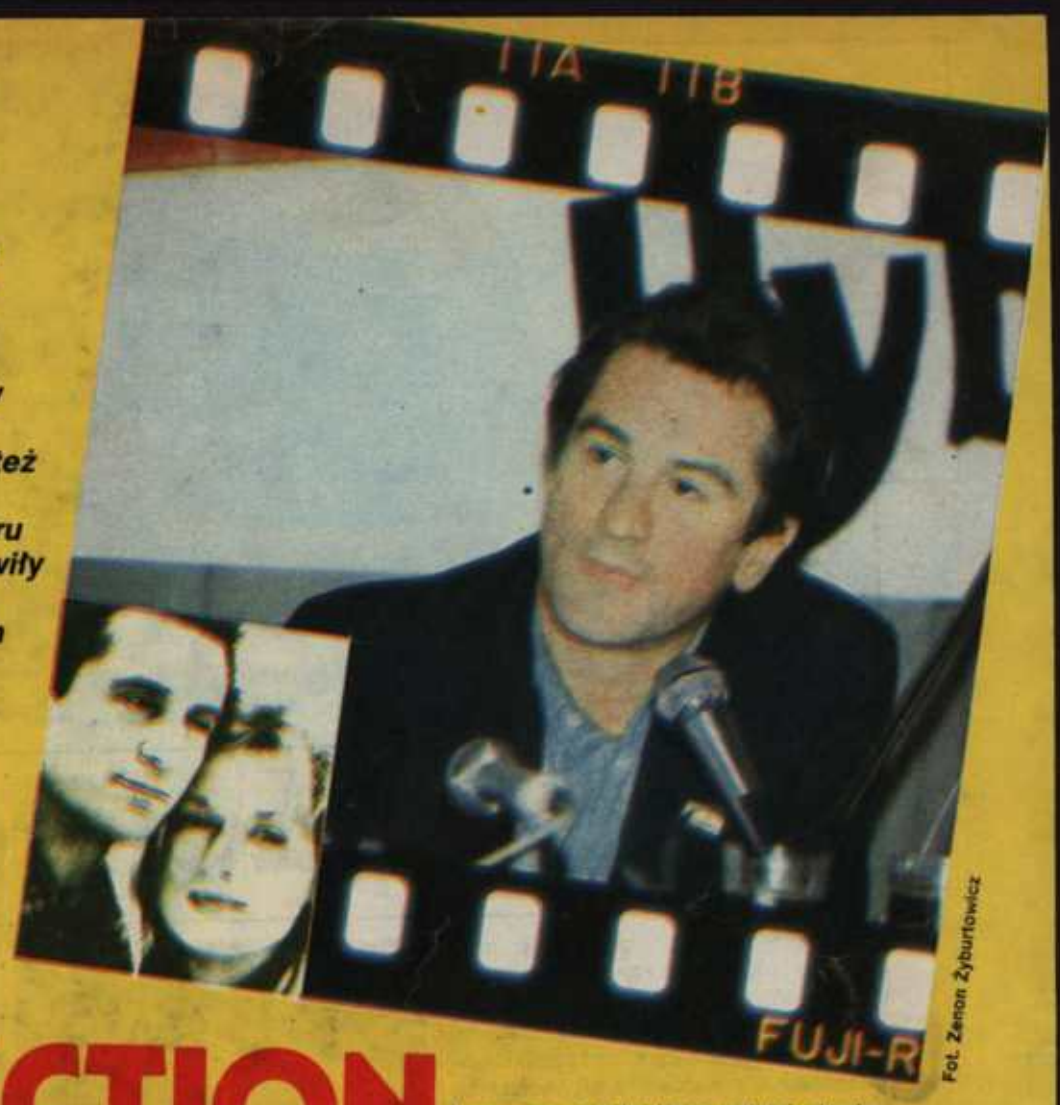

Fot. Zenon Zyburtowicz

Mr PERFECTION

Ujęta go spontaniczna atmosfera sali przepełnionej aż po galerię. Nie spodziewał się, że jest w Polsce aż tak popularny. Trudno było mu wydostać się po rozmowie na dziedziniec; każdy chciał mu z bliska spojrzeć w oczy, uścisnąć rękę, zdobyć autograf, powiedzieć choć słówko od siebie.

Ustąpiłam skrawek swego miejsca na tawie jednemu z zapaleńców, który chciał być bliżej mikrofonu, aby zadać aktorowi pytanie. Maciej Turowski, student Akademii Medycznej z Gdańska przyjechał specjalnie z Trójmiasta na spotkanie. Gdy zdobywca dwóch Oscarów spóźniał się, orzekł: Ja mogę czekać na niego nawet do północy! To jest najlepszy współczesny aktor filmowy – w moim mniemaniu. Gra tak naturalnie!

Naturalność Roberta De Niro objawia się także w jego wszystkich polskich kontaktach. Nie należy do aktorów, którzy chcą w każdej chwili błyszczeć, uwodzić. Jest stonowany w całym zachowaniu. Nie wyrzuca z siebie potoku gładkich zdań. Słucha w sposób skupiony. Odpowiada z namysłem. Niektórymi pytaniami wyraźnie nie ma ochoty się zajmować. Zbywa je wtedy jednym słowem (absolutnie, nigdy nic nie wiadomo), potwierdzeniem czy zaprzeczeniem albo swoim charakterystycznym niepełnym uśmiechem, którego znaczenie niech każdy sam sobie rozszyfruje. Zachowuje tę samą powściągliwość, która cechuje jego role, te wszystkie niby zwykłe, a jednocześnie tak pociągające, kreowane na ekranie postacie.

Co powiedział o swych bohaterach? Każdy z nich jest inny i stawia przed aktorem nowe problemy, zarówno w sferze przeistoczenia fizycznego, jak i psychicznego. Czasem wymaga to szczególnych poświęceń. Tak było z przygotowaniem się do roli Al Capone w „Nietykalnych". Musiał gwałtownie utyć o trzydzieści pięć funtów. Na początku jedzenie sprawiało mu nawet pewną przyjemność, bo zwykle je niedużo i zwyczajnie, jak powiedział. Ale potem była to już ciężka praca. Wstawał wcześnie, by być głodnym. Pił dużo mleka, piwa, jadł lody. Siedemdziesiąt pięć godzin zabiegów wymagała sama fryzura upodabniająca go do Al Capone. W tym czasie siedział w specjalnym kostiumie na miarę, do której miał „dorosnąć" (podobnie musiał przytyć, przygotowując się do roli boksera we „Wściekłym byku"). Tłuścioch inaczej się rusza, inaczej wstaje, inaczej oddycha." Z ulgą wrócił potem do swej normalnej wagi. Najtrudniejsze było zrzucenie ostatnich piętnastu, dziesięciu funtów. Inne wymagania stawiał film „New York, New York" z Lizą Minneli. Musiał się nauczyć gry na saksofonie, a nie ma wykształcenia muzycznego.

Co wpływa na to, że decyduje się na proponowaną mu rolę? Zaczyna zawsze od wnikliwego przestudiowania scenariusza, czy znajdzie w nim coś, co go szczególnie pociąga. Czasem jedna scena, z którą miałoby się ochotę zmierzyć, może zachęcić. Wydaje się tak ważna, że warto dla niej zrobić wszystko. Role małe, epizodyczne (grywał ich dużo, zawsze ekscytująco) nie są tak łatwe, jak się wydaje. Nawet pojawienie się w filmie na krótko, parę niby nieważnych wejść na plan filmowy, wymaga kontynuacji w myśleniu i działaniu postaci, wczucia się w całość. Każda rola ma swoją moc przyciągającą, ale stawia też warunki, które mogą wykończyć aktora. Stara się o maksymalną sprawność własną, aby podołać najtrudniejszym zadaniom. Rzadko korzysta z dublera.

Ważne jest dla niego moralne przesłanie filmu. Życie jest oscylowaniem między dobrem i złem. On wierzy, że człowiek ciąży bardziej ku dobru. W miarę jak przybywa mu lat (ma teraz czterdzieści sześć) rodzi się w nim więcej sceptycyzmu, przed którym próbuje się bronić.

Film marny czy udany – mówi De Niro – zabiera tyle samo czasu i energii. Dlatego warto robić filmy dobre. Reżyser jest jak kapitan statku. Gdy aktor nie wie dokładnie co robić, może mu pomóc. On sam wiele podpowiada, sugeruje. W czasie pracy nad rolą zawsze myśli o publiczności, jak zareaguje.

Partnerki – to jeden z tematów, które kwituje krótko. Meryl Streep, z którą występował m.in. w „Falling in love": – Wspaniała aktorka, gdy gra w komediach, lubię z nią pracować.

Należy do aktorów, którzy mają nadmiar propozycji. Czy nie obawia się przesytu? „Jestem w takim momencie swego życia, że chciałbym dać z siebie jak najwięcej i dlatego pracuję intensywnie. Robię teraz trzy filmy jednocześnie. To okazja do eksperymentowania psychicznego i fizycznego na samym sobie, co w tym zawodzie jest najciekawsze." Kusi go jeszcze jedna przygoda. Wkrótce zadebiutuje jako reżyser, który sam sobie powierzy główną rolę w filmie „Double Bang".

W dążeniu do niebywałego autentyzmu postaci osiąganego w tak wysokim stopniu, przy ogromnej różnorodności ról, skrajnych charakterach, „choleryk kameleon", jak go nazwał reżyser Brian de Palma, przywiązuje wagę do najdrobniejszego szczegółu. Jego producent Arnon Milchan opowiedział w Warszawie, jak De Niro czuł się nieswojo w jednym z rekwizytów, budce telefonicznej. Okazało się, iż była ona węższa niż budki, które stoją na ulicy. I lepiej było zmienić budkę niż przekonać aktora, by przystosował się do jej gabarytu.

Ma swoje wymagania, od których łatwo nie odstępuje. Nie bardzo odpowiadał mu konwencjonalny tłumacz w czasie spotkania wstępnego w warszawskim kinie „Skarpa". Tym chętniej przystał na przysługę językową naszego tenisisty Wojciecha Fibaka, przyjaciela, który znalazł się w gronie osób towarzyszących aktorowi w pierwszej polskiej podróży. On zna jego charakter, temperament. Wie, że nie lubi, gdy przerywa mu się tok myśli. Trzeba wyczuć odpowiedni moment, by wpaść mu w słowo.

Co sądzi o teatrze? Zawsze wolał film, ale studia teatralne, które sam ukończył, są bardzo przydatne w pracy nad rolami filmowymi. Mało grał w teatrze. Nie starcza mu czasu. A Szekspir – nie jest dla niego pokusą? Tak, jest wspaniały, choć czasem męczy. „Zagrałbym w przedstawieniu szekspirowskim Joe Pappa (nowojorski potentat teatralny); on umie zderzać te dramaty ze współczesną mentalnością." Następnym razem odwiedzi nasz teatr, bo słyszał, że jest interesujący, a on lubi chodzić do teatru, podpatrywać. W aktorstwie trzeba brać i dawać.

A co gwiazda światowego kina może doradzić, podpowiedzieć początkującemu aktorowi? Że to bardzo trudny zawód. Trzeba jednak w siebie uwierzyć. Mimo że wokół są rywale i, gdy wydaje nam się, że już rola należy do nas, dostaje ją ktoś inny. „Born to win", (urodzony by zwyciężać) – jak mówi tytuł jednego z jego filmów – Robert De Niro miał dawniej i porażki w przesłuchaniach aktorów do roli, charakterystycznych dla systemu amerykańskiego.

Jaki jest prywatnie? Strzeże swojej sfery życia osobistego. – Powiedział tylko, że ma 22-letnią córkę i syna trzynastolatka (jest świetnym ojcem – dopowiedziała świta, już po spotkaniu). Matką ich jest ta sama kobieta, jak to określił półżartem, wyraźnie nie chcąc ujawniać szczegółów z kręgu domowego ogniska (żona jest też aktorką, grała z nim w filmie „Król komedii"). Jest całkiem inny niż model amerykańskiego aktora nie skąpiącego zwierzeń najbardziej intymnych, lubiącego stwarzać wokół siebie atmosferę sensacji, czy nawet skandalu. Zachowuje, w miarę możliwości, swoje sekrety. Umyka przed wścibstwem.

– W Polsce, w porównaniu z jego nowojorskimi zwyczajami, był i tak wyjątkowo otwarty – zapewniał mnie pan Janusz Dorosiewicz, współzałożyciel Studenckiego Klubu Hybrydy przed laty, obecnie biznesmen kanadyjski, który namówił Roberta De Niro do przyjazdu do Polski i pokrył koszty techniczne eskapady. Poznał go w ubiegłym roku w Toronto, gdzie nowojorski aktor kręcił film z Jane Fondą. Zaprosił go na obiad i zapytał, czy nie wybrałby się do Polski. „Nie byłem w tylu miejscach świata, dlaczego mam jechać właśnie tam..." Po zastanowieniu podał rękę na zgodę. I we wrześniu zmienił rozkład zajęć, by wyrwać się na kilka dni. – Jeśli chodzi o ludzi sławnych – powiedział pan Janusz – zdobywają się na to albo za duże pieniądze, albo przez grzeczność, jak to uczynił De Niro.

Pobyt w Polsce amerykański aktor uznał za bardzo udany. Z satysfakcją mówił o spotkaniu z Lechem Wałęsą, który zainteresował go jako rówieśnik, mający duży wpływ na przeobrażenia społeczno-polityczne w Polsce („jesteśmy z tego samego pokolenia"). Zaprosił go do Nowego Jorku, gdzie będzie chętnie jego przewodnikiem. Wpadł na chwilę do Krakowa, by spotkać się z tamtejszą publicznością przed pokazem „Lowcy jeleni". Na pytanie, czy następnym razem przyjedzie tutaj z dziećmi, odpowiedział – po krótkim namyśle – tak. I odleciał prosto na plan filmu, o ludziach dotkniętych w 1918 roku epidemią. Teraz wchodzi w szpitalne środowisko.

Aktor Gustaw Holoubek powiedział o aktorze Robercie De Niro: „Osiąga to, co w sztuce filmowej, scenicznej najpiękniejsze. Aktorstwo nie tylko nie zabija w nim człowieka, ale przeciwnie, staje się najcudowniejszym narzędziem jego objawienia."

Jego metamorfozy są tak doskonałe, że reżyser Martin Scorsese (przyjaciel jeszcze z dzieciństwa, aktor lubi z nim pracować) nazwał go Mr Perfection.

BARBARA HENKEL

Kobieta i Życie

tygodnik poznań 5 listopada 1989 nr 45(302) 200 zł

wprost

pl issn 0209 1747
nr indeksu 38190

LUDZIE Z CZARNEJ LISTY

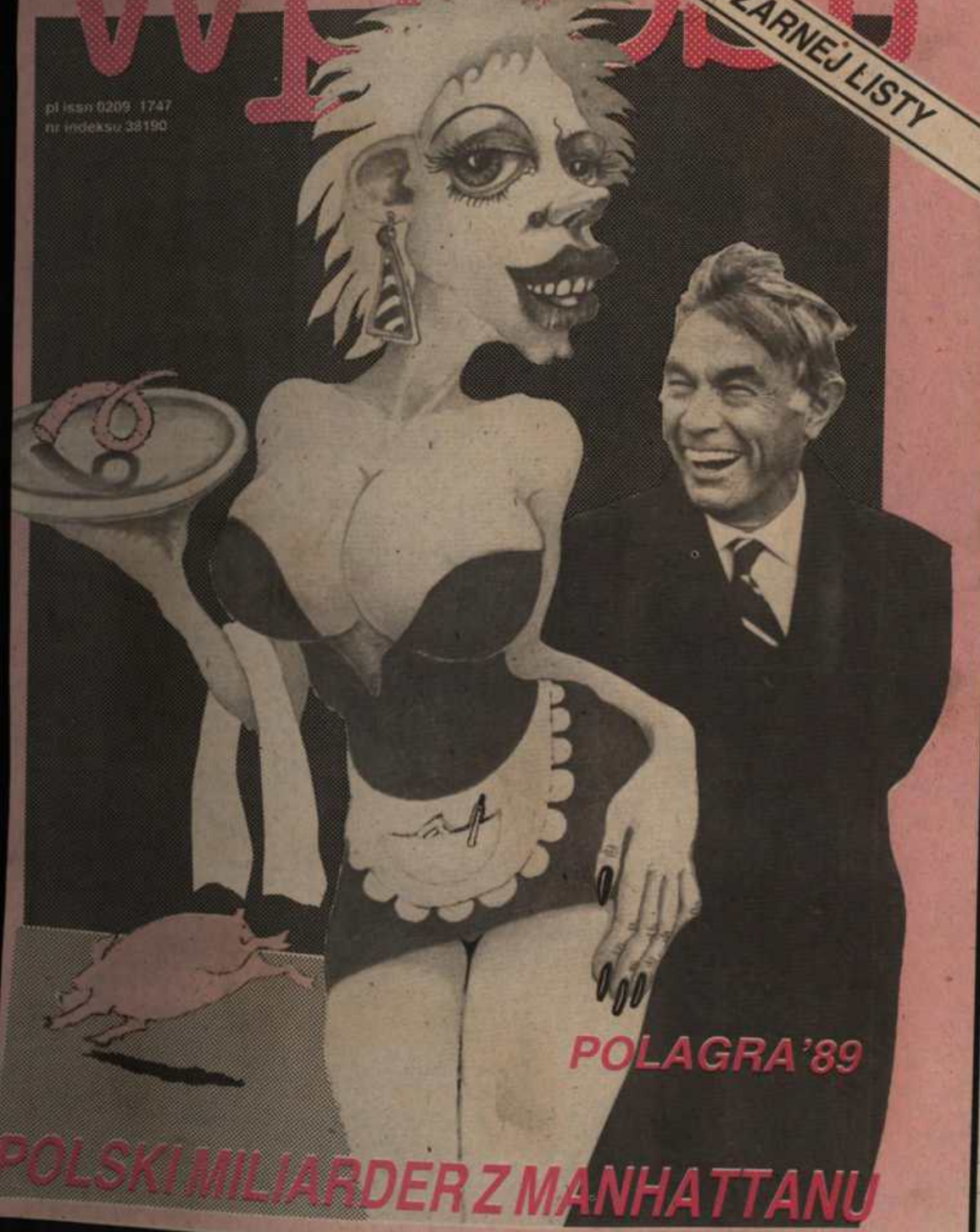

POLAGRA'89

POLSKI MILIARDER Z MANHATTANU

HENRYK DE KWIATKOWSKI W POZNANIU

RODAK Z MANHATTANU

PIOTR GAJDZIŃSKI



Fot. Archiwum

„Latał jako drugi pilot bombowca w barwach Królewskich Sił Powietrznych"

Jeśli wychodzi się na spotkanie z Lechem Wałęsą, to oczywiście ma się wpięty w klapę marynarki znaczek „Solidarności". Nieważny jest przy tym stosunek do związków zawodowych w ogóle i sposób zarabiania pieniędzy. Jest również faktem, że człowiek uważany za jednego z najbogatszych Polaków, od którego oczekuje się wielkich, milionowych inwestycji w Starym Kraju, nie może do niego przylecieć rejsowym samolotem. Tym bardziej jeśli przybywa na zaproszenie przyjaciela, który nazywa się Wojciech Fibak. Trzeba wreszcie pamiętać, że jeśli się jest jednym z najlepszych speców od samolotów, to nie korzysta się z aeroplanów produkcji radzieckiej, choćby „Jaka", ale wybiera się solidnego i bardzo wygodnego „Challangera" ze szwajcarskimi znakami rozpoznawczymi.

Powitanie rodaka zza oceanu na poznańskiej Ławicy przebiegło typowo po polsku. Jak zawsze, na lotnisko pofatygowali się tylko przedstawiciele prasy, a zabrakło oficjeli z Towarzystwa „Polonia" i władz miasta. Tym ostatnim nie można się zresztą specjalnie dziwić, bo zwietrzyli w powietrzu oszustwo. Wieść głosiła, że gość ukończył poznańską szkołę średnią i tutaj złożył egzamin dojrzałości. W żadnych dokumentach szkolnych takiego nazwiska nie znaleziono, więc zapachniało skandalem. Tak więc na płycie Ławicy czekali tylko żurnaliści, rodzina Fibaka, milicjanci i wopiści. Na posterunku była również pani sprzątaczka.

Zaimprowizowana konferencja prasowa odbyła się w poczekalni dworca lotniczego. Wykorzystano nieco już nadszarpnięte zębem czasu fotele. Gość przeprosił na początku, że na pytania będzie odpowiadał po angielsku, co spotkało się z całkowitym zrozumieniem, tym bardziej że tłumaczył Wojciech Fibak. Henryk de Kwiatkowski już w pierwszym zdaniu zaprezentował iście amerykański styl i zarazem polskie przywiązanie do tradycji. Na pytanie, czy wizyta ma charakter handlowy, czy tylko turystyczny, odpowiedział: „Albo się jest biznesmenem, albo się nim nie jest. Prawdziwy człowiek interesu, taki jak ja, nie rozróżnia biznesu od życia prywatnego. Nigdy". Po czym szarmancko pocałował ręce podnieconych dziennikarek. Żona oraz pięcioro dzieci przyjęło ów staroświecki gest ze zrozumieniem. Po drodze do samochodów – „BMW" na zachodnioniemieckich tablicach rejestracyjnych oraz „Mercedes" z Poznania – Fibak rozdawał autografy, a goście uśmiechy. Było widać oznaki znudzenia.

Henryk de Kwiatkowski rozlokował się wraz z rodziną w dwóch apartamentach hotelu „Poznań". Na kolację Kwiatkowscy udali się do państwa Fibaków. Podano zupę pomidorową oraz mięsa. Starsi członkowie rodziny poszli spać około północy, młodzież bawiła się w dyskotece do trzeciej nad ranem.

* * *

We wrześniu 1939 r. Henryk de Kwiatkowski miał 13 lat i mieszkał w Warszawie, dokąd rodzina przeniosła się z Poznania na początku lat trzydziestych. Kiedy pod stolicę zaczęły dochodzić pierwsze oddziały hitlerowskiego Wehrmachtu, Kwiatkowscy uciekli na wschód. Osiedli w Krzemieńcu Podolskim. Wojna toczyła się daleko, tutaj oczekiwano na zapowiadane wejście do walk jednostek francuskich i angielskich. Ale 17 września zamiast zachodnich aliantów w mieście pojawili się czerwonoarmiści. Kwiatkowskim zmieniono obywatelstwo na radzieckie, a wkrótce również miejsce zamieszkania. Wywiezieni, pracowali w lasach syberyjskiej tajgi. I pewnie jak wielu H. de K. pozostałby tam do końca życia, bo nie należał do osób zbyt silnych fizycznie, zdolnych wytrzymać głód, morderczą pracę i kilkudziesięciostopniowe mrozy, ale



Henryk de Kwiatkowski z księciem Karolem

Fot. Archiwum

DRGNĘŁO W SZPITALNICTWIE

Tytuł z „Expressu Poznańskiego": „Podróż sentymentalna Henryka de Kwiatkowskiego". I pod tytułem: „Gość odwiedził Szpital Raszei, w którym na ręce prof. Jana Fibaka przekazał czek wysokości 35 tys. dolarów na zakup zestawu aparatury do badania żo-

zaangażowano go w obozowej kuchni. „Byłem głodny – wspominał – więc kradłem kartofle i chyba tylko dzięki lżejszej pracy i zwiększonym racjom żywnościowym wytrzymałem. Rodzice nie mieli tak wiele szczęścia, matka i ojciec zmarli z wycieńczenia".

Po podpisaniu układu Sikorski-Stalin, po dwóch latach zesłania, Henryk ruszył na południe. Przez Irak, razem z armią generała Andersa, później greckim statkiem handlowym, storpedowanym przez niemieckie U-boty, dostał się do Anglii. Tamtejsza administracja wojskowa nie dopatrzyła się niczego podejrzanego i H. de K. – z mocno „cofniętą" datą urodzenia – został skierowany do szkoły pilotażu. Latał potem krótko jako drugi pilot bombowca w barwach Królewskich Sił Powietrznych.

Skończyła się wojna, nastał czas trudnych, często dramatycznych decyzji. De Kwiatkowski nie widział sensu w powrocie do kraju, nie miał do czego wracać. Poza tym takim jak on nie było po drodze z nową epoką nad Wisłą.

Nie był jedynym pilotem, który pozostał na Zachodzie, wielu miało większy staż w lotnictwie, większą wiedzę i umiejętności. Jedni kontynuowali służbę w RAF-ie, inni przeszli do lotnictwa cywilnego, zaczęli robić lepsze lub gorsze interesy. Jeszcze inni topili żal, siły i wiedzę w szklaneczkach whisky. De Kwiatkowski zapisał się na Wydział Inżynierii Lotniczej uniwersytetu w Cambridge.

* * *

Przewidziane na godzinę 9[00] spotkanie w Szpitalu im. Raszei, gdzie pracuje ojciec byłego tenisisty, prof. dr hab. Jan Fibak, zostało opóźnione o 50 minut, co wywołało trochę spekulacji ze strony studentów IV roku stomatologii.

Gość z USA obejrzał oddział chirurgiczny i sale operacyjne szybko, z dobrze ukrywanym zdziwieniem, co utrwalił kamerą video jeden z synów. Nie wyprowadziły go z równowagi nawet stojące na korytarzu łóżka z chorymi, po czym żona Barbara wypisała czek na bank Mitsui w Tokio, opiewający na kwotę 32 652 dolarów. Henryk de Kwiatkowski potwierdził to własnoręcznym podpisem, co zostało skomentowane przez W. Fibaka: „On nigdy nie wypisuje takich małych sum sam, on się tylko pod takimi podpisuje". Rodacy zza oceanu spotkali się jeszcze ze studentami, a Janusz Hawell – dawny asystent H. de K. – wielki znawca kobiet, komplementował przyszłe dentystki wyrażeniem nadziei na ból zęba zawsze wówczas, gdy gościć będzie w Polsce. Przyszli dentyści płci męskiej najchętniej rozmawiali z córkami pana de Kwiatkowskiego i na pożegnanie każdy z nich usiłował uścisnąć ich dłonie.



„Najpierw musiałbym sprowadzić tutaj ogiera dla podratowania rasy" Fot. A. Szanda

„ ***Albo się jest biznesmenem, albo się nim nie jest. Prawdziwy człowiek interesu, taki jak ja, nie rozróżnia biznesu od życia prywatnego. Nigdy.*** **„**

Największą pasją H. de K. są konie. Posiada on wspaniałe stado, a jego największą dumą jest rekordzista szybkości „Konkwistador Nieba". Rzadko sprzedaje swoje rumaki, a mimo to przynoszą mu bardzo duże zyski. I nie chodzi w tym wypadku tylko o nagrody w wyścigach, które często stają się łupem stajni, ale również o sprzedaż opcji. Henryk de Kwiatkowski obejrzał stadninę koni w Iwnie, córka dosiadła wierzchowca, ale o zakupach nie było mowy: „Najpierw musiałbym sprowadzić tutaj ogiera dla podratowania rasy".

* * *

Kończył studia, kiedy Związek Radziecki wystrzelił pierwszego sztucznego satelitę Ziemi. Dla Amerykanów to był szok, który spowodował przebudzenie. Nie sądzono, że Rosjanie zdolni są do skonstruowania statku kosmicznego w dającej się wówczas przewidzieć przyszłości. Podrażnione firmy amerykańskie na gwałt poszukiwały

Po 50. latach

Legenda biznesu w Starym Kra'u

Znany jest w świecie biznesu. Krążą o nim legendy i o jego zamiłowaniach. Ile w nich prawdy, ile fantazji? Oto mamy okazję przekonać



Fot. MIROSŁAW ZABROCKI

się osobiście, bo ten, o którym mowa, Henryk de Kwiatkowski, właśnie wysiadł z samolotu na lotnisku Okęcie.

■ Jak długo nie widział Pan ojczyzny?

— Od 1939 r. nie było mnie tutaj. Ale i teraz nie doszłoby do tej wizyty, gdyby nie Wojtek Fibak, który powiedział żebym przyjechał.

■ Przyleciał Pan własnym samolotem, ale ponoć nie jest to jedyny, jaki Pan posiada...

— Przylecieliśmy odrzutowcem typu Challenger, w którym mieści się 10 pasażerów. Oczywiście nie jest to jedyny samolot. Moje przedsiębiorstwo dysponuje 200 maszynami.

■ Słyszeliśmy o innym Pańskim hobby — końach...

— Mam najlepsze konie wyścigowe w Stanach. M. in. 4-latki nazywają

Legenda biznesu w Starym Kraju

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

się Gdańsk, Gdynia i Polonia. Wygrywają Derby. Z pewnością słyszała pani o Sekretariacie, który odnosił przed laty zwycięstwa. Niestety, dziś ma 12 lat.

■ Po tylu latach w kraju i od razu z całą rodziną.

— Jak pani widzi przywiozłem wszystkie moje dzieci, całą siódemkę. Nicole, Michel, Konrad, Stefan, Arian, Aleksandra i Nicolas. Jeszcze studiują. Niestety żadne nie mówi po polsku, żona jest Amerykanką.

■ Mówi się, że jest Pan najbogatszym Polakiem w Stanach (kiedy wypowiadam te słowa, Wojtek Fibak zaprzecza temu mówiąc, że nie tylko w Stanach ale w świecie). **Czy będzie chciał Pan tutaj inwestować?**

— Będę musiał o tym pomyśleć, ale to też zależy, czego Polska potrzebuje.

■ Co zamierza Pan pokazać swoim dzieciom?

— Przylecieliśmy tylko na 4 dni. Przede wszystkim chcę spotkać się z Lechem Wałęsą. W programie mamy również zwiedzanie Gdańska, stoczni, złożenie kwiatów pod pomnikiem Stoczniowców. Następnie wybieramy się w moje rodzinne strony do Poznania, gdzie z kolacją czekają rodzice Wojtka.

— Chciałbym dodać, że Henryk jest ofiarodawcą sprzętu medycznego dla szpitala im. Raszei w Poznaniu i gdzie jeden z oddziałów nosił będzie jego imię — mówi Wojciech Fibak. — W planach mamy również wyjazd do stadniny w Iwnie, słynnej z doskonałych koni wyścigowych. Potem wracamy do Warszawy by wyjechać jeszcze do Krakowa i Oświęcimia.

Rozmawiała:
JOLANTA BARELKOWSKA

fachowców od techniki lotniczej, oferując najlepsze warunki pracy. Henryk miał dyplom świetnej uczelni, więc został zaangażowany przez United Aircraft, firmę amerykańską z siedzibą w Kanadzie. Po dwóch latach został wiceprezydentem korporacji.

Dla United Aircraft pracował do 1960 r., kiedy to doszedł do wniosku, że zdobył w niej wszystko, co było do zdobycia. Jak każdy człowiek, który pewny jest swej wiedzy, umiejętności i posiada to, co Amerykanie nazywają „American experience", doszedł do wniosku, że czas skończyć z pomnażaniem majątku innych i pomyśleć o własnym. Przeniósł się do Nowego Jorku, założył przedsiębiorstwo Kwiatkowski Aircraft Ltd., zatrudnił sekretarkę i wynajął dwa pokoje biurowe. Co bardzo ważne jednak, znajdowały się one w najekskluzywniejszym i najdroższym budynku na świecie, należącym do rodziny Rockefellerów. Dumny, 34-letni Polak rozdawał wizytówki z nazwą własnej firmy i adresem: 30 Rockefeller Plaza.

Szóste dziesięciolecie XX wieku Ameryka powitała modą na hipisów i samoloty odrzutowe. Wielkie firmy lotnicze pozbywały się starych maszyn i kupowały nowe. Był to czas znakomitych interesów dla wszystkich pośredników, którzy potrafili znaleźć kupców na samoloty śmigłowe. Henryk de Kwiatkowski dostał zlecenie na sprzedaż trzydziestu maszyn typu DC-3, popularnie zwanych „Dakotami", których chciały się pozbyć największe brazylijskie linie lotnicze. Kupiec znalazł się stosunkowo szybko, problem polegał na dwuznacznej relacji między sprzedawcą a argentyńskim lotnictwem wojskowym. Stosunki między obu południowoamerykańskimi państwami były napięte i w żadnym razie nie mogło dojść do bezpośrednich rozmów handlowych. Brazylijczycy zgodzili się wszakże na sprzedaż samolotów Polakowi. Problemem kolejnym było zdobycie tzw. licencji transportowej, na podstawie której trzydzieści „Dakot" mogłoby opuścić granicę państwa. Kwiatkowski Aircraft Ltd. kupiło więc ogromną ilość kawy, szczelnie wypełniło nią maszyny i wykorzystało DC-3 do transportu. Na konto firmy wpłynął pierwszy milion.

* * *

Janusz Hawell, który zna Henryka de Kwiatkowskiego od 15 lat, twierdzi, że podstawowe jego walory to bardzo chłonny umysł i pracowitość. „Henryk był znakomicie przygotowany, doskonale trafił w czas i miał dużo szczęścia. Bez tych trzech podstawowych elementów w Ameryce nie osiąga się sukcesów".

A interesy z Polską? W imieniu Boeinga i McDonalda- Douglasa Henryk de Kwiatkowski zaproponował przerabianie w Polsce samolotów radzieckich i wyposażenie ich w silniki amerykańskie. To się może udać, bo jego przyjaciel, prezydent Boeinga, już teraz „tańczy z radości, kiedy widzi zmiany w Europie Wschodniej, przede wszystkim w Polsce". Później dojdą być może do skutku kolejne kontrakty; tym bardziej to prawdopodobne, że nad sympatycznym polonusem, którego majątek, według ostrożnych ocen, wart jest 200 milionów dolarów, wisi groźba wypowiedziana na spotkaniu w Gdańsku przez przewodniczącego „Solidarności": „Jeśli pan nie zainwestuje w naszym kraju, będę pana ścigał do końca życia i w końcu dopadnę".

PIOTR GAJDZIŃSKI



Kwiatkowscy z W. Fibakiem na poznańskiej Ławicy — Fot. A. Szonda



TO JEST MOJA GRA

GUY FORGET – SPADKOBIERCA TRADYCJI

W Europie Zachodniej Fibak najlepiej czuje się w dwóch krajach – Republice Federalnej Niemiec, która jest symbolem nowoczesności, prężności, bogactwa oraz we Francji z jej kulturą, wdziękiem i wygodą życia. Paryż uchodzi za najlepiej funkcjonującą stolicę na świecie. Nic dziwnego, że przez Fibaka trafiamy za chwilę do dwóch świetnych zawodników francuskich – Guya Forgeta i Yannicka Noaha. Ale najpierw dygresja o przekazywaniu tradycji sportowej w rodzinie.

Tenis przechodzi z dziada na ojca, z ojca na syna. Autobiografia Martiny Navratilovej pt. „Martina" jest najlepszą autobiografią tenisową, jaką czytałem. Jej wielką zaletą jest szczerość. Martina opisuje m. in. tradycje tenisowe i sportowe w jej rodzinie. Dziadek, który był dobrym tenisistą, usiłował za wszelką cenę zrobić ze swojej córki (tj. mamy Navratilovej) mistrzynię. Na treningach, które sam prowadził, był bezwzględny. Jeśli córka grała źle – karał ją na różne sposoby, m. in. nie dawał jej wody do picia, chociaż zgrzana i zmęczona mocno tego pragnęła. Bił ją, poszturchiwał, a nawet tłukł nią o ścianę. Martina uważa, że dziadek nie tylko pozbawił matkę jakiejkolwiek nadziei na karierę tenisową, ale nadto spowodował, iż całe życie nękają ją migreny.

Rodzice Navratilovej byli oboje sportowcami, matka grała dobrze w tenisa, zimą pracowała jako instruktorka narciarstwa. Rodzina miała własny kort i kiedy po wojnie dziadków rozparcelowano, kort im pozostawiono. Na tym korcie spędziła Martina dzieciństwo. Kiedy miała trzy lata, dorośli wozili ją taczką do rozwożenia mączki ceglanej.

Tenis jest sposobem bycia. Dla niektórych ludzi jest albo ich pracą i głównym zajęciem, albo pasją, która przesłania wszystkie inne. Ich dzieci wyrastają w atmosferze tenisa. Są zabierane na kort, gdzie czekają aż rodzice skończą grać, potem czekają aż same dorosną i będą stawiać pierwsze kroki. Navratilova, Lendl, Graf – to dzieci tenisistów. W Polsce staje się to również zjawiskiem coraz częstszym i bardzo korzystnym, ponieważ rodzice trochę zastępują kulejący system sportu masowego. Na kortach warszawskiej Legii, gdzie obracam się od lat, widywałem najpierw grającego profesora Zbigniewa Resicha, znanego prawnika, później jego córkę Alicję – swego czasu dobrą tenisistkę – a obecnie widzę jak stawia pierwsze kroki jej kilkuletni syn. Grają oboje dzieci trenera Mincberga, córka Agnieszka już seniorka i jej młodszy braciszek. Trener Bronisław Lewandowski

tenisistów-dziennikarzy Zbyszek Chmielewski pomaga stawiać pierwsze kroki kilkuletniej córce, to samo robił swojego czasu Adam Choynowski z „Przeglądu Sportowego", na niezłego tenisistę zapowiadał się syn Jurka Kowalskiego, który w Polskim Radio toczy beznadziejną walkę o uzdrowienie gospodarki polskiej, a na kortach Legii wyzywa się w challenge'u. Widywałem tam Bogdana Tomaszewskiego, postać nierozłącznie związaną z polskim tenisem, jak grywał ze swym synem. Do tenisa na Legii wprowadził swoje dzieci, córkę i syna, Marek Chmielewski – inny wysportowany dziennikarz. Takich przykładów od Sopotu do Wrocławia jest moc. Tworzą się całe rody tenisowe, tak jak są rodziny lekarskie czy adwokackie. Przekazuje się tenis tak, jak przekazuje się dom, religię i zawód.

Oczywiście są rodzice, którzy rujnują swoje dzieci, skaczą wokół nich tak intensywnie, walczą o każdą godzinę kortu, o każdą piłkę, dres, tenisówki czy wyjazd na turniej, że strach na to patrzeć i z trudem powstrzymuję się, by nie powiedzieć „opanujcie się". Taka nadgorliwość rodziców wywołuje na ogół przekorę i niechęć trenerów oraz rówieśników i ostatecznie potrafi być szkodliwa, a zwariowani ojcowie zyskali sobie nawet określenie Klubu Oszalałych Rodziców. Ale mniejsza o to, nas interesuje dziś co innego.

Mianowicie za granicą – jak wspomniałem – jest podobnie. Jako przykład może nam posłużyć francuska rodzina Forget, której każdy kolejny potomek wygrywa dobrze obsadzony turniej w Tuluzie. Dziadek Paul Forget wygrał w 1946 roku, ojciec Pierre w 1966, a wnuk Guy w 1986, kiedy wygrał m. in. z Pimkiem, Tulasne'em, Szrejberem oraz Gunnarssonem. Musiało być wzruszające, kiedy dziadek Paul wręczał 21-letniemu wnukowi Guyowi to samo trofeum, które zdobył czterdzieści lat wcześniej.

Guy Forget był pierwszym uczestnikiem, z którym zapoznał mnie Fibak na turnieju Forest Hills w Nowym Jorku. Urodził się w roku 1965 w Casablance w rodzinie tenisowej. Ojciec – tenisista, matka nauczycielka matematyki. Ojciec nauczał tenisa w Maroku przez 20 lat, a gdy zbliżało się wyzwolenie tego kraju, w 1966 roku wrócili do Francji. Guy został najpierw najlepszym juniorem francuskim, a później jednym z najlepszych na świecie – był drugi w turnieju Orange Bowl w 1982 roku, kiedy jako junior na liście seniorów zajmował 70 miejsce. W dwa

October 29, 1989
VOICE – BUSINESS



Dr Kwiatkowski: Really happy Zabrodzki

AMERICA'S RICHEST POLE VISITS HOMELAND

Work Is It!

After a 50-year-long absence, the world-famous Polish American business tycoon, ***Henryk de Kwiatkowski,*** *came to his home country. This was something he had planned on doing for a long time. But as these things go, work and business errands all around the world got in the way of his intentions.*

He says his final decision was greatly influenced by our top tennis player, Wojtek Fibak, de Kwiatkowski's New York neighbour. Without second thoughts, Henryk de Kwiatkowski got in his private Challenger (a jet holding 10 people) and landed at Warsaw's Okęcie airport, accompanied by his wife Barbara, his seven children – Nicole, Michel, Konrad, Stefan, Arian, Aleksander and Nicolas – and the main architect of the entire project, Wojtek Fibak.

Interviewed by Voice's *Jolanta Bareikowska, de Kwiatkowski said:*

I came just a couple days ago. I realize that I won't be able to go and see many places but this is my first visit... I know now that I'll come here again someday. Right now I've flown over to see Lech Wałęsa in the first instance and show my home country to my children.

You and your family went to Poznań where you were born. What are your impressions?

I was really happy when we landed at Poznań's Ławica airport to an ovation from the welcoming crowd. Equally pleasant were the moments I experienced at the Town Hall in Poznań, where I was handed the keys to the city and my name was put in the book of honour.

One of de Kwiatkowski's hobbies is horses. This is why he paid a visit to a racing-horse stud farm in Iwno, 30 kilometres from Poznań. Says de Kwiatkowski: Horses are my passion. This is a love that I carried with me from Poland. I think next time I will buy something for my own stud farm. At the moment, we have taken part in a horse show, then we ate a wonderful dinner in the historical Mielżyński palace. My kids liked Iwno immensely. I was happy to see that as they have always been interested in Poland. We were also very warmly received at the Polonia House in Poznań.

What about Gdańsk?

We went to Lech Wałęsa's place. I accepted the idea that we should provide assistance for Poland. I'm thinking of the modernization of Soviet-built planes. Wałęsa said he would hold me to my word because if I made a promise and failed to keep it he'd spread the news around.

A stud farm, a collection of paintings by such artists as Monet, a private aeroplane company, 200 planes. Rumour has it that you're the richest Pole in the world. Your company's office is in the best location – the Rockefeller Centre in New York.

I achieved all that through my own work. I guess only work plus perseverance is what it's about.

Sport, pieniądze i kolekcja — to trzy pasje tenisisty, Wojciecha Fibaka, stanowią temat książki „To jest moja gra". Za zgodą miesięcznika „Literatura", który drukuje tę książkę w odcinkach, publikujemy fragment zakończenia, dotyczący kolekcji malarstwa. Całość ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.

To jest moja gra

ROZPALONA NAMIĘTNOŚĆ DO SZTUKI

DANIEL PASSENT

Spośród wszystkich rozmów, jakie odbyłem pracując nad tą książką, najciekawszą była rozmowa ostatnia. We wrześniu 1988 roku spotkałem panią profesor Władysławę Jaworską, kobietę o niezwykłej wiedzy i kulturze, która jest wybitną znawczynią nowoczesnego malarstwa europejskiego, zwłaszcza polskiego i francuskiego. Do pani profesor skierował mnie sam Fibak, abym zasięgnął opinii o jego kolekcji. Kiedy tylko wszedłem do mansardy w willi na Koloni Staszica w Warszawie, gdzie mieszka prof. Jaworska, wśród książek, obrazów i pamiątek, w typowo zasiedziałym wnętrzu profesorskim, przeszło mi przez myśl, jak różnych ludzi zna Fibak. Od prymitywnych, z gruba ciosanych młodzieńców, którzy mają głowy puste jak piłki tenisowe, po światowej sławy historyków, znawców sztuki, jak delikatna pani profesor.

Władysława Jaworska ukończyła filologię romańską Uniwersytetu Jagiellońskiego przed wojną, a po wojnie historię sztuki w Uniwersytecie Warszawskim. Prowadziła i nadal prowadzi z wielkim powodzeniem pracę naukową w dziedzinie historii sztuki i krytyki artystycznej. Jej główne dzieła to: dwie monografie Tadeusza Makowskiego (a także odkrycie w Paryżu i opublikowanie pamiętników wielkiego malarza), Władysława Slewińskiego — oprócz monumentalnego katalogu dzieł wszystkich (w druku) — duża monografia artysty oraz praca *Gauguin i Szkoła Pont-Aven*, której wznowienie ukazuje się każdego roku w Paryżu, nie mówiąc o innych wersjach językowych w Londynie i Nowym Jorku. Jej zainteresowania i publikowane prace w Anglii i Niemczech obejmują również środowisko berlińskie przełomu XIX i XX wieku, gdzie spotkali się Stanisław Przybyszewski, Edvard Munch, August Strindberg i wielu niemieckich poetów. Władysławę Jaworską spotkało wiele zasłużonych zaszczytów, między innymi

będzie mieć ceny, na którym drzewa są oranżowe, liście szafirowe, ziemia czarna, a w głębi jakaś postać kobieca niknie w mgle błękitnawej. Van Gogh wziął formę drzew, ziemi, kobiety — i rzucił je w tęczę harmonijną barw. Niejeden parsknie śmiechem na widok tego obrazu, a ja oczów oderwać od tych liści błękitnych nie mogę". Niestety, nie zachowały się listy Zapolskiej do Sérusiera. Kiedy malarz związał się z kobietą, która notabene nosiła nazwisko M-me Gabriele, jej jedynym warunkiem było, żeby Paul nie pisał już nigdy do Polski i spalił wszystkie posiadane listy Zapolskiej.

Kiedy podchodzimy bliżej okna, profesor Jaworska mówi — Ta cała ścianka. to są obrazy Makowskiego, którym zajmuję się od dawna. Jego monografia to moja praca doktorska. A to Stanisław Grabowski. Zak, rysuneczek Adlera, Olga Boznańska — akwarela, ciekawy obrazek, Boznańska rzadko malowała akwarele, a już takie lawowane prace prawie nigdy. To jest wczesny jej obraz. Proszę zwrócić uwagę jak to jest rafinowanie malowane. Namalowane są dwie lampy naftowe z kloszami, jedna za drugą, a za nią twarz malarki, jak gdyby trzecia świecąca się lampa. Wróćmy jeszcze do dużego obrazu Makowskiego, odmiennego od wielu jego innych płócien. To jest obraz z 1928 roku, w jakimś sensie historyczny, ponieważ stanowi „namacalne" przejście Makowskiego od okresu realizmu naiwnego, dla którego charakterystyczna jest np. *„Kapela dziecięca"*, do okresu tak typowej dla siebie transpozycji formy, kiedy maluje już wyłącznie po swojemu, lekko geometryzując i staje się tym znanym Makowskim, którego obrazy każdy rozpozna. Ten obraz jest przełomowy, artysta złapany na gorącym uczynku, ponieważ lewa strona namalowana jest już po nowemu, postaci przypominają trochę lalki, magiczne kukiełki, a z prawej strony

żem z Faubourg St. Honoré do domu piechotą. (Na szczęście mieliśmy bilety powrotne do Warszawy). Po drodze kilka osób zatrzymywało nas i pytało, czy nie sprzedalibyśmy obrazu. — Rozpoznawali Makowskiego? — Nie, ale obraz im się podobał. Nawet jak staliśmy pod czerwonym światłem na Champs Élysées, jakiś pan otworzył drzwi swego samochodu i zawołał: „Madame, niech mi pani sprzeda ten obraz!" Takie bywają przygody...

W dalszym ciągu rozmowy, zanim jeszcze zapytałem o kolekcję Fibaków, udało mi się uprosić moją Gospodynię, aby opowiedziała w jaki sposób odkryła w Paryżu pamiętnik Tadeusza Makowskiego. Wydane później w jej opracowaniu i z przedmową jej pióra pamiętniki wielkiego malarza zajmują poczesne miejsce w literaturze pamiętnikarskiej i oczywiście w gabinecie Fibaka w Paryżu. To on podsunął mi tę książkę do przeczytania. Istotnie, wspaniała to lektura śledzić, jak malarz pisze o malarstwie. Pisanie o sztuce w ogóle, a o muzyce i o malarstwie w szczególności, jest zadaniem karkołomnym. Wielu pisało o malarzach, ale zazwyczaj było to o ich życiu, o szaleństwa van Gogha, o modelkach Picassa, o Kiki z Montparnasse — ale jak oddać obraz słowami? Jan Kasprowicz tak na przykład pisał do Władysława Slewińskiego a propos określenia „Symbolizm". *„Od kiedy w tak mydlkowaty sposób nadużyto u nas pojęcia symbolu, wyraz ten może nam się obrzydzić, a przecież nie mamy innych środków słownych na określenie takiego właśnie dzieła sztuki, dlatego też i ja muszę powiedzieć, że portretowe Pańskie indywidua zmieniają się w symbole. Klasycznym tego przykładem jest dla mnie wspomniany wyżej «Sierotka»".* (Kasprowicz myślał tu o obrazie *„Sierota z Poronina"*).

W pamiętnikach Makowskiego, oprócz niezliczonych szczegółów z jego życia, rozmów jakie prowadził z samego malowania wreszcie, uderzyły mnie liczne zapiski o pogodzie, bardzo dla autora ważne, wszak malarz patrzy na światło, na słońce, na chmury inaczej niż my. Zanotowałem nawet niektóre wpisy. Pod datą 5 grudnia 1913 czytamy: *„Dziś pogoda cudna, jak na Lazurowym Wybrzeżu, ciepło, słonecznie, ale nie ma tej przejrzystości powietrza, tej głębi, tej lekkości, tej wibracji, tej rozkoszy dla oka, tej radości dla duszy, tej wesołości, tej swobody, tej beztroski

tów. Władysławę Jaworską spotkało wiele zasłużonych zaszczytów, wspomnę tylko, że była trzy lata przewodniczącą międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki AICA, a obecnie jest honorową przewodniczącą tej organizacji. Posiada wysokie odznaczenia, w tym również Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i francuską Legię Honorową. Oczywiście o tym wszystkim nie wspomina i o jej zasługach opowiadają mi różni ludzie w różnych, dziwnych miejscach — obcojęzyczne wydania jej książek spotkałam na przykład po raz pierwszy w Nowym Jorku, w potem w Palm Beach na Florydzie u Marii Gordon Smith, która jest zaprzyjaźniona z panią Jaworską.

Jak mówi Marek Groński, profesor Jaworska jest już jedną z nielicznych osób, które umieją podać kawę. Zarówno w sensie dosłownym, jak i w sensie stworzenia atmosfery oraz pomocy dziennikarzowi, który potrzebuje miarodajnej, kompetentnej opinii — w tym przypadku o kolekcji państwa Fibaków.

Najpierw jednak chodzę po dwóch pokojach mieszkania p. Jaworskiej oglądając obrazy, czasami pokrewne kolekcji naszego tenisisty w Greenwich.

— Tak się składa — mówi profesor Jaworska — że mieszkam i żyję wśród obrazów malarzy, o których piszę. Na przykład obrazy Władysława Ślewińskiego, jedynego Słowianina, jaki należał do grupy Gauguina, tzw. Szkoły Pont-Aven, którą się zajmowałam. To obraz, który przedstawia dwór jego ojca, Kajetana Ślewińskiego w Domaniewicach, to martwa natura, zresztą przez samego malarza oprawiona i wystawiana, to kwiaty jego pędzla, a w tamtym pokoju jeszcze dwa. Jeśli chodzi o liczbę posiadanych obrazów Ślewińskiego — żartuje pani Jaworska — to my z Wojtkiem prowadzimy taki długofalowy mecz: 3:3, 4:3, po cztery, 5:4. Wynik jeszcze nie rozstrzygnięty... To dwa obrazy Paula Serusier malowane jemu tylko znaną techniką, tzw. jajową. Oba obrazy należały do kolekcji Gabrieli Zapolskiej, w której malarz kochał się na zabój, kiedy mieszkała w Paryżu. Był to wielki romans, zakończony źle, bo pisarka nagle wróciła do Polski. Była to historia bardzo romantyczna. Serusier po rozstaniu usiłował popełnić samobójstwo, odratowano go, przebywał potem jakiś czas w klasztorze w Niemczech u zaprzyjaźnionego malarza-mnicha, Jana Verkade. Zapolska otrzymała od Sérusiera wiele obrazów, około dwunastu jego własnych dzieł, a ponadto Pissarra, Gauguina, van Gogha, Seurata i wielu innych. Z tą całą kolekcją wróciła do kraju i pokazała ją w 1900 roku na wystawie we Lwowie (z katalogiem). Zapolska była pierwszą osobą w Polsce, która pisała o sztuce współczesnej. Publikowała swoje *Listy z Paryża* w „Przeglądzie Tygodniowym" i w „Kurierze Warszawskim". Było to coś na owe czasy rewelacyjnego. W roku 1894 Zapolska pisała do „Przeglądu Tygodniowego": *„W mojej pracowni wisi takie płótno van Gogha, klejnot, który za lat kilkanaście nie*

gięczne kukiełki, a z prawej strony namalowana jest postać prawie realistyczna. Jak starałam się udowodnić, jest to „obraz z błędem". Podejrzewam, że po namalowaniu lewej i środkowej części obrazu, Makowskiemu zostało trochę pustego miejsca na płótnie, więc domalował postać kobiety, ale „po staremu", to znaczy realistycznie. Dla kolekcjonera ten obraz jest tak ciekawy, jak dla filatelisty bezcenny znaczek z błędem. Z kolei ta akwarela Makowskiego, *„Trzej panowie w cylindrach"*, to jedyny jego obraz w scenerii miejskiej. Eleganccy panowie — ptaki z dużymi dziobami, w pelerynach, cylindrach, to rzadkość w twórczości Makowskiego. Wszystkie jego obrazy są w zasadzie rustykalne, wiejskie, widać izbę, piec, stajnię, podwórko.

— W jaki sposób weszła pani w posiadanie tego obrazu Makowskiego „z błędem", przełomowego dla jego twórczości?

— Wiedziałam, że jest taka galeria przy rue du Cirque w Paryżu, która w 1938 roku urządziła wystawę pośmiertną Makowskiego (zmarł w 1932 roku). Poszłam tam i właścicielka powiedziała mi, że ma jeden obraz. Pokazała mi go. Widocznie Towarzystwo Przyjaciół Tadeusza Makowskiego, w dowód wdzięczności za urządzenie wystawy, podarowało jej to płótno — jak to bywa wedle niepisanego zwyczaju. Zapytałam, czy nie zechciałaby sprzedać tego dzieła Muzeum Narodowemu w Warszawie. Odmówiła. Po wielu latach, gdy znów byłam w Paryżu i otrzymałam honorarium dewizowe za swoją następną książkę, przypomniałam sobie ten obraz, poszłam na rue du Cirque, ale właścicielka już nie żyła. Galeria była zamknięta. Dozorczyni dała mi adres jakiejś kuzynki, pomocnicy zmarłej właścicielki i spadkobierczyni, od której dowiedziałam się, że trwa postępowanie spadkowe. Na pytanie, czy zechciałaby sprzedać mi ten obraz odpowiadała: — Nie wiem, poszukam, zastanowię się... Wreszcie się zgodziła, ale powiedziała, że zupełnie nie orientuje się, ile ten obraz może kosztować. Upłynęło sporo czasu, długo nie mogła znaleźć nikogo kompetentnego, kto by jej powiedział, ile obraz jest wart.

— Najbardziej kompetentna chyba na całym świecie była przecież pani profesor, ale rozumiem, że jako kupująca...

— Na kilka dni przed wyjazdem z Paryża zadzwoniłam po raz ostatni. Powiedziała, że ciągle jeszcze nie zna ceny nawet w przybliżeniu. Na to jej powiedziałam: w takim razie ja pani coś zaproponuję.

Oddam pani wszystkie pieniądze, jakie mam

(to znaczy moje miesięczne stypendium). Gdyby pani chciała więcej, to i tak nie kupię, a jeśli pani zaproponuje mniej, to ja czułabym się nie w porządku, bo ten obraz na pewno wart jest więcej, aniżeli ja mogę pani zaproponować. Poprosiła o trochę czasu do namysłu, chciała poradzić się rodziców, a kiedy następnego dnia zadzwoniłam, powiedziała: „Madame, le tableau est à vous". Uwierzyła mi, a ja oddałam całe moje stypendium co do grosza tak, że... wracaliśmy z mę-



Tadeusz Makowski: Maskarada. Rysunek piórem i pędzlem

my: *„Dzień szary, smutny, od rana z wichrem po szybach pluszcze"*. 18 sierpnia tegoż roku: *„Od rana wicher świszczy po polach i wieje od morza. Dzień niespokojny i zmienny"*. *„Widziałem pierwszą mgłę jesienną"*. *„Obłoki z wichrem płynęły po niebie"*.

Władysława Jaworska zajmowała się Makowskim jeszcze w latach pięćdziesiątych, jako pracownik naukowy Instytutu Sztuki, w ramach tematu: Malarze Polacy na Zachodzie, zwłaszcza we Francji, a dokładnie: udział malarzy polskich w Szkole Paryskiej, czyli dokładnie tych malarzy, których obrazy dwadzieścia lat później zaczął zbierać Fibak.

Ale nie uprzedzajmy wydarzeń. Makowski zmarł nagle w 1932 roku we Francji. Jego obrazy zostały złożone w składzie mebli, pod opieką nowo powstałego Towarzystwa Przyjaciół Tadeusza Makowskiego. W latach pięćdziesiątych staraniem Towarzystwa wysłano niewielką wystawę tych obrazów na Biennale w Wenecji. W drodze powrotnej wystawa pokazana została w Wiedniu i w Warszawie. Wszystko, co do tego czasu napisano o tym malarzu, to tylko krótki wstęp Jerzego Sienkiewicza do katalogu warszawskiej wystawy.

Ale zainteresowanie rosło i wszczęto starania o sprowadzenie spuścizny Ma-

Rosjanin nazwiskiem Rajkis. Po obrazach Zaka pozostała tylko nazwa galerii, w której było już wyłącznie współczesne malarstwo francuskie (obecnie to zakład fryzjerski). Zapytałam właściciela galerii, czy zostały może jakieś pamiątki po Zaku, gdyż wiedziałam, że galerię tę założyła wdowa po nim. Zak zmarł, a jego żonę Niemcy zamordowali na południu Francji. — Tak, tak — odpowiedział Monsieur Rajkis, są jakieś fotografie, listy... Czy mogłabym to zobaczyć?

Właściciel zgodził się i po kilku dniach, w umówionym terminie pani Jaworska przyszła. „Galeria Zak", w typowy sposób, składała się z parteru, gdzie eksponowane były obrazy i z piętera, gdzie stało biurko, telefon, nie wystawione prace, archiwa fotograficzne itp. Czekały tam przygotowane stare zakurzone pudła, w które polska historyczka sztuki zagłębiła się z entuzjazmem — listy, katalogi, fotografie, wszystko to było bardzo obiecujące.

Tymczasem do galerii wszedł jakiś interesant i na górę dobiegły głosy powitania po rosyjsku. — A, zdrastwujtie, kak wasze zdarowie, kak żena...? — A u mienia jest' odna dama iz Warszawy. — Iz Warszawy, goworitie? — Tak, toczno, prijechała iz Polszi.

mu wiedząc, że pułkownik interesuje się polonikami. Rudnicki ogląda to, ale też nie bierze od razu, tylko szuka nabywców. Jest już konkurencja — antykwariusz bowiem znalazł kogoś zainteresowanego z Londynu, ale czeka na odpowiedź pułkownika Rudnickiego, a ten zachodzi do „Galerii Zak" licząc, że dostanie lepszą ofertę.

Kim byli dwaj klienci, którzy zapłacili pamiętnikiem Makowskiego za rachunek w restauracji? Okazało się, że jeden był Polakiem, a drugi Węgrem — obaj znali Marię Mickiewiczównę w ostatnich latach jej życia, praktycznie opanowali ją, gdy była stara, chora i bez opieki. Trochę jej pomagali robiąc zakupy, przynosząc coś do zjedzenia, trzymali ją przy życiu. Gdy zmarła — wynieśli z domu prawie wszystko, co miało ich zdaniem jakąkolwiek wartość, w tym dużą część biblioteki Adama Mickiewicza, którą miał syn poety, Władysław, a po nim wnuczka Maria, córka Władysława.

Straszne indywidua przepijają w paryskim bistro skarby kultury polskiej.

I nawet nie widzą, co przepijają!

Z wypiekami na twarzy pani Jaworska pyta pułkownika Rudnickiego,

już, czy miał jakiś list, czy przywiózł lekarstwa od kogoś ze Stanów, w którym stanie żyjąc. Kiedy przyszedł, miał ze sobą moją książkę o Makowskim i poprosił o dedykację. I tak zaczęła się nasza znajomość. Widać było, że Wojtek zaczynał się już interesować sztuką polską — ale były to początki — dotychczas zbierał trochę grafikę obcą. Myślę, że w tym okresie właśnie zdecydował się zbierać sztukę polską. Na pewno już przedtem miał zamiłowanie do sztuki, co przy jego wszechstronnej inteligencji nie dziwi, ale co mnie interesuje to jego przemiana jako kolekcjonera.

— Ja będę zbierał tylko to, co mi się podoba — mówił, ale nie zawsze wiedział, co mu się podoba. Potem, w czasie następnych kontaktów w Polsce i w Ameryce, widziałam, jak się rozwija, jak się uczy, jak zaczyna widzieć tę sztukę. To już nie to, że dowiadywał się, iż to jest znane, ważne nazwisko, warto więc kupić obraz tego malarza. Zaczynał to już sam widzieć i bardziej samodzielnie oceniać. To samo na pewno następowało z Ewą, z tym, że jest ona raczej stonowana, spokojna, a on wykrzykiwał żywiołowo: To cudowne, to piękne? Niemniej potrafił postawić takie szczere.

rozbrajające pytanie:

„Proszę pani, niech mi pani powie, dlaczego to jest dobre?". W ciągu kilku lat Wojtek zrozumiał, że „le beau n'est pas le joli", że „brzydkie" może być ładne czy wartościowe, że sztuka nie musi być bezpośrednim odzwierciedleniem rzeczywistości (do czego miał na początku skłonność), a twarz wykrzywiona, zdeformowana, przetworzona może być wspaniałym dziełem sztuki. Ileż przykładów w wielkiej sztuce portretowej. Ta ewolucja następowała w przyspieszonym tempie. Wszędzie, gdzie byli — Ewa i Wojtek — zwiedzali muzea i galerie. Kupują i, co ważniejsze, czytają książki o sztuce, przeglądają katalogi. Uczą się historii sztuki empirycznie, niebanalnie, po swojemu. Na studiach człowiek dostaje najpierw podbudowę historyczną i teoretyczną, a „dotyk" do dzieł sztuki przychodzi później; u nich nauka przebiega odwrotnie — najpierw obrazy, a potem podbudowa historyczna. Teraz to już jest człowiek świetnie zorientowany, nie tylko w malarstwie polskim. Ważne wydaje mi się to, że Fibak nie zainteresował się malarstwem i zbieraniem później, kiedy już był zamożnym, znanym człowiekiem, który widzi, że jego praca jako sportowca upływa, ma pieniądze i teraz szuka jakiejś treści życia, jakiejś pasji, jakiegoś hobby. Nie, on był jeszcze ciągle w locie, z miasta do miasta, z meczu na mecz, z kortu na kort, a już łapał do sztuki. Działała jak magnes. Oczywiście, kolekcjonerstwo jest również swego rodzaju inwestycją i to ma znaczenie, ale w Ameryce jest tyle lepszych sposobów inwestowania pieniędzy, że nie muszą to być obrazy. Naturalnie, istnieje również moda wśród ludzi bogatych, żeby coś cennego kolekcjonować, ale w przypadku Wojtka i Ewy jest to przede wszystkim rozpalona namiętność do sztuki.

Początkowo tu i ówdzie szukał pomocy, później rozwinęła się jego świetna intuicja i już teraz wie, co jest

dobre, co chce mieć. Kiedyś miał obraz Brandta, który uwielbiał. „Żeby nie wiem kto powiedział inaczej, to jest piękne, jak świetnie namalowane są te konie, jakiż to jest wspaniały obraz..." — Panie Wojtku, mówię, ja osobiście akurat za Brandtem nie przepadam, ale jako historyk sztuki muszę powiedzieć, że to jest znacząca pozycja w naszym malarstwie. Teraz, kiedy pańska kolekcja nabiera charakteru więcej niż prywatnego, bo muzealnego — to świetnie, że pan ma ten obraz, dobry ezemplarz Brandta. Miał także Chełmońskiego. Też dobry obraz, chociaż może nie z najlepszych. Wisiały wysoko, w salonie i bardzo dobrze tam wyglądały. Nie wiem dlaczego pozbył się obu tych obrazów, że to jakoby nie jest dobre malarstwo. Nic podobnego, nie można mieć takiego podejścia. A gdzie ciągłość?, tradycja? Sztuka rodzi się ze sztuki. Francuzi tak kochają swoją tradycję! Cézanne mówił, że wielbi Poussina, a najbardziej awangardowi artyści francuscy mówią: wszyscy jesteśmy z Cézanne'a....

Jeśli Fibak postanowił zakreślić sobie ścisłą specjalizację swych zbiorów, to znaczy dwudziestolecie międzywojenne, i dlatego pozbył się np. Brandta czy Chełmońskiego — to szkoda. Ostatnio urządzona duża wystawa Chełmońskiego w Muzeum Narodowym w Poznaniu pokazała wysoką klasę tego malarza. A Brandt? Znowu moda i odkrywanie na nowo zapomnianych Monachijczyków, a przecież pracownia Józefa Brandta była jedną z najbardziej cenionych w Monachium.

Fibak interesował się początkowo malarstwem polskim od połowy XIX wieku do II wojny. Z tym, że okres międzywojenny to był dla niego głównie Makowski. Tak lubi tego malarza, że żadna cena go nie odstrasza. To był istotnie jeden z najważniejszych polskich malarzy Szkoły Paryskiej. Potem Fibak poszedł już szerokim niewodem na cały okres między wojnami, z tym że zbiera obrazy malarzy polskich i żydowskich polskiego pochodzenia. Czasami mówiono żartem, że Szkoła Paryska to są sami Żydzi i jeden polski hrabia, August Zamoyski. Jeżeli tak ukształtowały się zbiory Fibaka, że jest to głównie malarstwo żydowskie, to — sądzę — nie dlatego, że jest specjalnie filosemitą lub od razu rozmiłowanym amatorem akurat tego rodzaju ekspresjonizmu jaki wykształciła grupa takich artystów, jak Menkas, Gottlieb, Seidenbentlowie, Zak, Kisling, Kramsztyk. Nie, on po prostu zbiera malarstwo tej epoki i w miarę zbierania poznaje je i w nim się rozmiłowuje.

Uważam, że odnajdywanie i zbieranie tego rozproszonego w diasporze malarstwa — to nie tylko dobra kolekcja, to uratowanie artystów i obrazów od zapomnienia i zagubienia się w historii. Obrazy nie żyją w składach i na strychach, żyją tak długo, jak długo są wśród ludzi. A u Fibaków są ciągle wśród ludzi.

Fibakowi od początku zależało, żeby nie mieć „złych" obrazów, nie wpuścić ich do swej kolekcji i w tym się upewniał. Jeśli miał coś słabszego — pozbywał się, wymieniał, nie chciał. Kolekcja w Greenwich już w tej chwili jest małym polskim muzeum. Ponieważ Fibakowie prowadzą ożywione życie również towarzyskie — wiele osób ogląda te obrazy. Są i tacy, którzy chcą przyjść specjalnie w tym celu. Jest to bezcenne. „Szkoła Paryska" to określenie bardzo pojemne. Picasso, Chagall, Soutine to też Szkoła Paryska, obejmuje ona także Holendrów, Belgów, Hiszpanów i innych. Nie moż-

De Kwiatkowski w Polsce

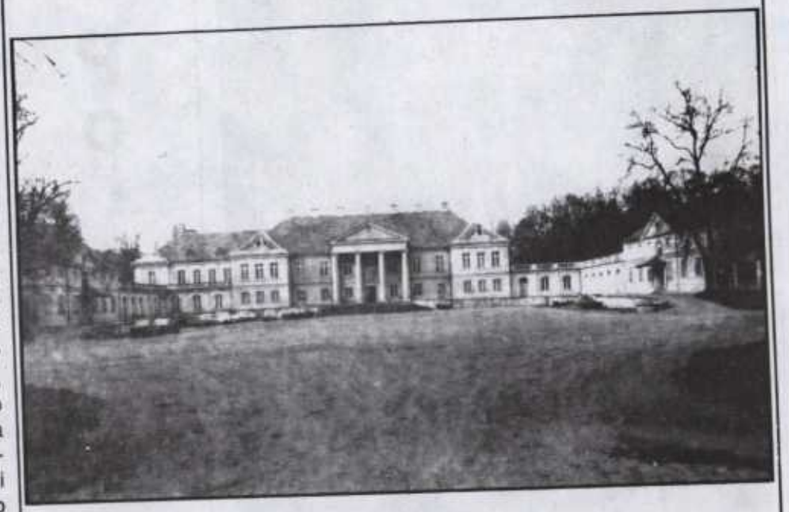

Pani Barbara Piasecka - Johnson kupiła już pałac nad Pilicą, właściciel prywatnej linii lotniczej dopiero się zastanawia. Czy słynny pałac w podgnieźnieńskim Czerniejewie padnie „łupem" de Kwiatkowskiego? **fot.S.G.**

NA POCZĄTEK GUSTOWNY PAŁAC...

W dniu, w którym Wojtek Fibak telegraficznie potwierdził rezerwację pięciu apartamentów w nowym, najbardziej ekskluzywnym warszawskim hotelu „Marriot", uwierzyłem, że zapowiada się sensacyjna wizyta. Poprzednio, dawny mistrz rakiety zaprosił do wizyty w Polsce słynnego Roberta De Niro, tym razem w grę wchodził inny, nie mniej sławny przynajmniej w wielkim businessie - Henryk de Kwiatkowski.

„Dla mnie, to co dzieje się w Polsce to rzecz absolutnie fascynująca. Nie wiem czy istnieje teraz gdzieś na kuli ziemskiej miejsce równie ciekawe i ważne" — powiedział Czesław Miłosz w wywiadzie dla najpopularniejszej w kraju „Gazety Wyborczej". Polak z pochodzenia, Henryk de Kwiatkowski jest tego samego zdania co Miłosz. Nie stara się też robić w Polsce wielkich interesów. Właściciel flotylli Boeingów i prywatnej linii lotniczej przyleciał do Poznania na pokładzie luksusowo wyposażonego, czarterowego szwajcarskiego odrzutowca CL - 60. Poznań nie był pierwszym przystankiem de Kwiatkowskiego, który najpierw oglądał swego konia na słynnym paryskim torze wyścigowym Longchamps. Multimilionerowi towarzyszyła młoda żona i pięcioro dorosłych dzieci z poprzedniego małżeństwa. Violetta jest na pewno autentyczną pięknością...

Zaraz na poznańskim lotnisku zorganizowano konferencję prasową, a będąc szefem obsługi prasowej, mocno naciskałem pana Henryka, by zdradził trochę ze swych tajemnic. Milionerzy nie należą do ludzi zbyt gadatliwych co potwierdziło się i w tym przypadku. „Nie zamierzam licytować się z panią Barbarą Piasecką" - powiedział de Kwiatkowski - „przyjechałem do Poznania pooglądać parę koni w lwnie, rozejrzeć się za jakimś pałacem, to na razie wszystko co mnie tutaj interesuje". De Kwiatkowski, który w Greenwich jest sąsiadem Wojtka Fibaka, pierwsze swe kroki skierował do domu rodzinnego tenisisty, gdzie pani domu przygotowała iście polską kolację. Przed północą pojawiła się na stole zakąska oraz dwie zupy - pomidorowa i wiśniowa oraz danie główne, notabene ulubiony przysmak Wojtka - pieczeń z ziemniakami i sałatą. Gawędzono do trzeciej nad ranem, i choć pan Henryk nie milczał, nie zdradził żadnego ze swych polskich planów. On na pewno świetnie gra w pokera...

Po 50 latach od opuszczenia Polski (de Kwiatkowski wyjechał z kraju, mając lat dwanaście), po polsku mówi raczej słabo. Rodzina - tylko po amerykańsku. Nie ukrywał jednak swego sentymentu do kraju rodzinnego, a jedynym jego biznesowym zamiarem jest założenie banku międzynarodowego. Kwiatkowscy w towarzystwie Fibaka nie marnowali ani godziny. Było więc spotkanie z ministrem kultury, Izabellą Cywińską (może powstanie specjalna fundacja pro-artystyczna?), zwiedzanie warszawskiej Starówki, Westerplatte i Majdanka. W Poznaniu de Kwiatkowski odwiedził szpital im. Franciszka Raszei, któremu przekazał endoskop wartości ponad 35 tysięcy dolarów.

Stanisław Garczarczyk.

by nie mieć „złych" obrazów, nie wpuścić ich do swej kolekcji i w tym się upewniał. Jeśli miał coś słabszego — pozbywał się, wymieniał, nie chciał. Kolekcja w Greenwich już w tej chwili jest małym polskim muzeum. Ponieważ Fibakowie prowadzą ożywione życie również towarzyskie — wiele osób ogląda te obrazy. Są i tacy, którzy chcą przyjść specjalnie w tym celu. Jest to bezcenne. „Szkoła Paryska" to określenie bardzo pojemne. Picasso, Chagall, Soutine to też Szkoła Paryska, obejmuje ona także Holendrów, Belgów, Hiszpanów i innych. Nie można powiedzieć, że Fibak ich „odkrył"; malarze których zbiera byli odkryci, już w Polsce przed wojną ukazywały się nawet małe monografie polskie i żydowskie na ten temat. (Podstawowym źródłem dzisiaj jest książka Joanny Pollakówny *Malarstwo polskie między wojnami 1918—1939.*) Na przykład Henryk Hayden z Warszawy to była w Szkole Paryskiej wielka postać. Spotkała go pewna niesprawiedliwość. Jego najsłynniejszy znakomity obraz, który wisi w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu, nazywa się *Trzej muzykanci* i był namalowany, zanim Picasso namalował swoich *Trzech muzykantów*, ale obraz Picassa jest ciągle wydarzeniem w zakresie kubizmu, a obraz Haydena wisi jakby zapomniany. Albo Marcoussis (Ludwik Markus). To też znany, wysoko notowany malarz, ma wystawy, wisi w muzeach, jego syn napisał o nim obszerną książkę, nie można powiedzieć, że to niedoceniony, nie odkryty malarz.

Wracając do Fibaka i odpowiadając na pana pytanie: czy posiadając już takie zbiory Fibak powinien mieć „kompleks", że nie robi z nich daru czy zapisu dla Polski, jak na przykład mieszkający w Szwajcarii państwo Porczyńscy czy zamieszkały w Londynie znakomity znawca sztuki i zbieracz Andrzej Ciechanowiecki? Absolutnie nie. To są rzeczy nieporównywalne. Tamte wspaniałe, na miarę historyczną darowizny i fundacje mają inną skalę wartości artystycznej, psychologiczno-motywacyjnej i materialnej. Kolekcja Fibaka, choć już teraz bezcenna, ciągle jest w stanie tworzenia, jest czymś żywym, bo jest częścią życia młodych ludzi — Ewy i Wojtka. Ich kolekcja powinna być tam, gdzie jest, to znaczy w Ameryce. Ma oprawę w pięknym zameczku i fachową opiekę. Tam powinna być i tam żyć, to znaczy być oglądana. Jakże Amerykanom imponuje to, co robi Fibak — sławny tenisista, nazywany dżentelmenem kortów, tyleż znany w sporcie, co w biznesie; wybija się wśród amerykańskich kolekcjonerów i mecenasów sztuki nie ciężarem zainwestowanego kapitału, tylko tym, że to co robi jest nietypowe i niebanalne. Jest mianowicie kolekcjonerem nie znanej, nierentownej s z t u k i p o l s k i e j. Gdyby zbierał inne malarstwo, np. europejskie lub amerykańskie — byłaby to jeszcze jedna cenna kolekcja, których tysiące są w Stanach Zjednoczonych. A tak — jest i powstaje ciągle coś wybitnego, a przy tym jedynego w świecie. Sprawa istnienia i oddziaływania tych zbiorów na terenie obcym jest niezwykłą promocją kultury polskiej bez organizowania w tym celu państwowych instytutów, placówek i oficjalnych wystaw.

A Fibak? Przeskakując z kortu do wielkiego biznesu i z biznesu do sztuki robi to inteligentnie, z rozsądkiem, ale i z polotem — lekko jak motyl.

Zaraz na poznańskim lotnisku zorganizowano konferencję prasową, a będąc szefem obsługi prasowej, mocno naciskałem pana Henryka, by zdradził trochę ze swych tajemnic. Milionerzy nie należą do ludzi zbyt gadatliwych co potwierdziło się i w tym przypadku. „Nie zamierzam licytować się z panią Barbarą Piasecką" - powiedział de Kwiatkowski - „przyjechałem do Poznania pooglądać parę koni w stole zakąska oraz dwie zupy pomidorowa i wiśniowa oraz danie główne, notabene ulubiony przysmak Wojtka - pieczeń z ziemniakami i sałatą. Gawędzono do trzeciej nad ranem, i choć pan Henryk nie milczał, nie zdradził żadnego ze swych polskich planów. On na pewno świetnie gra w pokera...

Po 50 latach od opuszczenia Polski (de Kwiatkowski wyjechał z trem kultury, Izabellą Cywińską (może powstanie specjalna fundacja pro-artystyczna?), zwiedzanie warszawskiej Starówki, Westerplatte i Majdanka. W Poznaniu de Kwiatkowski odwiedził szpital im. Franciszka Raszei, któremu przekazał endoskop wartości ponad 35 tysięcy dolarów.

Stanisław Garczarczyk.

PATRZ, KOŚCIUSZKO... na nas z nieba

OSOBY:
NOWY
TUTEJSZY
JA

JA: *Panowie... Pamiętam ankietę sprzed lat dwudziestu pod hasłem: Kogo uważasz za największego Polaka w dziejach naszej ojczyzny? I oto Polacy końca lat sześćdziesiątych – królem Polski był wtedy jeszcze Władysław Gomułka – prawie jednomyślnie wybrali Polakiem Nr 1... Tadeusza Kościuszkę, Naczelnika Narodu sprzed 170 lat. Drugi był nasz Król Duch, nasz Wieszcz Narodowy – Adam Mickiewicz. Trzeci – Kopernik, czwarty Szopen. Dalej – ale kolejności już nie pamiętam – znaleźli się królowie Sobieski i Jagiełło, pisarz Henryk Sienkiewicz i drugi Naczelnik – Józef Piłsudski... Panie NOWY – pan świeżo z lotniska Okęcie... Proszę nam powiedzieć, kogo, według pana, teraz – w roku 1989 – wybraliby rodacy Polakiem Wszechczasów?*

NOWY: *Trochę by się na tej liście zmieniło, bo właśnie w dwudziestoleciu objawiły się na polskim niebie nowe gwiazdy. Są to Polacy, i to gwiazdy wybitnie historyczne.*

JA: *Kto?*

NOWY: *Papież Jan Paweł II. Lech Wałęsa. Czesław Miłosz... Znaleźli się na „ustach świata", i to nie na jeden sezon. Wiadomo, jak trudno zdobyć uznanie Zachodu. A oni – zdobyli.*

JA: *Panie Tutejszy, pan w Ameryce od lat trzydziestu. Jak to widać z tej strony?*

TUTEJSZY: *Największą karierę na Zachodzie zrobili ostatnio następujący Polacy: Ojciec Święty Jan Paweł Drugi, Lech Wałęsa, Roman Polański, Wojciech Fibak, Czesław Miłosz. W tej właśnie kolejności.*

NOWY: *Aha, jeszcze Maksymilian Kolbe i Jerzy Popiełuszko.*

TUTEJSZY: *Zgoda. Ale w kolejności, ksiądz Jerzy Popiełuszko, święty ojciec Maksymilian Kolbe. Na Zachodzie, proszę pana, zwłaszcza w Ameryce, Popiełuszko był głośniejszy.*

NOWY: *Głośniejszy? O bohaterach i świętych mówiąc, nie godzi się używać tego słowa. Czyż głośniejszy znaczy świętszy? Lepszy? Wartościowszy?*

TUTEJSZY: *A czy Kościuszko był „lepszy" od, na przykład – Szopena? Ja nie wiem, nikt nie wie, może tylko Pan Bóg. My jednak mówimy o ocenach ludzkich, nie boskich. A ludzie słyszeli więcej o Popiełuszce niż o Kolbem. Czy można cenić kogoś, o kim się nie słyszało? W Ameryce człowiek interesujący ... wyjątkowy, wybitny nie może nie być głośny – od tego są prasa, radio, telewizja, reklama, panie Nowy. One robią swoje dobrze, nie przegapią ni tematu, ni człowieka. Dlatego w Ameryce głośniejszy znaczy automatycznie lepszy. Prezydentem zostaje zawsze najlepszy spośród kandydatów – bo im lepszy, tym więcej mu płacą na kampanię i reklamę.*

JA: *Otóż to: spróbujmy wejść w skórę Amerykanów. Którego Polaka, panów zdaniem, cenią sobie dziś Amerykanie najwyżej? Spójrzmy na siebie ich oczyma.*

NOWY: *Czy to takie ważne, co lubią Amerykanie i kogo?*

TUTEJSZY: *A ważne. Bo Ameryka jest ważna. Kiedyś Paryż rządził sławą, teraz Ameryka. Sławą i pieniędzmi. A pieniądze są ważne. Polska, zdaje się, bardzo ich teraz potrzebuje.*

JA: *Panie Tutejszy, nazwiska...*

TUTEJSZY: *Kościuszko i Pułaski na czele, to jasne. Wiadomo: bohaterowie wojny o niepodległość Stanów, pomniki, ulice, place, mosty ponazywane ich nazwiskami. Trzeci – papież. A dalej nobliści: Wałęsa, Sienkiewicz, Reymont, Miłosz. Potem Szopen i Kopernik.*

NOWY: *Ja nie wiem, ja się na Amerykanach nie znam.*

JA: *Panowie, mam przed sobą listę sześciu tysięcy ludzi, których Amerykanie uznali za najważniejszych w dziejach ludzkości i narodów.*

NOWY: *Jak to było robione, ta lista? Ankieta? Plebiscytem? I kiedy?*

JA: *Trzy lata temu. Wybierało, punktowało, ustalało miejsce na tej liście – 129 amerykańskich uczonych. Specjaliści wielu dziedzin – od historii, geografii, ekonomii po literaturę, muzykę, sport. Z pomocą pamięci własnej, bibliotecznej i komputerowej. Panowie! Spróbujcie odgadnąć, ilu jest na tej liście Polaków.*

NOWY: *Wśród tych sześciu tysięcy najważniejszych ludzi świata?*

JA: *Tak. Ilu Polaków, którzy i kto najwyżej na tej amerykańskiej liście.*

TUTEJSZY: *Ze trzystu...*

NOWY: *Zaraz, jak to ugryźć... Aha, na Ziemi żyje pięć miliardów. W tym Polaków ile? Prawie czterdzieści milionów w kraju i przeszło dziesięć za granicami, razem mniej więcej pięćdziesiąt. Podzielmy... Wychodzi, że stanowimy, ile... jedną setną? Tak. Jeden procent ludności całego świata. Panowie! Co setny człowiek na Ziemi jest Polakiem! Świetnie! Co setny... ten fakt napawa mnie dumą, panowie!*

TUTEJSZY: *Mnie nie. Co setny? To maleńko, panowie. No to ilu jest Polaków w tych sześciu tysiącach?*

NOWY: *Sześć tysięcy podzielić na sto – wychodzi, że sześćdziesięciu.*

TUTEJSZY: *Powiedz pan sto sześćdziesiąt, może się zgodzę.*

JA: *Biorąc statystycznie, jedne narody zasłużyły się dla dzisiejszej cywilizacji więcej, inne mniej. Na przykład miliardowe ludy Azji i Afryki – mniej, kilka narodów – na przykład Anglicy, Francuzi, Niemcy – więcej. A trzy narody – wybitnie, żeby nie powiedzieć: genialnie. To są Żydzi oraz starożytni Grecy i Rzymianie. Tedy powinniśmy przypuszczać, że na tej amerykańskiej liście jednych narodowości jest więcej, a innych mniej. Polaków jest... czterdziestu.*

NOWY: *Niemożliwe! Gorzej niż przeciętnie?*

JA: *Niestety...*

TUTEJSZY: *To jakaś... jakieś... niedopatrzenie. Lekceważenie, jeśli nie dyskryminacja. Jakiej narodowości są ci, za przeproszeniem... znawcy? Biorąc pod uwagę nie dzień dzisiejszy, ale tysiąclecia, najważniejszym kontynentem świata była Europa. A Polska w samym środku Europy. Pępek!*

NOWY: *Tak, pępek pępka...*

TUTEJSZY: *Wolne żarty... Proszę zauważyć, że najważniejsze wojny świata: napoleońskie, szwedzkie, pierwsza światowa, druga światowa – rozgrywały się w Polsce, o Polskę, albo z powodu Polski.*

NOWY: *To pana zdaniem w dziejach świata wojny i niszczenie ważniejsze niż budowanie?*

TUTEJSZY: *Żeby wybudować nowe, lepsze, trzeba rozwalić stare, gorsze.*

JA: *Z tej wielkiej listy spisałem Polaków, panowie. Oto oni.*

TUTEJSZY: *Kto pierwszy... Co?! Nie Kościuszko?*

NOWY: *Maria Curie-Skłodowska... Jak mogłem zapomnieć...*

TUTEJSZY: *Kościuszko za Malinowskim? Co za Malinowski? I to tak wysoko?*

JA: *Panowie, przypatrzmy się...*

POLACY
WSZECHCZASÓW
(wg Amerykanów)

1.	Maria Curie-Skłodowska	– 3.290 pkt.
2.	Jan Paweł II	– 2.465
3.	Mikołaj Kopernik	– 980
4.	Fryderyk Chopin	– 585
5.	Bronisław Malinowski	– 515
6.	Lech Wałęsa	– 500
7.	Tadeusz Kościuszko	– 460
8.	Józef Piłsudski	– 450
9.	Karol Szymanowski	– 430
10.	Jan III Sobieski	– 421
11.	Stanisław August Poniatowski	– 420
12.	Władysław Gomułka	– 415
13.	Krzysztof Penderecki	– 401
14.	Stefan Wyszyński	– 400
15.	Adam Mickiewicz	– 391
16.	Zygmunt III Waza	– 390
17.	August II Sas	– 368
18.	Władysław Sikorski	– 367
19.	Henryk Sienkiewicz	– 366
20.	Jan Kazimierz	– 359
21.	Stanisław Koniecpolski	– 358
22.	Andrzej Wajda	– 356
23.	Wojciech Fibak	– 351
24.	Edward Gierek	– 340
25.	Stanisław Leszczyński	– 331
26.	Witold Lutosławski	– 330
27.	Roman Polański	– 325
28.	Kazimierz Jagiellończyk	– 324
29.	Bolesław Chrobry	– 300
30.	Ks. Józef Poniatowski	– 290

NOWY: *Rety!*

TUTEJSZY: *Jezu!*

NOWY: *Malinowski? Marszałek sejmu nazywa się Malinowski ale czy Bronisław?*

TUTEJSZY: *Jeśli Pułaskiego nie ma, ta lista jest bez sensu!*

NOWY: *Są Gierek i Gomułka. A Bierut? Może jest w tej czwartej dziesiątce?*

JA: *Czwartej nie wypisałem sobie... Byli tam królowie Bolesław Śmiały, Bolesław Krzywousty, Zygmunt Stary, Zygmunt August... Święty Stanisław Szczepanowski, byli Zamoyscy, ale gdzieś na końcu listy, czterej. Razem 39. Kto czterdziesty – zapomniałem. W innych materiałach natknąłem się na kilka jeszcze polskich nazwisk, ale już nie sklasyfikowanych. Do sześciu tysięcy nie weszli.*

NOWY: *Tylu królów, sama przeszłość... A Cyrankiewicz, Jaroszewicz? Ochab, Spychalski? Może któryś z nich tym czterdziestym?*

TUTEJSZY: *Ee... Figuranci. Dlaczego mają być, jeśli nawet Mościckiego, Narutowicza, Arciszewskiego nie ma? Ni Andersa, ni Mikołajczyka.*

NOWY: *Mnie oburza, że autorzy tej listy wyliczyli naszych tylko czterdziestu, choć przypada nam miejsc sześćdziesiąt. Dlaczego?*

JA: *Mnie też przykro. Ale... Choć autorzy listy nigdzie nie ujawnili tego, ja domyślam się... Oni wybraliby tych 60 Polaków na tę swoją listę. Ba, wybraliby i dwustu. Ale... Ale takich Polaków, którzy by zasługiwali na tę ich światową listę 6 tysięcy, znaleźli oni tylko czterdziestu. Innych naszych bohaterów uznali za nie dość... zasłużonych.*

TUTEJSZY: *Barbarzyńcy! No bo jak to? Słowacki, Krasiński, Norwid, Wyspiański – czterej Wieszczowie! Co, oni też niegodni?!*

NOWY: *Jest Sienkiewicz – gdzie pozostali dwaj literaccy nobliści? A Prus, Orzeszkowa, Konopnicka? A Żeromski? Czy Dickens, Gogol, Zola – są na tej liście 6 tysięcy?*

JA: *Są.*

NOWY: *No to?*

TUTEJSZY: *Właśnie, czy nasi gorsi? Że przynajmniej Szopena pamiętali, ładnie. Ale dlaczego dali tych nowoczesnych rzępolistów – Szymanowskiego, Lutosławskiego, Pendereckiego – a Moniuszki nie?*

NOWY: *Muzyków sporo, muzykę naszą docenili. Ale malarstwo?*

TUTEJSZY: *Matejkę, takiego giganta narodowego jak Matejko – pominęli! Gdzie Chełmoński?*

NOWY: *Jeśli ci dwaj byli dla tych znawców amerykańskich zbyt lokalni – dlaczego pominęli Malczewskiego? Strzemińskiego? Starowieyskiego? Beksińskiego?*

TUTEJSZY: *Właśnie! Tyle się czyta o nowojorskich sukcesach nowej fali: Sawki, Czeczota, Olbińskiego, Kapusty...*

NOWY: *Otóż to! Polska aż trzęsie się od zagranicznych sukcesów Zanussiego, Skolimowskiego, Machulskiego, Holland, Bugajskiego... A na liście widzę tylko Wajdę i Polańskiego. Idźmy dalej: co tydzień słyszę z „Głosu Ameryki" i „Wolnej Europy", co miesiąc czytam w „Kulturze", o tryumfach Mrożka, Lema, Herberta. A z młodych – Hłaski, Konwickiego, Barańczaka, Zagajewskiego... I też pominięci? I tyle huku o tryumfach pośmiertnych: Schulza, Witkacego, Gombrowicza... A nie widzę. Więc jak to jest? Są te tryumfy? Czy jesteśmy nadymani?*

TUTEJSZY: *Ja „Głosu" i „Wolnej" nie słucham, bo moje nie chwyta. Ale polonijną prasę czytam. I wiem, że genialni byli lub są: Lechoń, Wierzyński, Wittlin, Wat, Łobodowski, Mackiewiczowie, Mierzejewski, Krzyżanowski. W związku z tym mam prawo zobaczyć ich na tej liście i... I nie widzę!*

NOWY: *A nasze tuzy krajowe – Tuwim, Gałczyński, Iwaszkiewicz, Andrzejewski? A Żukrowski, Dobraczyński, Różewicz? A sławny nasz nurt wiejski? Też blaga?*

TUTEJSZY: *Jeśli dla tych, za przeproszeniem, znawców nawet Miłosz za mały – to o czym, proszę pana, mówić?*

NOWY: *To nie wszystko. My tam w kraju nasłuchujemy, szepczemy z po-*

Dokończenie na str. 22

Kiedy Fibak pyta, to chodzi mu o to, czy taki dom można kupić lub jak ludzie żyją, ale równocześnie o to, czy taki dom można kupić lub sprzedać. Czy mógłby kupić albo odremontować hotel Bristol? Dom nie jest dla niego, jak dla innych Polaków szczytem marzeń w tym sensie, żeby kiedyś dorobić się własnych czterech ścian i zamieszkać w nich do śmierci. Fibak żyje w innym świecie. W świecie Fibaka dom to jest duży samochód. Owszem wygodny, ale nie musi służyć do końca życia. Jak dom w Greenwich może być do końca życia, skoro Fibak nie jest nawet pewien, czy będzie żył w Paryżu, w Nowym Jorku, w Greenwich czy jeszcze w innym miejscu?

Fibak kupił za kilka milionów dolarów trzy mieszkania na szczycie dwudziestopiętrowego domu na Park Avenue przy 56 ulicy – najlepszym i najdroższym punkcie Nowego Jorku, coś jak gdyby w Warszawie między Belwederem a ambasadą amerykańską. Jedno mieszkanie odsprzedał wiceprezesowi firmy samochodowej Chrysler, a dwa pozostałe z ogromnym rozmachem rozbudował, kazał przebić się na dach, zbudował tam taras z widokiem na Manhattan, oranżerię, dodatkowe pokoje, zatrudnił firmę architektów, budowlanych, dekoratorów, przy mnie zjawił się specjalista, który zakładał instalację muzyczną we wszystkich pokojach, były już dostarczone najkosztowniejsze lodówki, zamontowana kuchnia cała w solidnym drewnie, a wszystko to pochłonęło dalsze 2 miliony dolarów, ale czy można powiedzieć na pewno, że tam już Fibakowie osiądą na zawsze i będą patrzeć przez okno na mieszkanie w sąsiednim domu, które należy do siostry zmarłego szacha Iranu? Fibak wystawił ten lokal na sprzedaż (ze stratą), zanim zdążył tam zamieszkać. Człowiek, który obraca nieruchomościami, nigdy nie jest do końca pewien, czy urządza coś dla siebie czy dla innych. Wszystko ma swoją cenę – mówi Fibak. To są ważne słowa, dużo o nim mówią. To znaczy, że jeśli zgłosi się odpowiedni klient i zaoferuje odpowiednią cenę, to Fibak ma zawsze kilka domów, do których może się wyprowadzić. Jaka byłaby odpowiednia cena – osiem, dziesięć milionów za taki pałacyk na dwudziestym piętrze trzeba by dać. Wtedy, kto wie, może Fibakowie uwiją sobie gniazdko gdzie indziej. Są do tego stworzeni, ponieważ głównym zajęciem Fibaka jest handel ziemią i nieruchomościami, przede wszystkim w miejscowości Greenwich, w stanie Connecticut.

Wybór Fibaka padł na Greenwich, ponieważ ta miejscowość spełnia jego warunki: daje komfort luksusowego miasteczka o niecałą godzinę drogi samochodem od Nowego Jorku, zaspokaja potrzebę piękna, ponieważ luksusowe rezydencje ukryte są dyskretnie na dużych parcelach, otoczone własnymi parkami, pielęgnowanymi przez ogrodników, którzy strzygą trawę, przycinają krzaki, sadzą drzewa i całe aleje, skrywają domy i zapewniają im piękny widok, wreszcie – last but not least – domy tutejsze są to niezwykle okazałe pałacyki i zameczki bogatych ludzi, które warte są coraz więcej, z każdym rokiem coraz droższa jest ziemia i domy w Greenwich. Według „New York Times" z 22 marca 1987, to już najdroższe domy w USA, ponieważ pieniądze Nowego Jorku rozlewają się coraz dalej po okolicy, najpierw dziesięć, potem dwadzieścia, teraz już czterdzieści i pięćdziesiąt mil od Nowego Jorku. Samochodem, limuzyną z kierowcą, śmigłowcem, dojeżdża elita do miasta i z powrotem (w Greenwich nie wolno mieć helikoptera, żeby nie zakłócać spokoju, w przeciwnym razie nie brakłoby tu chętnych).

Rozrastanie się Nowego Jorku, to jeden z tematów, które Fibak lubi i czuje.

Miasteczko Largemont – opowiada Fibak, obwożąc mnie samochodem – jest marzeniem każdego prawnika, architekta czy lekarza z Nowego Jorku. Tutaj zamieszkać, tu kupić domek – to są ich aspiracje. Jeżeli zarabiają trochę mniej, to mają domek w Bronxville, a jeśli nieco więcej to w Scarsdale. Przeważają w tych miejscowościach Amerykanie pochodzenia żydowskiego, którzy odgrywają poważną rolę wśród inteligencji. Z kolei ci, którzy mieszkają już w Scarsdale, pragną awansować do Greenwich.

Jeszcze dwadzieścia – trzydzieści lat temu Greenwich było zdominowane przez stare, bogate rodziny WASP – White Anglo-Saxon Protestant, a więc białych, anglosaskich protestantów, którzy uważają się za sól Ameryki, duchowych spadkobierców pierwszych kolonistów ze statku „Mayflower", stanowią elitę Stanów Zjednoczonych. Jeszcze jest za wcześnie, żeby prezydentem został Polak, Murzyn czy Żyd, ale jest już pora ku temu, by ludzie ci zdobywali kolejne twierdze elity. Zanim zdobędą Biały Dom, muszą zdobyć Greenwich.

Burmistrz Roger Pearson opowiadał mi, że kiedy przeniósł się do tej miejscowości dziesięć lat temu, to wiele klubów nie przyjmowało np. Żydów, nie mówiąc o Murzynach. Do dziś istnieją w Greenwich takie kluby, gdzie lepiej urodzeni wolą przebywać we własnym gronie. Ale rośnie w okolicy liczba Włochów, Żydów i Polaków. Większość spośród 60 tysięcy mieszkańców Greenwich stanowią nadal WASP, ale najliczniejsze mniejszości liczą już po kilka tysięcy osób – są to Włosi, Żydzi i Murzyni, nie brak również Polaków, działa nawet Towarzystwo im. Józefa Piłsudskiego. Pearson, który czterokrotnie ubiegał się tu o urząd publiczny, prowadził kampanie wyborcze, mówi, że wielokrotnie podczas spotkań z wyborcami pytano go, czy jest Polakiem. Ale później pięć lat u sławnej Barbary Piaseckiej-Johnson, najbogatszej Polki na świecie, a od pewnego czasu pracuje u Lendla, albo znany nam pan Jurek Krzewina – kortowy, halowy instruktor tenisa u samego pana Branta. Liczbę Włochów i Żydów w Greenwich ocenia Pearson na 5--7 tysięcy.

W promieniu stu kilometrów od Nowego Jorku coraz więcej miejscowości, które dawniej były samodzielne i żyły własnym życiem, dostaje się obecnie w orbitę wielkiej metropolii. Kiedyś nikt kto miał interes lub pracę w Nowym Jorku nie mieszkał dalej niż w Bronxville albo Riverdale, tam gdzie mieszkał malarz Menkes i nadal mieszka wdowa po nim, to już wydawało się bardzo daleko. Później kolejne miejscowości, jeszcze bardziej odległe, Largemont, New Rochelle zaczęły przekształcać się w suburbia Nowego Jorku, aż doszły do Scarsdale. Wydawało się, że to już będzie koniec, że dalej mieszkać nie można. To były lata pięćdziesiąte-sześćdziesiąte. W siedemdziesiątych dominowało jeszcze Scarsdale, ale już w orbitę nowojorską dostawały się Ray, Harrison, Porchester – te miejscowości stawały się aż tak modne, że powstały w nich siedziby Pepsi Cola czy IBM. A stamtąd był już tylko krok do Greenwich. Przed wojną mieszkały w Greenwich tylko wielkie rodziny, jak Rockefellerowie, Hirschhornowie czy Flynnowie – ci ostatni wybudowali rezydencję, w której mieszkają obecnie Fibakowie. To byli potentaci, którzy kupowali kilkadziesiąt hektarów i byli całkowicie odseparowani od świata – w tygodniu mieszkali w Nowym Jorku, a na sobotę-niedzielę jechali do Greenwich. Z czasem zaczęli dzielić swe tereny pomiędzy spadkobierców oraz nowych nabywców, gdyż ziemia ta stawała się coraz droższa i bardziej pożądana jako wymarzone miejsce dla kogoś, kogo interesy trzymają przy Nowym Jorku, ale pragnie spokoju, ciszy, czystego powietrza, dobrych szkół i odpowiedniego dla siebie sąsiedztwa z wyższych sfer.

Sukces Fibaka w jego interesach finansowych bierze się m.in. stąd, że trafnie przewidział wzrost zainteresowania terenami w Greenwich, a co za tym idzie – wzrost ich ceny. Fibak kupuje tu ziemię i domy, gdyż wie, że jeśli nie przepłaci (a on raczej nie przepłaca, ludzie mówią, że umie kupić tanio i sprzedać drożej, w interesach jest twardy), to z czasem zyska. Bo Fibak nie tylko kupuje – on również sprzedaje, żeby zarobić. Jego celem jest zysk. Działa w drugim etapie reformy, od kiedy wyjechali z Ewą starym volkswagenem na pierwsze turnieje w Mediolanie i RFN – jechali na zasadzie „trzech S" – samorządni, samowystarczalni, samofinansujący się. To umożliwiło Fibakowi zostanie pierwszym polskim sportowcem zawodowym. W prasie emigracyjnej, niechętnej PRL, nazywano wówczas Fibaka „bojownikiem o wolność sportu w Polsce". Przez wolność rozumieją oni zasadę laisser faire – każdy jest kowalem swojego losu, każdy jest sam wobec innych i w konsekwencji z innymi musi wybić się i wzbogacić. Ale to jest temat odrębny.

Transakcje nieruchomościami w Greenwich w początku kwietnia 1987: Robert Levine i inni sprzedali Johnowi Paulowi i spółce parcelę oraz dom na Widdle Way za 905 tysięcy dolarów. Malvin F. Doty Junior sprzedał Jefreyowi Downes dom i parcelę przy Church Street za 800 tysięcy. Martha Winn – Linie Silver, to samo na Digletown Road za 665 tysięcy. William Shaw Jr. sprzedał Edwinowi L. Knezegerowi teren i zabudowania przy Gloenwood Drive za 1,75 miliona dolarów. Tenisista Hats Wilander kupił za 800 tysięcy dolarów dom i teren na Richmond Hill Road od Burtona Gordona. Wykonawcy testamentu Matthew A. Forellego sprzedali jego teren i dom za 522 tysiące dolarów. Firma Henderson Associates sprzedała firmie King Street Associates dom i tereny przy King Street za 5,1 miliona dolarów. Najskromniejsza normalna transakcja w tym tygodniu opiewała na 24 tysiące dolarów, ale był to wyjątek. Piszę „normalna" dlatego, że np. Brri Greenberg sprzedał swój dom i parcelę, wycenione przez miasto na 288 tysięcy, Howardowi Komisarowi za symboliczne 10 dolarów. Zdarzają się też akty sprzedaży za symbolicznego dolara, ale są to sprawy honorowe, rodzinne, sądowe, fragmenty szerszych rozliczeń, np. ktoś dokłada dom i ogród do sprzedanej fabryki gdzieś poza Greenwich itp. To nas nie interesuje.

Dla nas ważne jest, że przeciętna parcela z domem kosztuje tu około 300 tysięcy dolarów, zaś jeden akr (około pół hektara) atrakcyjnej działki budowlanej kosztuje 130 tysięcy dolarów. Po takiej cenie sprzedawał ostatnio Fibak 11 akrów dwóm kandydatom: szwedzkiemu tenisiście Henrikowi Sunstroemowi (59 na liście ATP w kwietniu 1987) i rodzinie, która należy do najbogatszych w Kolumbii – właściciela linii lotniczej, stacji telewizyjnej itd.

W niektórych najbogatszych częściach Greenwich, aby uchronić się przed zbytnim zagęszczeniem, przyjęto zasadę, że nie wolno rozdrabniać działki budowlanej poniżej 4-11 akrów, tj. 2-5 ha. W takiej okolicy nie wolno sprzedać ani kupić mniejszej parceli, co stwarza wysoki próg finansowy rzędu 0,5-1 mln dolarów. Przeciętni ludzie nie mają tu o czym marzyć. Są to za wysokie progi nawet dla adwokatów i lekarzy, którzy w Stanach należą do dobrze zarabiających. ■

CDN.

DANIEL PASSENT

mnie, abym o godzinie piątej rano tego dnia czekał przy moim telefonie w Nowym Jorku. Istotnie mniej więcej o tej porze zadzwonił telefon i po kilku minutach już brałem udział w licytacji, zakończonej, jak wspomniałem, zakupem tego ciekawego obrazu.





ALBERTO MANCINI



VU PAR WOJTEK FIBAK

Quelles sont ses forces ? Ses faiblesses ? Quel est son schéma de jeu ? Quelle tactique doit-on employer contre lui (ou elle) ? Que peut-on penser de ses aptitudes physiques et mentales ? C'est en somme l'analyse du jeu du champion (ou de la championne) « élu » en poster de Tennis Magazine que nous vous proposons ici. Démarche délicate. A laquelle nous avons souhaité associer le Polonais Wojtek Fibak. A 37 ans, au terme d'une carrière exemplaire de plus de 15 ans qui l'a vu remporter 15 tournois en simple et 48 en double, qui l'a aussi vu conseiller Lendl et récemment Leconte, Fibak est surtout considéré dans le monde comme l'un des observateurs les plus avisés du tennis. Il connaît bien — pour les avoir souvent affrontés — les champions dont il parle. Ses opinions vont parfois à contre-courant de quelques idées reçues. Un regard neuf et enrichissant, doublé des grandes lignes du palmarès, telle se veut être la formule de notre « dos » de poster, consacrée ici à Alberto Mancini.



Né le 20 mai 1969 à Misiones (Argentine)

Son palmarès

GRAND CHELEM

Open d'Australie
Jamais joué.

Roland-Garros
1988 : 1er tour (p.c. Perez-Roldan) ; **1989 :** 1/4 de finaliste (p.c. Edberg).

Wimbledon
Jamais joué.

US Open
1989 : 1/8 de finaliste (p.c. Noah).

TOURNOIS GAGNES

(au 1er novembre) (3)
1988 : Bologne ; **1989 :** Monte-Carlo, Rome.

FINALES

(au 1er novembre) (0)

Après Guillermo Vilas et José Luis Clerc, Alberto Mancini représente la 3ème génération du tennis argentin. Comme ses deux compatriotes, Mancini est un frappeur, au jeu à une main. Comme Vilas, il est très puissant physiquement et comme Clerc il est agressif du fond du court. Mais Mancini frappe encore plus fort. Il lui faudrait maintenant, comme autrefois Vilas, « son » Ion Tiriac. Pour le faire progresser mentalement et physiquement.

Mancini peut devenir un grand joueur si, à l'image d'un Lendl, il travaille très dur son physique pour devenir plus rapide, plus résistant et plus endurant. Avec son nom italien, ses origines argentines, Alberto Mancini apporte cette atmosphère sud-américaine dont on avait la nostalgie depuis la grande époque de Vilas et Clerc. En ce sens, Alberto a occupé une place qui était à prendre...

W.F.

Points forts

Le coup droit

Lifté et très puissant. Même quand il le frappe au maximum, Alberto lui donne toujours un peu de lift. Aidé par la puissance de son bras, de son avant-bras et de son poignet, il peut changer à volonté le rythme et la direction de son coup droit. Parfait contrôle de balle.

Le revers

Là aussi, il peut tout faire et dans ce registre, on peut le comparer à Clerc, Becker ou Lendl. Il fait déjà partie des meilleurs dans le tennis offensif du fond du court au revers à une main. Ses passings sont excellents des deux côtés.

Le service

Sa première balle est puissante mais la deuxième est très gênante, particulièrement sur terre battue, grâce à la torsion de son poignet. Quand il sert côté avantage contre un droitier il contrôle bien la trajectoire pour placer la balle tout près de la ligne de couloir, sur le revers adverse. Très liftée, la balle rebondit haut et fait « sortir » l'adversaire du court. Un grand coup pour le double.

Mobilité

Avec un gabarit pourtant grand et lourd, Mancini couvre son terrain étonnamment bien.

Points faibles

Avec son jeu à une main et sa puissance, et bien qu'il soit un spécialiste de la terre battue, il ne devrait rencontrer d'obstacles insurmontables pour adapter son jeu sur ciment et sur moquette — le gazon restant difficile pour lui. Il a d'ailleurs fait un bon match contre Noah à l'U.S. Open et a bien joué à Bercy. Il n'a pas un toucher exceptionnel, mais pas de faiblesses techniques particulières. Certes, il est plus fort en fond de court qu'au filet. Mais quand il le faut, il a la volonté de

Le mental

(voir plus loin)

Tactique

Comme naguère Jose-Luis Clerc, c'est en fond de court sur terre battue qu'il s'exprime le mieux. Là, il a un jeu naturel il possède l'art de la « glisse », il frappe des deux côtés et il attend. Il sait utiliser des balles très croisées des deux côtés. Il aime aussi frapper très fort pour rechercher le point gagnant directement. Ou l'adversaire n'est « pas là », ou il monte... Sur les autres surfaces, il emploie la même tactique, avec des montées plus fréquentes, mais celles-ci sont encore trop rares.

Pour jouer contre lui :

Sur terre battue, comme quand on jouait Clerc, il existe deux possibilités. Si un joueur n'a pas trop confiance dans ses coups de fond de court, il doit monter derrière ses propres services, y compris les deuxièmes, attaquer la deuxième balle adverse et se préparer à courir beaucoup. Il faut éviter de rentrer dans l'échange. Mais si l'on s'appelle Tulasne, Carlsson etc, il faut le jouer dans la durée — comme l'avait fait Jaite à Roland-Garros — et toujours remettre en attendant la faute. Sur une surface rapide il faut le jouer comme tous ceux qui n'y sont pas très à l'aise : le service-volée, les changements de rythme et aussi les coups qui obligent Mancini à attaquer davantage.

Physique

C'est là qu'il aurait besoin d'une aide pour devenir plus rapide et plus endurant, il devrait travailler comme l'ai fait Lendl : vélo, hockey sur glace, natation, régime alimentaire... Et attention aux fêtes le soir ! Mancini doit avoir, plus que d'autres peut-être, une grande rigueur dans son style de vie.

Mental

Là aussi, Mancini aurait besoin de quelqu'un pour l'aider. Il semble un peu fragile. Il n'a pas la personnalité de joueurs comme McEnroe, Connors, Becker qui sont très différents les uns des autres mais qui ont la solidité mentale et même une grande force intérieure. Mancini doit acquérir un mental de vainqueur pour parvenir un jour dans les trois meilleurs mondiaux.

MIESIĘCZNIK KURIERA POLSKIEGO

Relaks i Kolekcjoner Polski

XI–XII 1989 CENA 600 zł

Galeria Ewy i Wojtka Fibaków w Greenwich

Andrzej Ryszkiewicz

Tytuł, jak i część informacji, zapożyczyłem z artykułu Stanisława Jordanowskiego w amerykańskim tygodniku „Przegląd Polski", artykułu już zresztą dosyć starego, datowanego 8.V.1986. Od tego czasu kolekcja Wojtka Fibaka (bo takiej formy imienia w Stanach Zjednoczonych używa), znacznie się powiększyła, co z innych źródeł próbuję uzupełnić, ale i tak prawdziwego obrazu tych zbiorów nakreślić nie mogę. Trzeba bowiem stwierdzić, że jest to chyba najcenniejsza kolekcja tego typu w Ameryce.

Inaczej też niż inne zbierana. Podczas gdy wszyscy znani mi kolekcjonerzy wyszukują tzw. polonica, tj. obrazy związane z Polską osobą autora lub tematem malowidła – Fibak znacznie zawęził zakres swoich zamiłowań. A że sformułował to po swojemu, to inna sprawa. Zasady swego kolekcjonerstwa wyłożył Fibak w artykule, który przed trzema laty ukazał się w kanadyjskim piśmie „Echo Tygodnia", częściowo przedrukowanym w amerykańskim „Sportowcu" („Misja", nr 51 z 23.XII.1986).

Fibakowie postanowili, że zbierają malarstwo polskie, ale tylko „najlepsze"; ich gusty ukształtowali Władysława Jawowrska i Zbigniew Legutko, który „od 1977 r. ma największy wpływ na naszą kolekcję, dla nas kupuje obrazy.... Wszystko przechodzi przez jego ręce". P.P. Fibakowie zbierają tylko obrazy olejne (tak oświadcza były wybitny tenisista). Uznając, że najwybitniejszym polskim malarzem był Piotr Michałowski, „próbowaliśmy kupić wszystkie obrazy Michałowskiego malowane tą techniką". W 1986 r. Fibak napisał, że „w sumie na świecie, tj. nie tylko poza Polską, jest kilkadziesiąt prac Michałowskiego, z tego mamy dziesięć, u osób prywatnych – w Londynie, Brukseli, Nowym Jorku – są poza tym tylko cztery. Dodajmy, że są to na ogół dzieła znane z publikacji przedwojennych, kiedy w swej zdecydowanej większości należały do rodziny artysty, m.in. do Róży Michałowskiej i Dominika Łempickiego. Te obrazy kupił od nich głównie wiedeński adwokat Emil Merwin, a w 1969 r. rozsprzedawał je – również mieszkając w Wiedniu – antykwariusz Czesław Bednarczyk.

Innych obrazów malarzy polskich, które określili jako dzieła „szkoły monachijskiej", pp. Fibakowie powoli się wyzbywali, część z nich przeszła do Barbary Piaseckiej-Johnson. „Uważamy je za pozbawione ambicji... Malarstwo monachijskie wydaje się być zasiedziałe. Malarze tej szkoły ciągle malowali konie na śniegu i wilki, a w tym czasie nawet już w Niemczech powstał ekspresjonizm... Fakt, iż obrazy Chełmońskiego, te pastuszki czy konie, sprzedawały się, nie świadczy, iż było to najlepsze malarstwo". Szczególnie iż istniała już wówczas fotografia, więc „potrzeba na malarstwo naturalistyczne zwyczajnie przeszła". Jeszcze, na koniec tych oświadczeń, parę zdań W. Fibaka, których przedruku nie mogę sobie oszczędzić. „Najpierw szlachta polska, a później kupiectwo ciągle kupowało ten rodzaj malarstwa, do teraz kupują! Gusta ludzi się nie rozwinęły. To jest skandal, to jest hańba dla Polaków, dla naszego wyczucia, dla naszego gustu".

Wojtek Fibak uznał więc, że trzeba to odrobić, pokazać wszystkim tych malarzy polskich, którzy wybierali nie Monachium, tylko Paryż, „to jest nasza misja". Więc po Michałowskim w kolekcji jest chronologiczna przerwa, aż po obrazy Leopolda Gottlieba, Zygmunta Menkesa, Rajmunda Kanelby, Meli Muter, Eugeniusza Zaka, Ejbisza, Kramsztyka, Haydena, Kisinga (powtarzam całą tę listę, poprawiając jedynie pisownię". Następnie „do tej grupy malarzy pochodzenia żydowskiego dochodzą inni malarze polscy" – Olga Boznańska, Tadeusz Makowski („nasz ulubiony malarz"), Stanisław Eleszkiewicz, Gustaw Gwozdecki, którego W. Fibak stawia bardzo wysoko. Pisze jeszcze Fibak, że „nikt nie kupował obrazów Olgi Boznańskiej. Miała myszy w pracowni i umierała z głodu, a przecież była to największa malarka polska wszechczasów".

Zdecydowanie wygłaszane opinie Wojtka Fibaka są – nazwijmy to tak – bardzo osobiste, a informacje niezbyt ścisłe. Nie to przecież jest ważne, ale jego zbiory. Umieszczone w pięknej rezydencji w Greenwich, (neogotyckiej kamiennej budowli, którą przed laty wzniósł dla siebie słynny amerykański architekt), zbiory Ewy i Wojtka Fibaków są istotne i bardzo liczne i stojące na nieprzeciętnie wysokim poziomie. Aż trudno uwierzyć, że zebrane zostały wyłącznie za granicą, na światowych rynkach europejskich i amerykańskich.

Weźmy np. Władysława Ślewińskiego. Katalog jego dorobku (wydany przez Wł. Jaworską w 1983 r.) wymienia w posiadaniu pp. Fibaków obrazy: „Miasteczko w Bretanii", Martwą naturę z bułkami i nożem.

Wysoki wazon z kwiatami, „Domy i płot", „Kwiaty w wazonie i pusty dzbanek", „Morze z żaglówkami", „Wyspa czarownic" oraz „Pejzaż górski", a nie są to jeszcze wszystkie dzieła wielkiego artysty nabyte przez Fibaka. Józefa Pankiewicza reprezentuje 6 obrazów olejnych: martwe natury z butelką, dzbankiem i owocami oraz z owocami w misie, ponadto cztery pejzaże. Dalej idzie aż 13 obrazów Tadeusza Makowskiego (i drugie tyle akwarel), 14 olei Leopolda Gottlieba, 7 kompozycji Fustawa Gwozdeckiego (m.in. świetne „Japońskie laleczki", ciekawsze od porównywalnego obrazu z muzeum w Bytomiu. Zygmunta Menkesa miał Fibak dwa autoportrety, do których w zeszłym roku dokupił jeszcze jeden obraz, płacąc rekordową dla tego artysty kwotę przeszło 25 tys. dolarów. Eugeniusza Zaka reprezentuje 11 obrazów, a wśród nich najważniejsze działa artysty, reprodukowane już przed laty. Tę listę mógłbym ciągnąć jeszcze długo.

Słowem, zbiory Ewy i Wojtka Fibaków to wysmakowana kolekcja malarstwa polskiego połowy naszego wieku (plus Piotr Michałowski), wielki zespół doskonałych płócien, o niepodważalnej autentyczności. Ponieważ zaś zbiory są dostępne i zwiedzane – wystawiają znakomite świadectwo naszej plastyce na kontynencie amerykańskim.

***

Chciałbym jeszcze powrócić do mojego felietonu z numeru majowego, do „Dalszych ech licytacyjnego młotka". Pisząc o aukcji urządzonej przez Agencję „Unicum" (i szczerze chwaląc organizatorów) wytknąłem, iż – wbrew interesowi klientów – po wywołaniu ceny wyjściowej, sekretarka informowała, iż wpłynęło znacznie wyższe zgłoszenie pocztą. Od tej kwoty rozpoczynano licytację. Napisałem, iż uważam takie postępowanie za „wysoce naganne i nielojalne". Te twarde słowa uznane zostały za krzywdzące. Wyjaśniono mi, iż jeśli jest tylko jedno zgłoszenie pocztowe, to organizatorzy licytują w imieniu klienta od kwoty najniższej tak, jakby ów potencjalny nabywca sam uczestniczył w aukcji. Inaczej jest przy kilku zgłoszeniach. Jeśli np. przedmiot wyceniony został na 70.000, a zgłoszenia opiewają na 100, 150 i 200 tysięcy, to licytację rozpoczyna się od 155, takie są u nas zwyczaje i takie nawet zalcenia. Organizatorzy postąpili więc zgodnie z przyjętymi ustaleniami. Tłumaczono mi, iż praktyka taka o tyle jest właściwa, że gdyby np. nikt nie dał z sali więcej od owych 70.000 (albo w każdym razie dał mniej niż 100 lub 150) – nie wiadomo byłoby, kogo z trzech zlecających uznać za nabywcę. Widać więc, że organizatorzy nie działali w złej woli („wyłącznie z chęci zysku"), a mój zarzut był niesłuszny. Chętnie go więc wycofuję. Tyle że za granicą chyba nikt tak nie postępuje: stosuje się bowiem albo zasadę pierwszeństwa zgłoszenia, albo przyznaje priorytet temu, kto był skłonny zapłacić najwięcej, choćby obiekt sprzedano o wiele poniżej zakomunikowanych przez klientów limitów.

S WIELKOPOLSKI sobota — poniedziałek

Droga do sławy

Polscy mistrzowie zawodo

Pięściarz Cassiuss Clay (później znany jako Muhammed Ali), tenisista Bjoern Borg, karateka Cuch Norris, to przykłady sportowców, których wyczyny na profesjonalnych arenach obrosły legendą. Statystycy liczyli ich zwycięstwa, dociekliwi zaglądali na bankowe konta, a młodzież zafascynowana z rozdziawionymi ustami podziwiała wielkie pojedynki tych gladiatorów, próbując potem naśladownictwa na podwórkach.

Nam, przez długie lata zamkniętym hermetycznie w kręgu sportu amatorskiego, pozostawało jedynie na pocieszenie doszukiwać się rodzimych związków z Polską co sławniejszych sportowców. Bądź to wyimaginowanych, gdy tylko nazwisko brzmiało nieco z polska, bądź to rzeczywistych.

Pierwszymi zawodnikami polskimi na zawodowych arenach byli chyba zapaśnicy w okresie międzywojennym — Zbyszko Cyganiewicz i Władysław Pytlasiński. Życie tego pierwszego zostało nawet przed kilku laty przeniesione na kadry filmowe („Aria dla atlety"). Obaj cenieni byli na światowych matach i niejedna ich walka przeszła do historii zapasów, zapierając dech w piersiach ówczesnym widzom.

Po drugiej wojnie światowej idee socjalizmu głosiły pogardę dla imperialistycznych wynaczeń sportu, który według utopijnych, jak się okazało, założeń miał być nie skażony materialnie. Były to czyste mrzonki, które z czasem coraz powszechniej zamieniały się w oszukańczy proceder, w którym wielkie pieniądze krążyły podawane pod stołem, w kopertach lub w innej zawoalowanej formie.

Wielu sportowców w obliczu panujących jeszcze nie tak dawno poglądów próbowało przerwać ten zaklęty krąg amatorstwa. Były to jednak próby niezbyt legalne. Pierwszy, któremu się to naprawdę wiodło był poznański tenis **Wojciech Fibak.** Dzięki rodzinnym zasobom finansowym wyjechał samowolnie na cykl wodowych turniejów i z biegiem czasu wdrapał się szczyty list tenisowych. Pr rodzime władze sportowe odzony został za to od i wiary, a nawet wyklęty szeregów polskich sportowc Dopiero późniejsze jego su ay zmieniły zapatrywania skiego związku i zapomn o kalumniach, którymi go przednio obrzucono. Wojc Fibak był pierwszym Polak który został zawodowym trzem świata. Co prawda formalnym, ale turniej „M ters" jest niejako traktow jako nieoficjalne mistrzo świata, a Fibak z niemiec partnerem wygrali jeden z kich turniejów deblowych.

Potem nadszedł czas za dowych karier piłkarzy. Pie szym transferem z prawdz go zdarzenia było przej Włodzimierza Lubańskiego belgijskiego Lokeren, wkrótce stał się ulubień miejscowych kibiców. Suk naszej reprezentacji na trzostwach świata w wzmogły zainteresowanie kimi graczami. Władze towe patrzyły na to ba niechętnym okiem, stawi także takie bariery, jak li mit wieku. Potem wielu gr wyjechało i to piłkarzy p nich: **Kazimierz Deyna, G gorz Lato, Andrzej Szarm** czy też później **Józef Mły czyk i Zbigniew Boniek.** P dziwą furorę zrobił we szech ten ostatni — uwiel ny przez kibiców Juwen „Zibi". To chyba drugi W. Fibaka polski sporto który na sporcie zawodo zbudował fortunę.

Na dobrej drodze do wiel kariery jest **Marek Piotro** — objawienie światowego

MIESIĘCZNIK KURIERA POLSKIEGO

Relaks i Kolekcjoner Polski

(21/19) Nr 1/2 XI–XII 1989 CENA 600 zł

aleria wy Wojtka ibaków Greenwich

rzej Ryszkiewicz

ojtek Fibak uznał więc, że trzeba to bić, pokazać wszystkim tych malarzy pol-, którzy wybierali nie Monachium, tylko , „to jest nasza misja". Więc po Michało- n w kolekcji jest chronologiczna przerwa, obrazy Leopolda Gottlieba, Zygmunta kesa, Rajmunda Kanelby, Meli Muter, niusza Zaka, Ejbisza, Kramsztyka, Hay- , Kisinga (powtarzam całą tę listę, po- iając jedynie pisownię". Następnie „do rupy malarzy pochodzenia żydowskiego odzą inni malarze polscy" – Olga Boz- ka, Tadeusz Makowski („nasz ulubiony rz"), Stanisław Eleszkiewicz, Gustaw zdecki, którego W. Fibak stawia bardzo ko. Pisze jeszcze Fibak, że „nikt nie wał obrazów Olgi Boznańskiej. Miała y w pracowni i umierała z głodu, a prze- była to największa malarka polska chczasów".

lecydowanie wygłaszane opinie Wojtka ka są – nazwijmy to tak – bardzo osobiste, ormacje niezbyt ścisłe. Nie to przecież jest e, ale jego zbiory. Umieszczone w pięknej lencji w Greenwich, (neogotyckiej ka- nej budowli, którą przed laty wzniósł dla e słynny amerykański architekt), zbiory i Wojtka Fibaków są istotne i bardzo e i stojące na nieprzeciętnie wysokim omie. Aż trudno uwierzyć, że zebrane ały wyłącznie za granicą, na światowych ach europejskich i amerykańskich.

eźmy np. Władysława Ślewińskiego. Ka- jego dorobku (wydany przez Wł. Jawors- ką w 1983 r.) wymienia w posiadaniu pp. Fibaków obrazy: „Miasteczko w Bretanii", Martwą naturę z bułkami i nożem.

Wysoki wazon z kwiatami, „Domy i płot", „Kwiaty w wazonie i pusty dzbanek", „Morze z żaglówkami", „Wyspa czarownic" oraz „Pejzaż górski", a nie są to jeszcze wszystkie dzieła wielkiego artysty nabyte przez Fibaka. Józefa Pankiewicza reprezentuje 6 obrazów olejnych: martwe natury z butelką, dzbankiem i owocami oraz z owocami w misie, ponadto cztery pejzaże. Dalej idzie aż 13 obrazów Tadeusza Makowskiego (i drugie tyle akwarel), 14 olei Leopolda Gottlieba, 7 kompozycji Fustawa Gwozdeckiego (m.in. świetne „Japońskie laleczki", ciekawsze od porównywalnego obrazu z muzeum w Bytomiu. Zygmunta Menkesa miał Fibak dwa autoportrety, do których w zeszłym roku dokupił jeszcze jeden obraz, płacąc rekordową dla tego artysty kwotę przeszło 25 tys. dolarów. Eugeniusza Zaka reprezentuje 11 obrazów, a wśród nich najważniejsze działa artysty, reprodukowane już przed laty. Tę listę mógłbym ciągnąć jeszcze długo.

Słowem, zbiory Ewy i Wojtka Fibaków to wysmakowana kolekcja malarstwa polskiego połowy naszego wieku (plus Piotr Michałowski), wielki zespół doskonałych płócien, o niepodważalnej autentyczności. Ponieważ zaś zbiory są dostępne i zwiedzane – wystawiają znakomite świadectwo naszej plastyce na kontynencie amerykańskim.

***

Chciałbym jeszcze powrócić do mojego felietonu z numeru majowego, do „Dalszych ech licytacyjnego młotka". Pisząc o aukcji urządzonej przez Agencję „Unicum" (i szczerze chwaląc organizatorów) wytknąłem, iż – wbrew interesowi klientów – po wywołaniu ceny wyjściowej, sekretarka informowała, iż wpłynęło znacznie wyższe zgłoszenie pocztą. Od tej kwoty rozpoczynano licytację. Napisałem, iż uważam takie postępowanie za „wysoce naganne i nielojalne". Te twarde słowa uznane zostały za krzywdzące. Wyjaśniono mi, iż jeśli jest tylko jedno zgłoszenie pocztowe, to organizatorzy licytują w imieniu klienta od kwoty najniższej tak, jakby ów potencjalny nabywca sam uczestniczył w aukcji. Inaczej jest przy kilku zgłoszeniach. Jeśli np. przedmiot wyceniony został na 70.000, a zgłoszenia opiewają na 100, 150 i 200 tysięcy, to licytację rozpoczyna się od 155, takie są u nas zwyczaje i takie nawet zalcenia. Organizatorzy postąpili więc zgodnie z przyjętymi ustaleniami. Tłumaczono mi, iż praktyka taka o tyle jest właściwa, że gdyby np. nikt nie dał z sali więcej od owych 70.000 (albo w każdym razie dał mniej niż 100 lub 150) – nie wiadomo byłoby, kogo z trzech zlecających uznać za nabywcę. Widać więc, że organizatorzy nie działali w złej woli („wyłącznie z chęci zysku"), a mój zarzut był niesłuszny. Chętnie go więc wycofuję. Tyle że za granicą chyba nikt tak nie postępuje: stosuje się bowiem albo zasadę pierwszeństwa zgłoszenia, albo przyznaje priorytet temu, kto był skłonny zapłacić najwięcej, choćby obiekt sprzedano o wiele poniżej zakomunikowanych przez klientów limitów.

S WIELKOPOLSKI sobota — poniedziałek 30 grudnia — 1 stycznia 1989/1990

Droga do sławy i fortuny

Polscy mistrzowie zawodowych aren

Pięściarz Cassiuss Clay (później znany jako Muhammed Ali), tenisista Bjoern Borg, karateka Cuch Norris, to przykłady sportowców, których wyczyny na profesjonalnych arenach obrosły legendą. Statystycy liczyli ich zwycięstwa, dociekliwi zaglądali na bankowe konta, a młodzież zafascynowana z rozdziawionymi ustami podziwiała wielkie pojedynki tych gladiatorów, próbując potem naśladownictwa na podwórkach.

Nam, przez długie lata zamkniętym hermetycznie w kręgu sportu amatorskiego, pozostawało jedynie na pocieszenie doszukiwać się rodzimych związków z Polską co sławniejszych sportowców. Bądź to wyimaginowanych, gdy tylko nazwisko brzmiało nieco z polska, bądź to rzeczywistych.

Pierwszymi zawodnikami polskimi na zawodowych arenach byli chyba zapaśnicy w okresie międzywojennym — Zbyszko Cyganiewicz i Władysław Pytlasiński. Życie tego pierwszego zostało nawet przed kilku laty przeniesione na kadry filmowe („Aria dla atlety"). Obaj cenieni byli na światowych matach i niejedna ich walka przeszła do historii zapasów zapełniając dech w piersiach ówczesnym widzom.

Po drugiej wojnie światowej idee socjalizmu głosiły pogardę dla imperialistycznych wypaczeń sportu, który według utopijnych, jak się okazało, założeń miał być nie skażony materialnie. Były to czyste mrzonki, które z czasem coraz powszechniej zamieniały się w poszukiwaczy procederu, w których wielkie pieniądze krążyły podawane pod stołem, w kopertach lub w innej zawoalowanej formie.

Wielu sportowców w obliczu panujących jeszcze nie tak dawno poglądów próbowało przerywać ten zaklęty krąg amatorstwa. Były to jednak próby niezbyt legalne. Pierwszym, któremu się to naprawdę powiodło był poznański tenisista **Wojciech Fibak.** Dzięki rodzinnym zasobom finansowym wyjechał samowolnie na cykl zawodowych turniejów i z biegiem czasu wdrapał się na szczyty list tenisowych. Przez rodzime władze sportowe odsądzony został za to od czci i wiary, a nawet wyklęty z szeregów polskich sportowców. Dopiero późniejsze jego sukcesy zmieniły zapatrywania polskiego związku i zapomniano o kalumniach, którymi go uprzednio obrzucono. Wojciech Fibak był pierwszym Polakiem, który został zawodowym mistrzem świata. Co prawda nie formalnym, ale turniej „Masters" jest niejako traktowany jako nieoficjalne mistrzostwa świata, a Fibak z niemieckim partnerem wygrali jeden z takich turniejów deblowych.

Potem nadszedł czas zawodowych karier piłkarzy. Pierwszym transferem z prawdziwego zdarzenia było przejście Włodzimierza Lubańskiego do belgijskiego Lokeren, gdzie wkrótce stał się ulubieńcem miejscowych kibiców. Sukcesy naszej reprezentacji na mistrzostwach świata w RFN wzmogły zainteresowanie polskimi graczami. Władze sportowe patrzyły na to bardzo niechętnym okiem, stawiając także takie bariery, jak np. limit wieku. Potem wielu graczy wyjechało i to piłkarzy przednich: **Kazimierz Deyna, Grzegorz Lato, Andrzej Szarmach,** czy też później **Józef Młynarczyk i Zbigniew Boniek.** Prawdziwą furorę zrobił we Włoszech ten ostatni — uwielbiany przez kibiców Juwentusu „Zibi". To chyba drugi obok W. Fibaka polski sportowiec, który na sporcie zawodowym zbudował fortunę.

Na dobrej drodze do wielkiej kariery jest **Marek Piotrowski** — objawienie światowego kick-boxingu. W zasadzie swoją wielką karierę zaledwie rozpoczął i dotychczas na zawodowych ringach jeszcze nikt go nie pokonał. W niespełna rok po przybyciu do USA zdobył mistrzostwo świata. Teraz zaś będzie mógł dyskontować swe sukcesy i on będzie dyktował warunki finansowe następnych walk. Znany z pracowitości, przebojowy między linami ringu, nie dający przystępu strachowi, ma szansę na długie panowanie w profesjonalnym światku. A jego śladami podąża w tej dyscyplinie sportowej **Przemysław Saleta,** który jest już europejskim championem.

Drogę do zawodowego peletonu kolarskiego przecierał **Czesław Lang,** ale największym dotychczas polskim transferem było przejście w glorii zwycięzcy Wyścigu Pokoju i mistrzostw świata amatorów **Lecha Piaseckiego** do grupy „Del Tongo-Colnago". Polak jednak nie ziścił nadziei, które pokładali w nim polscy kibice i nieco pogubił się w profesjonalnych powiązaniach i układach. Na pocieszenie pozostały mu jedynie pojedyncze etapowe zwycięstwa (chociaż jednak w najbardziej prestiżowych wyścigach). Jednocześnie, co należy podkreślić, był trzecim z kolei polskim zawodowym mistrzem świata (w wyścigach torowych). Wprawdzie mniej to nobilitujące niż wygranie szosowych mistrzostw świata, czy też Tour de France lub Giro d'Italia, ale jednak jest to tytuł mistrzowski.

Tak więc na zawodowych arenach doczekaliśmy się już trzech mistrzów świata, w tym jednego nieformalnego. Kto następny? Może znów kolarz, ale tym razem Joachim Halupczok? Sztuczne bariery zostały zniesione. Droga do sławy i fortuny została otwarta. Kogo jednak na to stać?

LESZEK GRACZ